



JAK SIĘ
NIE WYRÓŻNIAĆ,
KIEDY PRZERASTASZ
WSZYSTKICH
O GŁOWĘ?

JEJ
WYSOKOŚĆ P.

JOANNE MACGREGOR

Young

The title is surrounded by hand-drawn decorative elements: a flower on the left, a rose on the right, and starburst symbols in the corners.

JEJ
WYSOKOŚĆ P.
JOANNE MACGREGOR

PRZEŁOŻYŁA
Edyta Świerczyńska



Udając malutką,

nie przysłużysz się światu.

— Marianne Williamson

- 1 -

Gdy już zostanę królową świata, drugą rzeczą, jaką zrobię, będzie wprowadzenie Prawa Wysokich Dziewczyn – oznajmiłam.

– Prawa czego? – zapytał Steve.

– Okej, kupuję to – powiedziała Tori. – A jaka jest ta pierwsza rzecz?

– Wyjmę spod prawa ketchup i musztardę w butelkach.

Przetarłam sklejony dzióbek kolejnej lepiałej się butelki ketchupu. Ohyda. Dlaczego to obrzydliwe zadanie zawsze przypadało w udziale właśnie mnie?

Był spokojny piątkowy wieczór w Jumping Jim's Diner, a nasza kelnerska trójka stłoczyła się z tyłu sali, czekając na wyjście ostatnich gości. Steve polerował szklanki, Tori okręcała sztucce w serwetki, a ja ślęczałam nad czyszczeniem butelek sosów.

– Peyton, to może powiedz nam, o co chodzi z tym prawem wysokich dziewczyn – odezwał się Steve.

– Prawo Wysokich Dziewczyn – zaczęłam – zakazuje randkowania chłopaków powyżej metra osiemdziesięciu wzrostu z dziewczynami poniżej metra siedemdziesięciu pięciu.

Tori spojrzała na mnie, unosząc krytycznie brew.

– Tylko heterocy?

– Przepraszam, poprawka: osobom powyżej metra osiemdziesięciu wzrostu zakazuje się randkowania z osobami poniżej metra siedemdziesięciu pięciu. Chociaż – dodałam – dla par facetów to chyba bez różnicy, bo raczej nie mieliby ochoty nosić szpilek. A co się tyczy par babeczek, to czy różnica wzrostu ma dla nich aż takie znaczenie?

– Nie sądzę. W tych sprawach nasze ego nie dochodzi do głosu – odpowiedziała Tori.

Usta miała zawsze umalowane oślepiająco błyszczącą czarną szminką, a jej dolną wargę zdobił kolczyk w kształcie dłoni szkieletu, więc nawet gdy uśmiechała się z zadowoleniem, tak jak teraz, wciąż wyglądała groźnie.

– No cóż, nie wszystkie wyewoluowałyśmy na tak wysoki poziom i lubimy wyższych partnerów – zerknęłam na stolik w najdalszym kącie i się skrzywiłam.

Steve popchnął w moją stronę stojące na ladzie wypolerowane kufle.

– Odstawisz je na półkę? Ja nie sięgnę – rzucił.

– Możesz stanąć na stołku – doradziłam.

– Ale nie muszę, bo mam ciebie: ludzką drabinkę.

Mądrała. Zabrałam się za ustawianie kufla.

– A tak w ogóle to dlaczego? – zapytała Tori.

– Co dlaczego?

– Dlaczego wysokie dziewczyny potrzebują, jeśli dobrze zrozumiałam sens tej propozycji legislacyjnej, ochrony prawnej podczas randkowania?

– Bo wysokich facetów jest niewiele. Nie wystarczy ich dla wszystkich, nawet jeśli ograniczyć się do wysokich dziewczyn. I zdecydowanie nie wolno ich marnować na niskie, które nie potrzebują wysokich chłopaków. One mogą sobie do woli przebierać w całej masie facetów średniego wzrostu.

Moją uwagę zwrócił nagły wybuch śmiechu w narożnym boksie. Siedziała w nim grupka dzieciaków z mojego liceum, ale twarz, która wciąż przyciągała mój wzrok, należała do kogoś nieznanego. Pamiętałabym ją.

– Przykład: spójrz na jeden ze stolików, Tori, ten tam. – Wskazałam brodą na hałaśliwe towarzystwo. – Dziewczyna w niebieskiej sukience nie może mieć więcej niż metr sześćdziesiąt, a podrywa jego: zielona koszula, w samym rogu. – Przebiegłam okiem eksperta po posturze chłopaka. Jakieś metr osiemdziesiąt osiem. I przystojny. – Jeśli się spikną, z puli wolnych wysokich facetów dla wysokich dziewczyn, takich jak ja, ubędzie jeden osobnik.

– Zakładasz, że, nawet jeśli jest wolny, byłby tobą zainteresowany – powiedziała Tori.

– Jeden zero! – zarechotał Steve.

Tori zakręciła się seksownie, by zaprezentować swoją filigranową sylwetkę. Nawet w megawysokich szpilkach z odkrytymi palcami nie sięgała metra sześćdziesięciu pięciu i nie mogła ważyć więcej niż pięćdziesiąt pięć kilo – z czego te ostatnie pięć to łączna waga wszystkich jej kolczyków, całej masy pierścionków i grubej warstwy eyelinera.

– Może – ciągnęła – woli drobne dziewczyny.

To by mnie nie zdziwiło – wszyscy je wolą.

– Bo wielu facetów w takich właśnie gustuje – mówiła dalej. – To łechce ich kruche ego.

Uniosłam brodę i prychnęłam.

– Jeśli rzeczywiście woli niskie, to tylko dlatego, że nie zna nadrzędnego gatunku, jakim są wysokie. Gdy raz wzniesiesz się na wyżyny, nigdy już nie będziesz chciał zejść na dół.

Steve ryknął śmiechem. Być może usłyszał brak przekonania ukryty pod moimi pewnymi słowami.

– Proooooszę cię. Dobrze wiesz, że facetom nie podobają się olbrzymki. Właśnie dlatego zawsze się garbisz, nosisz buty na płaskim obcasie i generalnie próbujesz uchodzić za niższą – odcięła się Tori.

Żałowałam, że brakowało w pobliżu Chloe – rzuciłaby Tori w twarz jakąś ciętą ripostę i sprowadziła ją do pionu. Chloe była moją najlepszą przyjaciółką, odkąd w przedszkolu obie strułyśmy się niebieskimi, żółtymi i różowymi kredkami świecowymi, bo Billy Beaumont wmówił nam, że po ich zjedzeniu drugą stroną wyjdzie tęcza. Chloe była średniej wielkości ładunkiem czystej energii z ciętym językiem, ale mnie nigdy nim nie smagała. A przynajmniej nie w sprawach, których nie byłam w stanie zmienić, takich jak mój wzrost. Chociaż ciągle męczyła mnie, żebym przestała się garbić.

Wyprostowałam się.

– Wiesz, niektórych facetów pociąga coś więcej niż tylko wygląd. Zdarza się, że w dziewczynie podoba im się jej osobowość albo mózg – odparowałam.

Tori sceptycznie podchodziła do tych rewelacji – nie miała zbyt wysokiego mniemania o męskich osobnikach naszego gatunku.

– Nieprawda – wtrącił Steve. – Jedyne facetami, których pociąga mózg, a nie ciało dziewczyny, są zombie.

– Co tu się dzieje? – Jim, facet szerszy niż wyższy i prawdopodobnie niezdolny do wykonania najmniejszego podskoku, wyślizgnął się z kuchni, żeby sprawdzić, co na sali i jak pracują jego kelnerzy. – Mniej gadania, więcej działania – oznajmił i uraczył nasze uszy refrenem *A Little Less Conversation* Elvisa Presleya.

Jim uwielbiał Elvisa, chyba nawet bardziej niż burgery z jajkami i bekonem w towarzystwie smażonych pikli w panierce. A to trudno było przebić.

– Tak jest, szefie – odezwał się Steve. Chwycił szmatkę i z obrzydzeniem malującym się na twarzy zaczął ścierać zaschniętą żółtą maź z butelki musztardy.

Tori westchnęła głośno.

– Zarządcy raz jeszcze stanęli z batem nad głowami robotników. Gdy zostanę królową świata, obalę system klasowy i zlikwiduję niesprawiedliwy kapitalizm.

– I szybko stracisz tron. Komuniści i socjaliści nie są fanami monarchów – wytknęłam.

– Przestań podburzać lud, Tori – powiedział Jim. – Czy tamten stolik nie powinien już poprosić o rachunek?

– Dostali go. A ja nikogo nie podburzałam. Powiedziałam tylko, że ten chłopak w rogu niekoniecznie musiałby chcieć chodzić z Peyton, nawet jeśli prawo zabraniałoby mu umawiać się z tą ładną drobną dziewczyną, która siedzi obok niego.

– To jakiś nonsens. Przecież Peyton to piękna młoda dama – lojalnie wstawił się za mną Jim. – Każdy chciałby z nią chodzić.

Niestety doświadczenie nauczyło mnie, że to nieprawda. Nie byłam nieatrakcyjna – miałam duże brązowe oczy, lekko kręcone włosy do ramion i szczupłą sylwetkę – ale ludzie zauważali tylko mój wzrost.

– A niech to, gdybym był o te czterdzieści lat młodszy, to i ja chętnie bym się z nią umawiał! – dodał.

Tori i Steve zachichotali, jakby to była najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu słyszeli. Wbiłam wzrok w stopy. W swoje bardzo duże stopy.

– Nie słuchaj ich, Peyton. Steve na przykład wie o świecie tyle, co kot napłakał, albo i mniej. To uciszyło Steve’a.

– A Tori... No cóż, może i wie wszystko o kapitalizmie i tak dalej, ale na pewno się zgodzi, że nie ma bladego pojęcia o tym, czego chcą mężczyźni.

– I dzięki Bogu! – skwitowała Tori.

– A co do tego wysokiego chłopaka, to na pewno ucieszyłby się, gdyby mógł całować się z kimś na swoim poziomie, zamiast dostawać skurczy karku od nachylania się, by dosięgnąć ust dziewczyny. Co więcej, założę się, że chciałby pocałować naszą Peyton, gdy tylko by ją poznał.

– Dzięki, Jim. – Przytuliłam się do jego boku.

– Stoi! – podchwyciła Tori z błyskiem złośliwości w oczach. – Przyjmuję zakład. Przekonajmy się, czy jesteś tak mocna, jak mówisz, Peyton. Jim, stawiam stówę, że nie skłonisz tego tam wesołego zielonego olbrzyma, żeby pocałował naszą amazonkę.

– Naszego kogo? – zapytał Jim.

– Peyton.

– Nie – powiedziałam.

– Podniosę stawkę – kusiła Tori. – Sto pięćdziesiąt dolców.

– Nie.

– Dwieście. Dwieście dolarów, Peyton.

– Stoi! – Jim wyciągnął pulchną rękę i uściśnił dłoń Tori.

– Zaraz, sekunda, czy ja nie mam tu nic do powiedzenia? – zaprotestowałam.

– Przecież uważasz go za przystojniaka, prawda? – wtrącił Steve. – Cały wieczór go obczajasz, sam widziałem.

– Właśnie. Nie masz ochoty go pocałować? – zawtórowała mu Tori wyzywająco.

– No, może... Gdybym go znała. Ale nie znam. I nie mogę ot tak podejść i pocałować obcego faceta.

– Dziewczyno, oni wszyscy są obcy.

– A w ogóle to niby czemu zakładasz się z Jimem o coś, co ja miałabym zrobić?

– Słusznie. Też powinnaś coś z tego mieć – przytaknęła Tori. – Steve, wchodzisz w to?

– Pewnie. Nie ma opcji, żeby ją pocałował. Na bank zrobi jej 401.

– 401? – zapytałam.

– Błąd 401: brak dostępu – zachichotał Steve.

– Oboje – oznajmiła Tori, wskazując palcem mnie i Jima – dostaniecie ode mnie i od Steve’a po dwieście dolarów, jeśli Peyton skłoni tamtego chłopaka, żeby ją pocałował przed upłynięciem pięciu minut od chwili, gdy mu się przedstawi.

Zignorowałam jej absurdalny pomysł, odwracając się do Steve’a plecami. Bolał mnie jego złośliwy komentarz i nie chciałam dać sobie w kaszę dmuchać.

– Czemu nie? – dopytywałam. – Czemu miałyby nie chcieć mnie pocałować?

– Bo jesteś olbrzymką. Nie klasyfikujesz się już nawet jako dziewczyna.

– Steve, jesteś takim palantem...

Spojrzał na mnie ze złośliwym uśmieszkiem.

– Czas poprzeć słowa kasą, Godzillo.

Z awahałam się. To czyste szaleństwo. Nie byłam z gatunku tych, co to potrafią pewnym krokiem podejść do faceta i zażądać pocałunków. Do licha, ja nawet nie umiałam tym pewnym krokiem chodzić. No i nie miałam żadnej gwarancji, czy uda mi się skłonić tego przystojniaka, żeby mnie pocałował. Wróć: byłam pewna. Że mi się nie uda.

Ale chyba byłam wystarczająco zirytowana, żeby spróbować.

– Peyton, jeśli wygrasz, oddam ci moje dwie stówy. To znaczy kiedy wygrasz – powiedział Jim.

Miałam szansę zgarnąć czterysta dolarów, a taka suma naprawdę by mi się przydała.

Ale oczywiście jeśli przegram... Wzruszyłam ramionami.

– Boisz się spróbować? Strach cię obleciał, kurczaczku? – Steve zaczął machać łokciami, naśladując kurze gdakanie.

– Ha, bardziej strusiu – prowokowała Tori.

Była tak pewna, że dam plamę. Może jednak warto zaryzykować upokorzenie, aby zetrzeć jej z twarzy ten zadowolony uśmiezek.

– Albo Wielki Ptaku – podchwycił Steve.

– W porządku, zrobię to. – Czy te słowa naprawdę wyszły właśnie z moich ust? O rany

– Zuch dziewczyna! – ucieszył się Jim. – Ale lepiej się pośpiesz, bo zbierają się do wyjścia.

Rzeczywiście, cała grupka właśnie wstawała, trzy dziewczyny sięgały po torebki, a wysoki chłopak porzucił swoje miejsce w kącie i ukazał się nam w całej okazałości. O kurczę, metr dziewięćdziesiąt. Brązowe włosy, w prawie takim samym jasnym odcieniu jak moje, jasne oczy – z miejsca, w którym stałam, nie byłam w stanie dotrzeć ich koloru – i szerokie barki. Nie mogłam się zdecydować, czy był naprawdę przystojny, naprawdę naprawdę przystojny czy naprawdę zabójczo przystojny.

– To ma być prawdziwy pocałunek, a nie jakieś tam cmoknięcie – doprecyzowała Tori.

– Właśnie, musi być z językiem – dodał Steve.

Po kręgosłupie przebiegły mi dreszcze paniki. Być może widać to było na mojej twarzy, ponieważ Jim posłał mi zachęcający uśmiech i poklepał mnie po ramieniu.

– Wyluzuj, mała – powiedział. – Wyglądasz, jakby mieli cię zaraz usmażyć na krześle elektrycznym.

Przykleiłam do ust uśmiech.

– Teraz lepiej?

– Hm, może zrób jeszcze coś z włosami? Policzkom też przydałoby się trochę więcej koloru.

Rozpuściłam włosy, uwalniając je z kucyka, i je napuszyłam, szczyptałam się w policzki i dla pewności rozpięłam jeden guzik koszuli. Potem przy akompaniamencie Jima nucącego *It's Now or Never* odwróciłam się w stronę narożnego boksu i ruszyłam.

Jestem królową. Jestem królową.

Powtarzałam w duchu te słowa przy każdym niepewnym kroku, ale nie zdało się to na nic. Nie byłam żadną monarchinią, tylko naprawdę wysoką dziewczyną. A w tamtej chwili wołałam cokolwiek innego – nawet klasówkę z matematyki czy sprzątanie kuchni – niż to.

– Cześć, Micayla. Cześć, Greg – powiedziałam, podchodząc do stolika.

Rozpoznawałam wszystkie twarze – oprócz jego twarzy – ze szkoły. Czworo z nich, w tym drapieżna dziewczyna w niebieskiej sukience, było o rok niżej, ale Greg i Micayla za dziesięć dni, gdy rozpocznie się nowy rok szkolny, będą tak jak ja w klasie maturalnej.

Greg Baker był zastępcą kapitana szkolnej drużyny koszykówki i wiecznie próbował mnie namówić na udział w kwalifikacjach do drużyny dziewcząt. Oceniał jego wzrost na przyzwoity metr osiemdziesiąt pięć, ale przy tym wysokim chłopaku, który stał obok, wypełniając moje peryferyjne pole widzenia zielenią, wyglądał na niskiego. Każda komórka mojego ciała była już dostrojona do tego nieznanego, jak słoneczniki, które zwracają głowy ku światłu.

– Cześć – odezwałam się żałośnie piskliwym głosem. Moje policzki natychmiast oblały się rumieńcem. – Muszę zamienić słowo z...

Powędrowałam spojrzeniem do wysokiego chłopaka. O rany. Metr dziewięćdziesiąt pięć i ani centymetra mniej. A oczy miał niespotykanego, oliwkowozielonego koloru.

– Och, to mój kuzyn Jay Young, jest z Waszyngtonu – powiedział Greg. – Jay, to Peyton Lane, też jest maturzystką w liceum Longforda.

– Cześć – przywitał się Jay. Jego głos był spokojny.

– Cześć, Wielka P. – rzucił jeden z młodszych chłopaków. – Jaka pogoda na górze?

Jeszcze bardziej się zarumieniłam. Nienawidziłam tego przezwiska – brzmiało, jakbym była jakimś olbrzymimi genitaliami. Jeśli kiedykolwiek dowiem się, kto ze szkoły je wymyślił...

Jay posłał mi uśmiech pełen zdziwienia.

– To... co słyszeć? – zagadnął.

– Eee... – Co teraz? Nie miałam pojęcia, jak ubrać to w słowa. Chciałam, żeby reszta towarzystwa sobie poszła i zostawiła nas samych, ale wszyscy stali i gapili się na mnie, jakbym była kobietą z brodą w cyrku. – Słuchaj, czy mogę cię jakoś namówić, żebyś mnie pocałował? – wyrzuciłam z siebie w końcu.

– Że co? – zapytała jedna z dziewczyn.

Niebieska Kiecka przewróciła oczami i wydała z siebie odgłos obrzydzenia, a Greg wybuchnął śmiechem.

– Słucham? – powiedział Jay.

– Trzy minuty! – zawołała Tori z drugiego końca restauracji.

– Oni – zaczęłam, wskazując Steve'a i Tori – założyli się ze mną, że nie skłonię cię, abyś mnie pocałował. A ja... przyjąłam zakład.

Wciąż wyglądała na zdezorientowanego. Pewnie pomyślał sobie: „Czy to mój problem?”.

– To głupie, wiem, ale przyjąłam. Cóż, ta kasa naprawdę by mi się przydała.

Uciekłam od niego wzrokiem. Czulałam ciepło bijące mi z twarzy – moje policzki musiały przybrać czeresniowy kolor skórzanych obić foteli, paśowej koszuli w kratę Jumping Jima na okiennej naklejce, ketchupowej czerwieni ostatecznego upokorzenia.

– Hej, to miłe, ale z reguły nie chodzę i nie obcałowuję obcych dziewczyn.

– Obcych, trafiłeś w punkt, stary. Z innej galaktyki – naigrawał się jeden z młokosów, a Niebieska Kiecka i jej przyjaciółka zachichotały.

– Spoko, nie ma problemu – wyjąkałam. – To od początku była próba skazana na porażkę. Przepraszam za kłopot.

Nigdy w życiu nie czułam się tak upokorzona. Oczy aż kłuły mnie ze wstydu i złości na samą siebie, a klatkę piersiową miałam tak ściśniętą, jakby znalazła się w miażdżącym chwycie olbrzyma. Takiego prawdziwego, o wzroście przynajmniej sześciu metrów. Czemu, na litość boską, przyjąłam ten beznadziejny zakład? Co ja miałam w głowie, że nawet na jedną szaloną sekundę zagościła w niej myśl, że wysoki przystojniak zechce mnie pocałować?

Odwrociłam się i byłam już w połowie drogi do Tori i Steve'a, napawających się moją błyskawiczną i druzgocącą porażką, aż nagle znowu usłyszałam ten głęboki głos.

– Hej, Peyton?

– Tak? – Odwróciłam się do niego. Wciąż stał obok dziewczyny w niebieskiej sukience. Reszta towarzystwa była już przy drzwiach, gotowa do wyjścia.

– Jaka stawka zakładu?

– Czteryście dolarów.

Gwizdnął cicho.

– Mnóstwo kasy.

– Taa, jak to mówią: na bogato albo wcale – powiedziałam, starając się wtłoczyć w głos nutę humoru, a do twarzy przykleić bez troski uśmiech. Ale to wcale nie było zabawne. Nie mogłam ot tak sobie wyskoczyć z czterystu dolarów. – Jak mówiłam, głupota.

Wzruszyłam ramionami i odwróciłam się. Tori ze Steve'em przybili sobie piątkę i już wyciągali ręce, jakbym miała im wypłacić wygraną tu i teraz.

Nagle od tyłu chwyciła mnie ciepła dłoń, obracając moje ciało i przyciągając do siebie. Znalazłam się twarzą w twarz z Jayem, który stał z lekko przechyloną głową, szerokim uśmiechem na ustach i wyzywającym błyskiem w oku.

– Rozczarujmy ich, dobrze?

Jay przyciągnął mnie do siebie, obrócił ramieniem nad moją głowę, tak że zrobiłam piruet jak w staroświeckim tańcu, po czym wylądowałam mu na piersi. Musiałam odchylić głowę, żeby móc spojrzeć w jego rozbawione oczy. Wspaniale i wyjątkowo było czuć się tą niższą osobą. A także odrobinę niepokojąco.

Jedną z dłoni owinał wokół mojej talii, przyciągając mnie do siebie jeszcze bliżej. W drugiej zamknął mój policzek i zaczął mnie całować. On. Mnie. Całował. Poczulałam dymną słodycz czekoladowego koktajlu mlecznego i przez krótką chwilę dobrze słyszałam wszystkie chichoty, gwizdy, wiwaty i drwiny, ale huraganowy szum w mojej głowie szybko je zagłuszył.

Kiedyś, gdy miałam jakieś dziewięć lat, przez Balti-more przetoczyło się tornado i pozostawiło po sobie zgłiszcząca. Zanim do nas dotarło, zdążyłyśmy się z mamą ukryć w piwnicy, ale i tak je słyszałyśmy – przerażający, ogłuszający żywioł, który szalał nad nami i wokół nas. Dźwięki i doznania przytłaczały mnie, przeszywając moją klatkę piersiową i pozbawiając tchu, przedzierały się przez mój mózg niczym rozpędzony pociąg towarowy, wymiatając wszystkie myśli.

Tak właśnie się teraz czułam.

Zero szans na odzyskanie oddechu. Zero czasu na myślenie. Zero impulsu, by zrobić coś poza uczeniem się oparcia i po prostu byciem.

A potem, niemalże przed tym, zanim się w ogóle zaczęło – a może kilka godzin później – było już po wszystkim. Moje usta, które wziął w posiadanie, znowu należały do mnie. I pulsowały, jakby błagając o utracone ciepło.

– Wszystko w porządku? – Zachichotał, patrząc mi w oczy ze swojej wysokości, gdy już mnie puścił. Drobne zmarszczki w kącikach jego oczu układały się w miniaturowe uśmiechy.

– He?

Czułam, że mam na twarzy głupkowaty uśmiech, ale nawet nie byłam w stanie pomyśleć, czym go zastąpić, by zagościła na niej choć namiastka nonszalancji. W głowie wciąż mi się kręciło i świeciło pustkami. Chyba trochę się kołysałam, bo wyciągnął rękę, żeby mnie podtrzymać.

– Czy wszystko w porządku?

– Aha. – Musiałam wziąć się w garść. – Tak. Dzięki.

– Jay, chodź już – biadoliliła spod drzwi Niebieska Kiecka, rzucając mi prawdziwie zabójcze spojrzenie.

– Okej. – Cofnął się o kilka kroków. – To do zobaczenia.

– Taak. – Mój rozsądek powoli wracał na swoje miejsce, a wraz z nim pojawiło się zażenowanie. Musiałam wyglądać i brzmieć jak kompletna idiotka. – Hej, Jay? – zawołałam, kiedy odwrócił się, by dołączyć do przyjaciół. – Dziękuję. To chyba najmiłsza rzecz, jaką ktoś dla mnie zrobił. W życiu.

Przez jego twarz przebiegł wyraz zaskoczenia, ale tamta dziewczyna zaczęła ciągnąć go za rękę, kuzyn mu dokuczał, a pozostałe dwie koleżanki na odchodne posłały mi pełne niedowierzania spojrzenia. I wyszedł. A miejsce, w którym przed chwilą stał, ziało pustką.

Za plecami usłyszałam natomiast Jima śpiewającego za Elvisem pięknym głosem: „Jestem cała roztrzęsiona”.

Wciąż czułam mrowienie w ustach, gdy cała w skowronkach i nieziemsko zadowolona wprost płynęłam przez salę w stronę Jima, Steve’a i Tori. Pyzatą twarz Jima rozpromieniła szeroki jak szafa uśmiech, ale mina Steve’a była skwaszona – tak to jest, jak się straci paręset dolarów, stary. Natomiast wyraz twarzy Tori trudniej było odczytać. Wyglądała bardziej na zaintrygowaną niż rozczarowaną.

– Proszę bardzo – powiedziałam z oddechem pełnym ulgi.

– Wiedziałem, że ci się uda, mała – rzucił Jim, klepiąc mnie po plecach, zanim zniknął w kuchni.

– A więc – zaczęłam – wygląda na to, że chłopcom rzeczywiście podobają się wysokie dziewczyny.

– Jesteś tego aż taka pewna? – zapytała Tori.

- Pocałował mnie, tak czy nie?
- Pewnie uświadomiłaś go, że to był zakład, mam rację?
- Tak, no i co z tego?
- To z tego, że najprawdopodobniej pocałował cię z litości.

Auć.

- Chcesz trochę lodu na te piekące policzki? – zachichotał Steve.

Nie chciałam przykładać lodu, tylko zetrzeć im z twarzy te złośliwe uśmieški. Później pewnie przyjdą mi do głowy dziesiątki ciętych, szyderczych ripost – odpowiedzi na wszystkie zniewagi, jakie tego wieczoru się na mnie posypały – ale teraz niczego nie potrafiłam wymyślić.

– To wcale nie dowodzi, że wysocy chłopcy chcą chodzić z wysokimi dziewczynami. – Tori nie przestawała wbijać swoich szpil.

Wzruszyłam ramionami. Mogłam wytknąć jej niedociągnięcia w manierach, ale nie w logice.

– A może podbijemy stawkę jeszcze bardziej? – zaproponowała Tori. – Założę się, że nie nakłonisz wysokiego chłopaka – jakiegokolwiek wysokiego chłopaka – żeby z tobą chodził. Jeśli wygrasz, dostaniesz osiemset pięknych dolarów.

- Czy ty w ogóle masz osiemset pięknych dolarów?
- Oczywiście.

Możliwe, że miała, ale bardziej prawdopodobne było, że nawet nie brała pod uwagę swojej przegranej. Wróciłam do odkładania kufli na wysoką półkę, zastanawiając się nad tą propozycją.

- A jeśli ty wygrasz? – zapytałam.
- To wtedy ty zapłacisz nam osiemset dolarów.

Skrzywiłam się.

– Twoja odpowiedź prawdopodobnie zależy od tego, jak bardzo jesteś pewna, że wysokie dziewczyny są atrakcyjne – rzuciła Tori, a na jej błyszczących czernią ustach pojawił się prawdziwie szatański uśmieszek.

- Właśnie; czujesz się ładna, Tyczko? – prowokował Steve.

Ładna? Nie. Nigdy w życiu nie czułam się ładna. Niemalże z definicji bardzo wysokie dziewczyny nie mogły być ładne czy urocze. Efektowne? Tak. Atrakcyjne? Może. Przyciągające wzrok – zawsze, niestety. Ale ładne? Nie, ten termin był zarezerwowany dla filigranowych, kruchych dziewcząt. Dziewcząt, które siedząc w kinie, nie dotykały kolanami oparcia fotela przed nimi. Dziewcząt, które nie musiały przykucać, żeby na grupowych fotkach nie mieć obciętych twarzy.

A jaką miałam pewność, że uda mi się namówić jakiegoś chłopaka, o wysokim nie wspominając, żeby ze mną chodził? Odpowiedź brzmi: żadną.

Chociaż osiemset doliców piechotą nie chodzi.

– Ale musi być naprawdę wysoki, przynajmniej o kilka centymetrów wyższy od ciebie – dodała Tori. – Ile ty w ogóle masz wzrostu?

– Metr osiemdziesiąt cztery – wybąkałam. Za każdym razem, gdy się do tego przyznawałam, czułam się jak na spowiedzi.

– Zaokrąglajmy do metra osiemdziesięciu pięciu – zaproponowała.

– Nie zaokrąglajmy – odparowałam.

– Musi mieć co najmniej metr osiemdziesiąt dziewięć.

– Metr dziewięćdziesiąt pięć – wtrącił Steve.

Sporunowałam go wzrokiem.

– Łatwiej znaleźć jednorożca niż faceta o takim wzroście.

– W porządku, spotkajmy się w połowie drogi: metr dziewięćdziesiąt dwa – powiedziała Tori. – I musicie pójść choćby na trzy randki.

– Cztery – poprawił Steve. – Cztery randki z tym samym facetem.

– A ponieważ jest to eksperyment społeczny mający ustalić, czy wysocy osobnicy chcą się umawiać z wysokimi osobniczkami, randki muszą odbywać się w miejscu publicznym – dodała Tori, mierząc we mnie widelcem. – Żadnego zostawiania w domu i oglądania filmów w piwnicy czy

urządzania sobie pikników na jakiejś opuszczonej łące.

– I jeszcze, i jeszcze – w oczach Steve’a zapłonęło podekscytowanie – ostatnia randka musi być królową publicznych randek: facet ma cię zabrać na bal maturalny.

– Ooo, dobre! – Tori przybiła żółwika ze swoim współnikiem.

Sięgnęłam po szmatkę i przetrłam zapaćkaną szyjkę butelki ketchupu.

– A zatem cztery publiczne randki z chłopakiem o wzroście metr dziewięćdziesiąt dwa i wżwyż, z których ostatnia to bal maturalny, i osiemset dolarów jest moje? A jeśli przegram, tyle wam płacę? – podsumowałam.

Tori skinęła głową.

– Z grubsza takie są warunki.

To było niesamowicie kuszące. Chciałam udowodnić, że wysokie dziewczyny mogą się podobać. A jeszcze bardziej chciałam wyrwać się z domu i pojechać na studia w jakieś ekscytujące miejsce – na przykład do Kalifornii albo do Nowego Jorku. To prawda, jeszcze nie zdecydowałam, co chcę studiować, ale czegokolwiek bym nie wybrała, osiemset dolarów byłoby pokaźnym dodatkiem do mojego funduszu studenckiego.

– To jak będzie, Peyton? – zapytała Tori. – Wróbel w garści czy gołąb na dachu?

A co mi tam.

– Przyjmuję zakład.

Wyciągnęłam rękę i uściśnięłam jej dłoń, czując, jakbym podpisywała cyrograf z samym diabłem.

Między trzy dni, a ja wciąż łamałam sobie głowę nad szaleństwami tamtego piątkowego wieczoru. Chloe najwidoczniej też.

– I tak zwyczajnie cię pocałował? – zapytała po raz setny, chociaż już знаła odpowiedź.

Przynajmniej trzy razy opisałam jej, co się wydarzyło, ale najwyraźniej nie przeanalizowałyśmy jeszcze każdego najdrobniejszego szczegółu.

– Nie, nie pocałował mnie tak zwyczajnie. Pociągnął mnie za rękę, zakręcił mną jak w tańcu, przycisnął do klatki piersiowej i zamknął w dłoniach moją twarz. I dopiero wtedy mnie pocałował.

Westchnęła z zadowoleniem. Przekręciłam się na ręczniku, przekopując piasek, żeby ułożyć się wygodnie na brzuchu. Przyszła kolej na podsmażenie pleców. Pierwszy semestr ostatniej klasy zaczynał się już za tydzień, więc razem z Chloe pracowałyśmy ciężko nad naszą opalenizną, spędzając większość dni na małej plaży w Blue Crab Bay.

Miałam sześć lat, gdy moi rodzice się rozwiedli, i w miarę upływu czasu coraz rzadziej spotykałam się z tatą, zwłaszcza po tym, jak wyprowadził się z Baltimore na swoją malutką działkę nad zatoką Chesapeake, gdzie prowadził niezbyt dochodową szkołę żeglarską.

Teraz odwiedzałam go raz do roku podczas wakacji. Cieszyłam się na te wyjazdy bardziej ze względu na to, że mogłam odpocząć od mamy i jej problemów, niż z tęsknoty za tatą.

Był dość fajnym człowiekiem, zresztą jego druga żona, Lucy, też, ale tak naprawdę niewiele mnie z nimi łączyło. Tego roku zapowiedział, że nie będzie mógł wziąć wolnego, żeby spędzić ze mną więcej czasu (mój świat nie legł przez to w gruzach, tatusiu), ale zaproponował, abym dla towarzystwa przywiozła ze sobą przyjaciółkę. Grzecznościowa paplanina Chloe, jej pytania o biznes taty i przerośnięte komplementy dla kuchni Lucy pomogły mi zapłacić chwile niezręcznej ciszy, które zazwyczaj charakteryzowały nasze „rodzinne” kolacje.

– I było miło? – zapytała teraz, wciąż skupiona na tamtym pocałunku.

– Nie, nie było miło. To było jak fajerwerki i anielskie chóry.

– Aha. I teraz musisz go wmanewrować w randki?

– Niekoniecznie jego, zresztą chyba i tak mieszka w Waszyngtonie. Chodzi po prostu o jakichś naprawdę wysokich chłopaków.

– Tamten ratownik jest całkiem milusi – orzekła Chloe. To chyba było z jej strony małe niedopowiedzenie, biorąc pod uwagę, że cały poranek pożerała go wzrokiem.

Rzuciłam chłopakowi na krzeselku ratownika szybkie taksujące spojrzenie. Góra metr osiemdziesiąt. Dwa i pół centymetra mniej od wzrostu przeciętnego dorosłego Amerykanina. Chłopcy metr osiemdziesiąt, nawet ci przystojni, nie byli na moim radarze. Nie miałam ochoty umawiać się z kimś, kogo dłonie i stopy były mniejsze od moich – nic bardziej nie sprawiało, że czułam się jak olbrzymka.

– Za niski – stwierdziłam.

– Wcale nie! – oburzyła się Chloe.

Z jej perspektywy metra sześćdziesięciu pięciu (jak na przeciętną Amerykankę przystało) pewnie wszyscy faceci wydawali się wysocy.

– Za niski dla mnie – poprawiłam. – Ale dla ciebie byłby idealny. Mogłabyś założyć dziesięciocentymetrowe szpilki, a i tak byłabyś od niego niższa. I, co najważniejsze, nie łamałabyś Prawa.

Chloe znała na wylot Prawo Wysokich Dziewczyn.

– No cóż – powiedziała, zakładając na bikini podkoszulek i szorty – jeśli mam go olśnić, potrzebuję nowego kostiumu kąpielowego i może jeszcze jakieś fajnej letniej sukienki. Chodźmy na zakupy.

Miasteczko Blue Crab Bay było plażowym lepem na turystów z główną ulicą zabudowaną masą sklepów z tandetnymi pamiątkami. Na żądanie Chloe wstąpiłyśmy do każdego z nich. Była zauroczona

wiszącymi na stojakach pluszowymi rekinami („Czy tu w ogóle są rekiny?”, dopytywała), podkoszulkami z napisami „Może Morze” czy „Keep calm i zacumuj w moim porcie!”, szklanymi butelkami wypełnionymi piaskiem („Jaki idiota kupiłby butelkę piasku?”), torebkami z mieszanką kukurydzianych ciasteczek oraz niekończącą się plejadą przedmiotów zrobionych z muszelek – sprzedawano tu naszyjniki z muszli sercówek, kolczyki z miniaturowych muszli zwójek, inkrustowane muszlami etui na komórki, popielniczki i mydelniczki z muszli małży, a nawet zwierzątka z muszli zaopatrzone w imiona, miniaturowe rodowody i doklejane oczy z rozedrganymi źrenicami, które skojarzyły mi się z dziewczyną w niebieskiej sukience z piątku.

Najgorsze były karuzele ze sznurów muszli, koralu i jeżowców zwisające z belek dachowych i framug drzwi każdego sklepiku, do którego wstępowałyśmy. Nie mogłam zrobić pięciu kroków bez uderzenia głową o dyndające konchy czy kawałki wyrzuconego przez morze drewna.

– Ooo, ten wygląda ładnie – powiedziała Chloe, zaglądając w witrynę malutkiego sklepiku o nazwie She Sells Sea-Shells.

– Nie masz już dosyć? Wszystkie są takie same.

– Wcale nie. Widzisz tamto? – Wskazała na coś w wypełnionej po brzegi witrynie. – To kula piaskowa! Wiesz, coś na kształt śnieżnej kuli, tylko z piaskiem. Rewelacja, co nie?

Westchnęłam i weszłam za nią do sklepu. Wnętrze było od podłogi do sufitu zapakowane wszelkiego rodzaju błyskotkami i bibelotami, innymi słowy – miejsce jak z moich najgorszych koszmarów. Stojąc nieruchomo, by nie stracić czegoś z pękających w szwach półeczek, starałam się zlekceważyć klaustrofobiczne uczucie, że pomieszczenie się kurczy. Wzięłam głęboki, uspokajający oddech i natychmiast tego pożałowałam. Kurz. Kurz z nutą pleśni i stęchlizny. Automatycznie przeszłam na oddychanie ustami.

– Ha! To jest super. Chodź, zobacz, jaki ma napis! – zawołała Chloe.

Opierając się przemożnej chęci ucieczki z tego ciasnego składu osobliwości, ruszyłam ostrożnie w jej kierunku. Gdy pochylałam się, by odczytać napis na kuli piaskowej, coś wplątało mi się we włosy i pociągnęło, zatrzymując mnie w miejscu. Szarpnęłam gwałtownie głową, a tuż nad uszami usłyszałam pobrzękiwanie i lekkie dzwonienie. Super, kolejna karuzela.

– Ostrożnie! – zawołał mężczyzna o ostrych rysach twarzy, ubrany w podkoszulek z napisem „Kocham żeglarki”, do którego przypięto identyfikator informujący, że to właściciel sklepiku.

Uniosłam rękę i natrafiłam na chropowate wybrzuszenia i nierówną, podziurkowaną powierzchnię wplątanego w moje włosy tajemniczego przedmiotu. Manewrując na oślep, próbowałam się od niego uwolnić, ale to tylko pogarszało sprawę. Kiedy inni kupujący usłyszeli przeciągłe dzwonienie, odwrócili się w moją stronę i zaczęli się gapić. Czułam, jak się czerwienię, serce biło mi nieprzyjemnie mocno, a przez kurz i pleśń z trudem łąpałam oddech. Musiałam się stamtąd wydostać, i to natychmiast. Próbowałam wyszarpać się z kleszczy tego czegoś jak dzikie zwierzę walczące z sidłami, a do oczu zaczęły mi napływać łzy.

Nagle przede mną pojawiła się Chloe i złapała mnie mocno za rękę, zmuszając, bym spojrzała jej w oczy.

– Oddychaj. Oddychaj, tak jak ja, Peyton. Raz, dwa, trzy, cztery, wdech... I raz, dwa, trzy, cztery, powolny wydech...

Teraz już wszyscy w sklepie się na mnie gapili. Niektórzy podśmiewywali się, wyraźnie rozbawieni.

– Powinnaś ciachnąć nożyczkami. Ja tak robię, gdy którejsz z moich córek guma przykleja się do włosów – doradziła kobieta w jaskrawożółtej letniej sukience.

– Nikt nie będzie obcinał mojej przyjaciółce włosów – odparła stanowczo Chloe.

Znowu szarpnęłam, by wyrwać się z pułapki.

– Ostrożnie! Stłuczysz ją! – zawołał właściciel. Odepchnął moje dłonie i stanął na palcach, by sięgnąć splątanej kotłowaniny. – Rozgwiadzy są bardzo kruche.

– Chloe, rozplącz mnie – szepnęłam przez zaciśnięte zęby.

– Jesteś za wysoka. Nic nie widzę – powiedział właściciel.

– Pomogę – zaofiarował się jakiś wysoki mężczyzna, stając za moimi plecami. – Łał, prawdziwe ptasie gniazdo – powiedział, tłumiąc śmiech.

– Chloe! – zawołałam błagalnie.

– Jeszcze tylko kilka sekund – zapewniła.

Poczułam silne pociągnięcie za włosy na czubku głowy i nagle byłam wolna. Ruszyłam od razu do wyjścia, a gdy znajdowałam się na zewnątrz, przykucnęłam na chodniku i schowałam twarz w kolanach.

Ze środka sklepu dobiegł perlisty śmiech i usłyszałam, jak właściciel mówi:

– No naprawdę! Niektórzy powinni uważać, gdzie wtykają głowę, bo się ją zniszczą.

– A inni może powinni uważać, gdzie wieszają swoje karuzele, bo narażają głowy klientów na szwank – warknęła Chloe, wyparowując ze sklepu.

Chwyliła mnie za ramię i pomogła wstać.

– Wszystko w porządku?

– Tak – skinęłam. Oddech już zaczął mi zwalniać. – Wiesz, wszystkie te rupiecie wokół mnie... i płatanina we włosach.

– Przepraszam, powinnam była pomyśleć. No cóż, nigdy więcej tych tandetnych sklepików dla turystów. Chodźmy gdzieś na kawę. Albo lepiej – rzuciła mi wciąż zmartwione spojrzenie – na uspokajającą herbatę rumiankową. A potem rozejrzemy się za ciuchami.

– Nie, już mi lepiej, naprawdę. Przejrzysty, czysty sklep z ubraniami nic mi nie robi.

– Okej, ale tylko jeśli jesteś pewna, że podołasz... Od którego zaczynamy?

Zaprowadziłam ją do butik z największym wyborem kostiumów kąpielowych i pokazałam stojak obwieszony bikini w jej rozmiarze. Natychmiast złapała kostium w ohydny panterkę, przyłożyła do piersi i zaczęła przyglądać się sobie w pełnowymiarowym lustrze.

– Co sądzisz?

– Bajecznie! – zachwycała się młoda ekspedientka. Najwyraźniej dostawała prowizję od sprzedanych towarów.

Wiedziałam, że w panterce nogi Chloe będą się wydawać krótsze, a palony pomarańcz sprawi, że jej jasna skóra wyda się bledsza niż różowawe wnętrze muszli słuchotki.

– Nie. – Wyjęłam jej z rąk bikini, odwiesiłam na stojak, przerzuciłam kilka kostiumów i podałam jasnyniebieską dwuczęściówkę z wysokim stanem i drugą w stonowanym koralowym kolorze, niezwykle twarzowym. – Te będą bardziej pasować do twojej cery i sylwetki.

– Tak, naturalnie. Teraz widzę – wtrąciła ekspedientka.

Chloe przymierzyła kostiumy jeden po drugim, uznała, że w obu wygląda jak bogini, i poleciła mi wybrać za nią.

– Jasnyniebieski, na sto procent.

Ze stojaka obok zdjęłam duży, luźny kapelusz z naturalnej słomy, obwiązałam go długą, zwiewną apaszką w najdelikatniejszym turkusowym kolorze i włożyłam go na blond głowę Chloe, przesuwając końce apaszki tak, by zwisały zalotnie między jej ramionami.

– Gorący towar czy nie? – zapytała, cofając się, by mogła bez przeszkód podziwiać samą siebie w lustrze.

– Tssss! – Przyłożyła sobie palec do ramienia, udając, że poparzyła się jego seksownym żarem.

– Idealnie! – Ekspedientka klasnęła w dłonie z rozkoszy na myśl o prowizji. – Nabiję na kasę.

Wszystko zajęło nam całe dziesięć minut. Dla dziewcząt, które noszą normalne rozmiary, zakupy to bułka z masłem.

– A ty nie pooglądasz bikini dla siebie? – zapytała Chloe, wsuwając na powrót szorty.

– Nie.

– Czemu? To, które masz na sobie, wygląda na nieco znoszone. Tak tylko mówię.

– Zgoda, ale ma nad innymi tę przewagę, że na mnie pasuje.

– Tutaj znajdziesz całą masę nowych, które będą idealne.

– Założymy się?

– Jak więc mam szerokie barki i klatkę piersiową – poinformowałam Chloe, prowadząc ją do stojaka z tyłu sklepu. – Co oznacza, że potrzebuję góry kostiumu w większym rozmiarze. Te tutaj pasowałyby na mnie, ale w życiu bym się w nich nie pokazała.

– Już widzę dlaczego – powiedziała Chloe, marszcząc nos na widok kilku kostiumów: jednocześnie brzydactw w przygaszonych kolorach, ozdobionych ohydnyimi falbankami przy brzuchu i udach, najwyraźniej przeznaczonych dla cięższych kobiet. – Są babciastyczne.

– Przy moim długim tułowiu zrobiłyby mi niezłe wielbłądzie kopyto. A te – wskazałam na inny stojak pełen bikini w mniejszych rozmiarach – te, które pasowałyby mi na pupę, nie pasują na górę.

– Jestem pewna, że nie – wtrąciła ekspedientka.

Zdjęła z wieszaka górę od jednego z kostiumów, przewiesiła mi przez szyję sznureczek, po czym zmarszczyła brwi na widok miseczek, które ułożyły się tuż pod moim obojczykiem, daleko od piersi.

Posłałam Chloe spojrzenie pod tytułem „A nie mówiłam?”.

– A może obcisła góra bez ramiączek? – Ekspedientka podała mi górę od bajecznego, błyszczącego bikini w kolorze kobaltowego błękitu. – Dzięki temu nie trzeba się będzie martwić o... – Wskazała dłonią gdzieś pomiędzy moją szyją a sutkami.

– Tak, ale trzeba się będzie martwić o... – Nakreśliłam w powietrzu obwód swojej klatki piersiowej.

– Zobaczmy, dobrze? – Ekspedientka stała na rzęsach, ale nijak nie była w stanie naciągnąć obu końcówek sznureczka tak, by je z tyłu związać.

– Może powinnaś po prostu występować topless? – podsunęła Chloe.

– Możemy już iść?

Ekspedientka nie próbowała mnie zatrzymać.

– Co się tyczy ubrań – zaczęła Chloe, gdy już wyszliśmy, przeglądając się w sklepowej witrynie i podziwiając się w nowym kapeluszu – jak na kogoś, kto ma tak ewidentnie znakomity gust, nosisz raczej nudne rzeczy.

– Dzięki, Chloe, od razu czuję się piękna.

– Ale to prawda! Zawsze chodzisz w tych samych starych dzinsach i podkoszulkach. Stać cię na dużo lepszy styl.

– Nie, nie stać.

– Dlaczego?

– Z wielu ważkich powodów.

– Takich jak?...

– Po pierwsze, prawdziwy styl dużo kosztuje. A jak wiesz, nie śpimy z mamą na pieniądzech.

– Słuszna uwaga – przyznała Chloe.

– Po drugie, lubię neutralny styl, bo...

– Czy „neutralny” to synonim nudnego i nijakiego?

– Bo – szturchnęłam ją łokciem – bardziej szalowe ciuchy przyciągałyby jeszcze większą uwagę do mojego wzrostu, a i bez tego mam jej w nadmiarze, więc dziękuję bardzo.

– To wielka, dymiąca kupa nonsensu. Musisz pokochać swój wzrost, wyprostować się i chodzić z dumnie uniesioną głową.

– Łatwo ci mówić, Frodo.

– Niemiłe! – Tym razem to ona szturchnęła łokciem mnie.

– A po czwarte...

– Po trzecie – poprawiła.

– Niech będzie. Najważniejszy powód jest taki, że nawet gdybym chciała założyć coś bardziej stylowego, to daję głowę, że nie znajdę tego w moim rozmiarze.

– Kolejne bzdury.

– Nie przekonała cię wizyta w tym ostatnim sklepie?

– Każdy ma problem z dobraniem sobie kostiumu kąpielowego – powiedziała. – Ale jestem zdania, że na pewno znalazłybyśmy coś pasującego na twoje seksowne ciało.

Mimo że Chloe od wieków była moją przyjaciółką, na zakupy ubraniowe chodziłam sama, żeby zminimalizować wstyd. Może przyszedł czas, by zobaczyła to wszystko na własne oczy.

– Chodź, zacznijmy tu. – Chwyciła mnie za ramię i zaciągnęła do największego sklepu z ubraniami w mieście.

– Nie będą mieli niczego, co by na mnie pasowało – zaśpiewałam cicho.

– Nie kupuję tego.

– Tak? A gdzie robiłaś zakupy, gdy byłaś wysoka?

Chloe zaprowadziła mnie do stojaka z superdługimi topami w różne śmiałe wzory.

– Te są świetne. Można to nosić jako koszulę do legginsów albo – wskazała na stojącego nieopodal manekina ubranego tylko w rzeczony top i parę szalowych botków – jako sukienkę.

– Ty możesz. Ja nie.

– Nie chcę więcej słyszeć od ciebie słowa „nie”, Peyton. Twój pesymizm zaczyna mnie przyprawiać o zespół grymasu drażliwego.

– W porządku, udowodnię ci. – Wzięłam jeden z długich topów i poszłam do przymierzalni.

– A więc – odezwała się Chloe po drugiej stronie drzwi, gdy zaczęłam się rozbierać – co u twojej mamy?

– Następne pytanie.

– Aż tak źle?

– Tak – powiedziała i zmieniłam temat. – Zdecydowałaś już, co będziesz studiować?

– Wciąż myślę o ekonomii. A ty?

– Wiem tylko, że chcę się wyrwać z domu.

Nie wiedziałam natomiast, czy kiedykolwiek mi się to uda.

Próbowałam wbić się w sukienkę koszulową, ale nie mogłam przeciągnąć jej przez głowę. Na próżno szukałam też suwaka z tyłu przy kołnierzyku.

Przerzuciłam ubranie nad drzwiami przymierzalni.

– Za mały.

– Jesteś pewna? To XL-ka.

– Nie mogę go nawet przeciągnąć przez głowę.

– Masz, spróbuj z XXL-ką. – Nad drzwiami przefrunął pomarańczowy strój w żółte sześciany. – Ten rozmiar mają tylko w takim kolorze.

Wcisnęłam w niego głowę przy wtórce pękających szwów.

– Ta-da! – Otworzyłam drzwi, żeby zobaczyć, jak pięknie odstaje mi od talii.

Chloe zamrugała na widok wielkiego przestworu słonecznych kolorów, którym się stałam.

– A nie mówiłam – powiedziała, nie mogąc się powstrzymać. – W XL-kach człowiek zawsze wygląda jak worek ziemniaków.

– Jesteś za szczupła, w tym cały problem – wtrąciła pryszczata ekspedientka, która podeszła, żeby sprawdzić, czy ubrania pasują.

– Nie, problem tkwi w tym, że top jest za szeroki, proporcje zostały źle dobrane. Nie można po prostu rozszerzyć danego ubrania i oczekiwać, że będzie pasowało na wysokich. A ten top i tak jest za krótki.

Chloe ze zdumieniem przypatrywała się rąbkowi sukienki koszulowej, który ledwie zakrywał moje części intymne.

– Och. W takim razie z rajstopami. – Uciekła i wróciła z jedną parą.

Machnąwszy ręką na przebieralnię, wcisnęłam się w rajstopy przy niej i stękałam, dwojąc się i trojąc, żeby podciągnąć je najwyżej, jak się dało.

– Och – powtórzyła, tym razem ciszej, gapiąc się na krok rajstop, który sięgał mi zaledwie do połowy ud. – Już widzę.

– Zobaczyć znaczy uwierzyć.

– Nie poddam się. Marsz do przymierzalni. Idę po więcej rzeczy.

Pod jej dyktando zakładałam koszule, dzinsy i sukienki. Rąbki były za krótkie, topy albo tak ciasne, że walczyłam w nich o oddech, albo wielkie jak namioty cyrkowe, paski miałam na wysokości piersi, nogawki na wysokości talii, długie rękawy nie były długie, a rozmiary uniwersalne nie były uniwersalne. Nigdy nie są.

– Na litość boską! – powiedziała Chloe, spocona od biegania po zatłoczonym sklepie w coraz bardziej rozpaczliwej próbie znalezienia czegoś, czegokolwiek, co by na mnie pasowało. – Weźmy po prostu jakiś kapelusz!

Wiedziałam, jak to się skończy, ale nic nie powiedziałam. Chloe pchnęła mnie na stół i zaczęła mi przymierzać całą serię kapeluszy i czapek.

Jedynym, co jako tako pasowało, był fioletowy, ciasno przylegający kapelusz z bawełnianej dzianiny, a i tak musiała się namęczyć, żeby mi go naciągnąć.

– Voilà! – zawołała triumfalnie.

– Jest tak ciasny, że zaraz wyciśnie mi mózg przez uszy – jęknęłam, ściągając kapelusz.

– Nie macie żadnego kapelusza w większym rozmiarze? – zapytała ekspedientkę.

– Mamy. – Dziewczyna uśmiechnęła się złośliwie, wskazując drugą część sklepu. – W dziale męskim.

I tak całe życie.

– Nie będzie przecież nosiła męskiego kapelusza! – zaperzyła się Chloe.

Noszenie męskich ubrań nie było dla mnie żadną nowością. Nawet podkoszulek, który tego dnia miałam na sobie, nie został zakupiony w dziale z odzieżą damską Walmartu.

Z dłońmi na biodrach Chloe zakręciła się w miejscu, szukając czegoś, czego jeszcze nie przymierzałyśmy. Powędrowała spojrzeniem do półki z butami i zaświeciły jej się oczka.

– He? – rzuciła, uśmiechając się z nadzieją. – He?

– Wolnego. – Wystawiłam dłoń, studząc jej entuzjazm. Żaden inny typ zakupów nie był dla mnie bardziej rozczarowujący i frustrujący niż szukanie butów. Musiałam zdławić to w zarodku.

– Przepraszam! – zawołałam do ekspedientki. – Jaki macie największy rozmiar damskiego obuwia?

– Największy?

– Tak, największy.

– Czterdzieści dwa.

Odwrociłam się do Chloe.

– Proszę bardzo, przynajmniej o trzy rozmiary za małe.

– Nie macie nic w rozmiarze czterdzieści pięć i pół? – zapytała Chloe.

– Czterdzieści pięć i pół?!

Czy tu było echo?

– Chce pani damskie buty w rozmiarze czterdzieści pięć i pół?! – zawołała głośno ekspedientka.

Kilka głów odwróciło się, by zobaczyć olbrzymkę o stopach klauna. Jęknęłam.

– Nie sądzę, żeby w ogóle produkowano tak duże damskie buty. Może w dziale męskim coś pani znajdzie.

– Teraz mi wierzysz? – zapytałam Chloe, wyprowadzając ją ze sklepu.

– Przyznam, że trochę rozumiem twój ból. Wszyscy chcą być wysocy i szczupli, więc można by pomyśleć, że na takie osoby łatwiej jest znaleźć pasujące ubrania.

– To prawdziwa droga przez mękę.

– Ale na pewno są jakieś sklepy internetowe, w których możesz się zaopatrywać. Albo jakieś sklepy dla wysokich i puszystych? I jestem pewna, że widziałam działy dla wysokich w domach towarowych koło nas.

– Te działy utworzono z myślą o kobietach, które mają metr sześćdziesiąt, a nie metr osiemdziesiąt wżwyż. A sklepy dla wysokich i puszystych są dla wysokich i puszystych, nie dla

wysokich lub puszystych. Sprzedają ubrania dla szerszych w pasie. A sklepy internetowe? Mają wyższe ceny, o kosztach dostawy nie wspominając.

– No cóż, nie ty jedna masz ciężko. To samo mogą powiedzieć dziewczyny miniaturki, prawda?

– Chloe, one mogą po prostu dać ubrania do skrócenia, ja nie zdołam urodzić dodatkowych centymetrów materiału. A poza tym dla drobnych dziewczyn jest dużo większy wybór. Ubrania w największej rozmiarówce są prawie zawsze staromodne i ohydne, nigdy stylowe, urocze czy trendy. – Zmarszczyłam brwi, narysowałam w powietrzu kółko i dodałam: – Nie jest to łatwa rzecz wkroczyć do Topshopu i zażądać spodni o dziewięćdziesięciopięciocentymetrowych nogawkach.

Chloe parsknęła śmiechem, rozbawiona moją parodią Boromira mówiącego o Mordorze.

– Dobra, wierzę ci. Sprawdźmy na tej ulicy. Żadnych sklepów odzieżowych, żadnych magazynów osobliwości.

Antique Alley była cichą boczną uliczką usianą sklepikami ze starociami i przedmiotami w stylu retro. Bojąc się kolejnego ataku paniki, odmówiłam wejścia do następnego składu pełnego rupieci, ale miałyśmy frajdę, kiedy oglądałyśmy witryny i towary wystawione na stoliczkach wzdłuż chodnika.

Chloe kupiła sobie secesyjny imbryk, a gdy dostrzegła, jak wpatruję się w srebrne kolczyki, zaczęła nalegać, że mi je sprawi.

– To prezent w ramach przeprosin za ciągnięcie cię po głupich sklepach z pamiątkami i za to, że nie wierzyłam ci w sprawie ciuchów – powiedziała. – Pamiętam, jak już wcześniej narzekałaś, że nie możesz znaleźć dla siebie dzinsów i butów, ale nie sądziłam, że jest aż tak źle. Zawsze to tak wygląda?

– Tak. Zawsze tak wygląda. Frustrująco, żenująco i bezsensownie. Za. Każdym. Razem. – Założyłam kolczyki i potrząsnęłam radośnie głową. Nareszcie coś, co na mnie pasowało. – Pewnego dnia, gdy już zostanę królową świata, zgromadzę królewski zespół projektantów, krawców i tych od butów... Jak oni się nazywają?

– Szewców?

– Właśnie, szewców! Pewnie jedynym sposobem, żebyś mogła chodzić w świetnych ubraniach, które na mnie pasują, jest zamawianie ich na miarę.

– Albo własnoręczne szycie.

Chloe się śmiała, ale ja nie. Wpatrywałam się właśnie w przedmiot na stole na kozłach przed sklepikiem Forget Me Not Collectibles. Gdyby te same słowa Chloe wypowiedziała podczas wspólnego oglądania broszek i wyszywanych paciorkami torebek albo gdybym zauważyła ten błyszczący, stary przedmiot, wysłuchując jej wywodów na temat pamiątek, studiów czy ratowników, nie wpadłabym na to, o czym nagle pomyślałam. Ale ponieważ usłyszałam ją w tej samej chwili, w której mój wzrok padł na rzeczony przedmiot, poczułam, jak przez synapsy w mózgu przebiega mi sygnał elektryczny, rodząc genialny pomysł.

„Albo własnoręczne szycie”.

Sięgnęłam po przedmiot i przesunęłam go na przód stolika.

– Co to takiego? – zapytała Chloe.

To była ciężka, czarna machina opatrzona z boku złotym napisem „Singer”, z wychodzącym z tyłu sznurem elektrycznym zakończonym staromodną wtyczką. Z jednej strony miała metalowe koło, a z drugiej misterny mechanizm złożony ze stalowych zacisków, kółek zębatych i igły, przez którą przewleczona była biała nitka biegnąca do szpulki na pionowym bolcu u samej góry całego ustrojstwa.

W moim umyśle narodziło się tyle planów, że głowa z pewnością opuchła mi od nich tak bardzo, iż już żaden kapelusz świata się na nią nie wciśnie.

– To – pogłaskałam czule zaokrąglone linie pięknego starego przedmiotu – jest maszyna do szycia.

Pierwszego dnia nowego semestru w szkolnym autobusie zawsze panował harmider – dzieciaki wykrzykiwały do siebie obelgi i słowa powitań, rzucały papierowymi samolocikami oraz kulkami, rozlewały kawę i toczyły walki o najlepsze miejsca, a z komórek płynęła kakofonia dźwięków.

Kierująca autobusem kobieta spoglądała na nas, jakbyśmy byli bombą z tykającym zegarem, i rzucała w lusterku wstecznym tyle nerwowych spojrzeń na pasażerski rwetes, że aż chciałam jej przypomnieć, aby patrzyła na drogę.

Normalnie darowałybyśmy sobie z Chloe tę pierwszą przejażdżkę wesołym autobusem i poszły pieszo, ale padało i wiał zimny wiatr. W powietrzu czuć już było jesień.

Jak zawsze Chloe zajęła miejsce przy oknie, a ja obok przejścia, żeby móc wyprostować nogi. Zaczęła szperać w plecaku i wyjęła z niego torebkę cukierków w papierkach.

– Chcesz? – zaproponowała.

– Dzięki, ale jak dla mnie jest trochę za wcześnie na zastrzyk cukru.

Wzruszyła ramionami, odwinęła cukierek, włożyła go sobie do ust i przymknęła oczy z błogim wyrazem twarzy.

– Hej, tak w ogóle to zainstalowałam tę maszynę do szycia na biurku w pokoju. Wpięłam nawet nową wtyczkę.

– Skąd wiedziałaś, jak to się robi?

– Profesor Google.

– Lepiej na nią uważaj, żebyś nie puściła z dymem całej chaty – doradziła. – Jeśli idzie o BHP tego zabytku, to zgadzam się z twoim tatą.

Mój ojciec kręcił nosem, że musi przetransportować tę ciężką maszynę do Baltimore, i bezustannie ostrzegał mnie przed próbą jej uruchomienia, mówiąc: „To coś może spowodować pożar”.

– Zatrzymasz manekina? – zapytała Chloe.

W sklepie ze starociami dorzucili jeszcze gratisowego manekina krawieckiego. Wahałam się, czy go przyjąć, nie tylko dlatego, że musiałybyśmy odbyć z Chloe niewygodną podróż powrotną z ciężką kukłą na kolanach, ale również ze względu na to, że nie lubiłam naruszać prostoty mojej sypialni zbędnymi rzeczami.

– Tak. Jeśli chcę dać maszynie prawdziwą szansę, to chyba będę go potrzebowała.

Chloe skinęła głową, po czym odwróciła się lekko na siedzeniu, posyłając chłopcu za nami zabójcze spojrzenie.

– Hej, trzymaj paluchy z dala od moich włosów, dobra? – powiedziała.

– Przepraszam. – Chłopak nosił wszelkie znamiona pierwszorocznika: zbyt schludne ubranie, nerwowo podskakujące jabłko Adama, dłoń mocno zaciśniętą na oparciu naszego siedzenia i pękający w szwach plecak; wziął ze sobą wszystkie książki.

– Nie martw się – próbowałam podnieść go na duchu. – To nie jest zła szkoła, dasz sobie radę.

– Dzięki – oparł z żałościem wdzięcznym wyrazem twarzy.

– Tak w ogóle to jestem Peyton. Klasa maturalna.

– Will, pierwszoklasista.

– Co ty nie powiesz – ironizowała Chloe.

– A ta życzliwa osóbka to Chloe.

– Cześć – powiedział, zwracając się do tyłu jej głowy.

Chloe znów siedziała przodem do kierunku jazdy, zajadając się cukierkami.

– No cóż, powodzenia – rzuciłam do Willa.

– Jesteś bardzo wysoka – usłyszałam w odpowiedzi.

– Naprawdę? Pierwsze słyszy – bąknęła Chloe.

– Grasz w koszykówkę? Albo w siatkówkę?

– Nie – warknęłam, odwracając się do niego plecami i wciskając w siedzenie.

– A działa? – zapytała mnie Chloe. – Ta zabytkowa maszyna do szycia?

– Tak! Wypróbowałam ją na starej ściereczce do naczyń i tylko dwa razy się zacięła, co równie dobrze mogło być moją winą, bo wciąż uczę się z nią pracować. W książeczce z instrukcją obsługi brakuje kilku kartek.

Tak naprawdę sprawa wyglądała nieco gorzej: wiekowy, pożółkły papier niemalże kruszył się w dłoniach, a strony od 11b do 15c sklejono jakąś obrzydliwą brązową substancją – ale byłam zdeterminowana, by wszystko rozpracować.

– A te wykroje sukienek, które dorzucił sprzedawca, nadają się do czegoś?

– Może – odpowiedziałam wymijająco. Prawdę mówiąc, mogłyby być najlepszymi wykrojami pod słońcem, a ja bym o tym nie wiedziała. W moich oczach stanowiły tajemniczy zbiór kształtów wyciętych z czegoś, co przypominało pergamin do pieczenia pełen dziwnych kropek, kreseczek, strzałek, cyferek i całej masy innych zagadkowych symboli.

To było jak próba odczytania hieroglifów.

– Ale są trochę staromodne. Zacznę chyba od czegoś nowszego, może nawet swojego.

Z leżącej na moich kolanach torby na książki wyjęłam szkicownik, który znalazłam w domu, w szufladzie zapchanej artykułami biurowymi, i pokazałam Chloe moje pierwsze próby projektowania.

– Te rysunki wyglądają całkiem nieźle. Możesz mieć do tego talent – powiedziała, po czym zajrzała do prawie pustej torebki cukierków. – Ostatni. Na pewno nie chcesz?

– Na pewno.

– Ach, karmelowy. Twoja strata.

Mój wzrok spoczął na kwadracie folii w kolorze indygo i kawałku celofanu w srebrne paski, z których Chloe odwinęła ostatniego cukierka.

– A mogę dostać papierki?

– Chcesz moje papierki po cukierkach? – Uniosła brwi, a w jej tonie słychać było niedowierzanie.

– Tak.

Wyjęłam Chloe z dłoni kwadraciki folii i celofanu, dokładnie je wygładziłam, a gdy autobus zatrzymywał się już przed liceum Longforda, schowałam je sobie bezpiecznie do kieszeni.

Nagle jęknęłam, czując ostry ból w lewej kostce. Już zapomniałam, że gdy autobus się zatrzymywał, musiałam szybko zabierać nogi z przejścia.

– Przepraszam – powiedziała Brooke, dziewczyna, która właśnie kopnęła mnie w kostkę. – Czy mogłabyś zabrać swoje nogi z przejścia? Oczywiście jeśli to nie jest dla ciebie zbyt wielki problem. Całkowicie je blokują.

– Właśnie, jak mamy wyjść, skoro Wielka Stopa tarasuje drogę?

Wyciągnęłam nogi z przejścia, w pośpiechu uderzając kolanem o oparcie siedzenia przede mną.

– Wielkie dzięki – powiedziała Brooke z udawaną słodyczą.

– Hej, powinniśmy wezwać łowców potworów – rzuciła głośno jej przyjaciółka, gdy szły do wyjścia – i powiedzieć im, że znalazłyśmy Wielką Stopę.

– Właśnie, Brooke, zadzwoń do nich, to od razu im opowiem, jak znalazłam gadającą dwunożną krowę! – krzyknęła za nimi Chloe, po czym odwróciła się do mnie, wzdychając.

– Musisz się im postawić, Peyton. Ignorowanie nic nie daje.

– Tak, tak.

Nie pierwszy raz, ani nawet nie pięćdziesiąty pierwszy, Chloe naciskała, żebym odpłaciła komuś pięknym za nadobne, ale idealna riposta zawsze przychodziła mi do głowy już po zejściu winowajcy ze sceny i rumieńców z moich policzków.

Dogoniłam przyjaciółkę i biegłyśmy razem w rześystym deszczu do schodów przy głównym wejściu szkoły. Żałowałam, że moja polarowa kurtka nie ma kaptura.

Gdy dotarłyśmy do pierwszego stopnia, kątem oka dostrzegłam pewną sylwetkę w czarnej skórzanej kurtce znikającą za szklanymi drzwiami u szczytu schodów. Przez chwilę zdawało mi się, że widzę... Nie, to niemożliwe.

W środku przeciskałyśmy się przez tłum uczniów, omijałyśmy pierwszoklasistów o zagubionym

wyrazie twarzy i witałyśmy się z kolegami i koleżankami z klasy, z którymi nie widziałyśmy się od paru miesięcy. Wreszcie udało nam się dotrzeć do szafek maturzystów na końcu głównego korytarza i zaczęłyśmy chować do nich swoje rzeczy. Choć raz przydzielono mi górną szafkę i nie musiałam przykucać, by się do niej dostać.

– Proszę – powiedziała Chloe, wręczając mi garść papierków po cukierkach, które wydobyla z czeluści torebki. – Teraz możesz zacząć je kolekcjonować.

– Spójrz na swój wzrost, musisz zacząć grać w koszykówkę – odezwał się głos zza otwartych drzwiczek mojej szafki.

Rozpoznałam go. Należał do Grega Bakera, który znowu zaczął suszyć mi głowę, bym dołączyła do drużyny dziewczyn. Czemu wszyscy myśleli, że wzrost jest zakodowany w tych samych genach co koordynacja ruchowa?

Zamknęłam ramieniem szafkę, starając się zebrać na odwagę, by zapytać Grega: „Której części słowa »nie« nie rozumiesz?”

Ale on na mnie nie patrzył. Rozmawiał z kimś w czarnej kurtce. Kimś wysokim. Kimś bardzo wysokim i znajomym, o zielonych oczach i zmarszczkach po uśmiechu wokół nich. Kimś, przy kim musiałam zadzierać głowę do pocałunku.

Stałam z otwartą buzią, przemoknięta jak kura, ściskając w dłoni garść jaskrawych papierków po cukierkach.

Jay musiał wyczuć, że się na niego gapię, bo zerknął w moją stronę raz, a potem drugi, przesuwając pytającym wzrokiem na papierki po cukierkach, po czym spojrzał mi prosto w oczy. Widziałam, że mnie rozpoznał pomimo mojego wyglądu zmokłej kury i głupiego wyrazu, jaki musiał malować się na mojej twarzy, która wraz z szyją oblała się takim rumieńcem, że na pewno z czubka głowy buchała mi para. W tamtej chwili musiałam przypominać ulubiony imbryczek Chloe z czerwonej porcelany.

– Cześć – odezwał się. – To ty: Tygrysie Oczy.

– He? – odparłam elokwentnie, odgarniając przedramieniem z twarzy wilgotny pukiel włosów.

– Poznaliśmy się w barze tego wieczoru, gdy...

– Pamiętam. – Kolejne rumieńce.

– Ja też. – Uśmiechnął się szeroko.

O Boże... Chciałam tylko stać i napawać oczy pięknem tego uśmiechu, ale zmusiłam się do odpowiedzi.

– To... chodzisz teraz do Longforda?

– Tak, przeniosłem się. Oficjalnie jestem tym nowym.

– Próbuję go namówić na kwalifikacje do drużyny koszykówki. Taki wzrost nie powinien pójść na zmarnowanie – wtrącił Greg. – Są w piątek. Przyjdiesz?

– Przykro mi, stary, ale mam kontuzję kostki – odparł Jay.

Greg jęknął z rozczarowaniem i wbił we mnie błagalne spojrzenie.

– A ty, Peyton? To twoja klasa maturalna, ostatnia szansa.

– Eee, nie, przykro mi. – Widząc jego przybity wyraz twarzy, dodałam: – Greg, naprawdę tylko bym przeszkadzała. Nie złapałabym piłki, nawet gdyby ktoś podawał ją do mnie w zwolnionym tempie. Autentyk.

– Okej, okej. – Westchnął i spojrzał z żalem na moje długie nogi. – Masz, czego potrzebujesz? – zapytał kuzyna.

Jay skinął głową. Wciąż na mnie patrzył.

Spotkałam się z nim wzrokiem i próbowałam wymyślić, jak się odezwać, ale jedyne, co przychodziło mi do głowy, to „Masz piegi!”. Zdołałam jakoś powstrzymać się przed wypowiedzeniem tych słów na głos i ograniczyłam się do podziwiania w milczeniu plamek na jego nosie i policzkach.

Poczułam szturchnięcie, a spojrzawszy w dół, zobaczyłam stojącą obok mnie Chloe.

– Może mnie przedstawiś?

– A, tak. To Jay Young. Jest z Waszyngtonu.

Jeszcze przez chwilę popodziwiałam Jaya Younga i jego piegi, choć czułam na sobie wyczekujące spojrzenie Chloe. Czego znowu chciała?

Ktoś wcisnął się między Jaya i Grega, pokaszując z irytacją. Przesunęłam wzrokiem w dół i na bok i napotkałam parę dużych niebieskich oczu. Nie, nie dużych. Wybałuszonych. To była ona, dziewczyna w niebieskiej sukience z baru.

Dziś miała na sobie różową szmizjerkę, która idealnie na nią pasowała.

– Cześć – przywitałam się bez entuzjazmu.

– Cześć – odpowiedziała.

Przyjrzała mi się od stóp w niezbyt ponętnych męskich trampkach do przemoczonych głów, zatrzymując na sekundę wzrok na papierkach po cukierkach, które wciąż trzymałam w garści. Na ich widok zmarszczyła brwi.

– Wygląda na to, że sama muszę się przedstawić – odezwała się Chloe. – Cześć, Jay, jestem Chloe DiCaprio, zbieżność nazwisk z Leonardem przypadkowa, przyjaciółka Peyton.

Wybałuszone Oczy wzięła Jaya pod ramię, mimo że jego łokieć znajdował się o dobre dwadzieścia pięć centymetrów wyżej od jej łokcia, co wyglądało dość absurdalnie.

– Jestem Faye Fenton, dziewczyna Jaya – powiedziała.

O czwartej trzydziści tego samego popołudnia w telefonie zabręczał sygnał przypomnienia o spotkaniu z Chloe, która stała właśnie pod moim oknem, czekając, aż wpuszczę ją do środka, byśmy mogły oddać się naszemu corocznemu rytuałowi pierwszego dnia szkoły: filiżance herbaty ziołowej z pikantną przekąską z płoteczek.

Odłożyłam materiał, który próbowałam obszyć na starym singerze, podeszłam do okna przesuwanego, otworzyłam je do końca, uniosłam ciężki zwój drabinki sznurowej – która należała do Chloe i była dla mnie idealnym sposobem na wchodzenie do mojej sypialni na piętrze – i rzuciłam go za okno, krzyząc: „Uwaga tam, na dole!”.

– Cześć – powiedziała Chloe, gdy już zeskoczyła z parapetu.

– Cześć. Co pijemy? Herbatę czy mleko czekoladowe?

– Herbatę. Kupiłam Pomarańczową Ekstazę. I – zaczęła szperać w plecaczku, po czym wyjęła z niego dwie torebki ciastek – ciasteczka berger!

Bardzo dobrze. Kruche maślane ciasteczka z masą czekoladową powinny poprawić mi humor. Wciąż byłam zdołowana, bo chociaż w szkole pojawił się nowy przystojniak – i to na tyle wysoki i dobrze zbudowany, że nawet ja czułam się przy nim drobna, a na dodatek umiejący fantastycznie całować – to był już zajęty.

Ten cenny unikat znajdował się na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie poza moim zasięgiem. Sprawa zamknięta.

W jednym kącie mojego pokoju, na małej lodóweczce z napojami i podstawowymi produktami żywnościowymi, stała taca z czajnikiem elektrycznym, filiżankami, herbatą, kawą, cukrem, łyżeczkami, a nawet czerwonym porcelanowym imbrykiem z sitkiem na podwieczorki z egzotycznymi, liściastymi herbatami Chloe.

Zajęła się gotowaniem wody i robieniem herbaty, zaczęłyśmy plotkować o minionym dniu – o tym, kto najwyraźniej spędził wakacje w bardziej słonecznym miejscu niż Maryland („Widziałaś Brooke? Jest pomarańczowa jak kumkwat”), którzy nauczyciele zostali nam przydzieleni („Wciąż mam francuski z Dumas, więc gra gitara. Ale matematyka z Watkinsem? Lepiej zabij mnie od razu”) i kto się z kim spiknął przez wakacje („Żadna z nas, koleżanko. Kolejne lato minęło, a my wciąż wolne”).

To ostatnie sprawiło, że moje myśli wróciły do tematu, wokół którego krążyły cały dzień.

– I nigdy bym się nie spodziewała, że Gabe i Liu zostaną parą – mówiła Chloe, dmuchając na herbatę. – W ogóle jakoś do siebie nie pasują, wiesz?

– Tak. Zupełnie jak Jay i Faye. Jay i Faye? To nawet brzmi absurdalnie. Co to w ogóle za imię: Faye? Powiem ci, jakie dziewczyny mają tak na imię. Przystępczynie, ot co – burknęłam.

– Eee... Przystępczynie? – Chloe upiła łyk herbaty i skinęła z aprobatą głową w stronę bursztynowego napoju. – Całkiem dobre. Co prawda nie ekstatyczne, ale dobre. Na wierzchu jakby perfumowa, a pod spodem ziemiste nuty imbiru.

– Tak, przystępczynie – powtórzyłam posępnie. – Osoby, które łamią prawo.

Chloe przewróciła oczami.

– Rozmawiamy o Prawie Wysokich Dziewczyn? Znowu?

– Ona beczelnie je łamie, Chloe. Jay i Faye w parze wyglądają tak samo głupio, jak brzmią obok siebie ich imiona.

– To prawda, wyglądają razem przekomicznie, z tym się zgodzę. Ona chyba musi stawać na stołku, jak się całują. Albo on musi ją podnosić.

Ten obraz mnie zabolął. Niektóre dziewczęta miały przygotowaną listę atrybutów, jakie powinien posiadać ich chłopak: atrakcyjny wygląd, inteligencja, poczucie humoru, fajna bryka. (Mogę się założyć, że samochód znajdował się na liście priorytetów Faye). Ale moja lista była zgoła inna. Chciałam, żeby mój chłopak miał większe stopy ode mnie. I dłonie. Chciałam chłopaka, który porwałby mnie w ramiona i nie dostał przy tym przepukliny. Który musiałby się schylić – albo mnie podnieść – żeby skraść mi

pocałunek. Cholerna Faye miała tak pewnie całe życie.

– To po prostu wielkie marnotrawstwo – jęknęłam, wypijając jednym haustem swoją filiżankę nieekstatycznej herbaty, jakby była szklaneczką burbona podaną przez pełnego współczucia barmana. – Jest wysoki i nieziemsko przystojny, zresztą sama widziałas.

– Tak, ale na moim barometrze nie sięga poziomu „towar gorący, aż skwierczy”.

Potrząsnęłam głową jak spaniel z wodą w uszach.

– Przepraszam, mogłabyś powtórzyć ostatnie zdanie? Bo wydawało mi się, jakbyś powiedziała, że Jay Young nie jest gorącym towarem.

– Nie no, gołym okiem widać, że jest przystojny, ale po prostu nie w moim guście.

– Ale jak to w ogóle możliwe?

– Piękno to rzecz względna i tak dalej – skwitowała Chloe, machając w powietrzu najpierw jedną ręką, a potem drugą. – Jest za duży, za wysoki.

– Nie ma czegoś takiego!

– Jest go po prostu... za dużo. A poza tym facet o takich rozmiarach? Pewnie jest zwykłym osiłkiem. A wiesz, jak ja kocham osiłków. Wcale. Albo kowbojem: widziałas jego szpotawe kolana?

Nie zauważyłam. Ale obraz Jaya w stetsonie i czapsach zwracającego się do mnie „psze pani” albo „ślicznotko” sprawił, że na mojej twarzy pojawił się rozmarzony uśmiech.

– Widziałas ulotkę kółka teatralnego na tablicy ogłoszeń? – zapytała Chloe, nalewając sobie kolejną filiżankę herbaty. – Wystawiają *Romera i Julię*.

– Romera? A nie Romea?

– Może to literówka. Przesłuchania są dwudziestego drugiego września. Spróbujesz?

– Może. – Najpewniej tak. Lubiłam ukrywać się na trochę w czyjeś skórze, a zajęcia pozalekcyjne dobrze by wyglądały na podaniu na studia. – Chociaż pewnie i tak znowu każą mi grać kamerdynera albo narratora.

Mój wzrost zawęził wybór ról. Najczęściej dostawałam postaci męskie.

– Mają zamiar wystawiać ją dwa razy w grudniu, na sam koniec semestru. A bal maturalny został zaplanowany na ostatnie dni kwietnia.

– To mi daje mnóstwo czasu na znalezienie wysokich chłopaków i umówienie się z nimi – odparłam z ulgą.

– Zaczęłaś już robić listę potencjalnych kandydatów?

– Nie. Czekałam, aż przyjdiesz i mi pomożesz.

– Peyton, ja nie potrafię na pierwszy rzut oka stwierdzić, kto odpada. Przypomnij mi, ile on miał mieć wzrostu?

– Minimum metr dziewięćdziesiąt dwa.

– No cóż, nie umiem tego oceniać. To twoja supermoc.

Chwyliłam notatnik i napisałam na górze „Lista Wysokich Chłopców” z podwójnym podkreśleniem. Wątpiłam, żebym potrzebowała aż tak dużej kartki; uznałam, że odpowiednich kandydatów będzie tylko garstka.

– Dobra, numer jeden: Jay Young. – Zanotowałam jego imię i nazwisko.

– Zajęty – przypomniała mi Chloe. Niepotrzebnie.

Smutne, ale prawdziwe. Przekreśliłam jego nazwisko.

– Tim Andreson – powiedziałam, wpisując na listę jego nazwisko. – Musi mieć jakieś dwa metry albo i więcej. – Mały Tim był najwyższym chłopakiem w szkole. – Dlaczego jego nazywają Mały Tim, a mnie Wielka P.?

– To jedna z zagadek wszechświata. – Chloe zebrała nasze brudne filiżanki, dokładnie starła okruchy do kosza na śmieci i poszła do łazienki przy moim pokoju, by umyć naczynia. Wiedziała, jak bardzo nie znoszę bałaganu.

– A Dylan Thomas? – Zastanawiałam się, gryząc końcówkę długopisu. – Może się załapać. Jeśli stanie prosto.

Dylan się garbił, tak jak ja. Wpisałam go na listę, wzięłam ściereczkę do naczyń i poszłam za

Chloe.

– To, czego potrzebuję – zaczęłam, wycierając filiżankę – to koło tortur do rozciągania chłopców, takie średniowieczne.

– Jak sama nazwa wskazuje, ono chyba służyło bardziej do tortur niż kształtowania sylwetki.

– Tak czy siak, wydłużaliby się.

– Przychodzi ci do głowy ktoś jeszcze? – zapytałam, gdy już odłożyłyśmy naczynia na miejsce i usiadłyśmy z powrotem na moim łóżku.

– To nudne – narzekła Chloe.

– Tak, wiem. Ale musimy to zrobić, koleżanko. Muszę wygrać ten zakład. Potrzebuję kasy.

To prawda. Ale byłam też lekko oczarowana myślą o randkowaniu z wysokim chłopakiem, o tańczeniu z kimś tak wysokim, że moja głowa mogłaby spocząć na jego ramieniu albo klatce piersiowej, a nie z kimś, kogo twarz znalazłaby się na poziomie mojej klatki piersiowej.

Na diagramie Venna wspólny zbiór cech, które chłopcy uważają za atrakcyjne u dziewcząt i które ja uważam za atrakcyjne u chłopców, jest mikroskopijny, więc moje dotychczasowe doświadczenie w randkowaniu było w znacznym stopniu ograniczone. Chodziłam tylko z czterema chłopakami, z których żaden nawet nie dorównywał mi wzrostem.

Po raz pierwszy całowałam się w drugiej klasie liceum. Czubek głowy Carlosa sięgał mi mniej więcej do obojczyka, tak więc żeby się wygodnie całować, siadaliśmy na krzesłach. A nawet wtedy musiałam się garbić. Wolny taniec z nim był jak tortura, gdy zaś włożył mi głowę między piersi i zaczął głośno mruzczyć, to cała mięta, jaką mogłam do niego czuć, natychmiast wyparowała.

Mój najdłuższy i najświeższy związek – jeśli można to w ogóle nazwać związkiem – łączył mnie z Waynem, który był prawie wystarczająco wysoki, by patrzeć mi prosto w oczy. Wytrzymał z sobą aż pięć randek, z czego trzy spędziliśmy, grając w *World of Warcraft* w jego piwnicy. Pozostałe dwie były na domówkach, na których większość wieczoru spędzał, tańcząc z innymi (niższymi) dziewczynami.

Od tamtej pory z nikim nie chodziłam, a oprócz tego nigdy nie spotykałam się z kimś wyższym od siebie. Jeśli więc udałoby mi się pokonać kompleksy, ten zakład mógłby być całkiem fajną zabawą.

Z krainy fantazji wyrwało mnie pukanie do drzwi.

– Cześć, dziewczyny – usłyszałam z korytarza głos mamy. – To ty, Chloe?

– Tak, pani Lane – zawołała w odpowiedzi Chloe.

Mama raz jeszcze zapukała, tym razem ciszej.

– Mogę wejść?

Westchnęłam i poszłam przekręcić klucz. Mama weszła, przyciskając do piersi jakiegoś turkusowego pluszaka.

Widząc ją w swoim pokoju, poczułam znajome poirytowanie. Jej włosy, które sama sobie obcięła, siwiałły już przy skroniach i potrzebowały mycia, a szminka, zapewne nałożona w pośpiechu na cześć Chloe, zaczynała się już rozmazywać. Moja mama dopiero niedawno skończyła czterdziestkę – była o dobre dziesięć lat młodsza od mamy Chloe – ale wyglądała dużo starzej.

– Tak? – zapytałam. – O co chodzi?

Chloe posłała mi spojrzenie, które wyraźnie mówiło, że według niej to było z mojej strony niegrzeczne.

– Chciałam się przywitać z Chloe, Peyton. Wolno mi?

– Jak się pani miewa, pani Lane?

– Znakomicie. Naprawdę znakomicie, dziękuję, że pytasz. Zobacz, co znalazłam – zamachała mi przed oczami pluszakiem. – Pamiętasz go? To ten potwór słodziak, co nie lubił straszyć dzieci, ten z filmu. Zaraz, jak on miał na imię?...

– Sully z *Potworów i spółki* – podpowiedziała Chloe. – Uwielbiałam ten film.

– Racja! – zawołała radośnie mama, sadzając pluszaka na komodzie. – Peyton nazywała go potworem Solly. Należał do niej, zanim...

– Nie chcę go – powiedziałam szybko.

– Nie chcesz? – powtórzyła mama takim tonem, jakbym właśnie odrzuciła wygraną na loterii. – Czemu?

– Mamo, no spójrz na niego. – Potwór miał tylko jedno oko, jego błękitna sierść była wyblakła i wyglądał, jakby miał nużyć, a jedna łapa zwisała mu bezwładnie, bo brakowało w niej waty. – A poza tym nie mam siedmiu lat, tylko siedemnaście.

Nie chciałam sprawić jej przykrości, ale moje słowa wystarczyły, żeby jej usta się zacisnęły, a w oczach zaszklily łzy. Wystarczyły też, żebym poczuła wyrzuty sumienia i powiedziała łagodniejszym tonem:

– Ale dzięki, że o mnie pomyślałaś.

– Trzymałam go przez wszystkie te lata. Wpadło mi do głowy, że będziesz chciała go z powrotem...

– Nie jestem sentymentalna. Wiesz przecież.

– Ślicznie by tu wyglądał. – Przesunęła pluszaka na środek komody. – Wnosi odrobinę życia, widzisz? Twój pokój jest taki pusty, taki sterylny.

– Nie jest pusty. Ani sterylny. Jest uporządkowany.

Uwielbiałam swój pokój. To była moja własna przestrzeń, w której mogłam się zrelaksować i być sobą. Dbałam o czystość i porządek – według Chloe kompulsywnie; w myśl jej teorii cierpiałam na łagodną formę zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych. Kochałam prostotę, z jaką mój pokój był urządzone: białoszara, gołębia pościel i zasłony plus jedna jedyna ogromna, fioletowa aksamitna poduszka przy wezgielciu łóżka. Na ścianach nie było obrazków czy plakatów, a wszystkie powierzchnie starałam się utrzymywać w czystości. Mój pokój nie był typową niechlujną jaskinią zdziczałego nastolatka i mamie pewnie wydawał się dość spartański. Ale to był mój azyl, to było moje schronienie.

– Co szyjesz? – zapytała mama, spoglądając na kawałek błękitnego szyfonu obok singera.

– Próbuję zrobić apaszkę. – „Próbuję” było właściwym słowem. Stopka dociskowa i płytka ściegowa wciąż się zacinały, wtłaczając w materiał płataninę nici.

– Wiesz, gdy byłam młoda, też szyłam. Mogłabym ci pomóc.

– Nie, dzięki, poradzę sobie.

– Mogę ci kupić trochę materiału – ciągnęła, podczas gdy Chloe zerkała nerwowo to na nią, to na mnie.

– Nie, dzięki. – Mama zdążyła już przekroczyć nasz budżet, robiąc internetowe zakupy.

– Znalazłam świetną stronę o nazwie Sew Happy, mają teraz wielką wyprzedaż, więc...

– Nie.

Na jej twarzy natychmiast pojawił się ten sam grymas bólu.

– Chcę sama wybierać wzory i kolory, a w centrum jest świetny mały sklepik, w którym sprzedają ścinki i obrzynki.

Zmarszczyła nos.

– Jakieś skrawki i obrzynki; niezbyt ładnie.

– Sklep jest w porządku. I mają tanio.

– No cóż, nie będę wam już przeszkadzać, wróćcie do swoich zajęć. Do zobaczenia, Chloe. – Mama wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

– Zostawiłaś tego koszmarnego potwora! – krzyknęłam za nią, ale nie wróciła. – I tak za każdym razem! – Chwyciłam pluszaka, cisnęłam go do kosza i przekręciłam klucz w zamku.

– Chciała być po prostu miła – zbesztala mnie Chloe. – Może mogłabyś okazać jej odrobinę cierpliwości?

– Spróbuj tu trochę pomieszkać i wtedy porozmawiamy o cierpliwości – powiedziałam, wypuszczając powietrze. – Możemy już wrócić do listy wysokich chłopaków?

– Zostawiam cię z nią sam na sam, muszę się zbierać. Tata robi na kolację grillowanego kurczaka.

Gdy Chloe zniknęła za oknem, zwinęłam drabinkę, odłożyłam ją za zasłonę i wróciłam do posępnego wpatrywania się w listę. Bazgrałam po marginesie kartki, myśląc usilnie nad kolejnymi nazwiskami, ale przyszło mi do głowy tylko jedno.

Powędrowałam wzrokiem do szkicownika i chwilę później już wycinałam kształt spódnicy z jednego z papierków po cukierkach Chloe oraz przyklejałam go do szkicu, cały czas rozmyślając o wysokich chłopcach i starając się nie zaprzętać sobie myśli jednym konkretnym wysokim chłopcem.

Zwinęłam folijkę koloru indygo w kształt apaszki i położyłam ją na szkicu sylwetki, tak że falowała jej z tyłu, jakby szła, a wiatr wiał jej prosto w twarz. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro o tej porze będę miała ustawioną pierwszą randkę z wysokim chłopakiem.

Zacznę od Małego Tima. Chodziłam z nim na historię i czasami dawałam mu spisywać pracę domową, więc przynajmniej znaliśmy swoje imiona. Nie wiedziałam o nim dużo więcej, oprócz tego, że cieszył się sławą lenia i amatora marihuany. Na lekcjach nigdy sam się nie zgłaszał, a gdy jakiś nauczyciel wzywał go do odpowiedzi, gadał same głupoty.

Ale może była to ironia z jego strony – bo przecież co ja mogłam wiedzieć o byciu cool?

Lista Wysokich Chłopców:

1. ~~Jay Young~~
2. Tim Anderson
3. Marek Rodriguez
4. Dylan Jones

Następnego dnia podczas lunchu nie zjadłam ani kęsa, ściągając na siebie pełne niedowierzania spojrzenie Chloe. Nieczęsto zdarzało się, żebym robiła sobie głódówkę. Ale w tamtej chwili na myśl o jedzeniu zbierało mi się na mdłości.

W zeszłym roku w ramach wyzwania jedna z kucharek zlepiała jakieś dwadzieścia kulek mięsnych w jedną olbrzymią bryłę białka, którą zwieńczyła talerz spaghetti z sosem, a całość podała kapitanowi drużyny footballowej. Właśnie taką ciężką gulę strachu czułam teraz w żołądku, na pierwszej lekcji po lunchu.

Zerknęłam na Tima Andersona, którego długie nogi oplatały jak węże nogi jego ławki, zachodząc w głowę, jak chłopcy to robią, jak potrafią zebrać się na odwagę, żeby zaprosić na randkę dziewczynę, która równie dobrze może ich wyśmiać albo powiedzieć pogardliwie: „Nie ma mowy”?

Zadzwoił dzwonek na przerwę – czas być dużą dziewczynką i zadać mu pytanie. Powtarzałam sobie, że jestem tą nieustraszoną, która poprosiła Jaya Younga o pocałunek. I go dostała. W porównaniu z tym zaproszenie Tima na randkę powinno być dla mnie tak łatwe, jak potykanie się o własne stopy, czego próbowałam uniknąć, kierując się w stronę jego ławki.

Tim ziewał i sennie mrugał. Czyżby właśnie przespał całą inwazję Hitlera na Polskę?

– Cześć, Tim.

– Cześć... – Sądząc po jego nieprzytomnym spojrzeniu i mdłym, słodkim zapachu, jaki unosił się wciąż z jego ubrania i włosów, Tim spędził przerwę obiadową na paleniu trawki.

– Peyton – pomogłam mu.

– Właśnie, Peyton. Zgadza się. Tak masz na imię.

– Czy mogę cię o coś spytać?

– Pewnie. – Wrzucił niezapisany bloczek do plecaka, rozwinął nogi i wstał, przeciągając się. Naprawdę był wysoki, przynajmniej o jakieś dwanaście centymetrów wyższy ode mnie.

– Eee... – Po prostu powiedz to, Peyton. – Zastanawiałam się, czy... czy nie miałbyś ochoty gdzieś kiedyś wyskoczyć.

Minęło parę chwil, zanim moje słowa przesiąkły do jego mózgu.

– Z tobą? – zapytał, mrugając z zaskoczenia.

– Jeśli nie chcesz, to w porządku. Po prostu pomyślałam sobie, że może...

– W porzo – powiedział, przerywając moją zenującą paplaninę. – Gdzie i kiedy?

– Jumping Jim's Diner? – Miałam tam zniżkę pracowniczą. – W piątek o siódmej?

– Będę – powiedział, po czym jeszcze raz się przeciągnął, aż zatrzeszczało mu w kościach, i spokojnie wyszedł.

Zaproszenie Tima na randkę było tak łatwe, że pomyślałam sobie, iż samo spotkanie też takie będzie. Gdyby okazał się tak superwyluzowany, na jakiego wyglądał – z gatunku tych, co mówią: „Zatrzymajcie świat, chcę wsiąść” – to może cztery wspólne wyjścia byłyby wykonalne. Jednak po piętnastu minutach naszej piątkowej randki wiedziałam już, jak bardzo się myliłam.

Znalezienie tematu do rozmowy z Timem było trudniejsze niż znalezienie eleganckich butów w rozmiarze czterdzieści pięć i pół.

– Jakie filmy lubisz? – zapytałam dla przełamania pierwszych lodów.

– Akcji, jak seria *Szybcy i wściekli*. Te bryki! – Na chwilę jego rysy nabrały łagodnego wyrazu odurzenia. Wyglądał, jakby był zakochany. – Szkoda Paula Walkera.

– Kogo?

– To odtwórca głównej roli. Dostał bilet w jedną stronę na wielki wyścig w niebie. Człowieku,

był najlepszy.

– Jasne.

Wtedy pojawił się Jim z naszymi napojami – cola dla Tima, a dla mnie mój ulubiony czekoladowy koktajl mleczny z podwójną śmietanką.

– Na koszt firmy! – poinformował nas radośnie Jim.

Gdy tylko odszedł, nucąc *Hound Dog* Elvisa Presleya, Tim wyjął z kieszeni kurtki miniaturową buteleczkę rumu, dolał go sobie do coli, po czym chciał poczęstować i mnie. Gdy potrząsnęłam przecząco głową, wlał resztę do swojej szklanki i upił dużego łyka. Jego przekrwione oczy mówiły, że nie po raz pierwszy tego dnia sięga po substancje odurzające.

– To moje ulubione filmy, mam w domu całą kolekcję. Oczywiście najlepsza była pierwsza część, chociaż szósta też jest niezła. „Jedź albo giń”, pamiętasz?

– Słucham?

– To tekst z szóstej części. Którą lubisz najbardziej?

– Nigdy żadnej nie oglądałam – przyznałam.

– Nigdy żadnej nie oglądałaś? – powtórzył Tim takim tonem, jakby to była najbardziej niewiarygodna rzecz, jaką w życiu słyszał.

Pokręciłam głową. Upił kolejnego dużego łyka coli.

– Ani jednej?

– Wolę stare filmy.

– Racja, w latach dziewięćdziesiątych też były fajne. *Matrix*, *Kruk*. Wszystkie *Szklane pułapki*.

– Nie, mam na myśli naprawdę stare filmy. Wiesz, takie jak *Ninoczka*, *Śniadanie u Tiffany’ego*, *Zawrót głowy* i *Okno na podwórze*, w zasadzie wszystkie filmy Hitchcocka.

Tim gapił się na mnie tępo.

– Aha – powiedział w końcu.

Zapadła cisza. Niezbyt komfortowa. Tim dopił colę, zapadł się w fotel i wyciągnął nogi. Ja swoje musiałam przesunąć na jedną stronę – przy dwóch parach długich kończyn pod stolikiem nie ma zbyt wiele wolnego miejsca.

Pojawienie się w barze przy boku takiego wysokiego chłopaka było dla mnie nowością i pławiłam się w zachwycie, że mogę posłać Tori spojrzenie pod tytułem „A nie mówiłam”, ale gdy już usiedliśmy, to, że Tim był Wysokim Chłopakiem, zdawało się nie robić wielkiej różnicy. Był jak każdy inny, tyle że jego nogi zajmowały więcej miejsca.

– No to... – odezwał się, wydymając policzki. – Lubisz sport?

– Nie, chyba że traktować czytanie jako sport.

– Aha.

– Muzyka? – Musieliśmy mieć cokolwiek wspólnego.

– Rap?

– Indie rock.

Znowu cisza.

Pojawiła się Tori z naszymi burgerami. Byłabym jej wdzięczna za przerwanie nam tej frapującej rozmowy, ale mrugnęła do mnie i powiedziała głośno:

– Złapałaś wysokiego, Peyton? Burger z bekonem i serem oraz frytki dla ciebie – plasnęła talerz przed Timem – i burger z bekonem i serem oraz frytki dla ciebie. Łał, naprawdę dużo was łączy.

– Mogę prosić o drugą colę? – odezwał się Tim. – Chcesz coś, Peyton?

– Nie, dzięki.

– Przyniosę jedną colę – powiedziała Tori – ale dwie słomki, żebyście mogli się podzielić.

Tim wziął butelkę ketchupu i narysował na swoich frytkach zygzakowaty wzorek. Gdy jego dłoń z ketchupem zawisała nad moim talerzem, zapisałam „Nie!” i zabrałam mu butelkę, wyciskając nieco ketchupu obok frytek – nie na nich.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu; ja zastanawiałam się, czy kiedykolwiek wcześniej było mi tak niezręcznie, a on bez wątplenia zastanawiał się, czy kiedykolwiek wcześniej spotkał równie sztywną,

nudną dziewczynę.

– Peyton – odezwał się w końcu, pałaszując burgera. – Powiedz mi o sobie coś ciekawego. Szybko, zaskocz mnie.

– Ciekawego?

– Tak, coś, co mnie zainteresuje. Co jest najbardziej niesamowite w Peyton Lane?

Jeszcze głębiej rozsiadł się w fotelu i ziewnął szeroko. Wyraźnie nie oczekiwał niczego specjalnie fascynującego, i dobrze, bo najciekawszą rzeczą o sobie nie chciałam się z nikim dzielić, a już na pewno nie z Timem.

– A więc?

– Hm, no cóż, pracuję tutaj, w barze, i robię podłe koktajle mleczne z podwójną śmietanką. – To zabrzmiało jak pytanie.

– Człowieku, jeśli to ma być najciekawsza rzecz o tobie, to masz smutne życie.

Smutniejsze niż mógłby przypuszczać.

– W takim razie ty opowiedz mi coś ciekawego o swoim życiu – rzuciłam zaczepnie.

– Dobra. Też mam pracę, i to o niebo fajniejszą od twojej. Jestem szpiegiem. Szpieguję na zlecenie.

Miał rację – to było dużo bardziej interesujące.

– Kogo szpiegujesz?

– Każdego w liceum Longforda.

– Nie gadaj! – zaśmiałam się.

– Gadaj. Zapytaj mnie o coś, co chcesz wiedzieć o ludziach z naszej szkoły.

– Okej. – Było coś, o czym musiałam zebrać informacje. – Potrzebuję nazwisk wszystkich facetów z naszej szkoły, którzy mają metr dziewięćdziesiąt dwa wzwyż.

– Za łatwe! – wykiął mnie.

Z kieszeni wyjął tablet i zaczął entuzjastycznie stukać w ekran. Po raz pierwszy tego wieczoru wyglądał na ożywionego – zostałam przyćmiona przez urządzenie.

– Można po prostu wybrać dane pod względem wzrostu i posortować wyniki od najwyższego do najniższego... Gotowe.

Zdumiona wpatrywałam się w ekran tabletu. Było na nim sześć nazwisk, w tym należące do najnowszego wysokiego chłopca w liceum Longforda oraz jedno, o którym nie pomyślałam, tworząc swoją listę – Robert Scott.

– Pan Washington jest nauczycielem – złożyłam reklamację.

Tim wzruszył ramionami.

– Powiedziałaś „facetów”. Nie sprecyzowałaś ich wieku czy zawodu. – Usunął to nazwisko i zostało pięć. – Chcesz, żebym wysłał ci na telefon zrzut ekranu?

– Pewnie.

Jeszcze raz zastukał kilka razy w ekran.

– Gotowe.

– Czeka... Skąd masz mój numer?

Przechylił głowę i posłał mi zadowolony uśmiešek.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziałam. Trochę się też zaniepokoiłam; co jeszcze mógł o mnie wiedzieć?

– Ciekawi cię coś lub ktoś jeszcze? – zapytał.

O tak.

Nachylił się i zniżył głos.

– Za bardzo rozsądną cenę mogę na przykład dowiedzieć się wszystkiego o twoim największym wrogu. Albo o facecie, w którym się ostatnio podkochujesz: jego plan lekcji i zajęć pozaszkolnych, status związku, średnia ocen, gdzie i kiedy jada lunch, co najczęściej kupuje w stołówce, marka i model jego samochodu i dużo, dużo więcej.

– Potrafisz to zrobić? – zapytałam zszokowana.

– Pewnie.

– Skąd bierzesz wszystkie te informacje?

– Mam kontakty, informatorów, dostęp do baz danych. – To zabrzmiało, jakby był z CIA albo NSA. – No więc? Jest ktoś, o kim mam pozierać informacje?

– Jest taki jeden...

Może i chodziłam z Jayem tylko na kilka zajęć, ale wiecznie wpadałam na niego na korytarzach, a za każdym razem, gdy podchodziłam do szafki, on jakoś zawsze też stał przy swojej. Nie byłabym zaskoczona, gdyby pomyślał, że go śledzę w nadziei na wyłudzenie kolejnego pocałunku. To było takie żenujące. Za każdym razem, gdy widziałam jego głowę powyżej nadciągającego tłumu uczniów, musiałam walczyć z pragnieniem schowania się w łazience. Świetnie byłoby mieć jego plan zajęć, aby wiedzieć, gdzie się nie pojawiać.

– Nie podkochuję się w nim ani nic – dodałam szybko, bo usta Tima zaczęły się już układać w znaczący uśmiešek. – To ktoś, kogo staram się unikać. Chcę tylko jego plan lekcji. Nie żeby interesowała mnie cała reszta. – Gdy wypowiadałam ostatnie zdanie, zapiekły mnie uszy, jak zawsze przy kłamstwie.

– Jak chcesz. Ale pełny profil i tak jest w pakiecie.

– Jaka cena?

– Dwa nowiotkie banknoty z podobizną Franklina.

– Dwieście dolarów?!

– Czyżbyś robiła kolejne zakłady, na które cię nie stać i których i tak nie wygrasz, Peyton? – Tori wróciła po nasze talerze, choć żadne z nas nie skończyło jeszcze jeść frytek.

– Tim ciągle czeka na colę – odgryzłam się.

– Nie chciałam przeszkadzać zakochanej parze, skoro teraz randka się rozkręciła.

– Jakie zakłady? – zapytał Tim. Zagadnął mimochodem, jakby odpowiedź nie bardzo go interesowała, ale teraz, gdy wiedziałam już, że zbiera – i sprzedaje – informacje, nie miałam zamiaru dzielić się z nim swoimi sekretami.

– Żadne – odpowiedziałam szybko. – Tori, zamknij się.

– Właśnie, spływaj. My tu ubijamy interes – dodał Tim.

– Nie dziwi mnie, że Panna Męskie Łapy musi za to płacić – odparowała Tori, ale przynajmniej się zmyła.

Schowałam dłonie pod stolik.

– Płacić za co? – dopytywał Tim.

– Za nic. I zapomnij o raporcie, w żaden sposób nie jestem w stanie zapłacić dwustu dolarów za jakieś informacje.

Zjadł kilka umoczonych w ketchupie frytek.

– Naprawdę chętnie wziąłbym od ciebie to zlecenie, Peyton. Chciałbym ci pomóc przy programie unikania tego gościa.

– Nie stać mnie na twoje usługi – powiedziałam posępnie.

– Wolałbym gotówkę, ale jestem otwarty na inne propozycje.

„Na inne propozycje” – co to miało znaczyć? Zerknęłam na niego podejrzliwie.

– Nie prześpię się z tobą, Tim.

– O rany, człowieku! A kto ci to proponuje?

Tori pojawiła się wreszcie z colą, idealnie w porę, by usłyszeć naszą ostatnią wymianę zdań. Roześmiała się głośno.

– Nikt, ot co! Nie mam więcej pytań – powiedziała.

Postawiła napój na stoliku z takim łoskotem, że trochę coli wylało się na mój talerz. Ostatnie trzy frytki – te najbardziej wysmażone, które zachowałam sobie na deser – przemokły do suchej nitki.

Tori rzuciła mi diabelski uśmiešek i spokojnie odeszła.

Przeniosłam wzrok ze smętnej, rozmokłej papki na moim talerzu na ostatnią frytkę Tima. Jeśli pisana nam była wieczna miłość, albo chociaż trzy randki plus bal maturalny, odda mi ten kawałek

ziemniaka.

Tim podniósł frytkę i zawahał się. Siedziałam nachylona wyczekująco z lekko otwartymi ustami.

– Jesteś – zaczął, wskazując na mnie frytką – cyniczną... No, nie dokończę. – Wrzucił sobie frytkę do ust, a ja ponownie opadłam na fotel. – Nie sprzedaję informacji za seks. – Przerwał, zmarszczył brwi i wyglądało, jakby przemyślał to, co przed chwilą powiedział. – To znaczy mógłbym, gdybyś chciała.

– Nie chcę. Bez obrazy.

Skinął głową.

– Mówiąc o innych propozycjach, miałem na myśli zapłatę w postaci paru wypracowań z historii. Ty napiszesz za mnie rozprawkę o przyczynach wybuchu drugiej wojny światowej i wypracowanie w drugim semestrze, a ja w zamian przygotuję dla ciebie raport o tym twoim.

– Nie jestem taką znowu piątkową uczennicą. Gdy z historii dostaję cztery mniej, to już jest dobrze. – Musiałam być fair i go ostrzec.

– W porzo. Jeśli to by było za dobre, Perez mógłby zacząć coś podejrzewać, bo zazwyczaj dostaję tróje. To co, umowa stoi?

– Tak. – Stuknęliśmy się szklankami. – Kiedy mogę się spodziewać twojego szemranego raportu?

– Daj mi tydzień. Nie, sekunda... – Nagle zamienił się w prawdziwego biznesmena i zajrzał do terminarza na tablecie. – Mam duże zlecenie z piątkowym terminem realizacji. Trzy cheerleaderki. Spotkajmy się za dwa tygodnie w środę przed lekcjami, w tym zagajniku za parkingiem. Przynieś wypracowanie z historii, a ja przyniosę swój raport.

– Dobrze. Będę miała na sobie trenczowy płaszcz i fedorę i będę nuciła *As Time Goes By*.

– Że co? – zapytał, wyraźnie zdezorientowany.

– To z *Casablanki*. Wiesz, szpiedzy, potajemne spotkania i te sprawy. – Wciąż wyglądał na skonsternowanego. – Nieważne – uciełam.

Podaliśmy mu nazwisko figuranta, po czym na nowo pograżyliśmy się w milczeniu, które oboje przerwaliśmy tylko po razie: on, zamawiając podwójne czekoladowe brownie z lodami, a ja, prosząc o rachunek, czym odebrałam Timowi szansę na dalsze nabijanie go przekąskami.

Byłam biedniejsza niż na początku wieczoru, a z Listy Wysokich Chłopców ubyłoby jedno nazwisko, ale czułam się osobiście zadowolona, patrząc, jak Tim prawie wylizuje talerz, i dumając przy tym nad potencjalnymi zajęciami pozalekcyjnymi Jaya Younga.

Lista Wysokich Chłopców:

1. Jay Young
2. Tim Anderson
3. Matek Rodriguez
4. Dylan Jones
5. Robert Scott

Gapiłam się tępo w swoją listę. Istniało dokładnie pięciu chłopców o porażającym wzroście metra dziewięćdziesięciu dwóch centymetrów wzwyż. Jeden zdążył się już okazać niewypałem, drugi był zajęty. Przez przestępczynię.

Kątem oka spojrzałam na tego wspomnianego. Na naszych wspólnych lekcjach z psychologii Jay siedział jeden rząd z przodu i dwie ławki na lewo ode mnie, a na lekcjach angielskiego po drugiej stronie klasy. Po dwóch tygodniach od rozpoczęcia semestru wiedziałam już, że chodziliśmy razem tylko na te dwie lekcje.

– Waszym zadaniem jest wybranie któregoś z rodzajów zaburzeń depresyjnych bądź lękowych i udzielenie spójnych, wnikliwych odpowiedzi na pytania dotyczące symptomów, przyczyn i leczenia. Postarajcie się, kochani! – powiedziała pani Evans. – Pracujecie w parach. Zobaczmy: jest was dwadzieścioro dwoje, więc akurat wyjdzie jedenaście par. Liu, jesteś numerem jeden, Chad – numer dwa.

Pani Evans kładła dłoń na ramieniu każdego ucznia, przypisując im numery od jednego do jedenastu, po czym zaczęła odliczanie od nowa. Gdyby moje życie było romanssem dla nastolatka, zostałabym sparowana z Jayem. Ale nie, jego partnerem okazał się Chad, a mnie trafiła się Brooke. Wyglądała na tak samo uszczęśliwioną perspektywą pracy z Peyton Wielką Stopą jak ja z Brooke Królową Opalenizny.

– No więc co będzie? – zapytałam, przystawiając krzeselko do jej ławki i siadając naprzeciwko mojej nowej partnerki. – Zaburzenia depresyjne czy lękowe?

– Lękowe.

– Czemu to? Czemu nie coś fajniejszego, na przykład choroba dwubiegunowa?

Skrzyżowałam nogi. I to był duży błąd. Gdy to robiłam, moje nogi były za długie, a kolana sięgały zbyt wysoko, by zmieścić się pod ławeczkami. Na sekundę niechcący podniosłam kolanami stół, przekrzywiając go i zrzucając na podłogę kolekcję kolorowych długopisów Brooke.

– O rany, zobacz, co narobiłaś!

– Przepraszam, przepraszam – powiedziałam, schylając się, by je pozbierać.

– To moje ukochane wydanie kolekcjonerskie żelowych długopisów od One Direction! A dla twojej informacji teraz, po rozpadzie zespołu, są strasznie cenne.

– Proszę. – Podałam jej tych kilka, które pozbierałam.

– Brakuje Zayna!

Sądząc po panice w jej głosie, wiedziałam, że to poważna sprawa. Przeszukałam podłogę wokół nas, przesunęłam nasze plecaki, żeby sprawdzić, czy Zayn się pod nimi nie ukrył, i niemalże złożyłam się wpół, szukając go pod ławką.

Staralam się nie wpaść głową w przyklejone pod blatem bryłki gumy do żucia – niektóre z nich wyglądały ohydnie świeżo i lepko. Byłam właśnie w tej dziwnej pozycji, gdy nagle przed moją twarzą pojawiła się twarz Jaya. Wzdrygnęłam się i uderzyłam głową w ławkę, w efekcie czego, sądząc po przerażonym pisku nade mną, znowu posłałam chłopców z One Direction we wszystkie strony świata.

– Cześć – powiedział Jay.

– Eee... Cześć.

Z tak bliska zauważyłam, że jego zielone tęczówki upstrzone są plamkami o barwie miodu.

Wyciągnął do mnie dłoń, w której trzymał długopis.

– Tego szukasz?

– Zayn! – zawołałam z ulgą.

– Twój?

– Nie! – Wzdrygnęłam się. – Zdecydowanie nie mój. – Wskazałam palcem w górę, gdzie Brooke liczyła swoich chłopaków.

– W takim razie lepiej zjednoczyć zespół. – Podał mi długopis. Gdy go przejmowałam, na ułamek sekundy dotknęliśmy się palcami, a we mnie odezwało się nikłe echo naszego pocałunku. To wystarczyło, żebym znowu się wzdrygnęła i uderzyła głową o ławkę.

– Peyton, przysięgam, jeśli jeszcze raz tak zrobisz!... – Po drugiej stronie ławki pojawiła się zsiniała z gniewu twarz Brooke. – Wylaż już stamtąd!

Naprawdę chciałam to zrobić, Bóg mi świadkiem – od tej nienaturalnej pozy zaczęłam już dostawać skurczy w karku – ale nie mogłam wycofać się jako pierwsza, bo podejrzewałam, że włosy przykleiły mi się do jednej z gumowych grudek.

– To na razie – powiedziałam do Jaya.

– Na razie. – Przed zniknięciem błysnął jeszcze tym swoich szerokim uśmiechem.

Gdy zobaczyłam jego wycofujące się stopy, szarpnęłam głową w dół i wydostałam się spod ławki. Ostre ukłucie z tyłu głowy powiedziało mi, że oczywiście zostawiłam trochę swojego DNA w gumowej narośli.

Oddałam Brooke jej długopis i pilnując się, by nie spojrzeć na tył głowy Jaya, zmusiłam się do skupienia na zadaniu z psychologii. Jednak część mojego mózgu wciąż była skoncentrowana na liście. Po skreśleniu numeru jeden i dwa przyszła pora na numer trzy.

~

Mark Rodriguez, jak tego popołudnia odkryłam, nie był fanem rapu czy filmów akcji. Nie był też zapalonym sportowcem z kłapkami na oczach, choć grał w football.

Był metrem dziewięćdziesiąt dwa słodczy i uprzejmości – otwierał mi drzwi, nalegał na zapłacenie rachunku na pierwszej randce, słuchał, gdy mówiłam. Był nawet przystojny, ze swoimi prostymi, czarnymi włosami i oczami basseta.

Nasza pierwsza randka w miejscowym Starbucksie była... niezła. Rozmawialiśmy o etycznych sposobach pozyskiwania ziaren kawy, wpływie kofeiny na rytm snu i o tym, co Mark sądził o matematyce. (Lubił ją, a to podobało się jego ojcu). Dokładnie wiedział, co chce studiować, ponieważ jego ambicją od zawsze było zostanie biegłym księgowym.

No dobrze, może i się nie pośmialiśmy – Mark był dość poważny – ale przynajmniej mogliśmy porozmawiać na wspólny temat. Wyglądał nawet na zainteresowanego moim nowym hobby i skomplementował moje pierwsze dzieło: niebieską bluzkę z megadługimi rękawami.

– Widzisz – powiedziałam, wystawiając ręce – mankiety sięgają mi do nadgarstków, to dla mnie nowość. W moim przypadku „długie rękawy” to zawsze rękawy trzy czwarte.

– Widzę. – Skinął w zamyśleniu głową. – I sama tę bluzkę zaprojektowałaś i uszyłaś?

– Użyłam gotowego wykroju, ale dodałam dłuższe rękawy. Co sądzisz?

Upił łyka swojej bezkofeinowej waniliowej latte.

– Nie znam się za bardzo na damskiej modzie. A ściślej mówiąc, na żadnej. Ale moim zdaniem chwali ci się, że sama to uszyłaś.

– Byłam już na granicy desperacji – wyznałam. – Jeszcze jeden nieudany wypad na zakupy i naprawdę bym oszalała. Może nawet zupełnie zrezygnowałabym z ubrań i zaczęła biegać nago po ulicach, rwąc sobie włosy z głowy.

– Ale to nie rozwiązałoby problemu za krótkich rękawów, prawda? – powiedział z kamienną twarzą.

Spojrzałam mu w oczy, żeby sprawdzić, czy sobie żartuje, ale nie dostrzegłam w nich żadnego przekornego ognika.

Dopiłam mrożoną mokrę.

– Raczej nie.

– Mój ojciec mawia, że potrzeba jest matką wynalazku, i wygląda na to, że udowodniłaś prawdziwość tego przysłowia. – Posłał mi zadowolony uśmiech.

Widać było, że Mark należy do facetów, którzy lubią, gdy ktoś udowadnia prawdziwość przysłów.

– Tak jest – odparłam.

Po kawie nalegał, że odprowadzi mnie do domu pomimo moich protestów. Na schodach przed drzwiami podziękował mi grzecznie za randkę.

– Masz ochotę na kino w przyszłą środę? – zapytał.

W środę miałam dostać raport Tima o Jayu. Raport, którego treść była mi absolutnie do niczego niepotrzebna i która mnie zupełnie nie interesowała, poza tym, że miała pomóc mi go unikać. Dzisiaj wpadłam na niego przed wejściem do sali kółka teatralnego, a potem drugi raz przy szafkach. Gdy zobaczyłam, że zbliża się do własnej szafki, otworzyłam szybko drzwiczki swojej, chowając za nimi twarz. By to zrobić, musiałam zgiąć kolana, i wciąż na wpół kuciałam, skubiąc zębami knykieć, gdy zajrzał zza szczytu drzwiczek, posyłając mi szeroki uśmiech.

Momentalnie się zaczerwieniłam. Czemu zawsze musiał mnie łapać w żenujących pozach?

– Wszystko w porządku, Peyton?

– Tak? – Ta odpowiedź zabrzmiała w moich ustach jak pytanie.

– Wyglądasz na głodną i gotową do skoku. Mam zacząć się bać?

Czy insynuował, że zamierzałam skoczyć na niego i go pożreć?

– Słuchaj, nie poproszę cię o kolejny pocałunek, jeśli tego właśnie się boisz – powiedziałam gwałtownie.

– Och, tego się nie bałam.

Co to znaczyło? Zanim znalazłam słowa i zebrałam się na odwagę, by go o to zapytać, wyjął z szafki książkę i odszedł. Gdy tylko dostanę raport Tima, nareszcie będę mogła unikać takich spotkań.

– ...romans, thriller czy nowy *Batman*? – Och, Mark właśnie mnie o coś pytał. – Mam po ciebie przyjechać?

– Nie, wolałabym się spotkać na miejscu. – Chciałam trzymać ludzi z dala od mojego domu. I mamy.

Ulżyło mi, że nie stara się mnie pocałować, ale i tak patrzył na mnie wyczekująco. Zgadując, że chce zaczekać, aż wejdem bezpiecznie do środka, zaczęłam szukać wymówki, aby tego uniknąć.

– Eee... Chciałam jeszcze zerwać kwiatek dla mamy z ogródka za domem, ale ty nie czekaj. Nic mi się nie stanie. Do zobaczenia.

Popędziłam za dom, pisząc od razu wiadomość do Tori o szczegółach mojej randki z Markiem, ponieważ zażyczyła sobie je dostawać po każdym wyjściu w ramach zakładu.

– Prowadzę rejestr, żeby potem nie było wątpliwości, czy spełniłaś warunki zakładu – tłumaczyła.

– Przy każdej randce musisz zapisywać datę, dzień tygodnia, dokładny czas i miejsce randki oraz imię, nazwisko i wzrost chłopaka.

Wcisnęłam przycisk „wyślij”, czując się lepiej niż po randce z Timem. Tym razem byłam przynajmniej pewna, że odbędzie się druga randka z wysokim facetem, plus nie popełniłam tego błędu, żeby zabrać go do Jumping Jima.

~

W niedzielę przysłała Chloe i przy filiżankach Cynamonowej Niespodzianki, którą oceniła na „rozczarowująco jednorodną”, odrabiała pracę domową z matmy, podczas gdy ja siedziałam przy maszynie do szycia, na przemian złorzeczając na mojego singera i przymilnie nakłaniając go do współpracy. Pracowałam w pocie czoła nad swoim najnowszym dziełem – obcisłymi spodniami o superdługich nogawkach z ciemnego dżinsu w cienistoszare różyczki.

Kiedy spodnie były wreszcie gotowe, przymierzyłam je, zachwycona, że sięgają mi za kostki.

– I jak? – zapytałam, robiąc obrót w miejscu.

Chloe przechylała głowę w tę i we w tę, oceniając mój wygląd.

– Coś tu nie gra.

– To ten wzór. Nie potrafiłam ustawić różyczek prosto przy szwach. – Nie bez poszerzenia spodni, które miały być przecież obcisłe. To całe projektowanie i szycie okazało się bardziej skomplikowane, niż myślałam. – A maszyna się zacięła, więc wyszło trochę krzywo.

– Pewnie to właśnie to – odparła Chloe, wzruszając ramionami. – Hej, może wpadniesz do nas w środę na kolację? To urodziny mojego taty i mama szykuje coś specjalnego. Będzie tort.

– Kuszące, ale tego wieczoru miałam iść na drugą randkę z Markiem. – Ściągnęłam dżinsy i zaczęłam się przyglądać pomarszczonym brzegom.

– Myślisz, że przełkniesz trzy randki z nim?

– Pewnie. Jest całkiem miły.

– Huh! Nie daj się porwać tak szalonemu entuzjzmowi, Peyton!

– Przepraszam, już się poprawiam. Jest bardzo miły i ma znakomite maniery. I mogę z nim rozmawiać na wiele tematów, czego nie da się powiedzieć o Timie. – Wcześniej zreferowałam Chloe fatalną randkę z wyżej wymienionym.

– Był jakiś kontakt fizyczny?

– Nie dotknął mnie. – Żadnego całowania Marka na pierwszej randce. Czy wcześniej. – Nawet nie próbował.

– Czyli miły i nie obmacuje. Wygląda na prawdziwego dżentelmena i dobrego faceta.

– Tak, to dżentelmen – potwierdziłam. – Prawdziwy dżentelmen i dobry facet – powtórzyłam z większą mocą.

– Widzę, że nie możesz się wprost doczekać środowego wieczoru – powiedziała Chloe z wyraźną nutą kpiny w głosie.

– Jeszcze tylko trzy noce.
Do środowego poranka.

W środę rano dotarłam na umówione miejsce za parkingiem na całe osiem minut przed Timem.

Nasze potajemne spotkanie naprawdę było jak z *Casablanki*. Obłoczki dymu skłębione nad chowającymi się między drzewami amatorami papierosów i trawki przypominały mgłę i mimo że Tim nie miał na sobie trenczowego płaszcza czy kapelusza, to z kącika ust zwisał mu papieros.

– Interesy z tobą to czysta przyjemność – powiedział, gdy wymieniliśmy się kopertami na dokumenty.

Nie miałam czasu w spokoju zajrzeć do jego raportu – musiałam już biec na pierwszą lekcję, jaką był francuski – więc rozdarłam kopertę i wyjęłam kartki, które zaczęłam przeglądać, przedzierając się przez falę uczniów zmierzających do tylnego wejścia do szkoły.

Na wierzchu cienkiej sterty przypięta była strona z kolorowymi zdjęciami. Rozpoznałam je z moich niewinnych internetowych poszukiwań, ale dwa były całkiem nowe: jedno przedstawiało małego chłopca w przebraniu Snoopy’ego z klapniętymi uszami beagla – jakie słodkie! – a drugie zbliżenie twarzy i ramion uśmiechniętego Jaya, zrobione chyba w szkolnej stołówce. To było świetne zdjęcie, uchwyciło nawet jego piegi; przyglądałam mu się dokładnie, wodząc palcem po jego nosie – który, jak teraz zauważyłam, miał lekko krzywy koniuszek – w drodze na lekcję.

Aż weszłam w niską gałąź, uderzając się mocno w czoło. Złorzecząc i czerwieniąc się, chwyciłam kartkę, którą upuściłam, i wepchnęłam ją z powrotem do koperty. To musiało poczekać. Nie mogłam ryzykować, że ktoś mnie zobaczy i zacznie się zastanawiać, po co mi kolaż zdjęć Jaya. Przy moim szczęściu taka wiadomość szybko by do niego dotarła i na bank ubzdurałby sobie, że się za nim uganiam. Co absolutnie nie było prawdą.

Na francuskim mój plan, żeby szybko uporać się z ćwiczeniem z tłumaczenia i zyskać kilka minut na przejrzenie raportu, niestety nie wypalił. Madame Dumas, która przechadzała się między ławkami, cicho chwalać albo poprawiając prace uczniów, stanęła przy mnie i zachichotała.

– *Oh la vache*, Peyton, masz głowę w chmurach?

– Słucham?

– Marmolada to po francusku nie *un preservatif*. To *la confiture*.

– Naprawdę? – Z francuskiego zawsze musiałam się na czymś wyłożyć.

– *Oui*.

– To w takim razie co to jest *un preservatif*?

– To – zaczęła, wydymając z zalem wargi – środek profilaktyczny.

Wciąż nie miałam pojęcia, co to takiego, a na mojej twarzy musiało malować się zmieszanie, bo Madame Dumas wyjaśniała dalej:

– To prezerwatywa, Peyton. Coś, czego się używa, żeby nie zrobić sobie z życia marmolady.

Comprends?

Cała klasa wybuchnęła dzikim śmiechem, a ja po raz drugi tego dnia najadłam się wstydu.

– *Oui, madame* – wybąkałam.

Znalazła jeszcze trzy błędy w mojej pracy, a gdy zdążyłam je poprawić, zadzwonił dzwonek na przerwę.

Pobieglam do klasy w głębi korytarza, gdzie miałyśmy z Chloe zajęcia z edukacji zdrowotnej. Czekając na nią przed salą, wyjęłam ostrożnie pierwszą stronę raportu i zaczęłam czytać. Był bardzo profesjonalny – gdyby Tim pisał tak porządne i wyczerpujące wypracowania z historii, dostawałby same piątki.

RAPORT PERSONALNY – JAY ANDREW YOUNG

(A więc jego imię to również jego inicjały – sprytnie, państwo Young, sprytnie).

Wiek: 17 lat i 1 miesiąc

Urodziny: 30 lipca

Znak zodiaku: Lew

(Oooch, jakie są Lwy? Nie mam pojęcia. Będę musiała o tym poczytać).

Wygląd

Wzrost: metr dziewięćdziesiąt pięć

(Ha! Oszacowałam co do centymetra).

Włosy: brązowe

Oczy: zielone

Tyle to sama wiem, Tim).

Szacunkowa waga: 85 kg

Rozmiar stóp: 49,5

(Super! Założę się, że i dłonie ma większe od moich. Założę się...).

– Hej, czym jesteś tak pochłonięta? – Właśnie pojawiła się Chloe.

– Niczym. – Pośpiesznie wepchnęłam raport z powrotem do koperty.

– Chowasz sekrety przede mną? – zapytała, przyglądając mi się podejrzliwie. – Co jest w tej kopercie? To nie wyniki badań, prawda? Nie jesteś chora czy coś?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Cięża? – zapytała bezgłośnie z udawanym wyrazem przestachu.

– Ale śmieszne. Boki zrywać.

– Taa, patrząc na twoją posuchę na froncie chłopaków, to by chyba musiało być drugie niepokalane poczęcie.

Posłałam jej pełne politowania spojrzenie.

– No więc co to takiego?

Chciała wyrwać mi z ręki kopertę, ale podniosłam ją szybko nad głowę, gdzie nie mogłaby jej dosięgnąć, nawet gdyby podskoczyła. Bycie wysoką ma swoje zalety.

– Daj mi to! – krzyczała, podskakując.

– Wreszcie rozumiem znaczenie powiedzenia „lepiej mi nie podskakuj” – droczyłam się z nią, unosząc kopertę jeszcze wyżej.

– Pey-ton!

– Później ci wszystko opowiem, dobrze?

I właśnie w tej chwili poczułam, że ktoś wyrывa mi kopertę z dłoni. Obróciłam się. Za mną stał Tim Anderson, susząc zęby w uśmiechu i kołysząc w palcach moją kopertę. A obok niego stała ostatnia osoba, jaką chciałam zobaczyć w pobliżu tego raportu – Jay Young.

– Oddawaj! – zażądałam.

– Co takiego, to? – Tim zamachał mi przed oczami kopertą, ale gdy próbowałam ją chwycić, zabrał ją i unióśł wysoko nad głowę. Teraz to ja podskakiwałam, starając się jej dosięgnąć. I odkryłam przy tym, że wysocy chłopcy też mają swoje wady.

– Tim!

– Oddaj jej to – nalegała Chloe. – Jeśli ktokolwiek ma to dostać, będę to ja. Chcesz, żebym zasunęła mu kopa w pizczel? – zwróciła się do mnie.

– Hej, spokojnie, karzelku – powiedział Tim, a ja musiałam ją od niego odciągać.

Gdy wydawało się, że gorzej już być nie może, Jay, zapewne z chęci pomocy, wyrwał Timowi

kopertę, a ja przestałam skakać. Przestałam mówić. Przestałam oddychać.

Jay spojrział na mnie z niepokojem, marszcząc brwi.

– Wszystko w porządku, Peyton?

Nie czułam zalewającej mnie fali gorąca, która zazwyczaj towarzyszyła moim rumieńcom, więc być może zbladłam – z szoku, paniki i przerażenia, że mógłby zajrzeć do otwartej koperty. Albo że jedna z obciążających mnie kartek wyslizgnęłaby się z niej.

– Co ci się stało w głowę? – zapytał.

– Słucham? – Myślami wciąż krążyłam wokół raportu.

– Uderzyłaś się o coś? – Stuknął się palcami w czoło i wskazał brodą moje.

Przebiegłam dłonią po twarzy i na samym środku czoła napotkałam bolesny guz. Świetnie. Pewnie wyglądał jak olbrzymi wyprysk.

– Weszłam w drzewo.

– Znowu? – zapytała bez odrobiny współczucia Chloe.

– Czy mogę to dostać z powrotem? – Siliłam się na jak najbardziej obojętny ton, wskazując na kopertę.

Gdy Jay ruszył, by mi ją oddać, Tim wyciągnął rękę, powstrzymując go.

– Hej, nie tak szybko, Jay.

Przeklęty Tim! Co za małpa. Czemu ja go w ogóle zaprosiłam na tę randkę? Co mnie opętało, żeby zlecić mu napisanie tego raportu?

– Nie chcesz zobaczyć, jakie sekrety Peyton chowa w tej kopercie? Co jest w niej tak ważnego, że nie chce, abyśmy to zobaczyli? – drażnił się ze mną, pstrykając palcem w kopertę.

– Nie! – wysapałam, piorunując go wzrokiem. Co za palant. Był największym palantem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi.

Jay tylko oddał mi kopertę. Natychmiast wepchnęłam ją w najgłębsze czeluści torby na książki.

– Dziękuję – powiedziałam, posyłając mu słaby uśmiech.

– Po co tu jeszcze stoisz? – zapytała Chloe Tima. – Już dostałeś piątkę z bycia palantem.

Tim tylko się roześmiał i odszedł spokojnym krokiem. Jay rzucił „na razie” i poszedł za nim.

Z westchnieniem ulgi oparłam się o ścianę korytarza. Czułam, jak schodzi ze mnie powietrze.

– Dasz wiarę, jaki bezczelny jest ten cały Tim? Ot tak wyrwać ci z ręki swoją własność! – Chloe była tak oburzona, że poczułam się w obowiązku przypomnieć jej, jak chwilę wcześniej sama próbowała zrobić to samo.

– Nie oceniaj mnie na podstawie tego, co wydarzyło się tyle minut temu. Od tamtej pory bardzo się zmieniłam – odparła zranionym tonem. – A poza tym ja jestem twoją najlepszą przyjaciółką, a on jest dla ciebie nikim. I wiesz, co się mówi?

– Jestem pewna, że zaraz mnie oświecisz.

– Siła sióstr – powiedziała, gdy wchodziłyśmy do klasy. – Właśnie tak się mówi, Peyton, siła sióstr.

– Jasne.

– To jak jajniki przed jajami. Znaczy, że powinnaś podzielić się z przyjaciółkami tym, czym nie podzieliłabyś się z facetami.

– Aha.

Nauczyciel przywoływał klasę do porządku, ale siedząca obok Chloe wciąż wierciła mi dziurę w brzuchu i świdrowała wzrokiem moją torbę.

– Na przykład sekretami i tak dalej. Przed swoją najlepszą przyjaciółką nie powinno się mieć żadnych tajemnic – jęczała.

– Później, okej? Wieczorem. Albo czekaj, nie, dziś wieczorem nie. – Szłam z Markiem na drugą randkę do kina. – Jutro – szepnęłam.

W jej oczach zapaliły się iskierki podekscytowania.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Ścisnęliśmy się małymi palcami – ona zdecydowanie mocniej.
– Piersi przed klatami! – szepnęła uroczyście.

Pół godziny przed randką z Markiem odłożyłam w końcu raport o Jayu, który studiowałam całe popołudnie. Nie chciało mi się iść do pokoju mamy, więc wysłałam jej esemesa, że wychodzę:

„Cześć, idę do kina”.

Jej odpowiedź: „Z kim? Na jaki film?”.

No i powtórka z rozrywki; znowu grała zatroskaną, normalną matkę, która interesuje się życiem swojego dziecka – a do której było jej daleko. To mnie wkurzyło, więc zignorowałam jej pytania, odpisując tylko: „Na razie”.

Założyłam torebkę na krzyż, spuściłam przez okno drabinkę i zesłam na dół.

Mój telefon zabrzączał.

„O której wrócisz? Jest środek tygodnia, więc pamiętaj, proszę, żeby być w domu przed dziesiątą. Kocham, mama”.

Tę wiadomość także zignorowałam.

Gdy dotarłam na miejsce, Mark już czekał przed kinem.

– Cześć, Peyton, jak się miewasz? – Miał tendencję do wyrażania się w niespotykany formalny sposób. Nie zdziwiłabym się, gdyby pewnego dnia ukłonił się przede mną i powiedział: „Dobry wieczór, panno Lane. Tuszę, że zastaję pannę w dobrym zdrowiu o tej wieczornej porze?”.

Mark rzucił okiem na moje czoło, ale najwyraźniej był zbyt grzeczny, żeby skomentować guza. W przeciwieństwie do Jaya. Jaya, który miał imponującą średnią ocen 3,9 oraz słabość do grillowanego kurczaka i sałatki cesarskiej ze szkolnej stołówki, a także który jeździł dwuletnią hondą civic. Jaya, którego status związku brzmiał obecnie: „zajęty”. Przez fantastyczną Faye Fenton i jej marne metr sześćdziesiąt wzrostu.

– Już kupiłem bilety – powiedział Mark, pokazując mi je z dumą.

Batman. Jeszcze jeden? Na Boga, ile można robić wersji tej samej historii? Napomniałam się w duchu, że mogło być gorzej. To mogli być *Szybcy i wściekli*.

Mark wpatrywał się w moje dzinsy – założyłam te superdługie, które sobie uszyłam.

– Czy to kolejne twoje dzieło? – zapytał.

– Tak. Co sądzisz?

– Sam nie wiem.

– Jasne. To co, popcorn? Jakiś napój? – zaproponowałam.

– Chętnie, dziękuję. Średni popcorn i średnia lemoniada. Małe niezbyt wystarczą, a duże to zawsze... za dużo – wyjaśnił. Mówiąc to, uśmiechnął się, przez co zaczęłam się zastanawiać, czy między wierszami nie kryje się czasem jakieś żartobliwe przysłowie.

– Dwa średnie popcorny i jedna średnia lemoniada – powiedziałam dziewczynie za ladą.

Mark skinął głową z aprobatą.

– I jedno duże mleko czekoladowe.

– Jesteś naprawdę wysoka! – odparła dziewczyna, wydając mi resztę.

Westchnęłam i podałam Markowi jego przekąski. Posypał swój popcorn niewielką ilością soli, marszcząc brwi na widok mojego zwyczaju potrząsania i opukiwania pudełka po posypaniu prażonej kukurydzy solą. Potem znowu spojrzął na moje dzinsy, a sądząc po jego zmarszczonym czole, i o nich nie miał najlepszego zdania.

– To ten wzór na materiale – tłumaczyłam, gdy wchodziliśmy na salę. – Nie umiałam dopasować różyczek i dlatego wygląda trochę krzywo.

– Nie, wcale nie wygląda krzywo.

– Cieszę się!

– Wygląda dziwnie.

Wygląda dziwnie?

– Miło wiedzieć – odparłam.

– To chyba kwestia złych proporcji – wyjaśniał Mark, gdy zajmowaliśmy swoje miejsca. – Nogawki są za długie.

– To moje nogi są za długie, Mark. Dlatego uszyłam sobie superdługie spodnie.

– Miałem na myśli to, że dół jest za długi przy tej górze. To wygląda nierówno. I wydaje się, jakbyś miała nieproporcjonalną budowę ciała.

– Coraz lepiej – bąknęłam.

– To jak z wydłużoną limuzyną. Zwykle wydłużanie samochodu bez zmiany kształtu czy wielkości jego przodu sprawia tylko, że wygląda on na bardzo długi. To pierwsza rzecz, jaka rzuca się w oczy w przypadku wydłużonej limuzyny, prawda? Że jest nienaturalnie, nieproporcjonalnie długa. Tak właśnie dziś wyglądasz. Jak wydłużona limuzyna.

Mark oparł się wygodnie, najwyraźniej zadowolony ze złożonych przez siebie wyjaśnień, i siorbnął lemoniady.

Właśnie powiedziano mi, że wyglądam nienaturalnie, jak nieproporcjonalnie długa limuzyna, a ja byłam wniebowzięta. Bo dokładnie rozumiałam, co miał na myśli – jeśli mam dobrze wyglądać w sukience, spodniach czy bluzce, które sobie uszyję, muszę je inaczej zaprojektować. Nie mogłam zwyczajnie dodać więcej materiału przy nogawkach albo mankietach. Nie sprawię tym, że ubrania będą lepiej wyglądały – to je tylko wydłuży. Musiały być zaprojektowane zupełnie inaczej, żeby proporcje wyglądały dobrze na wysokiej dziewczynie, takiej jak ja.

Będę musiała zrobić wykroje od nowa.

W przyciemnionej sali kinowej miałam w głowie prawdziwą gonitwę myśli. Pogładziłam się dłonią po udzie, wyobrażając sobie inny krój dżinsów. Wyższy stan, żeby zrównoważyć długość nogawki? Przed oczami stanęła mi para *mom jeans*. Fuj, to nie to. A może szerszy pasek? Albo spodnie z mankietami dla złamania linii długiej nogawki? Duże kieszenie o szerokich szwach z przodu i z tyłu, które skupiałyby na sobie uwagę?

Musiałam poznać więcej tajników szycia. Zaczęłam się zastanawiać, czy miejscowa szkoła policealna ma w ofercie kursy wieczorowe na tym kierunku, a jeśli tak, to ile kosztują, i zapisałam sobie w pamięci, żeby sprawdzić to na ich stronie internetowej. Oczywiście nic nie stało na przeszkodzie, żeby samej się trochę poduczyc. Moja mama miała całe sterty czasopism o modzie – wezmę je sobie do pokoju i poprzeglądam zdjęcia, zobaczę, jak powinny wyglądać ubrania, i przeanalizuję wpływ różnych proporcji na efekt końcowy. A w miejscowej bibliotece na pewno są książki o modzie i projektowaniu – wypożyczalnia jest darmowa – do tego też pooglądam *Project Runway*, może podłapię parę wskazówek.

Byłam tak pogrążona w myślach, że aż podskoczyłam, gdy Mark wziął mnie za rękę.

– Zaraz zrobi się trochę gorąco – powiedział.

Czyżby myślał, że trzeba mnie trzymać za rękę, żebym nie bała się oglądać strasznych scen? A może to on tego potrzebował.

Na ekranie, w który już od jakiegoś czasu wpatrywałam się niewidzącym wzrokiem, ścigany Batman właśnie mknął przez Gotham City, poprzysięgając zemstę swym wrogom, a z rur wydechowych jego batmobilu buchały płomienie. Czyli nic nowego.

Mark powoli i uspokajająco ścisnął moją dłoń. Jego własna była duża, delikatna i ociupinkę wilgotna. Nie poczułam niczego poza lekką chęcią wytarcia ręki o dżinsy. Zaczęłam się zastanawiać, jaka jest w dotyku dłoń Jaya, i nagle, ot tak, wróciłam myślami do raportu.

Według doniesień Tima jedynymi zajęciami pozalekcyjnymi, na jakie chodził Jay, było kółko teatralne. Wyglądało, że dość poważnie się tym interesuje. Na liście książek, które wypożyczył ze szkolnej biblioteki, znalazły się *Szklana menażeria*, *Tramwaj zwany pożądaniem*, *Rzemiosło teatralne* i, co dziwne, *Platformy wydobywcze, rurociągi i ropa naftowa. Wstęp do przemysłu wiertniczego*.

Wiedziałam, że chodził regularnie do Gold's Gym, drogiej siłowni na ekskluzywnym osiedlu, na którym mieszkał, jakieś trzy mile na południe od naszego dużo skromniejszego sąsiedztwa, ale nie wziął udziału w kwalifikacjach do żadnej szkolnej drużyny sportowej. Tim podawał „potwierdzoną” informację o tym, że Jay ma uraz ścięgna Achillesa, oraz „niepotwierdzoną”, że w swojej poprzedniej szkole grał na pozycji rozgrywającego w drużynie footballowej. Rzeczywiście Jay chodził na piątkowe

mecze, ale możliwe, że po to, aby oglądać występy Faye, która była w zespole cheerleaderek. Jakżeby inaczej.

Miałam o Jayu całą masę informacji, ale wciąż czułam, że nic o nim nie wiem. Każdy fakt, o jakim przeczytałam, rodził więcej pytań. Czemu zmienił szkołę? Jaki miał układ rodziny? Jak nabawił się tej kontuzji ścięgna? Czy Faye rzeczywiście mu się podobała – ale tak naprawdę, naprawdę? I jaka była w dotyku jego dłoni?

Mark znowu ścisnął mi rękę. Podnosząc wzrok na ekran, zdziwiłam się na widok napisów końcowych.

– No cóż, film mi się podobał. A tobie? – zapytał Mark.

– Też.

Gdy wyszliśmy z sali, zatrzymał się, żeby wyrzucić nasze puste kubki i pudełka.

– Wiesz, gdyby jednak praca księgowego ci się nie spodobała, zawsze znajdziesz robotę jako sprzątaczką – zażartowałam.

– Nie, nie, na pewno bardzo mi się spodoba – odparł całkowicie poważnie.

Problem z Markiem polegał właśnie na tym, że wszystko brał na poważnie. Ta myśl nasza mnie, zanim zdążyłam ją powstrzymać. „Nie, nie, nie”, zganiłam się. Nie chciałam mieć o Marku krytycznych myśli. Chciałam iść z nim na trzy randki i bal maturalny. Nie chciałam rozważać, jaki jest poważny, rozsądny, sumienny – i całkowicie pozbawiony poczucia humoru. Mark był dobrym chłopakiem, dużo miłszym od Tima. Był grzeczny, przyzwoity, pełen szacunku i... nudny.

Nie dało się tego nie zauważyć. Mark był nudny. Czułam się tak, jakbym chodziła na randki z facetem w średnim wieku – wróć: z księgowym w średnim wieku.

– Czy mogę cię odwiedzić do domu?

– Nie, nie fatyguj się. Mieszkam kilka przecznic stąd. Przejdę się.

– W takim razie odprowadzę cię.

Czując wyrzuty sumienia z powodu swoich okropnych myśli o nim, nie zaprotestowałam.

Szliśmy wolno chodnikiem i trzymaliśmy się czule za ręce.

– Dziękuję za wskazówkę o proporcjach ubrań – odezwałam się, żeby zapełnić ciszę. – To mi dało dużo do myślenia.

– Cieszę się, że mogłem ci pomóc. Zauważyłem, że gdy naprawdę poważnie się nad czymś zastanowić, zawsze łatwiej znaleźć rozwiązanie problemu – powiedział. – Mój tata zawsze mówi: „Nawet jeśli nie uda ci się przy pierwszym podejściu, próbuj dalej, do skutku”.

Zmusiłam się do uśmiechu. Nagle coś mi się przypomniało.

– Mark, powiedz mi o sobie coś ciekawego. Szybko, zaskocz mnie – powtórzyłam za Timem.

Mark sam wyglądał na zaskoczonego.

– Coś ciekawego?...

– Tak, co jest w tobie najbardziej interesujące?

– Hm, muszę się zastanowić.

Zastanawiał się dość długo. Być może – jak podsunęła moja wewnętrzna zołza, zanim zdążyłam ją uciszyć – musiał naprawdę głęboko poszperać, żeby coś takiego znaleźć.

– Okej, mam. To coś raczej unikalnego.

Nadzieja!

– Tak? Co to takiego?

– Napisałem krótkie studium o historii rachunkowości.

Rozpacz.

– Początkowo to miała być szkolna praca na zaliczenie, ale przerodziła się w szczególne hobby. Mam całkiem sporą kolekcję książek na ten temat, w tym współczesny reprint oryginału *Summa de Arithmetica* Luki Paciolo. Był franciszkaninem i matematykiem, twórcą metody podwójnego zapisu w rachunkowości używanej przez weneckich kupców – ciągnął. – W 1494 roku! – dodał, jakby sądził, że ta informacja niesamowicie mnie zainteresuje.

– Okej. Łał. – Tylko taki komentarz byłam w stanie z siebie wydobyć.

Podczas drogi powrotnej do domu dowiedziałam się o staruszku Paciolim i jego podwójnym zapisie więcej, niż chciałam.

– No to dobranoc – powiedziałam, gdy dotarliśmy pod mój dom.

– Dzięki za cudowny wieczór, Peyton. Mam nadzieję, że go wkrótce powtórzymy.

– Tak, pewnie.

– Następnym razem ty możesz wybrać film. Uważam, że w związku strony powinny robić wszystko na zmianę, nie sądzisz?

To my byliśmy w związku?

– Chyba tak.

Mark zbliżył się o krok, pochylił się i pocałował mnie w policzek. Gdy się cofnął, wyglądał na zadowolonego – jakby właśnie odhaczył kolejny punkt w ewidencji rachunkowej związku.

– To dobranoc, Peyton. Poczekam, aż bezpiecznie wejdiesz.

– Naprawdę nie musisz, nic mi nie będzie.

– Nie ma sprawy, nigdzie mi się nie spieszy. – Wyglądał jak przyklejony stopami do chodnika.

Poszłam powoli ścieżką obrosniętą trawą i zapuszczonymi krzewami, która prowadziła do drzwi wejściowych, a już na stopniach odwróciłam się i pomachałam Markowi, z nadzieją, że zrozumie aluzję. Ale on tylko mi odmachnął i stał dalej niczym ciężki, nieruchomy posąg Paciolego, który – jak już zdążyłam się dowiedzieć – wzniesiono przed kościołem we włoskim Sansepolcro.

Otworzyłam drzwi wejściowe i machając mu po raz ostatni, weszłam do środka. Natychmiast dopadła mnie przytłaczająca atmosfera domu. Westchnęłam i napisałam do Tori esemesa ze szczegółami mojej drugiej randki z Markiem. Wyrzałam przez okienko przy drzwiach i upewniwszy się, że Marka nie ma, poszłam do swojego pokoju, stąpając cicho jak kot, żeby mama mnie nie usłyszała.

Mówcie mi Kobieta-Kot.

Jest sobota wieczór, a ty nie na randce. Przyznasz się już do porażki? – zapytała Tori, gdy wczesny ruch w barze nieco zelżał i mieliśmy chwilę, by złapać oddech.

Stojący obok Steve, który przecierał lepkie plastikowe okładki menu, spojrzał na mnie z drwiącym wyczekiwaniem.

– Może trzeba ci przypomnieć: miałam już dwie randki z Markiem Rodriguezem, z czego ostatnia była raptem trzy dni temu. A on mierzy cały metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu.

Mark polecił z rodziną na weekend do Teksasu na quinceañerę kuzynki. Uważał, że takie wizyty – nie za częste, nie za rzadkie – są ważne dla podtrzymywania więzi rodzinnych. Sądził też, że rutyna jest dobra dla związku, więc chciał spotykać się ze mną regularnie w środy. Nie miałam nic przeciwko temu. Nie żebym marzyła, aby robić to częściej.

– Lubię niezmiennosc i przewidywalność – powiedział. – A poza tym uważam, że nie powinniśmy za bardzo się spieszyć. Nie za szybko i nie za wolno. Randka raz w tygodniu jest optymalnym rozwiązaniem.

Mark był jak wyjęta z bajki Złotowłosa.

– I – mówiłam teraz Tori i Steve'owi – na następną randkę, przypominam, już trzecią, idziemy za cztery dni.

Mina Steve'a nieco skwaśniała, gdy to usłyszał, ale Tori nie straciła rezonu.

– Brawo dla ciebie, Wielka P. Jeśli trzecia randka dojdzie do skutku, będziecie musieli tylko dotrwać do balu.

Bal maturalny miał być w kwietniu, czyli za siedem miesięcy. Siedem miesięcy środowych randek z Markiem. Stwierdziłam, że już łatwiej by mi było zarobić te pieniądze, biorąc dodatkowe zmiany w barze. Ale wtedy musiałabym im zapłacić i znosić ich chełpienie się zwycięstwem. No i zawiódłabym całą Drużynę Wysokich.

– Żaden problem – powiedziałam, zasłaniając włosami piekące uszy.

Następny dzień spędziłam na przeglądaniu sterty modowych czasopism – studiowałam projekty, mierzyłam długości i porównywałam proporcje ubrań. Gdy mama zobaczyła, jak taszczyć do swojego pokoju na górze pęk „Vogue'ów”, poszła za mną, żeby zobaczyć, co robię, i zapalała nagłym entuzjazmem.

– Mam też cały stos egzemplarzy „Harper's Bazaar”, tylko gdzie... Są w nich świetne rozkładówki z modą. Pójdę poszukać – powiedziała cała w skowronkach.

– Nie, dzięki, nie potrzebuję więcej czasopism. Te mi na razie wystarczą.

Spojrzałam na nią znacząco, a ona westchnęła tak, żebym poczuła się winna, i wyszła. Rzeczywiście byłoby mi jej żal – gdyby mnie tak pioruńsko nie irytowała.

Czasopisma były stare, niektóre z datą sprzed dziesięciu lat, tak więc i ubrania, które w nich prezentowano, przestały być modne. Ale mimo że sporo trendów co sezon zmieniało się o sto osiemdziesiąt stopni, na wielu rozkładówkach znajdowałam projekty ponadczasowych klasyków, jakie mogłam przestudiować i poznać szczegóły krojów, które nigdy tak naprawdę nie wyszły z mody.

Zaczynałam już mieć konkretne pomysły na to, co sprawdziłoby się na wysokiej sylwetce – w końcu te modelki do niskich nie należały – gdy nagle moją uwagę zwrócił reportaż o New York School of Fashion. Uczelnia była zlokalizowana w samym sercu nowojorskiej dzielnicy mody i wydawała się fantastyczna. Wyczytałam, że oferowała dwuletnie i czteroletnie studia z podstawowymi kursami, na których uczono projektowania, układania materiału, drapowania, szycia, krawiectwa i robienia wykrojów. Oprócz tego można się było zapisać na dodatkowe, bardziej wyspecjalizowane zajęcia z gorseciarstwa, projektowaniu dodatków oraz historii i przyszłości mody.

Czy ta uczelnia wciąż istniała? Odpaliłam starego peceta i skonsultowałam się z Profesorem Google.

Przeglądając zakładki na stronie internetowej uczelni, czułam, jak budzi się we mnie marzenie.

Czy to możliwe, żeby człowiek nie wiedział, czego tak naprawdę chce, dopóki tego nie zobaczy? Najwyraźniej tak, bo teraz byłam już pewna, że chcę właśnie tego. Chciałam być tą studentką szkicującą koronkowy gorset steampunkowej sukni balowej. Chciałam być tym chłopakiem spinającym na manekinie materiał zakietu w kolorze leśnej zieleni. Chciałam być tamtą dziewczyną w czarnej, wzorzystej sukience i odlotowych motocyklowych butach, zaczytującą się *Obrazkową historią mankietów*.

Kliknęłam zakładkę „czesne” i mój balonik entuzjazmu momentalnie pękł. Żegnajcie, marzenia. Równie dobrze mogli żądać miliona dolarów. Teraz moje oszczędności wydały mi się żałośnie małe – kropla w morzu wydatków, których wymagałyby nauka i życie w Nowym Jorku.

Byłam tak rozczarowana, tak sfrustrowana swoją denną sytuacją życiową i finansową, że zdążyłam już kliknąć „zamknij”, gdy do mojego mózgu dotarło to, co na ułamek sekundy rzuciło mi się w oczy.

„Stypendia”.

Załadowałam stronę ponownie i zaczęłam uważnie czytać. Co roku uczelnia przyznawała pełne stypendium – w tym pokrywające koszty czesnego i zakwaterowania – niezamożnemu kandydatowi, którego podanie zrobiło największe wrażenie na komisji. Zaczęłam gorączkowo czytać o wymogach. Oprócz szczegółowego opisanie mojej sytuacji finansowej musiałabym zaprojektować pełną kolekcję ubrań, w tym koszule, spodnie, spódnice, sukienki i szale, a następnie złożyć w dziekanacie teczkę ze szkicami oraz pełnowymiarowe egzemplarze każdej zaprojektowanej przeze mnie części garderoby, plus pisemne uzasadnienie motywu przewodniego kolekcji. Musiałabym wysłać to wszystko do połowy stycznia.

Zaczęłam gorączkowo myśleć, co zrobić. I kupić: dobrej jakości materiały i nici, olśniewające guziki, sprzączki, galony i suwaki. To nie będzie tanie. Mogłabym spróbować wziąć więcej godzin w barze, ale to zabrałoby mi czas potrzebny do projektowania i szycia. Innymi słowy, musiałam wygrać ten zakład, po prostu musiałam. Osiemset dolarów pokryje straty, jakie mojemu funduszowi na studia wyrządzi skompletowanie portfolio. A w tym czasie zacznę już robić szkice, wykroje i ewentualnie jakieś próbne egzemplarze z odrzutów.

Może mi się udać. Jeśli będę pracowała ciężiej niż nad czymkolwiek dotychczas, jeśli poświęcę temu projektowi każdą wolną minutę, to może mi się udać. Ale będę potrzebowała pomocy – zwłaszcza przy części teoretycznej. Chwyciłam za telefon.

– Potrzebuję twojej eksperckiej porady. Mogę wpaść? – zapytałam Chloe.

– Znowu chodzi o chłopców? – odpowiedziała bez entuzjazmu.

– Nie, chodzi o...

– Albo o ten raport?

Chloe wycisnęła ze mnie wszystkie jego szczegóły, po czym przewróciła znacząco i sceptycznie oczami, gdy oznajmiłam, że Jay Young w ogóle mnie nie interesuje, poza tym, że za wszelką cenę chcę go unikać.

– Nie.

– Czy chodzi o te wtorkowe przesłuchania? Zdecydowałaś się spróbować?

– Tak, pójdę na przesłuchanie, ale nie o to chodzi. Chodzi o...

– Bo wiesz, że skoro Jay jest takim entuzjastą teatru, to pewnie będzie chciał wystąpić w tej sztuce? To dlatego idziesz na to przesłuchanie?

– Nie, nie dlatego. Idę, bo zajęcia pozalekcyjne będą dobrze wyglądać na moim podaniu na studia, Chloe, a nie z powodu jakiegoś chłopięcia. – Ale mówiąc to, poczułam, jak zaczynają mnie piec uszy. – W każdym razie potrzebuję twojej pomocy w czymś innym.

– A w czym?

– Chodzi o moją przyszłość.

– Proszę o szersze wyjaśnienia.

– Wiem już, co chcę studiować i gdzie! Ale potrzebuję pomocy przy pisaniu podania o stypendium.

– Ooo, to mi wygląda na temat przy trzech filiżankach herbaty! Natychmiast przychodź, a ja zaparzę dla ciebie coś specjalnego.

– A nie możemy dla odmiany napić się mleka czekoladowego?

– Chyba rozmarynowo-miętowego. Rozmaryn podobno stymuluje koncentrację i poprawia jasność umysłu – wyjaśniała.

– A mięta?

– Wzmaga kreatywność.

Bardzo dobrze. Bo abstrahując od tworzenia projektów i pisania podania, będę potrzebowała fenomenalnej kreatywności na wtorkowych przesłuchaniach. A także powinnam wpaść na jakieś twórcze pomysły, żeby ulepszyć randki z Markiem, jeśli nasz „związek” ma dotrwać do balu maturalnego.

A teraz bezdyskusyjnie musiał do niego dotrwać.

Nawet w pozycji siedzącej Jay Young górował nad wszystkimi głową i barkami.

On i Faye, która czubkiem głowy nie sięgała mu nawet do ramienia, siedzieli w drugim rzędzie szkolnego audytorium. Ja byłam kilka rzędów dalej obok Chloe, która przyszła ze mną na wtorkowe przesłuchania w charakterze emocjonalnego wsparcia.

Pani Gooding, prowadząca zajęcia teatralne z maturzystami, powitała zebranych kandydatów i przedstawiła reżysera spektaklu, naszego kolegę Douga Eschera.

– Uważam, że moi uczniowie wynoszą stąd najwięcej wiedzy, gdy zostawia im się do przygotowania całą inscenizację. Dziś będę siedziała z boku i sprawdzała prace domowe, a w przyszłości wpadnę od czasu do czasu, żeby sprawdzić, jak sobie radzicie, ale zasadniczo stery oddaję Dougowi.

Po swojej przemowie usiadła w najdalszym kącie audytorium, a jej miejsce z przodu zajął Doug.

– *Romero i Julia* – zaczął – to współczesna adaptacja *Romea i Julii*.

– Człowieku, Szekspir? – jęknął głośno mój wyszczekany kolega z klasy, Zack, który siedział tuż za mną.

– Zack, chyba powiedziałem „współczesna adaptacja”, tak? Nasza sztuka nie jest napisana staroangielskim, ale opowieść o zwaśnionych rodach i parze kochanków przez gwiazdy przeklętych to coś uniwersalnego i ponadczasowego.

– Czyli to historia miłosna? – zapytała Faye.

– Częściowo.

– Jakie jest miejsce akcji? – To pytanie zadał Jay.

– Jeśli nie będziecie mi ciągle wchodzić w słowo, to wszystko po kolei wyjaśnię. – Doug zaczął się irytować. Już występowałam w jego przedstawieniach i wiedziałam, że ma talent do irytacji. – Akcja toczy się tutaj, w Baltimore. We współczesnym Baltimore – dodał, rzucając Zackowi znaczące spojrzenie. – Mieście pogrążonym w kryzysie finansowym, gdzie panuje bezrobocie i narasta napięcie między bogatymi i biednymi. Rodzina Capitanich, czyli nasi współcześni Kapuleci, to obrzydliwie bogaty ród mieszkający w rezydencji w Roland Park.

Siedzący za mną Zack gwizdnął z aprobatą.

– O rany, przydałby mi się ożenek z jakąś panną Capitani. Wybacz, Peyton, podobają mi się dziewczyny z długimi nogami, ale jeszcze bardziej te z grubymi dolarami.

– Postaram się nie umrzeć z rozpacz po takiej stracie – bąknęłam.

– Pan Capitani jest odnoszącym ogromne sukcesy biznesmenem, to prezes wielkiej stalowni. A jego oczkiem w głowie jest piękna i nieco rozpieszczona córka, Julia. Natomiast rodzina Romera Montagny to robotnicy z Washington Village...

– Stary, z Pigtown! – zawołał Zack.

– ...próbujący jakoś przeżyć w ciężkich czasach, które stają się jeszcze cięższe, gdy Capitani Steel usiłuje zwolnić jedną trzecią załogi, w tym oboje rodziców Romera. Pan Montagna przewodniczy miejscowemu oddziałowi związków zawodowych i zwołuje wszystkich robotników stalowni do strajku protestacyjnego przeciwko zwolnieniom.

– A kiedy wchodzi kochankowie? – zapytała Faye.

– Zaraz – warknął Doug. – I w takich niespokojnych czasach Julia, rozpieszczona córa przywileju, spotyka Romera, syna działacza ruchu robotniczego, a ma to miejsce na plaży w Rockfish Point, niewielkim nadmorskim miasteczku gdzieś nad Zatoką Chesapeake. Zakochują się w sobie, nie wiedząc, kim jest to drugie. I wtedy...

– Wszystko się pieprzy – dokończył poetycko Zack.

– Brzmi nawet nieźle – szepnęła Chloe.

I ja tak uważałam.

– Jeśli jest taki biedny, to jakim cudem stać go na wakacje na plaży? – zapytała drobna drugoklasistka o blond włosach i delikatnych rysach twarzy.

– W lato pracuję jako ratownik.
– A czy na końcu wszyscy też umierają, jak w oryginale? – padło kolejne pytanie Faye.
– Nie. Musimy mieć komplet przez trzy wieczory z rzędu – Doug wskazał fotele wypełniające po brzegi wielkie audytorium – a to nam się nie uda, jeśli zakończenie będzie przygnębiające.
– *Romeo i Julia* plus „żyli długo i szczęśliwie”? – zapytał z powątpiewaniem Jay.
– Dlatego też powiedziałem, że to adaptacja, nie wersja – odparł Doug, rozdrażniony do granic wytrzymałości. – Czy możemy już przejść do przesłuchań? Role żeńskie to Julia, jej matka, pokojówka i Rosa, do której Romero wzdycha, zanim zakochuje się od pierwszego wejrzenia w pięknej Julii. Role męskie to Romero, pan Capitani, pan Montagna, Patrice (nasz Parys), Tyrone (nasz Tybalt) i Matteo (Merkucjo, najlepszy przyjaciel Romea). A, i zakonnik, który w naszej adaptacji jest księdzem. Tak więc cztery role dla dziewczyn i siedem dla chłopaków.

Typowe.

– Dlaczego skoro zawsze jest dużo więcej dziewczyn chętnych do udziału w szkolnych przedstawieniach, reżyserzy ciągle wybierają sztuki z przewagą ról męskich? – zapytałam Chloe.

– Ja mam dla ciebie męską rolę, Pajaczkę Długonózkę – szepnął mi do ucha Zack. – Chodź do mnie i usiądź mi na kolanach, to ci pokażę.

Chloe uniosła wyczekująco brew, spoglądając na mnie. Gdy nie powiedziałam nic, żeby go utemperować, rzuciła nam obojgu gniewne spojrzenia.

– To jest molestowanie seksualne, Zack. Przestań! A poza tym gdyby Peyton usiadła ci na kolanach, czego i tak nigdy się nie doczekasz, toby cię pewnie zmiażdżyła. Musisz być od niej o jakieś trzydzieści centymetrów niższy i dobre dziesięć kilo lżejszy.

– Dzięki, Chloe – powiedziałam. – Od razu mi poprawiłaś humor.

– Jestem silniejszy, niż na to wyglądam, Wielka P. – odparował Zack. – I na pewno znasz to powiedzenie: w łóżku wszystko się wyrównuje. – Zachichotał głośno ze swojego dowcipu i przerwał dopiero, gdy Doug, który rozdawał teksty przesłuchań, znowu się odezwał.

– Mamy trzy teksty: dialog między Romerem a Julią, Romerem a Matteem i ostatni, między Julią a jej piastunką. To znaczy pokojówką. Wybierzcie jeden i go przygotujcie. Zaczynamy za dziesięć minut. Jakies pytania?

– Kiedy się dowiemy, jakie dostaliśmy role? – zapytała Faye.

– W czwartek rano wywieszę listę na tablicy ogłoszeń dla maturzystów. Coś jeszcze?

Podniosłam rękę – nie wiem czemu, w końcu Doug nie był nauczycielem.

– Eee... Czy męskie role muszą grać chłopcy?

Doug przez chwilę się zastanawiał, sprawdzając nazwiska kandydatów i być może zauważając w końcu, że większość z nich to dziewczyny.

– Chyba nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy mieć kobiety Parysa czy kobiety Tybalta – orzekł. – Ale według mnie Romero powinien być facetem, a Julia dziewczyną.

– Boisz się kontrowersji? – zapytała Chloe. W odpowiedzi Doug tylko wzruszył ramionami.

– Człowieku, Romero i Julio! – zachichotał Zack. – Albo lepiej, para babek: Ramona i Julia!

Przebiegłam wzrokiem po trzech dialogach do wyboru.

– Co sądzisz? – zapytałam Chloe.

– Możesz starać się o rolę żeńską, nigdy nie wiadomo, czy się nie uda.

– Jasne, ale nie rób sobie nadziei.

Moje przesłuchanie poszło dobrze, choć stojąc obok Wren, drobnej, ładnej blond drugoklasistki, czułam się jak olbrzymia amazonka, a ona zapewne wyglądała przy mnie na zwiewną wrózkę. Wybrałam rolę pokojówki, ze wszystkich sił starając się nie rozpraszać skierowanymi do mnie z „widowni” gestami. Chloe wyszczerzyła zęby w uśmiechu i pomachała mi obiema rękami – jedną pokazując uniesione kciuki, a drugą krzyżując palce. Zack pogłaskał się po urojonych piersiach i wskazał na swoje kolana, a potem na mnie, cały czas lubieżnie się uśmiechając. Najbardziej jednak rozpraszał mnie Jay, który zanim zaczęłam, posłał mi pełen zachęty uśmiech, a gdy skończyłam, skinął z aprobatą głową.

Zostałam, żeby zobaczyć inne przesłuchania, i dowiedziałam się paru bardzo interesujących

rzeczy.

Po pierwsze, Faye była strasznie kiepska. Gdyby to był koncert pierwszoklasistów, grałaby drzewo albo kamień. W ogóle nie pasowała do tego przedstawienia.

Faworytką do roli Julii okazała się Wren. Nie tylko umiała dobrze grać, ale też każdy cal jej ładniutkiej, drobnej osoby był stworzony do odegrania tej czarującej, usychającej z miłości postaci. Wszyscy chłopcy wyglądali na zauroczonych.

Patrząc, jak Wren uśmiecha się zalotnie, czytając dialog z Jayem, Zack westchnął głęboko.

– O rety, poziom sexy nie do pobicia.

Istniała jakaś szansa, że dostanie mi się rola pani Capitani, ale jednak wyglądało na to, że moją największą rywalką do roli pokojówki Julii była Liz Cruller, pulchna maturzystka z krótkimi rudymi włosami, która ewidentnie miała talent.

Ostatnią ciekawą rzeczą, o jakiej się przekonałam, było to, że Jay Young jest najlepszym aktorem, jakiego w życiu widziałam na deskach teatru. Nawet po kilku marnych minutach przygotowań jego występ zostawił nas wszystkich daleko w tyle. Doug nagroził go owocami na stojąco i prawie skakał z radości, że wreszcie może pracować z tak wielce utalentowanym aktorem.

Stwierdziłam, że teraz największym problemem reżysera będzie stworzenie takiego przedstawienia, aby różnica między jednym znakomitym aktorem a resztą obsady, która wyglądała przy nim jak zgraja beznadziejnych amatorów, za bardzo nie rzucała się w oczy.

Moja trzecia randka z Markiem odbyła się następnego wieczoru. Nie mogłam się doczekać, kiedy napiszę Tori esemesa ze szczegółami – wieści o trzeciej randce z tym samym chłopakiem na pewno zachwiałyby w posadach jej drwiącym przekonaniem, że nikt nie uważa mnie za atrakcyjną i nie chce się ze mną umawiać.

Zaproponowałam, żebyśmy znowu poszli do kina, bo stwierdziłam, że nie dam rady stawić czoła kilku godzinom poważnej rozmowy z Markiem, cały czas siedząc jak na szpilkach w oczekiwaniu na wyniki przesłuchań, które miały się pojawić następnego dnia rano. Kiedy przypomniał mi, że teraz moja kolej na wybranie filmu, zaproponowałam melodramat osadzony w czasach drugiej wojny światowej – chciałam przede wszystkim poprzyglądać się ówczesnym kostiumom.

Niestety romantyczne sceny zainspirowały Marka nie tylko do trzymania mnie za rękę, ale i do objęcia mnie i położenia sobie mojej głowy na ramieniu. Nie chciałam zranić jego uczuć, odsuwając się zbyt wcześnie, ale na dłuższą metę było mi w tej pozycji niewygodnie i na krawieckie detale ekranowych wywatowanych ramion, luźnych garniturów, ściśniętych talii i przekrzywionych beretów musiałam patrzeć kątem oka.

Po filmie Mark znowu odprowadził mnie do domu i w drodze wyglądał na lekko zaniepokojonego, słysząc strzykanie w moim karku, gdy wyciągałam szyję w próbach pozbycia się skurczów.

– Czytałem, że nie powinno się tak robić.

– Tak, lepiej chyba zostawić te zabiegi profesjonalnemu kręgarzowi.

– Nie pochwalam praktyk medycyny niekonwencjonalnej. Uważam, że rozsądniej jest trzymać się prawdziwych profesjonalistów jak lekarze i fizjoterapeuci. Tak radzi mój tata, a ja zazwyczaj stosuję się do jego rad.

– Jasne.

– Peyton, chciałbym, żebyś poznała moich rodziców. W końcu byliśmy już na trzech randkach. Milczałam.

– Twoich rodziców też chciałbym poznać – podsunął z nadzieją w oczach.

– Moi rodzice się rozwiedli – powiedziałam szybko. – Z tatą prawie się nie widuję.

– Mieszkasz z mamą?

Skinęłam głową. Nie podobał mi się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa.

– Może po odprowadzeniu cię mógłbym wejść z tobą i ją poznać?

– Nie.

Zrobił lekko obrażoną minę.

– Nie chcesz, żebym ją poznał?

Właśnie tak.

– Nie, nie o to chodzi. Ona jest po prostu... chora. – Ani jednego kłamliwego słowa. – I nie chciałabym jej przeszkadzać w odpoczynku.

Ten argument mocno przemówił do taktu i zdrowego rozsądku Marka.

– Naturalnie, całkowicie to rozumiem. Mój tata mówi, że gdy ludzie chorują, potrzebują ciszy i spokoju, żeby wrócić do pełni sił. Przekaż mamie, że mam nadzieję na jej szybkie wyzdrowienie.

– Dobrze, przekażę. – Wszystko, byleby tylko skończyć ten temat. – Hej, znasz kawał o zarazku?

– Chyba nie.

– Nieważne, nie chcę go rozsiewać.

Zero odpowiedzi.

– Ba-dum-tsss! – powiedziałam, udając ruchy perkusisty. – Koniec kawału. To była puenta.

– Ach, rozumiem, bo zarazki się rozsiewa. O to chodzi?

– Tak, Mark, o to chodzi.

– Jesteś bardzo zabawna, Peyton. – Położył mi dłonie na ramionach i spojrzał poważnie w oczy.

– Chciałbym cię teraz pocałować. Mogę?

O matko.

– Chyba tak.

Może jego pocałunek rozпали we mnie jakieś iskry. Może będzie żywiołowy, dziki albo przyjemny.

Ale nie. Był tylko wilgotny.

Nie przeszły mi od niego ciarki, nie zaparło tchu i nie poczułam wiatru we włosach. Było zupełnie inaczej niż z Jayem. No i proszę, znowu pojawił się w mojej głowie. Starając się wrócić do rzeczywistości, odwzajemniłam pocałunek Marka. I to z nawiązką. Przycisnęłam mocno usta do jego ust, owinęłam ręce wokół jego szyi i przywarłam do niego.

Jego pocałunek zrobił się momentalnie wilgotniejszy, na granicy zaślinienia. A ja natychmiast poczułam się po prostu okropnie. Bo sądząc po jego jękach i reakcji ciała, którą wyraźnie poczułam na swoim, Markowi ewidentnie się to podobało. A mnie... nie.

Podniósł głowę, wziął głęboki oddech i znowu mnie pocałował. Tym razem coś poczułam, a nawet całą masę czegoś – lekkie obrzydzenie, chęć odepchnięcia go i ucieczki do domu, niepokój o to, jak dotrzmam z nim do balu, oraz wyrzuty sumienia. Okropne wyrzuty sumienia, że wykorzystywałam tego chłopaka tylko do wygrania zakładu, wiedząc już, że nie żywię do niego absolutnie żadnych romantycznych uczuć. Wyrzuty sumienia, że może się we mnie zakochać w zupełnie nierozsądny i nieumiarkowany sposób i że gdyby się dowiedział, co naprawdę do niego czuję, to mogłoby go zboleć.

Oderwałam się od niego.

– Och, spójrz tylko, która godzina. Muszę bieć – paplałam i ruszyłam spieszenie w stronę domu.

– Naturalnie – odpowiedział pełnym zrozumienia tonem. – Pewnie martwisz się o mamę.

– Tak. – Powiedzmy, że tak było.

– Ja też się martwię o swoją mamę. Za dużo pracuje. Wciąż jej powtarzam, że potrzebuje więcej równowagi między zawodem a życiem rodzinnym, ale ona mówi, że jej praca jest zbyt ważna, by ją lekceważyć. – Mark pokręcił głową i cmoknął, wyrażając dezaprobatę dla nieumiarkowania swojej matki.

– Co robi twoja mama?

– Jest fizyczką, zajmuje się cząsteczkami elementarnymi.

– Łał! – Pani Rodriguez wydawała się o niebo bardziej interesująca od swojego syna.

– A czym zajmuje się twoja? – zapytał Mark.

– Pracuje z domu. Jest wirtualną asystentką klubu outdoorowego. – Czy istniał ktoś, kto miał mniej pasujący do siebie zawód niż ona? – Ale praca twojej mamy imponuje.

– Tak, to prawda. Jednak mówiąc szczerze, jest też trochę kłopotliwa.

– Dlaczego?

– Udało jej się dostać dożywotnią posadę przy Wielkim Zderzaczu Hadronów.

Musiałam mieć głupią minę, bo zaczął wyjaśniać.

– Wiesz, to największa maszyna na świecie, zderza ze sobą cząstki mknące prawie z prędkością światła w nadziei na znalezienie boskiej cząstki i zrozumienie natury wszechświata.

– Ależ to niesamowite!

– Tak, ale na to potrzeba wielu lat. I to oznacza przeprowadzkę całej naszej rodziny do Szwajcarii.

Mój tata mówi...

– Zaraz, do Szwajcarii? – przerwałam mu. – Przeprowadzasz się do Szwajcarii?

– Tak, a dokładniej do Genewy.

– Kiedy?

– Mama zaczyna pracę w listopadzie, ale tata uważa, że rozsądniej będzie, jeśli ja i siostra skończymy w spokoju semestr. Tak więc we trójkę dołączymy do mamy w grudniu.

– Ale, ale... Grudzień? – To oznaczało, że do kwietnia i do balu maturalnego Mark zdąży już zamieszkać w diabelskiej Genewie.

– Tak, wiem, że to oznacza komplikacje dla naszego związku. – Zmarszczył brwi i ścisnął mnie

pocieszająco za ramię.

– Ale co ze szkołą? Nie lepiej, żebyś zrobił tu maturę? – zaproponowałam. – W Szwajcarii mają pewnie zupełnie inny program nauczania, będziesz musiał zaczynać od zera.

To ja będę musiała zaczynać od zera – a na Liście Wysokich Chłopców zostały już tylko dwa nazwiska.

– Ostatnią klasę skończę w Międzynarodowej Amerykańskiej Szkole w Genewie, której program nauczania pokrywa się w całości z naszym. Spodziewam się, że będę potrzebował trochę czasu, aby się zaaklimatyzować w nowej kulturze, i oczywiście będę tęsknił za naszymi środowowymi randkami. – Posłał mi smutny uśmiech.

– Wrócisz chociaż na bal maturalny? – zapytałam zdesperowana.

Mark zachichotał. Po raz pierwszy słyszałam, jak się śmieje, a ja wcale nie żartowałam.

Lista Wysoki

~~1. Jay You~~

~~2. Tim An~~

~~3. Mark~~

~~4. W~~

Środowe wieczory przestały być zarezerwowane na randki z Markiem. Wykręciłam się z tego związku, mówiąc, że im dłużej będziemy go ciągnąć, tym boleśnieszce czeka nas rozstanie. Staralam się to zrobić delikatnie, ale na mojej twarzy chyba odmalowała się część ulgi, jaką odczuwałam na myśl, że nie będę się już musiała z nim spotykać, bo Mark wyglądał na zranionego i zapytał:

– Ale nie chcesz spędzić ze mną tego czasu, który nam pozostał? Nie lubisz mnie?

Czułam się jak ostatnia małpa. Gdy zapraszałam go na pierwszą randkę, nie zastanawiałam się nad tym, co czuje i co może zacząć czuć. Nie powinnam była tak go wykorzystywać. Mark był dobrym chłopakiem. Zasługiwał na lepsze traktowanie.

– Ależ oczywiście, że cię lubię. Jesteś naprawdę sympatyczny. Po prostu według mnie ciągnięcie naszego związku, wiedząc, że będzie się musiał zakończyć przed twoim wyjazdem, nie byłoby rozsądne czy odpowiedzialne.

– Jest w tym trochę prawdy – przyznał Mark, mrugając oczami, żeby powstrzymać napływającą łzę. – Mój tata mówi, że związki na odległość rzadko są udane.

Pocałowałam go w policzek i odeszłam zgarbiona, postanawiając dać kolejnemu chłopakowi szansę, a jeśli po pierwszej randce nie będę nim zainteresowana, powiem mu o zakładzie i zobaczymy, co dalej.

Dałam sobie kilka tygodni urlopu od chłopaków. Postąpiłabym bezdusznie, zapraszając na randkę kolejnego tuż po „zerwaniu” z Markiem, a poza tym do balu maturalnego zostało jeszcze dużo czasu. Plus nie dało się ukryć, że mój umysł, oczy i inne części ciała były skupione na bezczelnie podkradzionym numerze jeden. A to dlatego, że środowe wieczory poświęcałam teraz *Romerowi i Julii*.

Na pierwszej próbie w ostatnią środę września Doug usadził nas na krzesłach ustawionych w kręgu na środku sceny.

– Dziś zrobimy tylko pierwsze czytanie.

Nie chcąc, aby Jay pomyślał, że się do niego przystawiam, zajęłam krzesło jak najdalej od niego, zbyt późno uświadamiając sobie, że usiadłam dokładnie naprzeciwko, gdzie nie sposób unikać ani wzroku Jaya, ani napawania oczu jego widokiem. Wren, która naturalnie dostała rolę Julii, zajęła miejsce przy Jayu, czyli naszym Romerze – siedząca w pierwszym rzędzie na widowni Faye patrzyła na to zmrużonymi oczami. Nawet siedząc, Wren przypominała elfa. Jej małe stopy w subtelnym czółenkach nie dotykały podłogi, a czubkiem głowy sięgała Jayowi do pachy. Zatem teraz nawet Romeo i Julia łamali Prawo Wysokich Dziewczyn.

Zack, który dostał rolę Mattea, usiadł z mojej prawej strony i od razu zaczął sobie dowcipkować o tym, że od zawsze marzył o przespaniu się z duchownym. A to dlatego, że dostałam rolę zakonnika.

Oczywiście.

Gdy tylko zakomunikowałam to Chloe, ostrzegła mnie, że muszę bardzo uważać, aby nie patrzeć tęsknie na Jaya.

– To by już było do szpiku kości złe – powiedziała, robiąc zniesmaczoną minę.

Obsadzenie mnie w roli duchownego spotkało się różnymi reakcjami wśród obsady. Zaczęli debatować, czy kobieta może grać rolę zakonnika

– W mojej wersji Peyton nie jest żadnym zakonikiem – zaznaczył Doug – tylko księdzem.

To stwierdzenie spotkało się z falą protestów, że nie ma czegoś takiego jak kobiety księża, nawet w dwudziestym pierwszym wieku w Baltimore.

– W porządku. Będzie bezwyznaniowym przywódcą duchowym lokalnej społeczności. Zadoleni?

– „Bezwyznaniowy przywódca duchowy lokalnej społeczności”. To będzie się świetnie prezentowało w programie sztuki – mruknęłam.

Doug, który rozdawał scenariusze, nie usłyszał moich słów, ale Jay najwyraźniej tak, bo parsknął śmiechem.

Pierwsze czytanie poszło dobrze. Jay naprawdę zabłysnął. Do końca pierwszego aktu wszystkie

kobiety z widowni – i co najmniej paru facetów – omdleją z emocji. Zack zadziwił wszystkich nieokiełznaną energią, która ożywiła postać Mattea. Liz, mimo że nie mogła się powstrzymać od ciągłego rzucania mi triumfalnego spojrzenia, przeczytała rolę pokojówki naprawdę z humorem.

Wren wyglądała na zdecydowaną, by jej Julia była słodką, delikatną ofiarą zrzędzenia losu, a nie bogatą, rozpieszczoną panienką. Kiwała głową i uśmiechała się uroczo do Douga, który zachęcał ją, by wlała w swoją postać więcej drażliwości, po czym czytała dalej swoją rolę tak jak dotychczas. Spotkałam się wzrokiem z Jayem po jednej z tych jej czarujących odmów przyjęcia wskazówek reżyserskich i, sądząc po jego szerokim uśmiechu, on też to zauważył.

– Jesteście świetni! – powiedział Doug na zakończenie próby. Wyglądał, jakby mu ulżyło, ale uśmiech zszedł mu z twarzy, gdy próbowaliśmy ustawić grafik prób tak, żeby nie przeszkadzał nikomu w nauce i nie pokrywał się z datami naszych egzaminów.

– W porządku! – powiedział w końcu. – Spotkamy się za trzy tygodnie, dwudziestego pierwszego października, i wtedy zaczniemy próby w środowe wieczory i sobotnie popołudnia. Każdy, kto nie może się do tego dostosować, niech lepiej od razu zrezygnuje. – Spojrzał wściekle na wszystkich.

Zack odpowiedział za nas:

– Wyluzuj, stary, przyjdziemy.

– Pamiętajcie, żeby nauczyć się na pamięć swoich kwestii z pierwszego aktu.

∞

Ale na następnej próbie okazało się, że nikt ich nie umie. Zupełnie nikt. To była pierwsza rzecz, która rozdrażniła Douga. Drugą byłam ja.

Rozpoczął próbę od prośby, żeby każde z nas przeszło się po scenie jako postać, którą grało.

– Wolniej, Liz, pokojówka jest starszą kobietą.

– Ślicznie, Wren!

– Angela, bądź trochę bardziej nadęta.

– Jay, idealnie! Super!

– Nie machaj tak rękami, Zack.

Dougowi od razu nie spodobał się sposób, w jaki ja się poruszałam. Przez bite dziesięć minut kazał mi stawać, siadać i chodzić po scenie, a z sekundy na sekundę jego frustracja tylko rosła.

– Chodzi o to, że wyobrażałem sobie zakonnika...

– Bezwyznaniowego przywódcę duchowego lokalnej społeczności o nieokreślonej płci – poprawiłam go.

– Peyton, nie zaczynaj.

– Przepraszam.

– Wyobrażałem sobie go, ją, jako energiczną postać, zawsze w ruchu, spieszącą się z miejsca na miejsce.

– No i?

– Ale krzątanie się i spieszenie z miejsca na miejsce w twoim wykonaniu wygląda... nie wiem... po prostu źle. Myślę, że to dlatego, że jesteś za... – Wykrzywił usta w wyrazie niezadowolenia.

– Wysoka? – podsunęłam.

– Tak. Przepraszam. Jesteś po prostu za wysoka, żeby biegać po scenie.

– Może gdybym to inaczej zagrała? Mogłabym być poważniejsza i przechadzać się wolnym krokiem. Nie jak zabawny braciszek, ale bardziej jak ponury, stateczny mnich. – Przybrałam poważny, zamyślony wyraz twarzy i zrobiłam kilka wolnych kroków na scenie.

Doug się rozpozogdził.

– To może wypalić. Okej, poćwicz trochę mnisze chodzenie, a ja zajmę się naszą parą kochanków przez gwiazdy przeklętych. Romero! Julia! – wrzasnął.

Jay i Wren byli trzecią rzeczą, która przeniosła nastrój Douga z krainy marudności na granicę królestw „Z-tą-obsadą-będzie-trudniej-niż-myślałem” i „W-co-ja-się-wkopałem”.

Gdy przerywał pierwszą scenę Romera i Julii, reszta obsady siedziała na widowni, przyglądając

się temu. I chichocząc. Bo teraz już wszyscy widzieli to, co dla mnie było oczywiste od samego początku, już od pierwszej próby czytania.

– Rany, Jay jest naprawdę wysoki! – odezwał się Zack.

– Równie dobrze mogłeś powiedzieć, że Wren jest niska – odparowałam.

– Bez różnicy, oni po prostu do siebie nie pasują.

A to dlatego, że łamali Prawo Wysokich Dziewczyn. Które istniało nie bez powodu, jak do znudzenia powtarzałam Chloe.

– Rzeczywiście są trochę źle dobrani – przytaknęła Angela.

– Trochę źle dobrani? – Zack parsknął śmiechem. – Jedyna para, która byłaby gorzej dobrana, to Hagrid i Zgredek.

Wszyscy się roześmiali, ściągając na siebie piorunujące spojrzenie Douga, który dyrygował aktorami spod sceny.

– Można ciszej? Ja tu próbuję reżyserować – warknął, po czym wrócił do pary na scenie. – Wren, czemu wypowiadając tę kwestię, spoglądasz w niebo? To nie pasuje.

– Nie patrzę w niebo, tylko w oczy Jaya.

– Jedyna chwila, gdy będzie w stanie spojrzeć mu prosto w oczy, to scena, w której Julia stoi na balkonie, a Romero pod nim – powiedziała Angela.

– Zamkniecie się wreszcie? – warknął Doug w naszą stronę, ale na jego twarzy malowało się więcej zaniepokojenia niż wściekłości. Wszyscy widzieliśmy scenografię, którą sklemano za kulisami, i balkon był wystarczająco niski, żeby przewidywania Angeli mogły się sprawdzić.

– Po prostu będziesz musiała udawać, że patrzysz mu w oczy. – Doug zwrócił się do Wren. – Patrz na jego klatkę piersiową i może zrób przy tym krok w tył, żeby to nie było takie ewidentne.

– Hmm... Para kochanków przez gwiazdy przeklętych, którzy nie mogą zbliżyć się do siebie na metr – szepnęła Liz. – Już widzę ten sukces kasowy.

– Jak oni się mają... no wiesz, pocałować? – zapytałam.

– Może on powinien siedzieć, a ona stać?

Angela pokręciła głową.

– Nie tyle chodzi o to, że jest od niej wyższy, ile znacznie większy. Wren wygląda przy nim jak miniaturowa wróżka.

– Właśnie. W wiadomych scenach chyba ją zgniótl – dodał Zack.

Liz skinęła głową.

– Poza tym ona wygląda za młodo.

– W dramacie Szekspira Julia miała tylko trzynaście czy czternaście lat – wtrąciła Angela.

– Tak, ale Wren jest taka drobniutka, że dałabym jej jeszcze mniej – odparła Liz.

– Reasumując, Jay wygląda jak dorosły facet, a ona jak małe dziecko – stwierdził Zack. – Jeśli nie będziemy uważać, to dopiero będą kontrowersje.

Wszyscy wlepiliśmy wzrok w parę na scenie. Siedząca po drugiej stronie przejścia Faye pochyliła się, piorunując wzrokiem Wren, gdy wtuleni w siebie Romero i Julia obracali się w miejscu w wolnym, romantycznym tańcu. Mieli wypowiadać kwestie przez ramię drugiego za każdym razem, gdy odwracali się twarzą do widowni, co w teorii było świetnym reżyserskim pomysłem. A w praktyce po prostu nie działało.

Słowa Wren były całkowicie stłumione, bo twarz miała przyciśniętą do mostka Jaya i nawet na palcach nie była w stanie wyściubić nosa znad jego barków. A co gorsza, za każdym razem, gdy Jay był tyłem do widowni, całkowicie zasłaniał Wren i wyglądało, jakby tańczył sam. Wszyscy znowu wybuchnęli śmiechem, na co Doug wpadł w prawdziwy szal.

– Zamknąć się! ZAMKNAĆ SIĘ! To nie cholerna farsa, z czego tak się wszyscy śmiejecie? To nie jest wcale zabawne!

– Nie jest zabawne? Przykro mi o tym informować, panie reżyserze, ale ma pan tu prawdziwe pomieszanie z poplątaniem – powiedział Zack.

– Chodzi o to – dodała Angela taktownym tonem – że oni niezbyt do siebie pasują.

– Częsty problem, gdy naprawdę wysocy faceci spotykają się z niskimi dziewczynami – wtrąciłam, nie mogąc się powstrzymać, żeby nie skorzystać z okazji i nie oświecić reszty obsady co do jednego z podstawowych praw rządzących wszechświatem.

– Tak więc czasami to wygląda trochę... no cóż, śmiesznie – dokończyła swoją myśl Angela.

Jay i Wren przestali tańczyć i stanęli, gapiąc się na nas z wysokości sceny.

– Jakież pomysły? – zapytał Douga Jay.

– Ja mam pomysł – powiedział Zack. – Powinniśmy trochę przetasować obsadę. Po pierwsze, musisz dać mi rolę Romera, stary. Wzrostem jestem o niebo lepiej dopasowany do naszej Julii. – Zack rzucił Wren pożądliwe spojrzenie. – Rozmiarami pasowałbym do ciebie idealnie, maleńka. Już na samą myśl robi mi się gorąco.

– Czy ktoś mógłby załatwić mu wreszcie jakąś laskę? – powiedziała Liz, trzepiąc Zacka w tył głowy.

– Jeśli ty będziesz Romerem, to kogo ja mam grać? – zapytał Jay.

– Możesz być panem Capi, a Peyton zostanie panią Capi. Jesteście oboje wysocy, więc jako para nie będziecie śmiesznie wyglądać.

Otóż to, jakby czytał w moich myślach. I to tak dokładnie, że poczułam, jak się rumienię. Ze wszystkich sił starałam się nie patrzeć na Jaya.

– W takim razie co ze mną? – zapytała Angela.

– Ty możesz być piastunką – powiedział Zack, rozkręcając się. – a Liz zostanie duchowną.

I proszę, sprawa załatwiona!

– Zack, ja przez ciebie zwariuję – oznajmił Doug.

– Stary, ale musisz przyznać, że po zmianie obsady to by lepiej wyglądało.

– Może i wyglądałoby lepiej, ale...

Wiedziałam, o czym myśli Doug. Albo w głównych rolach obsadzi swoich najlepszych aktorów, ryzykując, że widownia będzie się tarzała ze śmiechu z powodu różnic fizycznych między nimi i scen pełnych niezręczności, albo, znalazłszy wreszcie licealistę, który umiałby wnieść do roli Romea energię, siłę i niesamowite zdolności aktorskie, zrezygnuje z tego wszystkiego i zmarnuje jego potencjał.

– Porozmawiam o tym z panią Gooding – stwierdził. – Zobaczymy, co powie.

Faye nie wyglądała na zachwyconą, że ktokolwiek miałby grać u boku Jaya, czy jako kochanka przez gwiazdy przeklęta, czy żona. Stwierdziłam, że pewnie wolałaby, aby nasza sztuka była wystawiana w stylu teatru elżbietańskiego, z chłopcami w żeńskich rolach. Gdy tylko próba dobiegła końca, uwiesiła się z powrotem na Jayu.

– Idziemy. Natychmiast.

Chwyliła go za rękę i poprowadziła między rzędami, bez wątpienia żalując, że nie są to rzędy ław kościelnych w drodze do ołtarza, i przez całą drogę zawzięcie szepcząc mu coś do ucha. Przy wyjściu oderwał się od niej i pchnął drzwi dużo mocniej, niż było trzeba.

Być może to było tylko moje pobożne życzenie, ale to mi naprawdę wyglądało na kłótnię.

Lista Wysoki

~~1. Jay You~~

~~2. Tim An~~

~~3. Mark~~

~~4. W~~

Całe życie dowiadujemy się nowych rzeczy, jak mawia Chloe.

Tym, czego ja się dowiedziałam w sobotni poranek, robiąc rodzinne pranie w Wishy-Washy nieopodal naszego domu, był niezaprzeczalny fakt, że tani materiał, z którego uszyłam sobie nowe ubrania, nie znosił zbyt dobrze tortur pralki.

– Trzeba było to uprać w zimnej wodzie. I dosypać trochę soli dla zachowania kolorów – powiedziała pracownica pralni.

– Dzięki. – Za megapomocną wskazówkę udzieloną pół godziny za późno.

Czerń z moich dzinsów z motywem różyczek się sprąła, więc wzór zamienił się w zwykłą zbieraninę szarych smug, a mój niebieski, bawełniany top skurczył się tak bardzo, że nawet Wren by w niego nie weszła.

– Zapamiętam na przyszłość – odparłam, nie patrząc na nią. Miała na gardle kępkę włosów, które zawsze przyciągały mój wzrok, a nie chciałam jej zawstydzać gapieniem się.

Ona tymczasem nie miała takich oporów. Za każdym razem, gdy przychodziłam do pralni, wpatrywała się we mnie, jakbym była jakąś żyrafą w klatce dla królików, i komentowała mój wzrost.

– Czy twoi rodzice są wysocy? – zapytała tego dnia.

– Tak.

– Jesteś modelką?

– Nie. – To pytanie nigdy mi nie schlebiało; ludziom przychodziło na myśl tylko z powodu mojego wzrostu.

Zgięłam się wpół, żeby wrzucić mokre pranie do suszarki. Podczas gdy ubrania koziółkowały w środku, zapewne kurcząc się jeszcze bardziej, ja poddałam wyliczance dwa ostatnie nazwiska na Liście Wysokich Chłopców. Powinnam pewnie wypowiedzieć jakieś zaklęcie albo złożyć ofiarę z koźlęcia – wszystko, byle tylko zwiększyć swoje szczęście w randkowaniu. „Raz, dwa, trzy, wygrasz ty”. Mój palec wylądował na Dylanie Jonesie.

Dylan był o rok młodszym ode mnie, chudym i przygarbionym chłopakiem, który zawsze wyglądał tak gburowato, że postanowiłam zaprosić go na randkę telefonicznie, a nie twarzą w twarz. Dostałam jego numer na informacji, zadzwoniłam i zacisnęłam kciuki, ale po usłyszeniu pierwszego sygnału rozłączyłam się. Przekląłam w duchu swoje tchórzostwo i jeszcze raz wybrałam numer.

– Taa? – z głosu po drugiej stronie słuchawki biła opryskliwość.

– Dylan?

– Tak.

– Z tej strony Peyton Lane.

– Kto?

– Peyton Lane? Liceum Longforda, klasa maturalna?

– Słucham.

– Dzwonię, żeby zapytać, czy nie miałbyś ochoty gdzieś kiedyś wyskoczyć.

– Co?

Czy ten facet w ogóle umiał sklecić choćby dwa słowa?

– Chodzi mi o randkę. Ty, ja, może jakiś film? – Kino było znacznie lepszym pomysłem niż spotkanie, na którym musielibyśmy rozmawiać. Mówiąc delikatnie, Dylan do gaduł nie należał. – Randka.

– Hah. – To nie był śmiech. Odgłos przypominał bardziej wydech z nutką szyderstwa i gburowatości.

– Więc? – Teraz to ja zaczęłam mówić pojedynczymi słowami. Może to było zaraźliwe.

– He?

– Czy. Masz. Ochotę. Na. Randkę. Ze mną?

– Ta?

To odpowiedź czy po prostu wrócił do swoich ustawień domyślnych?

– Tak? Zgadzasz się?

Usłyszałam w słuchawce jakiś szelest, a po chwili pytanie: „Kto mówi?”. Te słowa – całe dwa za jednym zamachem – plus żeński głos powiedziały mi, że Dylan został zwolniony z konieczności dalszego prowadzenia rozmowy.

– A z kim ja mam przyjemność? – odpowiedziałam pytaniem.

– Jestem osobą, która chce wiedzieć, dlaczego rozmawiasz z Dylanem.

– Randka – usłyszałam w tle mruknięcie Dylana.

– Zaprosiła cię na randkę? – zapytał żeński głos. – Zaprosiłaś go na randkę? – powtórzył głośno do słuchawki.

– Tak.

– A kim jesteś? – Teraz ton stał się naprawdę agresywny.

– Eee... Sulley. – Imię pluszaka było pierwszym, które przyszło mi do głowy.

– No cóż, Sally, z przykrością cię informuję, że Dylan jest od początku do końca zajęty.

– Zajęty?

– Tak, zajęty. Przeze mnie. Chodzimy ze sobą. Więc odchrzań się, zołzo!

Niewypał numer trzy. Wykreśliłam z listy nazwisko Dylana.

Było za wcześnie na panikę – do balu zostało jeszcze pięć miesięcy. Ale na liście rzadkich okazów zachowało się już tylko jedno nazwisko.



Tego popołudnia na początku próby Doug klasnął w dłonie, żeby zwrócić na siebie naszą uwagę, i oznajmił:

– Słuchajcie, mam wam coś ważnego do powiedzenia. Rozmawiałem o naszym problemie z panią Gooding – skinął głową w kierunku nauczycielki, która ponownie zasiadła w najdalszym kącie audytorium – i po długich, bolesnych rozmyślaniach postanowiłem zmienić obsadę ról.

– Tak! – Zack uniósł pięść w geście triumfu. – Mówcie mi Romero. Hej, Wren, myślę, że powinniśmy dużo lepiej się poznać, żeby podrasować naszą sceniczną chemię. Co robisz dziś wieczorem?

– Nie tak szybko, Zack. Wciąż grasz Mattea – powiedział Doug.

Twarz Zacka ściągnęła się z rozczarowania.

– Ale...

– Jesteś zbyt dobry w tej roli. Nikt by jej lepiej nie zagrał.

– Skoro tak to ujmujesz... To znaczy tak, jestem naprawdę dobry. – Rozejrzał się wokół, szukając potwierdzenia.

– Jesteś niesamowity, Zack. Najlepszy – przytaknęła Liz z kamiennym wyrazem twarzy.

– No to które role zostały zamienione? – zapytał Jay.

– Ucieszysz się, jak na pewno my wszyscy, że wciąż jesteś Romerem, Jay.

Jay wypuścił z ulgą powietrze, szeroko się uśmiechnął i powiedział:

– Super. Dzięki.

– To żeńskie role musiałem przetasować. – Doug odchrząknął nerwowo. – Tak więc Wren zagra pokojówkę, Liz duchowną, a Peyton Julię – powiedział w tempie karabinu maszynowego.

– Słucham? – Musiałam się przesłyszeć. – Mógłbyś powtórzyć?

– Właśnie – podchwyciła Wren z nadąsaną miną. – Powtórz.

– Ty będziesz pokojówką, Liz bezwyznaniowym przywódcą duchowym...

– A kto będzie Julią?

– Peyton – powtórzył Doug, a na jego twarzy pojawiło się coś na kształt skrzywienia.

– Ja? Ja mam być Julią? Chcesz mnie obsadzić w żeńskiej roli? I do tego głównej? W parze z Jayem?

Zerknęłam na siedzącego po drugiej stronie Jaya, który patrzył na mnie, kiwając wolno głową z lekkim uśmiechem, jakby uważał, że to wcale nie jest najbardziej niedorzeczny pomysł w historii

teatru.

– Tak. Umiesz grać, wiem o tym z poprzednich lat. To znaczy nigdy nie widziałem cię w żadnej żeńskiej roli – uściślił – ale jestem pewien, że dasz sobie radę. No i w grę wchodzi też najważniejsza sprawa, czyli dobranie naszej pary pod względem warunków fizycznych. Masz idealny wzrost, żeby zagrać u boku Jaya.

– Ha. – Choć raz w życiu, a zapewne w ogóle po raz pierwszy, dzięki mojemu wzrostowi spotkało mnie coś dobrego.

Emocje kłębiły się we mnie jak tego ranka poskręcane ubrania w pralce. Byłam dumna, że choć raz powierzono mi dużą rolę, poczułam dreszczyk emocji na myśl o tak fantastycznym wyzwaniu i podekscytowanie, że wreszcie mam okazję zagrać prawdziwą kobietę. Ale byłam też przerażona. Czy uda mi się zrobić to dobrze? Sądząc po pełnych sceptycyzmu spojrzeniach, jakie na mnie padały, większość obsady miała poważne wątpliwości co do moich zdolności aktorskich – nawet Doug nie wyglądał na całkowicie przekonanego co do słuszności swojej decyzji.

– Ja chciałam zagrać Julię – zwróciła się do niego Wren, mrugając oczami, żeby powstrzymać napływające łzy, i wydymając uroczo wargi.

– Jesteś świetną aktorką, Wren. Ale chodzisz do drugiej klasy i masz jeszcze dwa lata, żeby zagrać wiele głównych ról. Jay jest maturzystą, więc to jego ostatnia szansa. No i przykro mi to mówić, ale w parze wyglądacie po prostu źle. Jednakowoż – powiedział – dopisałem ci więcej kwestii i mam parę pomysłów na to, jak mogłabyś zagrać tę rolę w rewelacyjny, nowatorski sposób.

Wren pociągnęła nosem, ale wyglądała na udobruchaną.

– Okej, zgadzam się – powiedziała. – Chyba.

– Liz, rola duchownej ci odpowiada?

Liz wzruszyła ramionami.

– Będę mogła otruć popularnego chłopca. Czy coś może się w tym nie podobać?

– Jay, a tobie te zmiany odpowiadają? – zapytał Doug.

– Pewnie. Peyton, partnerko, do roboty!

Gdy uświadomiłam sobie, co tak naprawdę oznacza gra u boku Jaya, ścisnęło mnie w żołądku. Wiele godzin wspólnych prób, szeptanie do siebie romantycznych kwestii, wpatrywanie się sobie tęsknie w oczy. I pocałunki!

Poczułam, jak zalewa mnie fala paniki. Moje ciało zeszywniało. Ja, dziewczyna zauroczona Jayem, miałam zagrać główną bohaterkę na zabój zakochaną w Romerze, ale nie mogłam pozwolić, by Jay, chłopak Faye, zdał sobie sprawę, co do niego czuję w prawdziwym życiu. Będę musiała grać tak na scenie, jak i poza nią. Jak, do diaska, miałam to zrobić?

Ta panika musiała być widoczna na mojej twarzy, bo Doug zaczął mnie motywować.

– Dasz radę, Peyton. Na pewno dasz radę. A Jay ci pomoże. Zrobimy wszystko, żeby się udało: dodatkowe próby tylko dla was dwojga, ćwiczenia na budowanie zaufania, zajęcia poświęcone pracy ciałem.

Zack zachichotał. Zaczęłam gapić się na Jaya, przełykając mocno ślinę. Jay stłumił śmiech.

– Dobrze, to zacznijmy od początku, od pierwszego czytania, tym razem ze wszystkimi w nowych rolach – zarządził Doug.

Raz jeszcze ustawiliśmy krzesła w kręgu na scenie, ale teraz usiadłam obok Jaya, a nie naprzeciwko niego.

– Tygrysie Oczy, wszystko w porządku? – zapytał miękko, gdy przycupnęłam na krześle obok. – Wyglądasz na lekko spanikowaną.

– Wszystko gra – wychrypiałam.

Starając się nie patrzeć prosto na niego, wbiłam wzrok w jego lewą dłoń, którą położył sobie luźno na udzie. To była duża dłoń, większa od mojej – tego byłam pewna. Palce miał długie, paznokcie krótkie, a skórę na grzbiecie nakrapianą piegami jak na nosie.

– Peyton?

Odwrociłam się, by spojrzeć w te oliwkowe oczy, i znowu ścisnęło mnie w żołądku. Jak miałam

dać radę, nie rozplywając się za każdym razem pod jego spojrzeniem? Jak miałam ukrywać swoje uczucia, żeby uniknąć upokorzenia siebie i zawstydzenia jego?

– Nie martw się. Naprawdę nie gryzę.

Nie musiał gryźć. Sam jego uśmiech wystarczył, żeby mnie zamroczyć i pozbawić równowagi.

Pakowałam do plecaka wszystko, czego tego dnia potrzebowałam – kurtkę, pozaznaczany i opatrzony komentarzami tekst *Romera i Julii*, prawie pusty portfel – gdy nagle do drzwi mojego pokoju zapukała mama.

– Och, wychodzisz? – zapytała, kiedy jej otworzyłam.

– Rano pomagam Chloe przy jej stoisku halloweenowym na targu rolnym, po południu mam próbę, a wieczorem pracę.

– Nie trzeba cię nigdzie podwieźć?

– Nie. – Ciekawe, co by zrobiła, gdybym odpowiedziała „tak”?

– Przykro mi, że musisz pracować w Halloween.

– Taa...

– Pewnie wolałabyś zostać w domu i popracować nad swoimi projektami krawieckimi? – Podeszła do mojej maszyny i wzięła do ręki kilka fragmentów starych wzorów krawieckich, żeby się im przyjrzeć. – Naprawdę masz głowę na karku, skoro potrafisz je rozgryźć.

Starając się zrobić to delikatnie, wyjęłam jej te kawałki z rąk i wsunęłam z powrotem do oznaczonych kopert, zanim miały szansę zaginać. Marzyłam, żeby mama nie zbliżała się do moich rzeczy – albo lepiej żeby nie zbliżała się do mojego pokoju. Te pogawędki matki z córką były z każdej strony niezręczne i niekomfortowe. Nie miałyśmy sobie nic do powiedzenia. A raczej to ona wiecznie nie miała nic do powiedzenia, zaś ja miałam tak dużo, że nie śmiałam powiedzieć nic, żeby czasem nie wylać z siebie wszystkich żali.

– Ale ty zawsze byłaś zręczna. Już jako mała dziewczynka lubiałaś robić ubranka. – Przerzucała kartki mojego szkicownika, uśmiechając się na widok powycinanych w kształt ubrań wzorzystych papierków po cukierkach, jesiennych liści i starego papieru prezentowego, przyklejonych w miejsce kawałków materiału na sylwetkach naszkicowanych przeze mnie modelek.

– Naprawdę?

– Tak, nie pamiętasz? Byłaś jeszcze bardzo malutka, a już tworzyłaś ubranka dla swoich lalek i pluszaków. Ze ściereczki do naczyń zrobiłaś sukienki dla misia i Barbie. A z papieru, bibuły i tym podobnych kapelusze. Przebieranie ich było twoją ulubioną zabawą i już wtedy miałaś do tego prawdziwy talent.

– Szyłaś te ubranka? – zapytałam, zaciekawiona wbrew sobie.

– W użyciu były chyba bardziej taśma klejąca i gumki recepturki niż nici, ale jeśli chcesz, to mogę to sprawdzić. Mam wszystkie twoje dzieła z dzieciństwa schowane w piwnicy. – Jej twarz pojaśniała na myśl o odkopaniu tych starych skarbów. – I oczywiście wciąż mam twojego ulubionego misia. – Jej uśmiech przygasł.

– Jadłaś śniadanie? – zapytałam.

– A dwa snickersy się liczą?

– Snickersy? Na śniadanie?

– Otworzyłam torbę halloweenowych łakoci, które kupiłam na wieczór, i po prostu nie mogłam się im oprzeć.

– Wiesz przecież, że czekolada źle wpływa na twoją astmę. Musisz o siebie bardziej dbać.

– Czy ty wierzysz mi dziurę w brzuchu, żebym lepiej się odżywiła? – zapytała, uśmiechając się drwiąco. – Kto tu jest matką, ty czy ja?

Dobre pytanie.

– W każdym razie po spróbowaniu ich potwierdzam, że to słodczyce dobrej jakości, nie jakies tanie podróbki. Dzieciakom będą naprawdę smakować. I dostałam spory rabat „last minute” na duże opakowanie.

Wiedziałam, że próbuje tylko podtrzymać rozmowę, ale nie miałam ani czasu, by słuchać o jej planach karmienia cudzych dzieci, ani cierpliwości do historii o internetowych zakupach.

– Słyszałaś? Dostałam rabat na słodycze – powtórzyła, nie doczekawszy się ode mnie odpowiedzi.

– Czego ode mnie chcesz, medalu za wydawanie pieniędzy, których nie mamy?

– Jesteś dla mnie taka surowa, Peyton – powiedziała z oczami pełnymi łez.

Żałowałam, że zamiast smutku moje słowa nie wywołują u niej wściekłości. Zapewne dokuczałam jej po to, aby sprowokować ją do wybuchu, ale ten wysiłek był daremny. Nigdy nie wpadała w złość, nigdy na mnie nie krzyczała, nie konfiskowała mi telefonu, nie uziemiała. Po prostu pozwalała mi się zranić, po czym spoglądała na mnie wilgotnymi oczami skrzywdzonej sarenki. Co tylko drażniło mnie jeszcze bardziej. Miałam ochotę chwycić ją za ramiona, szarpnąć, aż zaszczęka zębami, i krzyknąć: „Obudź się!”. Chciałam ją przestraszyć, wstrząsnąć nią, rozwścieczyć, żeby wreszcie wróciła do żywych. Ale czegokolwiek bym nie zrobiła, najwyraźniej tylko pogarszałam sprawę. Musiałam uciec na dobre, zanim do końca nie zniszczę nas obu.

– Co ja ci zrobiłam, że jesteś na mnie taka zła? – zapytała, pozwalając, by łza spłynęła jej po policzku.

– Chodzi bardziej o to, czego nie zrobiłaś.

– Co masz na myśli? – Wyglądała na szczerze zdziwioną. Czy naprawdę była aż tak nieświadoma, tak pochłonięta sobą?

– Mamo, nawet nie wiem, od czego miałabym zacząć.

Na szczęście nie musiałam tego robić, bo właśnie wtedy przed domem rozległo się charakterystyczne potrójne trąbienie. Uratowana.

– To Chloe, muszę iść.

Gdy przeskakiwałam przez parapet, zerknęłam jeszcze na stojącą pośrodku mojego nieskazitelnie czystego pokoju mamę, która wciąż przyciskała do piersi mój szkicownik. Wyglądała na nieszczęśliwą i być może osamotnioną. Poczulałam wyrzuty sumienia, a nawet współczucie.

– Przepraszam. Nie chciałam cię zasmucić – powiedziałam. – Zostaw mi trochę czekoladek. Jak wrócę z pracy, zrobimy sobie nocną ucztę, dobrze?

Posłała mi tak żalony, pełen wdzięczności uśmiech, że od razu poczułam się jeszcze bardziej winna. I poirytowana. Byłam przynajmniej tak samo złą córką, jak ona złą matką. Stanowiłyśmy piękny dysfunkcyjny duecik.

~

Targ rolny był uroczy – drewniane stoiska, bele słomy, wydrążone dynie, pomarańczowe chorągiewki i wędrowni minstrele grający na fletach i tamburynach. Małe dzieci z twarzami pomalowanymi na wzór kościotrupów, czarownic i kociąt biegały w tę i z powrotem po alejkach, a podekscytowane psy tarzały się w stertach jesiennych liści.

Stoisko Chloe przedstawiało sobą idealny obraz wywołujących mdłości halloweenowych słodyczy: paluchów czarownic z lukrowanego na zielono biszkoptu z posrebrzanymi migdałami w miejsce paznokci, śliskich żelków dżdżownic, czekoladowych pajaków, brownies w kształcie małych grobów z wetkniętymi weń miniaturowymi płytami nagrobnymi z białej czekolady, lukrowanych na czerwono ciasteczek w formie lizaków na patyczkach, stylizowanych na przekrwione gałki oczne.

– Jak znalazłaś czas na zrobienie tego wszystkiego? – zapytałam, widząc całe to dobro rozłożone na obrusie w małe kościotrupy. Wiedziałam, że miała przynajmniej tak samo dużo nauki jak ja.

– Mama zrobiła większość.

Fajnie mieć taką mamę.

– Ale ja posypałam nóżki pajaków startym kokosem – dodała z dumą.

– Dobra robota, wyglądają prawie zbyt obrzydliwie, żeby chcieć je zjeść. – Prawie. Zdążyłam już spałaszować jednego, który podczas transportu stracił kilka nóg. – I możesz powiedzieć mamie, że są pyszne.

W celu inspekcji towaru do stoiska podszedł malec przebrany za mumię.

– Ile te kosztują? – zapytał, pociągając zatkanym nosem.

– Po dolarze za sztukę. – Chloe stuknęła w tabliczkę z ceną.

– Po dolarze? – jęknął.

– Ale tobie dam specjalną cenę: trzy sztuki za dwa dolary.

– Trzy za dwa? – Kolejne wciągnięcie śluzu.

– Cena tylko dla ciebie – potwierdziła Chloe. – Bo jesteś wyjątkowy.

– No nie wiem... – Dzieciak pochylił się nad pajakami, a ja tylko czekałam, kiedy na ich owłosione nóżki zaczną kapać jego gluty.

– Twardo się pan targuje – powiedziała Chloe. Dzieciak wyszczerzył zęby i tak energicznie kiwnął głową, że bandaż mumii zaczął się odwijać. – Dobra, w takim razie jeśli kupisz dwa, trzeciego dorzucę gratis!

– Gratis?

– Tak.

– Wezmę dwa pajaki i jeden grób – powiedział dzieciak.

– Nasz klient, nasz pan!

Gdy odszedł, radośnie zajadając się pajakiem, wybuchnęłam śmiechem.

– Jesteś urodzoną handlarką.

Chloe mówiła, że sprzedaje halloweenowe słodycze dla podreperowania swojego funduszu na studia, ale patrząc na jej uśmiechniętą i zarumienioną twarz, jasne było, że robi to również dla zwykłej zabawy i żeby sprawdzić się w handlu. Do południa przedstawiła kilkanaście „specjalnych” ofert cenowych, a patrząc na nią, zastanawiałam się, ile sklepów internetowych zwabiło moją mamę podobnymi przynętami.

– Sztuczka polega na tym, żeby każdemu z klientów przedstawić odpowiednią ofertę. Chcesz, aby myśleli, że trafiła im się prawdziwa okazja, ale jednocześnie sama też musisz zarobić – powiedziała, gdy jakiś udręczony ojciec kupił tuzin brownies za dziesięć dolarów.

– Pod względem zarabiania to wygrzewanie się w słońcu i kosztowanie towaru bije na głowę kelnerowanie, zwłaszcza że Tori i Steve jeszcze ze mnie nie zeszli.

Na wszystkich wspólnych zmianach dokuczali mi z powodu braku postępów na randkowym froncie. Wciąż byłam zdeterminowana, żeby wygrać ten zakład. Pomijając drugorzędną kwestię zarobienia – bądź stracenia – ośmiuset dolarów, każdą komórką swojego ciała chciałam im udowodnić, że się mylą. Bo dzięki temu udowodnię też sobie, że się mylę – w głębi duszy i ja nie wierzyłam, że chłopcom podobają się amazonki.

– Chociaż szczerze mówiąc, przy całym tym natłoku lekcji, prób i kelnerowania i tak nie wiem, kiedy znalazłabym jeszcze czas na randki. Z zabranieniem się za Roberta Scotta poczekam do stycznia. To da mi trzy miesiące na wyciśnięcie z niego trzech randek, a w przyszłym roku może będę miała więcej szczęścia.

– Szkoda, że nie znam przepisu na herbatkę miłosną, której mogłybyśmy dolać do czyjejs – tu Chloe zakaszlała głośno, co brzmieniem dziwnie przypominało słowo „Jay” – butelki z wodą, żeby się w tobie zakochał.

– Wciąż spotyka się z Faye – odparłam, gapiąc się posępnie w jej gałki oczne, które odwzajemniły moje spojrzenie, czym przypomniały mi o niej siedzącej w środku pierwszego rzędu na wszystkich naszych próbach, obserwującej każdy ruch Jaya i złowrogo łypiącej na mnie.

– Próby pewnie są pełne skrępowania.

– Nawet nie masz pojęcia jak bardzo.

– Chcesz o tym pogadać?

– Chcę zobaczyć, co jest na innych stoiskach. Mogę cię na chwilę zostawić?

– Fruń, ptaszyno!

Wędrowałam po targu, podziwiając wystawy ręcznie kutej biżuterii z cynołowiu i opalizujących w październikowym słońcu bombek z dmuchanego szkła, tu i ówdzie kosztując pysznych przekąsek przygotowanych na stoiskach. Przyjemnie było dla odmiany zjeść coś, co nie zostało podgrzane w mikrofalówce. Takich kolacji naprawdę można mieć po dziurki w nosie.

Jednak stoisko, które przykuło moją uwagę, opatrzone było nazwą „Dawne dzieje” i sprzedawano na nim vintage’owe ubrania: stare mundury wojskowe, rozkloszowaną spódnicę z różowej tafty w stylu lat pięćdziesiątych, pelerynki z mosiężnymi guzikami, a nawet białą suknię z frędzelkami z lat dwudziestych. Wszystkie te stroje wyglądały bosko, a kolory, faktura i linie aż prosiły, by dotknąć materiału.

Mimo że nie stać mnie było nawet na jedną satynową rękawiczkę, nie mogłam się powstrzymać od przymierzenia długiego płaszcza z najdelikatniejszej szkarłatnej wełny z dużymi, czarnymi guzikami i dopasowaną talią. Sprzedawczyni piała z zachwytu, włożyła mi na głowę czerwony beret i kazała mi się przejrzeć w dużym stojącym lustrze.

W „dużym” lustrze, akurat. Sięgało mi tylko do brody, więc żeby zobaczyć, jak wyglądam w berecie, musiałam zgiąć kolana, co zepsuło widok sylwetki.

– Gdy już zostanę królową świata, każę wieszać wszystkie lustra przynajmniej o trzydzieści centymetrów wyżej, a te stojące umieszczać minimum czterdzieści pięć centymetrów nad ziemią. Dzięki temu wysokie dziewczęta będą się mogły przejrzeć bez przyjmowania dziwnych póz – poinformowałam Chloe, kiedy już do niej wróciłam.

– To chyba byłoby dyskryminowaniem niskich – odparła moja przyjaciółka. – One z kolei będą musiały stawać na stołkach.

– Dobrze im tak – bąknęłam, myśląc o wszystkich, które złamały Prawo. – Ale niech będzie, wobec tego rozkażę, aby każde pełnowymiarowe lustro miało przynajmniej metr osiemdziesiąt wysokości.

– A co z dużymi dziewczynkami? – zapytała Chloe, rozkładając ręce na boki. – One też nie mogą się całe przejrzeć, a jakoś nie słyszę, żeby narzekały.

Spojrzałam na nią, zwężając złowieszczo oczy.

– Próbujesz mnie rozdrażnić czy po prostu tak już masz?

– To chyba dobra pora, żebym zaparzyła nam herbatki – odpowiedziała.

Uciekła, a chwilę później wróciła z dwiema parującymi filiżankami.

– Herbatka dyniowa z cynamonem dla mnie – oznajmiła.

– Brzmi ohydnie.

– A dla ciebie uspokajająca rumiankowa. Chyba obie się zgodzimy, że dobrze ci zrobi – dodała.

– Widziałaś to stoisko z ubraniami w stylu vintage? Czy nie jest piękne?

Chloe zmarszczyła nos.

– Nie przepadam za starzyzną i stęchlizną.

– A ja uwielbiam całą tę dawną modę. Rozważam jakiś styl retro jako motyw przewodni mojej kolekcji. Mogłabym wybrać którąś epokę i wystylizować na nią swoje ubrania; jakby połączenie tradycji z nowoczesnością. Co sądzisz?

Oglądałam w telewizji stare filmy i poczytałam trochę na ten temat w internecie, szukając pomysłu na dopasowanie dawnych stylów do współczesnych gustów.

– No cóż, to dobrze, że lubisz styl retro, bo spędzisz nad tym projektem następne kilka miesięcy.

– Już słyszę twoje „ale”...

– Ale nie jestem pewna, czy to wystarczająco oryginalne, żeby się wyróżnić. Co kilka lat jakiś projektant odkurza dawny styl, zamiast stworzyć coś nowego. Nie sądzisz, że to już się wszystkim przejadło?

– Hmm... – Trzeba się będzie nad tym zastanowić.

I właśnie wtedy do stoiska podeszła mama Chloe z jej młodszym bratem. Ben skoczył mi w ramiona i zażądał, żebym pozwoliła mu wspiąć się na swoje barki.

– Jesteś taka wysoka, Peyton. To by było jak stanie na wieży.

– Benjaminie! – zawołała pani DiCaprio, wyraźnie zażenowana.

Ale Ben wcale się nie spieszył.

– Chcę zobaczyć cały świat! To moja ulubiona rzecz!

To była też jedna z moich „ulubionych rzeczy”. Uwielbiałam siłować się z bratem Chloe i kiedy tylko mogłam, kradłam mu małe przytulasy. Uwielbiałam jego zwarte ciało, zawadiacki uśmiech i zapach małego chłopca.

– Dzień dobry, pani DiCaprio – przywitałam się.

– Cześć, dziewczyny. Jak się macie? Zgłodniałyście? Przyniosłam wam bułeczki z homarem.

– Proszę pani, w niebie jest specjalne miejsce dla takich aniołów jak pani – powiedziałam, zatapiając zęby w ciepłej, maślanej, słonej pyszności.

Pani DiCaprio uśmiechnęła się do mnie czule, gdy w okamgnieniu rozprawiłam się z bułką, po czym klepnęła Bena w kolano.

– Chodź, pora wracać do domu. Tata czeka, żeby cię zabrać na trening piłki nożnej.

– Właśnie, znikaj, mały – powiedziała Chloe.

– Ooo... – Ben zsunął się niechętnie z moich pleców.

– Przybij piątkę! – zawołałam.

Zamiast uderzyć dłonią w moją wyciągniętą rękę, przyłożył ją do niej. Porównywanie części naszych ciał było kolejną „ulubioną rzeczą” Bena.

– Myślę, że jesteś olbrzymką, Peyton – oznajmił.

– A może to ty jesteś skrzatem. Albo małym chochlikiem!

Roześmiał się głośno i odmaszerował ze swoją mamą, podśpiewując: „Fi fi fo fum!”.

– Uch! – Chloe wydała z siebie okrzyk obrzydzenia. – Przepraszam cię za niego. Młodszy bracia są po prostu najgorszymi, najbardziej nieznośnymi zmorami na ziemi... – Ucichła, posyłając mi zaniepokojone spojrzenie. – Och, Peyton, wybacz. To było bezmyślne.

– Nie ma sprawy.

– Gdy tylko sobie przypomnę, przez co musiałaś przejść i co się stało z twoją rodziną... – Wciąż wyglądała na zażenowaną.

– Nie ma sprawy, naprawdę.

– Wybaczasz mi? – zapytała.

Przytuliłam ją mocno, dopóki gula w moim gardle nie zniknęła, i zmieniłam temat.

– To idziesz dziś na tę imprezę u Grega Bakera?

– Tak. Mama kupiła mi kostium zombie, więc mogę z powodzeniem dołączyć do bractwa żywych trupów. A ty pracujesz, tak?

– Tak.

– Niefajnie – zawyrokowała.

Nie do końca. Byłam prawie pewna, że Jay pojawi się na imprezie u swojego kuzyna, i nie miałam ochoty patrzeć, jak tańczy z tą przestępczynią, albo gorzej – jak całują się w jakimś ciemnym kącie.

– Jim chce, żebyśmy wszyscy założyli do pracy halloweenowe kostiumy dla stworzenia odpowiedniej atmosfery, więc po próbie będę musiała skombinować sobie jakiś strój.

– Tam na końcu jest stoisko z kostiumami.

– Dzięki, ale nie chcę wydawać pieniędzy na jednorazowe wdzianko, zwłaszcza jeśli nie jest do pracy.

– Ja ci je kupię – zaproponowała odruchowo Chloe. – Nie są drogie.

– Nie, nie trzeba. Ale dzięki. – Co i rusz musiałam studzić jej zakupowe zapędy względem mnie. Jej rodzina może i nie miała kłopotów finansowych jak moja, ale nie chciałam niczyjej jałmużny. – Myślę, że po prostu wystąpię w przebraniu czarownicy. Po powrocie z próby uszyję pelerynę z jakichś

czarnych worków na śmieci i zrobię sobie spiczasty kapelusz. Ha, wreszcie będę miała taki, który na mnie pasuje!

– Czarownica w workach na śmieci? Nie dostaniesz zbyt wielu napiwków. A myślałam, że chcesz zarobić. Powinnaś założyć jakiś seksowny strój. Przebierz się za Wonder Woman albo pielęgniarkę w szpilkach i kabaretkach.

– To chyba opis prostytutki, a nie pracownicy służby zdrowia.

– Nieważne. Załóż krótką spódniczkę, pokaż swoje długie nogi i kobiece kształty – powiedziała, wskazując brodą na moją klatkę piersiową.

Gdy zaczęłyśmy składać stoisko – nieco wcześniej, bo Chloe miała mnie podwieźć na próbę – nie zdążyłyśmy jeszcze wszystkiego sprzedać.

– Masz. – Chloe wypchała tekturowe pudełko na ciasto słodyczami, które nam zostały, i wręczyła mi je. – Smakołyki dla obsady.

– Super! Choć raz zaznam smaku popularności.

– A co, nie lubią cię?

– Nie, nie o to chodzi. Ale widać, że dla nich Wren była lepszą Julią. Nie są pewni, czy potrafię zagrać wystarczająco dobrze.

– A ty jesteś pewna? – zapytała Chloe, zerkając na mnie bystro, gdy składała obrus.

– Myślę, że dam radę.

– A więc co cię powstrzymuje?

Co mnie powstrzymuje? Tylko lęk, że jeśli się zapomnę, jeśli sercem i duszą wejdę w rolę dziewczyny zakochanej w chłopaku, którego nie może mieć – zasadniczo tak samo jak ja – nie będę już w stanie z niej wyjść. A wtedy wszyscy zobaczą, dowiedzą się, co tak naprawdę czuję do Jaya. On się dowie. I będzie mi współczuł.

Nie czułam się na siłach, by to znieść, więc nie rozwinęłam aktorskich skrzydeł.

Popołudniowa próba poszła jak zwykle – czyli niezbyt dobrze.

Z każdym dniem, który zbliżał nas do osiemnastego grudnia, Doug zaczął się coraz bardziej denerwować. To miała być pierwsza próba bez zaglądania w tekst, ale prawie wszyscy z obsady chowali po kieszeniach i pod swetrami kartki scenariusza, zaglądając do nich ukradkiem, gdy myśleli, że Doug nie patrzy. Nikt, nawet Jay, nie nauczył się do końca swojej roli.

– Wiecie, za co dziękuję niebiosom? – warknął Doug w połowie próby.

– Za nasz talent? – zgadywał Zack.

– Nie, Zack, nie za wasz talent. W tej obsadzie znajdują się osoby, które musiałyby go znacznie podszlifować, żeby wzbudzić moją wdzięczność.

Starannie unikałam wzroku kolegów.

– Nie – ciągnął Doug, przeczesując palcami włosy z taką wściekłością, że obawiałam się, czy zaraz nie wyrwie sobie całej kępki, i to z cebulkami. – Dziękuję niebiosom, że nie wystawiamy sztuki w języku szekspirowskim, bo wygląda na to, że ta obsada ma i tak dużo problemów z zapamiętaniem swoich kwestii w zwykłym angielskim.

– Przepraszamy – bąknęło kilkoro z nas.

– I nie potrafi wlać ani odrobiny życia i energii w swoją beznamiętną, mdłą grę!

Zeszło ze mnie całe powietrze, bo byłam pewna, że to mnie ma na myśli. Moja gra była pozbawiona życia, czułam to.

Wszyscy przeprosiliśmy i obiecaliśmy Dougowi, że nauczymy się swoich kwestii oraz dołożymy wszelkich starań, by tchnąć jak najwięcej życia i pasji w nasze role. Była to jednak obietnica, którą złamałam już jakieś pół godziny później, gdy przerabialiśmy z Jayem scenę pierwszego pocałunku Romera i Julii. A raczej scenę, w której to Jay mnie całował – bo ja tylko stałam, nieruchoma jak mój manekin krawiecki.

Jednak w środku czułam prawdziwe zoo. Serce chciało mi wyskoczyć z piersi jak psotne tygrysiątko, w żołądku zagościła chmara motyli, a umysł beczał błagalnie, by nikt nie zauważył, jak Jay na mnie działa.

Za każdym razem dawał mi tylko małego całusa w usta – teoretycznie więc nie było powodów do paniki. Ale ponieważ to był Jay, ponieważ przyciskał swoje ciepłe wargi do moich tak delikatnie i czule i zdawał się tak niechętnie ode mnie odrywać, ponieważ wpatrywał się w moje oczy z taką żarliwością, wypowiadając miłosne kwestie, to jednak spanikowałam. Nie był to szalony atak dzikiej paniki z wywracaniem oczu, wrzaskami i miotaniem się na wszystkie strony, ale milczący popłoch, podczas którego stałam sztywno, spięta i z zaciśniętymi ustami, dusząc w sobie wszystkie kotłujące się we mnie emocje.

Namiętność Jaya była tylko grą aktorską. Między scenami zdawał się całkowicie rozluźniony – nie traktował mnie ani lepiej, ani gorzej od reszty obsady. Tak więc wiedziałam, że te pocałunki były udawane, ale i tak czułam ich prawdziwość, przez co chwilę przed nimi płątały mi się kwestie, a potem byłam wytrącona z równowagi.

To, że mieliśmy widownię, też nie pomagało – a patrzyła na nas cała obsada i siedząca w pierwszym rzędzie Faye. No i był także podekscytowany Zack, który przyglądał się nam zza kulis.

Z każdą moją nieprzekonywającą próbą migdalenia się frustracja Douga coraz bardziej rosła.

– Peyton! Co się z tobą dzieje? Jesteś dziś całkowicie zdekoncentrowana. W czym problem? Skąd to skrępowanie i rozkojarzenie?

– Racja, jestem trochę rozkojarzona. Wybacz, Doug. Chodzi po prostu o to, że... – zawahałam się, próbując wymyślić jakąś sugestywną wymówkę, ponieważ absolutnie nie mogłam powiedzieć mu prawdy. – Chodzi o to, że mamy poślizg.

– Mamy poślizg, bo bez przerwy musimy powtarzać tę scenę!

– Tak, wiem, że to moja wina, wybacz. – Spojrzałam na Jaya z przeproszącą miną. Jak zwykle

wyglądał na rozluźnionego. – Ale naprawdę się martwię, że nie zdążę dziś do pracy. Doug, ja nie mogę jej stracić, a boję się, że szef mnie wyleje, jeśli jeszcze raz się spóźnię. – To już było wierutne kłamstwo. Jimmy nigdy by mnie za coś takiego nie zwolnił, koniec kropka. Wątpiłam, by kiedykolwiek kogoś zwolnił. – I – ciągnęłam, nie zwracając uwagi na swoje piekące uszy i osiągając takie szczyty aktorstwa, że wszyscy klaskaliby z uznania, gdyby tylko wiedzieli, jak kręć – muszę jeszcze pojechać do domu, żeby zrobić sobie kostium halloweenowy do pracy, a czas nagli.

– Niech będzie, w takim razie skończmy tylko tę scenę i jesteś wolna, popracujemy nad nią dalej bez ciebie – zarządził Doug.

A niech to! Miałam nadzieję, że odpuści ten miłosny kawałek i pozwoli mi iść, ale nic z tego.

– Patrz – powiedział, sięgając do kieszeni, z której wyjął pęczek kluczy i pokazał mi jeden z nich – To klucz do garderoby za kulisami, w której trzymane są wszystkie kostiumy teatralne z wcześniejszych lat. Pozwolę ci po niej dziś pobuszować.

– Naprawdę? – zapytałam zachwycona.

– Ale pod jednym warunkiem, Peyton: masz włąć w tę scenę trochę serca. Rozumiemy się?

– Tak.

Nie zabrzmiało to zbyt pewnie, ale byłam zdeterminowana, żeby choć na tę jedną powtórkę z całowania zmusić się do luzu i jakiegoś takiego udawania. Czasami, jak mawia Chloe, jedyna droga to droga do przodu.

– Dobrze, a więc powtórzmy sobie: co w tej scenie jest twoją motywacją?

Co jest motywacją? Chęć ucieczki – jeszcze chwila, a moje nerwy tego nie wytrzymają.

– Miłość – odparłam.

– Tak! Chcę tę miłość zobaczyć. Daj się porwać roli, zwłaszcza podczas pocałunku. Ma być przekonująco albo zapomnij o naszej umowie.

Musiałam wyglądać na zmartwioną, bo Jay posłał mi pokrzepiający uśmiech.

– Nie martw się, to nie będzie prawdziwy pocałunek – powiedział.

– Nie? – wtrącił Doug.

Ja też byłam zaskoczona. Bałam się tego pocałunku – bałam się i jednocześnie pragnęłam go – właśnie dlatego, że miał być prawdziwy.

– Zrobimy to jak profesjonalni aktorzy sceniczni.

– Czyli jak? – dopytywał Doug.

– Właśnie, jak? – powtórzyłam.

– Z otwartymi ustami i bez języczka – powiedział Jay.

– Bez języczka? – odezwał się Zack zza kulis. W jego głosie słychać było oburzenie i rozczarowanie.

– Bez języczka? – zapytałam z niewymowną ulgą. W takim razie chyba dam radę, prawda?

– Bez języczka – potwierdził Jay. – Musimy tylko ruszać ustami, starając się nie zasłaniać widowni naszych twarzy i nie zgnieść sobie nosów. To dość chłodna sztuczka techniczna. Powinniśmy nawet trochę zamarkować. Może najpierw ja zrobię tak – przechylił głowę – liczymy do trzech i zmiana stron. I może na początek pocałuję cię w kącik ust, a potem w wargi, tu i tu licząc do dwóch. Zgoda?

– Chyba tak.

Jeśli nie chodziło o prawdziwy pocałunek, jeśli to miała być tylko „chłodna” choreografia zamiast namiętnego tańca języków, to nie było powodów do zmartwień.

– Obejmę cię w talii, w ten sposób – zademonstrował – a ty chyba powinnaś objąć mnie za szyję, dobrze?

– Okej. To proste, nie ma problemu.

Naprawdę nie powinno być problemu. Odliczając i próbując zapamiętać sekwencję kroków w naszej choreografii, na pewno nie stracę gruntu pod nogami.

Doug podsumował:

– Szczerze mówiąc, nie interesuje mnie, czy będzie z języczkiem czy bez. Błagam tylko: zróbcie to tak, żeby wyglądało przekonująco.

Zszedł ze sceny, Zack schował się za kurtyną i zostaliśmy z Jayem sami.

– Dobra, to zacznijmy od kwestii Romera: „Pragnę cię, potrzebuję cię” – instruował z pierwszego rzędu Doug.

I nagle Jay zapłonął. Jego przymknięte zielone oczy przybrały gorącą, złocistą barwę, a na ustach pojawił się lekki, seksowny uśmiech. Sięgnął ręką po moją dłoń i zaczął głaskać kciukiem moje kłykcie.

– Pragnę cię. Potrzebuję cię, Julio – powiedział, przyciskając mnie do siebie.

Spojrzałam mu w oczy i wiedziałam, że było po mnie.

Jay nachylił się i pocałował mnie w kącik ust, raz i drugi. Potem już niczego nie odliczałam, bo kiedy zaczął się nasz właściwy pocałunek, zniknęła cała moja zdolność myślenia, o liczeniu nie wspominając. Przycisnął wargi do moich ust mocniej niż wcześniej – były ciepłe i twarde. Potem przechylił głowę, tak że jego otwarte usta prześlizgiwały się po moich. Powoli. I było tak, jakbyśmy się naprawdę całowali.

Znowu zakręciło mi się w głowie. Nie mogłam złapać tchu i tylko to powstrzymywało mnie przed oddaniem mu pocałunku – prawdziwego. Gadka o technice i choreografii dała mi fałszywe poczucie bezpieczeństwa, bo pieszczoty i tak okazały się realne, a ostatnie, co można było o naszym pocałunku powiedzieć, to że był „chłodny”.

Czułam, jakbyśmy się obściskiwali. Nago. I w miejscu publicznym.

Podczas gdy reszta obsady patrzyła, jak Julia całowała swojego Romera, ja rozplywałam się w Jayu. Moje ciało było miękkie, a jego krawędzie rozmyły się, gdy się z nim stapiałam. Powędrowałam dłońmi wzdłuż jego pleców, sięgając ramion, a potem głowy. Zagłębiłam palce w jego włosach i przyciągnęłam do siebie jego twarz. Jeszcze sekunda i to byłby prawdziwy pocałunek, bo wyglądało na to, że traciłam nad sobą kontrolę.

Ale wtedy Jay oderwał się ode mnie.

– Dużo lepiej! – zawołał ktoś siedzący bardzo daleko.

Drżąc, zaczerpnęłam powietrza. Wciąż patrzyliśmy sobie w oczy, on pytająco, jakby był zdezorientowany. Pewnie zwyczajnie czekał na moją kwestię, ale ja byłam tak odurzona, że zapomniałam, co mam powiedzieć. W ogóle odebrało mi mowę.

– No cóż, było dużo lepiej – odezwał się spod sceny Doug.

Rozluźniony jak zawsze Jay nastawił się na wskazówki reżysera. Ja natomiast byłam zupełnie skołowana. I zarumieniona – czułam to. Próbowалам skupić całą uwagę na Dougu, który wciąż nie wyglądał na zadowolonego.

– Ale Peyton – kontynuował nasz reżyser – jeśli nie potrafisz grać i jednocześnie pamiętać swoich kwestii, to mamy poważny problem, prawda?

– Taa – wtrącił Zack, który wyszedł cichaczem zza kulisy i stał teraz tuż obok. – Bardzo poważny.

– Na miłość boską, przestań wreszcie odpowiadać na moje pytania! Są retoryczne. Wiesz w ogóle, co to znaczy?

– Nie za bardzo, stary.

Doug odwrócił się do niego plecami, jakby ignorując obecność wioskowego głupka.

– I właśnie dlatego wszyscy powinniście znać swój tekst bez najmniejszego zająknięcia, żeby słowa płynęły z automatu, gdy skupiacie się na wejściu w rolę. Dopiero wtedy zapomnicie, że musicie je pamiętać.

Siedząca w głębi widowni Liz parsknęła głośno śmiechem.

– No cóż, to zdecydowanie ma sens.

– Na następnej próbie nie chcę widzieć ani jednej linijki tekstu! – ryknął Doug.

– Eee... Czy mogę już iść? – zapytałam.

– Idź – odparł Doug, podając mi pęk kluczy.

Popędziłam za kulisy, otworzyłam drzwi garderoby, weszłam do środka i przysiadłam na starym kufrze, żeby się uspokoić. To powinno zostać przerwane – nie mogłam tracić głowy i kawałka serca za każdym razem, gdy Jay mnie dotykał. Musiałam znaleźć sposób na stłumienie spragnionej uczuć, słabej i cikliwej części mnie i panować nad sobą.

Przetarłam dłonią twarz i rozejrzałam się po zakurzonej skarbnicy kostiumów. Żaden nie wyglądał szczególnie halloweenowo. Na najdłuższym stojaku tłoczyły się ciężkie wiktoriańskie suknie i kostiumy małych uliczników z wystawianego kilka lat wcześniej *David Copperfielda*. Suknie interesowały mnie ze względu na mój projekt, ale nie miałam czasu przyglądać się turniurów i rękawom z bufami, bo teraz naprawdę spieszyłam się do pracy. Musiałam się sprężyć, jeśli chciałam złapać autobus o piątej trzydzieści.

Zaczęłam szybko przeglądać stojak ze sztucznymi zwierzęcymi skórami – kostiumami z adaptacji *Klanu niedźwiedzia jaskiniowego*, w której oboje z Dougiem występowaliśmy dwa lata wcześniej – ale nie miałam ochoty cały wieczór kelnerować w przepasce na biodra albo narzutce w gepardzie cętki.

Na końcu garderoby stał wieszak z kostiumami z zeszłorocznej farsy, w której grałam kamerdynera. Zatrzymałam wzrok na moim dawnym kostiumie i poczułam chwilowy przypływ nostalgii. Teraz zatęskniłam za tamtą rolą. Nie trzeba było wyrażać żadnych uczuć ani otwierać się czy zamykać, nie było żadnych wbijających w podłogę scen pocałunku. Wskazówki reżyserskie Douga dla

mnie sprowadzały się do jednego zdania: zachowuj kamienną twarz bez względu na to, co dzieje się na scenie. Najłatwiejsza rola w historii teatru. Kamerdyner nie tylko nie był mordercą, ale nawet został zabity pod koniec pierwszego aktu, więc musiałam chodzić tylko na połowę prób, a ostatnie dwa akty przedstawienia mogłam spędzić, relaksując się za kulisami.

Zdjęłam z wieszaka kostium kamerdynera i przyłożyłam do siebie. Pachniał naftaliną, ale pasował na mnie. A szczerze mówiąc, ile tutejszych kostiumów, zwłaszcza damskich, spełniało ten wymóg? Ale Chloe miała rację – w męskim przebraniu nie dostałabym zbyt wielu napiwków. I już wyobrażałam sobie, co powie Tori: „Ach, Peyton, wreszcie ubierasz się w to, co pasuje do twojego wyglądu. Hej, przystojniaku, umówisz się ze mną?”.

Wcisnęłam garnitur z powrotem między kostium pokojówki a wążutką suknię wieczorową i zaczęłam gorączkowo przeglądać stroje, posyłając w powietrze obłoki kurzu, od którego nieustannie kichałam.

Zatrzymałam dłonie. Strój pokojówki! Czyż przebranie francuskiej pokojówki nie należało do najseksowniejszych szmirowatych kostiumów na Halloween?

Wyciągnęłam go. Kostium składał się z krótkiej czarnej sukienki z koronkowym gorsetem, wysokich czarnych pończoch z pasem, białego falbaniastego fartuszka, koronkowej opaski i malutkiej różowej miotełki do kurzu. Hmm. Caitlyn wystąpiła w nim w zeszłorocznej inscenizacji, a to wysoka dziewczyna – oczywiście nie tak wysoka jak ja, ale może jej kostium będzie na mnie pasował. Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Kilka minut później stałam w przebraniu przed lustrem na ugiętych kolanach, by móc się w nim cała przejrzeć. Strój był obcisły. Bardzo obcisły. Góra pasowała na kogoś o dobry rozmiar (a nawet dwa) drobniejszego ode mnie, ale ratował mnie kształtny biust. Naprawdę kształtny biust, jedyna część mojego ciała, którą naprawdę lubię – poza malutkimi, skrzaciami uszami skradzionymi jakiemuś elfickiemu dziecku i przytwierdzonymi mi tuż po narodzinach. Są nawet lekko spiczaste.

Ale moje piersi to ekstraklasa – okrągłe, jędrne i zuchwałe. A w tej superobcisłej kiece z dużym dekoltem prezentowały się naprawdę wspaniale. Sukienka była dużo za krótka i wystawały spod niej pas i pończochy, czego nie ośmieliły się zrobić na Caitlyn, ale efekt końcowy był całkiem... seksowny. Nagle składałam się wyłącznie z długich nóg i krągłości.

Kostium aż się prosił o czarne szpilki, ale w garderobie nie było butów, a nawet gdyby, to założyłabym się o całym mój fundusz studencki, że żadna z damskich par nie pasowałaby na moje wielkie stopy. Będę po prostu musiała zostać w swoich czarnych płaskich botkach do kostek. Przy tym seksownym wdzięku wyglądały trochę dziwnie, ale prawie słyszałam Chloe: „Dziewczyno, w takim stroju nikt nie będzie patrzył na twoje stopy!”.

Chrzanić to, biorę! Zwinęłam dzinsy i bluzę, schowałam je do plecaka i wyszłam z garderoby, zamykając za sobą drzwi na klucz. Nie mogłam wymknąć się niezauważona tylnym wyjściem, bo musiałam jeszcze oddać klucze Dougowi. Jak zwykle miałam pecha, ponieważ Jay i Zack jeszcze nie skończyli swojej próby pod czujnym okiem reżysera, więc musiałam na ich oczach przejść przez scenę i zejść na widownię.

Gdy się pojawiłam, Zack wypowiadał właśnie swoją kwestię, ale zobaczywszy mnie, stopniowo zamilkł.

– To ty, Wielka P.? – zapytał, rozdziawiając usta.

– We własnej osobie.

Podaliśmy Dougowi klucze. Potrząsnął lekko głową, jakby próbował się ocucić.

– Czemu, do diaska, w zeszłym roku nie obsadziłem cię w roli pokojówki? – zapytał retorycznie.

– Zmarnowałaś się jako kamerdyner.

Lekceważąco machnęłam w jego stronę miotełką, posyłając w powietrze obłok kurzu. Znowu zaczęłam tak mocno kichać, że aż podskoczyły mi piersi, jakby chciały się wyrwać ze swojego koronkowego więzienia. Oczy Jaya – skupione na moim dekolcie – prawie wyszły mu z orbit. Szepnęła coś na kształt: „O cholerka!”.

Przeszłam przez scenę i ruszyłam w stronę wyjścia na tyłach widowni, idąc tak szybko, jak tylko

mogłam, ale nie biegnąc, bo bałam się, że może to spowodować poważną awarię krawiecką. Gdy mijalam Wren i Angelę, zobaczyłam, że nachylają się do siebie i szepczą coś, co, sądząc z kierunku ich spojrzeń, na pewno było o mnie – i nie należało do pochlebnych komentarzy.

Przebiegłam dwie przecznice do przystanku, ale gdy byłam już na ostatniej prostej, zobaczyłam, jak autobus odjeżdża. Pobiegam za nim chodnikiem, krzycząc i machając rękami nad głową jak wariatka, ale zniknął za zakrętem.

A niech to! Przecież ten autobus zawsze się spóźniał, zawsze!

Nagle aż podskoczyłam na dźwięk jakiegoś klaksonu.

– Hej, lala! Niezły tyłek! Może wpadłabyś do mnie posprzątać? – zawołał kierowca przejeżdżającej ciężarówki.

Ignorując go, odwróciłam się i ruszyłam z powrotem w stronę wiaty przystankowej. Palący przed sklepem na rogu mężczyzna w średnim wieku rzucił mi złośliwy uśmiešek, gdy przechodziłam obok.

– Uśmiechnij się. Twoja nadąsana mina psuje cały widok.

Zacisnęłam zęby i nie zatrzymywałam się. Gdy dotarłam na przystanek, sprawdziłam przypięty do wiaty rozkład jazdy. Następny autobus miał być dopiero za pół godziny. Teraz już na pewno spóźnię się do pracy, a do przyjazdu autobusu będę musiała stać na zimnie w kusym stroju, wysłuchując zacepek neandertalczyków.

Przed wiatą zatrzymał się samochód, a ja już miałam powiedzieć kierowcy, gdzie ma sobie wsadzić swój seksizm, kiedy zobaczyłam, kto to – nasza rymująca się para. Jay za kółkiem i Faye na miejscu pasażera.

– Nie spieszylaś się przypadkiem do pracy? – zapytał.

– Autobus mi uciekł.

– Wskakuj, podwieziemy cię.

Faye posłała mi zabójcze spojrzenie.

– Nie, nie trzeba, następny powinien niedługo przyjechać.

– Nie gadaj głupot, mamy po drodze.

– Wcale nie – poprawiła go Faye.

Kusiło mnie, żeby przyjąć ofertę podwózki tylko po to, by ją wkurzyć.

– No dobrze, mamy prawie po drodze – powiedział Jay. – A poza tym nie chciałbym, żebyś się spóźniła i straciła pracę.

Zamknięta w pułapce własnego kłamstwa przyjąłam jego propozycję. Faye została z przodu, a ja wcisnęłam się na malutkie tylne siedzenie, wypełniając całą przestrzeń swoim uwydatnionym biustem, długimi ramionami i jeszcze dłuższymi nogami w pończochach. Wierząc się w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji, zauważyłam we wstecznym lusterku spojrzenie Jaya, który uśmiechnął się do mnie szeroko. Faye natomiast patrzyła wilkiem i zasznurowała usta w wyrazie niezadowolenia.

– Nie masz samochodu? – zapytała.

Ależ oczywiście, że mam. Po prostu nim nie jeżdżę z uwagi na mój sekretny fetysz, jakim jest podróżowanie środkami komunikacji miejskiej.

– Nie – odpowiedziałam.

Obciągnęłam sukienkę, starając się trochę bardziej zasłonić nogi, ale na nic się to zdało – wciąż miałam odkryte całe uda, górę pończoch i pas. Mogłabym przysiąc, że Jay niejedną raz zerknął do tyłu, żeby sobie popatrzeć.

Gdy tylko podjechaliśmy pod bar, podziękowałam Jayowi i wygramoliłam się z samochodu. W drzwiach czekał na mnie Jim we własnej osobie. Wyglądał na lekko zaskoczonego moim strojem, ale był miły i powiedział, że dobrze wyglądam, a następnie uraczył mnie piosenką Elvisa, z której dowiedziałam się, że mimo iż wyglądałam, poruszałam się i mówiłam jak anioł, byłam prawdziwą diablicą w przebraniu.

Byłam dobra w dochowywaniu tajemnic. Musiałam być. Nauczyłam się, jak ukrywać różne rzeczy i jak nie dopuszczać, żeby inni poznali prawdę. I miałam dużą wprawę w maskowaniu tego, co czuję, w ukrywaniu swojego prawdziwego „ja”. To okazało się zbawienne, bo wciąż potrafiłam tuszować uczucia do chłopaka, który grał mojego Romera.

A podobał mi się. Szczerze mi się podobał. Spędzając z nim tyle czasu, odkryłam, że jest naprawdę dobrym człowiekiem, że przedstawia sobą dużo więcej niż tylko piękne oczy i niebosięzny wzrost. Ale moje zauroczenie nim było czymś niebezpiecznym. Po pierwsze, umarłabym ze wstydu, gdyby on albo ktoś z obsady zauważył, jak bardzo mi się podoba. A po drugie, jemu podobała się Faye.

Wciąż była na każdej próbie, choć wyglądała na coraz bardziej nadąsaną i już nie biła braw po każdej scenie Jaya. Prawdę mówiąc, nie biła braw tylko po naszych wspólnych scenach, ale może dlatego, że je psułam.

Między tymi scenami zmuszałam się, by dołączać do reszty obsady, powstrzymując się od lawirowania w stronę Jaya, choć na to właśnie miałam ochotę. Gorączkowo starałam się nie oblewać rumieńcem i nie rozpromieniać, gdy podchodził i mnie zagadywał. Wypowiadając kwestie Julii o miłości i tęsknocie, trzymałam mocno w ryzach swoje najgłębsze uczucia – uczucia, które nakazywały mi wpatrywać się rozmarzonym wzrokiem w jego oczy i dotykać jego ręki, biodra, szczęki. Które chciały mu zadać tysiące pytań na jego temat. A za każdym razem, gdy powtarzaliśmy scenę pocałunku, wychodziłam z siebie, żeby się hamować.

Byłam tak skupiona na graniu tego wymuszonego luzu, tak starannie unikałam wkładania siebie w rolę Julii, że wciąż nie wkładałam w nią wystarczająco dużo własnej osoby. Wiedziałam, że to problem, wiedziałam, jeszcze zanim przypadkiem usłyszałam, jak Doug rozmawia o tym z Jayem podczas przerwy na jednej z naszych środowych prób.

– Ona się hamuje – powiedział Doug.

– Daj jej trochę czasu – odparł Jay. – Będzie dobrze.

– Mam nadzieję. Nie żeby była okropna, ujdzie. Ale szczerze mówiąc, świetna też nie jest.

Zamarłam. Byłam najsłabszym ogniwnem przedstawienia. Nie dlatego, że nie umiałam zagrać Julii wystarczająco dobrze, ale dlatego, że nie potrafiłam odpowiednio zagrać obojętności, aby uratować swój tyłek. Nie miałam ochoty wysłuchiwać kolejnej krytyki mojej gry, ale stałam dalej w ciemności za kulisami, podsłuchując.

– Myślisz, że może czuć się niekomfortowo, wchodząc w rolę, rolę twojej ukochanej, gdy Faye na was patrzy?

– Możliwe.

Tak, idźmy tą drogą.

– Dałbyś radę z nią porozmawiać? To znaczy z Faye. Poprosić, żeby nie przychodziła na próby?

Jay musiał wyglądać na sceptycznie nastawionego do szans powodzenia takiej prośby, bo Doug dodał szybko:

– Albo chociaż żeby siadała bardziej z tyłu?

– Jasne, poproszę ją.

– Super. Myślę, że to pomoże Peyton rozwinąć skrzydła. Chyba. Mam taką nadzieję. To znaczy nie upieram się przy tym jak dureń, ty jesteś wystarczająco dobry, żeby pociągnąć ten duet – mówił dalej – ale chyba liczyłem na więcej... iskier, większy przepływ energii między kochankami. Była całkiem niezła podczas pierwszej próby sceny pocałunku i myślałem, że już zaczyna się rozluźniać, ale znowu jest sztywna, jakby połknęła kij.

– Boi się.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o ukrywanie moich uczuć przed Jayem.

– Chyba zanim się otworzy, musi mi zaufać – dodał.

– Tak, może o to chodzi. Ale zrób, co się da, żeby ją rozluźnić i wykrzesać z niej dzisiaj trochę

więcej uczucia okej?

– Jasne.

Tego wieczoru zauważyłam, że Jay wkłada więcej wysiłku w nasze sceny. Wpatrywał się w moje oczy jeszcze głębiej niż dotychczas, w jednej ze scen ujął moją dłoń i pocałował mnie w kłykcie, w innej odgarnął mi za ucho kosmyk włosów, a w scenie tańca przesunął palcem po moim policzku. I chociaż wiedziałam, że to tylko gra mająca sprawić, abym była bardziej rozluźniona i usychająca z miłości – według instrukcji Douga – to i tak działało to na mnie upajająco.

Właśnie tak dobrym aktorem był Jay. Za dobrym.

Tak dobrym, że mogłam pomyśleć – sądząc po jego intensywnym, gorącym spojrzeniu, po czułości, z jaką głąskał mnie dłońmi po nagich ramionach, i dłuższym zatrzymywaniu ust na moich wargach w scenie pocałunku – że jest we mnie szalenie zakochany. Ale znałam prawdę. To była tylko gra.

A jednak wydawała się prawdziwa. Im bardziej więc Jay starał się mnie rozluźnić, tym większe było niebezpieczeństwo, że się odsłonię i pokażę, co naprawdę do niego czuję, dlatego coraz mocniej zaciskałam kleszcze samokontroli, a moja gra stawała się coraz bardziej pozbawiona wyrazu. Tego wieczoru moją jedyną spontaniczną reakcją była gęsia skórka na ramionach w miejscu, gdzie je głąskał.

Zack nie przestawał udzielać mi wskazówek, jak mam całować Jaya – „Przyciągnij go do siebie, chwyć za tyłek; może chciałabyś poćwiczyć na mnie?” – ale nie wszyscy byli tak niezadowoleni z braku widocznej między nami chemii jak Doug. Faye wyglądała na udobruchaną, a Wren na zachwyconą. Sądząc po jej ciągłej minie pod tytułem „mówiłam, że ja zagrałabym to lepiej”, nie porzuciła nadziei na odzyskanie roli Julii.

Próba zakończyła się ustaleniem przez Douga terminu moich i Jaya pierwszych indywidualnych zajęć z budowania zaufania i pracy ciałem.

– W czwartki mam trening cheerleaderek. Musimy przelożyć – jęczała Faye, gdy ustaliliśmy z Jayem, że spotkamy się następnego popołudnia.

O rany. Miałam budować z nim zaufanie i być blisko wspianego wzrostu i mięśniów Jaya przy jego dziewczynie? Wtedy na pewno odkryłaby mój sekret.

– Nie sądzę... – zaczął Jay, ale Doug mu przerwał.

– Nie jesteś zaproszona – powiedział bez ogródek.

Właśnie, pogódź się z tym, Faye.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie jestem zaproszona? – warknęła w odpowiedzi.

– Mają być tylko we dwoje. – Doug wskazał na mnie i Jaya. – Żeby mogli sami popracować, zbudować między sobą poczucie więzi i bliskości. Chcę, żeby wyglądali, a raczej żeby byli jak kochankowie.

Oczy Faye zwięziły się w szparki i znowu zasznurowała usta.

– Porozmawiamy o tym później, Jay – powiedziała, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z audytorium.

– Chcesz za nią pobiec? – zapytał Doug.

– Nie. – Jay machnął ręką. – Niech idzie.

Właśnie, niech idzie.

– Okej. Czy muszę wyjaśniać, co macie robić? – zapytał Jaya Doug.

– Nie, miałem mnóstwo takich ćwiczeń na zajęciach teatralnych. Wybiorę kilka najlepszych.

– Świetnie, w takim razie na sobotniej próbie oczekuję dużych postępów. Peyton, dwa słowa: zaufanie i luz, do diaska!



Następnego dnia w szkole dostaliśmy nasze oceny semestralne. Moje były dobre, więc niesamowicie mi ulżyło. Wciąż jednak byłam daleka od luzu, gdy po południu przyjechałam na nasze zajęcia z budowania zaufania. Jay już na mnie czekał. Siedział na krawędzi sceny w pustym audytorium, ćwicząc oddychanie. I był sam.

- Cześć – przywitałam się. – Dziś bez Faye?
- Dziś bez Faye. Już bez Faye. – Uśmiechnął się smutno. – Rozstaliśmy się.

Hurraaa! W żyłach zakipiała mi euforia z powodu odzyskania przez niego statusu singla i jego szczęśliwego powrotu na Listę Wysokich Chłopców. Chciałam się śmiać i unieść pięść w geście triumfu. Ale zrobiłam tylko współczującą minę.

- Przykro mi, musi ci być ciężko – powiedziałam.
- Już od dawna się na to zanosilo.
- Na pewno jesteś na nas gotowy?
- Co masz na myśl... A, tak. Pewnie, wszystko gra.
- I mówiąc szczerze, nie wyglądał, jakby miał złamane serce.
- A więc co najpierw, ćwiczenia na zaufanie czy z pracy ciałem? – zapytał.
- Na zaufanie – odparłam, nagle znowu spięta.

Jay włożył rękę do plecaka i wyjął długi, czarny jedwabny szal, na całej długości przesuwając po nim swoimi smukłymi palcami.

- Zawsze nosisz w plecaku jedwabne szale?
- O tak, absolutnie. Lubię być przygotowany – odpowiedział z seksownym uśmiechem. – Człowiek nigdy nie wie, kiedy będzie musiał przewiązać dziewczynie oczy.

Przełknęłam ślinę.

- Albo – mrugnął do mnie – ją związać.
- Poczułam, jak moje policzki zalewa fala gorąca.
- Eee... – odezwałam się, patrząc na ten czarny, jedwabny zwój. Jay oplatał sobie jego końce na dłoniach, jakby szykował się do uduszenia mnie.

– Żartowałem! Ten szal należy do mojej mamy, pożyczyłem go od niej na dzisiejszy wieczór. Ale przewiązywanie oczu nas nie minie. Gotowa? – Jay uniósł rzeczony szal.

- Ty pierwszy.
- Widzisz, zero zaufania. Zero. Musimy coś z tym zrobić. Dwukrotnie okręcił sobie szal wokół głowy, zakrywając oczy, i zawiązał go z tyłu.
- Dobra, teraz nic nie widzę. Oddaję się cały w twoje ręce.
- Wyciągnął dłoń, szukając po omacku mojej ręki, ale zamiast tego otarł nią o mój biust.
- Przepraszam! Przepraszam! – zawołał, a ja dziękowałam Bogu, że nie widzi, jak znowu się zarumieniłam. – Potrzebuję twojej ręki.

Ujęłam jego prawą dłoń i położyłam sobie na lewym przedramieniu. Była przyjemnie ciężka, jak obietnica siły. Przesunąłem ją w dół, kładąc na grzbiecie mojej dłoni, i splótł ze sobą nasze palce. Jego dłoń była ciepła – i sucha (przykro mi, Mark). Oraz bezdyskusyjnie większa od mojej. Westchnęłam z zadowolenia.

Jay odwrócił do mnie twarz.

- Co się stało?
- Nic – powiedziałam szybko. – Co teraz?
- Prowadzisz mnie po całym pomieszczeniu. Ale żeby nie było za łatwo, to ma być jak bieg z przeszkodami. Muszę ci zaufać, że nie zaprowadzisz mnie na krawędź sceny, abym z niej spadł, i że powiesz mi, kiedy będą schodki albo że muszę się schylić. Tego typu rzeczy. Okej?

– Okej.

Takie coś mogłam zrobić, żaden problem. To było łatwiejsze od grania, bo miałam wymówkę, żeby trzymać go za rękę, i mogłam do woli napawać wzrok rysami jego twarzy – co właśnie robiłam, wpatrując się w jego cudowne usta.

– Gotowa?

– Tak. Dobrze, a więc skręcamy w twoje lewo i robimy jakieś dziesięć kroków. Albo nie, sześć, masz naprawdę długie nogi. Uwaga, pięć schodków w dół... i ostatni... Dobra robota!

Uśmiechnął się, słysząc tę pochwałę. Miał pełne, rdzaworóżowe usta z idealnym łukiem kupidyna. Były wystarczająco ładne, by należeć do kobiety, ale przy jego kwadratowej szczęce, lekkim,

całodniowym zaroście i nieco krzywym nosie chroniły twarz Jaya przed tym, by była aż do przesady męska.

Poprowadziłam go w stronę reżyserki, rozkoszując się dotykiem jego dłoni leżącej na mojej, niemal rozzuchwalona łatwością tego ćwiczenia.

– Dobra, teraz twoja kolej – powiedział Jay.

Dwukrotnie przepasał mi oczy miękkim szalem i delikatnie ścisnął z tyłu głowy.

– Widzisz coś?

Zawahałam się, rozważając, czy powiedzieć prawdę, czy skłamać. Gdy patrzyłam w dół, nie poruszając głową, wciąż widziałam wąski pasek podłogi. Dzięki temu czułam się bezpieczniej i mniej bezbronne, ale też jak oszustka.

– Troszeczkę – przyznałam.

Jay poprawił jedwabny materiał, a ja skinęłam głową, potwierdzając, że teraz już nic nie widzę. Nagle dotarła do mnie świadomość kompletnej ciszy, przerywanej jedynie oddechem Jaya idącego tuż obok mnie i szybkim biciem mojego serca. Czułam się obnażona i bezbronna, a świadomość, że muszę zdać się całkowicie na niego, była dość niepokojąca.

– Nie podoba mi się to – powiedziałam niemalże z paniką w głosie. – Wolałabym tego nie robić.

Podniosłam dłoń, żeby zdjąć z oczu opaskę, ale powstrzymał ją i położył sobie na przedramieniu.

– Peyton, nawet trochę mi nie ufasz? – zapytał i zdawało mi się, że słyszę w jego głosie jakąś namiętą nutę.

– Eee...

Prawda była taka, że nie ufałam nikomu. Przez wszystkie te lata udało mi się doprowadzić do perfekcji umiejętność polegania na sobie. Jeśli człowiek nie potrzebuje innych ludzi, nie jest tak bardzo wystawiony na ciosy. Będąc całkowicie niezależnym, nie można zostać tak głęboko zranionym.

– Czy możesz mi zaufać, Peyton?

Czy mogłam zaufać Jayowi?

– Uch...

– Czy chociaż spróbujesz mi zaufać? – zapytał.

– Tak.

– To dobrze. – Zabrzmiał, jakby się uśmiechał. – Obiecuję, że się tobą zajmę. Nic ci się przy mnie nie stanie. Jestem osobą, na której możesz polegać.

Te słowa i szczerość, z jaką je wypowiedział, sprawiły, że ścisnęło mnie w gardle, a w oczach poczułam piasek. Nigdy nie usłyszałam od nikogo czegoś podobnego.

Skinęłam głową, ale w środku wymierzałam sobie policzek, bo musiałam wziąć się w garść. Jay mówił o ćwiczeniu; to nie była obietnica troszczenia się o moje zdrowie i szczęście do grobowej deski.

Okręcił mnie kilka razy w miejscu, tak że całkowicie straciłam orientację, i zaczęliśmy wędrówkę. Co dziwne, to okazało się łatwiejsze, niż myślałam. Uświadomiłam sobie, że naprawdę mu ufałam. To ze sobą miałam problem. Sama sobie nie ufałam, że potrafię się o siebie zatroszczyć, ochronić przed światem, który może mnie skrzywdzić, pójść we właściwą stronę, dostrzegać i omijać przeszkody, jakie powodowały, że się potykałam i przewracałam.

Głęboki głos Jaya i jego silne ramię prowadziły mnie przez labirynt zasłoniętych kurtyną kulis, po drabinkach i schodkach; nawet odkręciłam kran i napiłam się wody (bez wyszczerbienia sobie ani jednego zęba) w garderobie za sceną.

W końcu się zatrzymaliśmy, a on puścił moją rękę.

– Poczekaj – powiedział.

Nagle jego dłonie znalazły się na mojej talii. Podniósł mnie i posadził na krawędzi sceny. Nikt nigdy mnie nie podniósł, nie narzekając i nie jęcząc przy tym z wysiłku. No, może kiedy byłam niemowlęciem, ale nie potrafiłam przywołać wspomnienia siebie jako kogoś małego. Łatwiej mi było wyobrazić sobie, że urodziłam się jako olbrzymka i na przykład mojemu ojcu wypadł dysk, gdy podnosił mnie z kołyski, albo że mama naciągnęła sobie mięsień, wyjmując mnie z wanienki.

Teraz czułam się lekka jak piórko, tak drobna jak Wren, kobieca jak każda inna dziewczyna na ziemi i ledwie powstrzymałam samą siebie, by nie zacząć dziękować Jayowi z płaczem za to nowe doznanie.

Poczułam pociągnięcie za szal i zaczęłam mrugać, oślepiąca światłem. Jay wskoczył na scenę i usiadł obok mnie, wyraźnie zadowolony z powodzenia naszego pierwszego ćwiczenia.

– Żadnych siniaków czy otarć? – zapytał z szerokim uśmiechem.

Gdy tak się uśmiechał, delikatny zarys jego ust wyostrzał się, a jego twarz była wtedy stuprocentowo męska. Gapiłam się na usta Jaya, marząc o ukryciu się w jego ramionach, o tym, że przytula mnie mocniej niż ktokolwiek dotychczas i że powtarza, iż się mną zajmie. I delikatnie całuje mnie w czubek głowy, gdy przytulałam się do jego piersi. To była piękna fantazja.

– Peyton? – Chyba o coś mnie pytał.

– Hę?

– Wszystko w porządku? – Patrzył na mnie z góry (z góry!) z zaniepokojoną miną.

– Oczywiście. – Uciekłam od jego spojrzenia i wbiłam wzrok w stopy, w miejsce, w którym niebieskie płótno moich sneakersów przechodziło w gumowy czubek. – Co teraz?

– Teraz wpadasz mi w ramiona.

– Co?

Czy czymś się przed nim zdradziłam? Czułam, jak na mojej twarzy pojawiają się szok i przerażenie, co musiało wyglądać absurdalnie, bo odrzucił głowę i zaczął się śmiać.

– To tylko takie ćwiczenie, zobacz. – Wstał, podał mi rękę i bez trudu postawił na nogi. – Tak to się robi. – Odwrócił mnie plecami do siebie. – Zrób kilka kroków – powiedział. – Jeszcze ze dwa. Idealnie, stop.

Stałam na środku sceny, wpatrując się z niepokojem w kulisy.

– Co teraz?

– Teraz wpadasz tyłem w moje ramiona.

– Że co? – Wykręciłam się i spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– Lecisz do tyłu, jakbyś mdlała, a ja cię łapię.

– Nie, jestem dla ciebie za ciężka.

Niektóre rzeczy były pewnikami, jak oddziaływanie siły grawitacji na jabłka, magnetyczny efekt przyciągania wywierany na mamę przez sklepy internetowe i to, że nikt nie utrzymałby mojego ciężaru, gdybym wpadła mu w ramiona.

– Wcale nie. Daleko ci do tego – odpowiedział takim tonem, jakbym go obraziła. – Złóż ręce w ten sposób. – Podeszedł do mnie i skrzyżował mi je na klatce piersiowej.

– Czuję się jak trup.

Którym się stanę, jeśli upadnę tyłem i uderzę o podest jak zwalone drzewo. Podłoga się zatrzęsie, deski oparte o tylną ścianę sceny upadną, światła nad sceną pourywają się z lin, a Jay uświadomi sobie pełnię moich rozmiarów i ostatecznie dotrze do niego, że bardziej przypominam ogromną sekwoję niż dmuchawiec.

– Peyton – szepnął mi do ucha ciepłym, głębokim głosem – wciąż mi nie ufasz?

– Nie! – W dramatycznych chwilach pomaga jedynie szczerość. – Nie, nie ufam, okej?

– Obiecuję, że cię złapię. Nie pozwolę ci upaść.

Znowu zapiekły mnie oczy.

– Obiecujesz? – dopytywałam.

Chwyił moją dłoń i położył ją sobie na klatce piersiowej, po czym przykrył swoją.

– Przysięgam – powiedział. – Z ręką na sercu.

– Dobrze – szepnęłam. – Spróbuję.

– O więcej nie proszę. – Zrobił kilka kroków w tył i pokazał palcami, że mam się odwrócić. –

Przysięgnij – nakazał.

– Przysięgam i obym szeszła, jeśli przysięgi tej nie dotrzymam – szepnęłam, krzyżując na piersi ręce i wbijając palce w miękką skórę między barkami a szyją.

– A teraz po prostu upadnij do tyłu – powiedział.

I tak zrobiłam.

Przesunięcie równowagi o te kilka cali kosztowało mnie wszystko, co miałam – całe moje niewielkie zaufanie, każde nędzne ziarno wiary w siłę innych, że zdołają uchronić mnie przed upadkiem i zapewnić bezpieczeństwo.

Ale udało mi się. Upadłam do tyłu. A on mnie złapał, złapał mnie pod pachami, przytrzymując plecy. I, co zasługuje na dodatkową pochwałę, nawet nie jęknął z wysiłku, a po wszystkim nie narzekał na naciągnięte mięśnie czy dysk, który mu przy tym wypadł.

– Nie pozwoliłeś mi upaść – zachwyciłam się w zdumieniu.

– Obiecałem, że cię złapię. Gotowa na kolejną próbę?

Zaczęłam się zastanawiać. Z jednej strony teraz ufałam mu trochę bardziej, tak troszeczkę. Ale z drugiej...

– A co, jeśli już nie masz siły?

– Peyton – powiedział, unosząc kącik ust. – Proszę, nie bądź śmieszna. Czy ja wyglądam na wyczerpanego?

Wyglądał na silnego i wysportowanego; zdecydowanie nie na jakiegoś cherlaka. Odwróciłam się, skrzyżowałam ręce i raz jeszcze upadłam do tyłu. A on ponownie mnie złapał. Roześmiałam się z czystej rozkoszy płynącej z tak rzadkiego doświadczenia.

– I proszę bardzo – powiedział z uśmiechem. – Właśnie tak to się robi.

Wpadłam mu w ramiona jeszcze trzy razy, a potem uparłam się, że teraz moja kolej, by go łapać. Nie miał żadnym problemów z zaufaniem ani wątpliwości co do mojej siły. Bez wahania odwrócił się i upadł wprost w moje ramiona. Zdołałam nie dopuścić, by uderzył głową o deski sceny, ale szczerze

mówiąc, kosztowało mnie to trochę wysiłku. A nawet całkiem sporo. Gdyby chodziło o Zacka, nie miałabym z tym najmniejszych kłopotów, ale Jay był wysoki. I ciężki.

– Uff – jęknęłam za pierwszym razem.

Za drugim sama upadłam, a on wylądował na mnie.

– Jesteś cały? – zapytałam, siadając i nachylając się nad jego głową w poszukiwaniu obrażeń, ze świadomością, że nie dałam rady go przytrzymać, choć przynajmniej zamortyzowałam ciałem jego upadek.

– Wiesz – powiedział, leżąc na plecach z głową na moich kolanach. – Jest mi zaskakująco dobrze.

I mnie było dobrze. Czulałam jego lekko korzenny zapach i znajdowałam się wystarczająco blisko, żeby policzyć jego piegi. Jay westchnął, nie spiesząc się ze wstaniem. Moja dłoń sama się uniosła i ruszyła w stronę jego głowy. Palce już dotykały jego włosów, gotowe, żeby się w nie wpleść, gdy nagle oprzytomniałam i gwałtownie cofnęłam rękę.

– Peyton?

– Tak?

– Lubisz grać?

– Tak.

– Dlaczego?

– Dlaczego?

– Tak, dlaczego?

– Nie wiem – odparłam i czekałam.

Była to taktyka, którą często stosowałam, gdy ludzie zadawali mi trudne albo niewygodne pytania. Większość nie wytrzymywała ciszy i sama spieszyła z odpowiedzią, zwalniając mnie z tej konieczności. Ale Jay nie był jak większość ludzi. Cierpliwie wytrzymał ciszę, a jego pytanie wisiało w powietrzu, nabierając wagi, dopóki się nie odezwałam.

– Pewnie dlatego, że czasami mam ochotę być kimś innym – powiedziałam w końcu.

– Nie lubisz być sobą? Nie podoba ci się to, kim jesteś?

Między jego brwiami pojawiła się drobna zmarszczka.

– Chodzi bardziej o to, że postać ze sztuki zawsze dobrze wie, kim jest. Wie, co ma mówić i robić, wie, jak i kiedy się poruszać. Jej kwestie i gesty zostały dla niej napisane. W prawdziwym życiu często nie mam pojęcia, jak się zachować. I nie ma prób.

Skinął ze zrozumieniem głową, która wciąż leżała na moich kolanach.

– Wydaje mi się, że czasami lubię też na chwilę zniknąć.

– Zniknąć, kiedy jesteś na scenie przed publicznością? – Znowu się uśmiechnął. Uwielbiałam ten jego uśmiech.

– Tak. Gdy wchodzę w rolę, mogę być jednocześnie widzialna i niewidzialna. Pokręcone, co? Ale nie przeszkadzają mi te wszystkie pary oczu, które obserwują mnie podczas grania, bo wtedy jestem kimś innym. Patrzą na postać, nie na mnie, rozumiesz? To łatwiejsze niż spacer zatłoczonym korytarzem, na którym wszyscy się gapią, jakbym była jakimś mutantem.

– Rzeczywiście, zauważyłem, jak się na Ciebie patrzą. Ale tak bywa, gdy jest się...

Zanim zdążył dokończyć zdanie, ja już westchnęłam, gotowa odpowiedzieć: „Oczywiście, ale to wcale nie musi mi się podobać, prawda?”.

– ... piękną dziewczyną.

– Hę? – odezwałam się, kompletnie zbita z tropu jego ostatnimi słowami.

– Gdy ma się tygrysie oczy i seksowne ciało, ludzie będą się gapić, Peyton, tak to już jest.

Zaczęłam śmiać się tak bardzo, że aż zrzuciłam sobie z kolan jego głowę.

– Co Cię tak rozbawiło? – zapytał, siadając.

– Ty, Jay! Oni nie gapią się przez moje oczy ani przez moją urodę. – Ostatnie słowo ujęłam w wyimaginowany cudzysłów. – Gapią się na mój nienaturalny wzrost!

Zaskoczony cofnął brodę i spojrzał na mnie osłupiały.

– Naprawdę tak uważasz?

– Mieszkam w tej przerośniętej skórze już od bardzo dawna i, uwierz, dobrze wiem, jak ludzie się przy mnie czują.

– Sądę – zaczął, stukając palcem w dolną wargę – że ważniejsze jest to, jak ty się ze sobą czujesz. Uświadomiłam sobie, że na mojej twarzy pojawia się zakłopotanie.

– Sądę, że nie czujesz się dobrze we własnej skórze. To ty jesteś przesadnie skrępowana i skupiona na swoim wzroście, nie inni. Sama się nakręcasz, ot co.

– Słuchaj, może i tak, ale...

– „Może”? – droczył się.

– Okej, sama się sobą krępuję, ale inni naprawdę zwracają uwagę na mój wzrost. Ciągłe nazywają mnie olbrzymką albo amazonką i proszą o raporty pogodowe ze stratosfery.

– Naprawdę? – zapytał i się zamyślił. – Ja tego nie doświadczam.

– Z facetami jest inaczej – odparowałam poirytowana. – Być może słyszałeś o takim małym potworku o nazwie podwójne standardy? To faceci powinni być wysocy. Wzrost jest atrybutem męskości, więc bardzo wysokie dziewczyny są postrzegane jako wynaturzone i niekobiece, a wysokich mężczyzn uważa się po prostu za seksownych. – Cholera, to ostatnie słowo niepotrzebnie mi się wymysknęło.

– A więc... jestem seksowny?

– Nie w tym rzecz – powiedziałam szybko. – Ludzie zauważają mój wzrost, nie oczy czy co tam innego.

– Okej, niech będzie. Widzą, że jesteś wyższa od większości dziewczyn, ale czy naprawdę myślisz, że to ich interesuje? Albo że o tym rozmyślają? Tylko ty ciągle się tym przejmujesz.

Może w jego słowach było trochę racji?

– A poza tym – dodał, podnosząc się, otrzepując nogawki dzinsów i podając mi rękę, bym mogła wstać – wiesz, co mówi Dr Phil...

– Zamieniam się w słuch – odparłam, nie puszczając jego dłoni.

– Dużo mniej przejmowałabyś się tym, co ludzie o tobie myślą, gdybyś tylko wiedziała, jak rzadko to robią – powiedział, idealnie naśladowując teksański akcent.

Lista Wysoki

1. Jay You

~~2. Tim An~~

~~3. Mark~~

4. W. I.

Jay Young wrócił na Listę Wysokich Chłopców.

Teraz gdy już uwolnił się od Faye, mogłam go zaprosić na randkę, ale się wahałam. Było zbyt wcześnie, żeby wkroczyć do akcji; wyszłabym na jakiegoś randkowego sępa, który przez cały ten czas czekał i obserwował, gotów do skoku, gdy tylko jego związek z Faye okaże się niewypałem.

I tu Chloe się ze mną nie zgadzała.

– Kuj żelazo, póki gorące, zanim jakaś ci go zwinie sprzed nosa – ponaglała, gdy poinformowałam ją, że Jay i Faye oficjalnie się rozstali.

– Boję się.

– Czego, odrzucenia?

Jak zawsze. Ale w grę wchodziło coś jeszcze.

– Boję się, że rozwalę przedstawienie. Jeśli randka z Jayem pójdzie źle, potem granie u jego boku będzie koszmarem. A jeżeli przez to schrzanię naszą sztukę, zachowam się nie fair wobec reszty obsady. Wszyscy włożyli w to mnóstwo czasu i energii.

Poza tym randka z Jayem miałyby dużo większą wagę niż z Timem, Dylanem czy Markiem. I gdybym go na nią zaprosiła, a on by mi odmówił, przejęłabym się. Gdyby natomiast się zgodził, narobiłabym sobie nadziei – i to nie na wygranie zakładu. Jeśli zaczęlibyśmy się spotykać, a potem doszłoby do rozstania, to by mnie zraniło. Nie, muszę po prostu zacisnąć zęby i poczekać do premiery naszej sztuki.

W trzecim tygodniu listopada, czyli dokładnie miesiąc przed premierą, wszyscy mniej więcej znaleźliśmy już nasze kwestie na pamięć, z Jayem i moją skromną osobą na czele (on nauczył się ich, bo podchodził do tematu profesjonalnie, a ja z obawy, że Wren odbierze mi rolę, jeśli się nie przyłożę), i z kulejącym nieco z tyłu stawki Zackiem. Tak więc wszyscy czuliśmy się trochę pewniej.

Do czasu aż Doug nie rzucił nam podkręconej piłki.

Romero i Julia, wyjaśniał, to nie tylko nowoczesna adaptacja sztuki Szekspira, ale również przedstawienie multimedialne. Na umieszczonych po bokach sceny olbrzymich ekranach będą pokazywane zbliżenia naszych twarzy i panoramiczny widok scenerii takich jak plaża o zachodzie słońca, dzikie imprezy czy pokój Julii. Z głośników z systemem dźwięku przestrzennego rozstawionych po audytorium będą płynąć popularne piosenki. Powstanie również hashtag (#RomeroiJulia4eva), żeby widzowie mogli na żywo zamieszczać swoje wrażenia na Twitterze czy Instagramie.

– To będzie na wpół film, na wpół przedstawienie i jedno wielkie show! – mówiąc to, Doug wyciągnął palce w geście metalowców.

– Super – powiedziała cierpko Liz. – Cała szkoła zobaczy na ogromnym ekranie moje pryszcze.

– Ujęcia dobierzemy bardzo starannie – zapewnił Doug. – Ale będziemy musieli mocno popracować nad synchronizacją, żeby nie skończyło się wypowiedaniem kwestii podczas puszczenia muzyki.

Jay nie wyglądał na zachwyconego pomysłem wplecenia w przedstawienie multimediiów.

– To będzie bardzo rozpraszało nie tylko nas, ale i widownię. Nie sądzisz, że ten pomysł odbije się na naszej grze?

– Czemu jesteście takimi pesymistami? Wyjdzie świetnie – powiedział stanowczo Doug. – To będzie coś zupełnie innego, więc pójdzie fama i sprzedamy więcej biletów wśród ludzi, którzy normalnie nie przyszliby na przedstawienie *Romeo i Julia*. Chyba chcecie grać przed pełną widownią?

Ja chciałam, choć gdy myślałam o swojej grze, wciąż miałam pewne wątpliwości. Albo nie, wróc. Miałam olbrzymie wątpliwości i mroczne obawy, przez które zalewał mnie zimny pot. Ale nawet ja musiałam przyznać, że sceny z Jayem szły dużo lepiej po naszych wspólnych ćwiczeniach. Wciąż nie dawałam z siebie wszystkiego, ale przynajmniej teraz lepiej go poznałam. I ufałam mu na tyle, żeby się rozluźnić i włożyć w swoją grę więcej uczucia.

Julia w wykonaniu Wren była słodka, delikatna i niewinna. Moja Julia była bardziej podenerwowana i spięta. Nie planowałam tego – chyba moja wrodzona nerwowa powściągliwość po

prostu zmieszała się ze sposobem, w jaki się poruszałam i wypowiadałam swoje kwestie – ale uważałam, że taka kreacja bardziej pasuje do nowoczesnej adaptacji. W tym tysiącleciu przesadnie miła, dobra i łagodna dziewczyna w najlepszym razie jest nudna, a w najgorszym do bólu ciapowata.

Jay zareagował na moją kreację Julii jako twardej, drażliwej dziewczyny z bogatego domu, przystosowując do mnie swoją grę, wprowadzając do niej więcej śmiałości i element konfrontacji, dzięki czemu odszedł od cukierkowej czułości. Przestał się też golić – wyjaśnił nauczycielom, którzy kręcili nosem, że robi to do roli – więc wyglądał bardziej twardo. I seksowniej.

Po pierwszej próbie z multimediami byliśmy skołowani i zagubieni, ale Doug zaskoczył nas nie tylko tym, że się nie wściekał („To wasz pierwszy kontakt z multimediami, spodziewałem się paru potknięć”), ale też zaproszeniem nas po próbie na burgery do Jumping Jima w podzięce za nasze starania.

Do baru podwiózł mnie Zack. Nie byłam do końca pewna, jak to się stało – wołałabym jechać z Jayem... albo z kimkolwiek innym, mówiąc szczerze – ale Zackowi jakimś cudem udało się zgarnąć wszystkie dziewczyny do swojego szybkiego i głośnego sportowego samochodu.

– Posłuchajcie tylko tego silnika, drogie panie – powiedział, zwiększając obroty na światłach. – To dźwięk mocy i adrenaliny. To krzyk godowy prawdziwego mężczyzny.

Ten krzyk godowy nie wywarł specjalnego wrażenia na żadnej z dziewczyn w samochodzie, które odpowiedziały nań przewracaniem oczu, parsknięciami śmiechem i chichotem. Ale przynajmniej podróż była krótka, a ja mogłam zająć przednie siedzenie.

W barze przystawiliśmy do siebie kilka stolików, żeby dało się usiąść razem. Jakoś tak wyszło, że trafiło mi się krzesło obok Jaya. Każdą komórką ciała czułam, jak dotyka udem mojego uda, jak od czasu do czasu jego łokieć ociera się o moje ramię. Pech chciał – mój pech, bo innych jakoś takie nieszczęścia omijały – że na zmianie była Tori i to właśnie ona obsługiwała nasz stolik.

Gdy przyniosła nam zamówienia, podeszła do mnie po cichu.

– Widzę, Wielka P., że siedzisz obok tego swojego wielkoluda, ale to się nie liczy jako randka, nawet jeśli obściskujecie się pod stolikiem – szepnęła wściekle.

– Cicho! – syknęłam.

– Ustalmy ponad wszelką wątpliwość, że to wyjście grupowe.

– W porządku! – A teraz spadaj.

– O co chodziło? – zapytał Jay, nachylając się do mnie i odprowadzając wzrokiem Tori.

– O nic.

Nie ma mowy, żebym powiedziała mu o zakładzie – to było po prostu zbyt żenujące. Pewnie, tamtego pierwszego wieczoru ładnie się zachował, gdy chodziło o pocałunek, ale umarłabym ze wstydu, jeśliby się dowiedział, że nie umiałam skłonić żadnego faceta, aby poszedł ze mną na trzy marne randki. A gdyby zrobiło mu się mnie żal i raz jeszcze zaoferował pomoc w wygraniu zakładu? To by była randka z litości, dokładnie tak, jak mówiła Tori.

Cały ten zakład był też na swój sposób haniebny. Co ja miałam w głowie, zgadzając się chodzić na randki dla pieniędzy? Po ostatnim przedstawieniu opowiem Jayowi o zakładzie i gdzieś go zaproszę. Ale nie wcześniej.

Dom Jaya znajdował się w zupełnie innym wszechświecie, na planecie o nazwie Szczęście Rodzinne.

Mój Romero mieszkał w ogromnym, dwupoziomowym domu w stylu kolonialnym ze schludnym podwórkiem i skrzyniami kwiatów w oknach. Jego matka – szczupła, elegancka kobieta o brązowych włosach ostrzyżonych na pazia – uśmiechnęła się na powitanie i zaprowadziła mnie do salonu.

Podziwiałam wszystkie znajdujące się w nim cudne rzeczy: wykwintne perskie dywany pokrywające lśniącą, wypastowaną drewnianą podłogę, czarno-białe fotografie w ramach i oryginalne obrazy na ścianach, niewielkie, gustowne zbiory ciekawych *objets d'art* na stolikach, ciężkie, eleganckie zasłony w jasnych kolorach, świeże kwiaty w wazonach – żółte lilie w hallu i białe róże na środku ławy między ciemnymi, skórzanymi sofami w salonie. W każdym zakątku było mnóstwo przestrzeni.

Czułam się, jakbym trafiła na kolorową rozkładówkę „Beautiful Homes”.

Członkowie naszej obsady, z których większość przysła przede mną, byli jedynymi niechlujnymi elementami tego obrazka. Rozsiedli się na krzesłach i sofach, niedbale rzucili kurtki i szaliki na fotel klubowy i rozmawiali trochę za głośno jak na tak piękne pomieszczenie, które zdawało mi się stworzone do cichych, dystygnowanych zajęć – jakiejś medytacji albo słuchania spokojnej muzyki klasycznej przy czytaniu jednej z książek równo poustawianych na wysokich półkach przy ścianie w głębi. Ale teraz tłoczyła się tutaj głośna trupa aktorów, bo w szkolnym audytorium miał właśnie miejsce konkurs krasomówczy.

– Siadaj, proszę – powiedział Jay.

Zack przesunął się na środek sofy i zapraszająco poklepał miejsca po obu stronach swojej skromnej osoby.

– Wielkolud numer jeden – zwrócił się do Jaya – i wielkolud numer dwa – dodał, tym razem do mnie.

Zerknęłam na Jaya, który też na mnie spojrział, unosząc brew i powstrzymując się od śmiechu, po czym usiadłam na podłodze, oparta plecami o miękką, skórzany puf. Jay zajął fotel naprzeciwko mnie, na co rozcieszony Zack zrobił nadąsaną minę.

Doug klasnął dwa razy w dłonie – to jego zwyczajowy sygnał, żebyśmy się zamknęli.

– Tak więc to będzie próba bez chodzenia i bez multimedii, ale nie możemy sobie pozwolić na stracenie choćby jednej godziny. Premiera jest osiemnastego grudnia, czyli już za trzy krótkie tygodnie, ludziska! – Obrzucił nas surowym spojrzeniem. – Pomyślałem sobie, że dziś moglibyśmy porozmawiać o naszych postaciach i podzielić się pomysłami na to, co może być ich motywacją w różnych scenach. Podpowiem wam też, w którym miejscu warto pokazać większą głębię uczuć. – Wypowiadając ostatnie zdanie, przesunął wzrok na mnie, a ja spuściłam oczy i podciągnęłam swoje (męskie) skarpetki, próbując zakryć szparę między krawędzią dżinsów a sneakersami.

– Ale najpierw kilka szybkich powtórek – ciągnął Doug. – To znakomity sposób na utrwalenie sobie tekstu. Wciąż uważam, że niektórzy są tak bardzo zajęci myśleniem o własnych kwestiach, że nie wcielają się do końca w swoje postacie.

Pewna, że znowu pije do mnie, nie podnosiłam oczu, tym razem wbijając wzrok w rękę, a dokładniej w mniej więcej dziesięciocentymetrowy skrawek odkrytej skóry między nadgarstkami a mankietami koszuli. Poczułam znajome poirytowanie. To miała być bluzka z długimi rękawami, ale te zawsze kończyły się tuż za moimi łokciami, chyba że była to męska koszula. Czy serio nikt na świecie nie szyl ubrań dla wysokich dziewczyn? Czy dla sklepów naprawdę byłoby kłopotliwe wprowadzenie takiej kolekcji – ubrań, które są dopasowane w talii, ale mają dłuższe rękawy i nogawki, butów i skarpetek wystarczająco długich, żeby pasowały na nasze stopy, dłuższych sukienek? Ktoś powinien się zająć ich projektowaniem.

Nagle przez moje ciało przebiegł dreszcz – nadziei? podekscytowania? euforii? – i poczułam, jak

wstępuje we mnie nowa energia. Mam, nareszcie! To idealny motyw przewodni dla mojego projektu! Tym kimś, kto powinien zaprojektować kolekcję dla wysokich dziewczyn, byłam ja. Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy? Uszyję piękne ubrania, które będą współgrać z długimi kończynami i sylwetką wysokiej dziewczyny, które udowodnią, że i my mamy talie i biusty: sukienki, które nie będą nieprzyzwoicie kuse, topy, które nie będą przypominać namiotów cyrkowych, dekolty, przez które z łatwością wsuniemy nasze duże głowy, rękawiczki, które nie będą zatrzymywały nam krążenia, jednoczęściowe kostiumy kąpielowe, które nie będą się nam wrzynać w pupę, dopasowane podkoszulki, w których można oddychać, i elegancką sukienkę wieczorową, w której każda wysoka dziewczyna poczuje się jak księżniczka.

– Peyton? Peyton? – ktoś wołał moje imię.

Gdy odpłynęłam w krainę swoich wysokich fantazji, pani Young przyniosła tacki przekąsek i pytała mnie, na co mam ochotę. Zamrugałam – częściowo po to, by pozbyć się obrazu obcisłej, czarnej, aksamitnej sukienki z odkrytymi plecami, a częściowo dlatego, że oślepiało mnie piękno wszystkich tych pyszności. Świeżo parzona kawa w zaparzaczu, kubki gorącej czekolady z pływającymi w nich miniaturowymi piankami, szarlotka i kruche ciasteczka domowej roboty.

Wybrałam kawałek szarlotki z bitą śmietaną i kubek gorącej czekolady.

– Serdecznie dziękujemy – powiedziałam. – Wygląda przepysznie!

– Nie ma za co, kochanie – odparła pani Young, która wyglądała na lekko zdziwioną moim wybuchem entuzjazmu.

Rzut oka na pozostałych powiedział mi, że nikt inny tak się nie ekscytował. Czy i oni mieli w domu podobne uczyty? Niewiarygodne.

Mimo że nie mogłam się już doczekać, kiedy zacznę przelewać na papier pomysły na swoją nową kolekcję, zmusiłam się do koncentracji na dyskusji i powtórkach tekstu. Część mojego podekscytowania wypłynęła mi chyba na twarz albo przedostała się do głosu, bo Doug pochwalił mnie za „niemal maniakalną energię”. A przynajmniej tak mi się wydaje, że to była pochwała.

Robiliśmy drugą powtórkę, gdy nagle drzwi salonu otworzyły się z łoskotem i pojawiła się w nich głowa ciemnowłosego mężczyzny. Był wystarczająco podobny do Jaya, abym mogła stwierdzić, że to jego ojciec.

– Ach, witajcie, trubadurzy! Jak idzie próba? – zapytał donośnym głosem.

Rzuciłam Jayowi szybkie spojrzenie i zauważyłam, jak jego twarz przybiera na sekundę nieprzenikniony wyraz, po czym z powrotem się rozluźnia.

– Śpiwająco, proszę pana – odpowiedział Doug.

– Tak, zwłaszcza w towarzystwie tych ciasteczek – dodał Zack, który sam zjadł jedną trzecią z nich.

– To wspaniale, to wspaniale! – zawołał pan Young ze szczerym entuzjazmem. – Bawcie się dobrze, dzieciaki. I wołajcie, jeśli będziecie czegoś potrzebować.

Potem przeszliśmy do obiecanego przez Douga analizy postaci. Jay, który zawsze traktował aktorstwo poważnie, wydawał się jeszcze bardziej niż zwykle pochłonięty rozmyślaniami nad motywami Romera i źródłem jego gniewu oraz wrogości, podczas gdy Zack ciągle rzucał teksty w stylu „już ja cię zmotywuję, słodziutka”, a Liz zastanawiała się, czy bezwyznaniowy przywódca duchowy o nieokreślonej płci, którego grała, mógłby być biseksualny, a co za tym idzie, „na równi zauroczony Romerem i Julią oraz zazdrosny o nich”.

Nasza próba dobiegała już końca, gdy wymknęłam się do toalety.

– Mogę ci jakoś pomóc, kochanie? – Pani Young przechodziła właśnie z tacą, zapewne po nasze brudne kubki i talerze.

– Szukam łazienki.

– Ta na dole jest zajęta, ale na górze, na końcu korytarza po prawej, jest druga.

Po wizycie w łazience (puszyste ręczniki, mydło w kształcie pąka róży, zapachowy balsam do rąk, piękna marmurowa płyta) ruszyłam wolno w stronę schodów, licząc, że uda mi się zajrzeć do pokoi na górze. Jeden z nich na pewno należał do Jaya. Pierwsze drzwi były uchylone, więc

rozejrzawszy się szybko, czy nikt mnie nie widzi, pchnęłam je czubkiem stopy i na chwilę wetknęłam głowę do środka. Był to czysty, utrzymany w biało-czarnej kolorystyce pokój. Na półkach stało kilka książek, ale większą część regału zajmowały stereo i olbrzymia kolekcja płyt CD, a na głównej ścianie wisiał obraz przedstawiający wzburzone morze.

Czy to był pokój Jaya? Jakoś mi do niego nie pasował. Mój Romero musiał mieć brata – pewnie starszego. W pokoju młodszego panowałby większy nieporządek, na podłodze leżałyby jakieś podręczniki i zabawki. A tu było jak w muzeum.

Drzwi kolejnego pokoju były otwarte na oścież, a gdy tylko do niego zajrzałam, od razu się domyśliłam, że należy do Jaya. Na ścianach wisiało mnóstwo oprawionych w ramy plakatów teatralnych – z *Nędzników*, *Szklanej menażerii*, *Otella*. Przy oknie zobaczyłam czerwone aksamitne zasłony związane opaskami, co nadawało pokojowi teatralnego wyglądu i być może stanowiło aluzję do słynnego cytatu, że cały świat to scena. Łóżko było bardzo długie. Założę się, że Jayowi stopy nie zwisały w nocy z krawędzi.

Jedna sterta książek leżała na stoliku nocnym, druga na biurku, a na oparciu krzesła wisiała jego czarna skórzana kurtka. W pokoju nie panował bałagan, ale widać było, że ktoś w nim mieszka. Kusilo mnie, żeby wślizgnąć się do środka i z bliska przyjrzeć się każdemu szczegółowi. Chciałam sprawdzić tytuły książek, które czyta, i zobaczyć, jaką muzykę lubi. Kurczę, kusilo mnie nawet, żeby rzucić się na jego łóżko, schować twarz w poduszce i napawać się jego zapachem, ale dobiegający z dołu wybuch śmiechu momentalnie mnie otrzeźwił.

Czmychnęłam z pokoju Jaya i byłam już w połowie schodów, gdy nagle drzwi wejściowe się otworzyły, a do środka weszła młoda kobieta. Była wysoka – choć nie tak wysoka jak ja – smukła i miała krótkie, nastroszone włosy.

Zauważyła mnie od razu i posłała mi szeroki, pewny siebie uśmiech.

– Cześć, a ktoś ty?

– Należę do obsady sztuki, w której gra Jay. Mamy tu dziś próbę.

– Ach! – powiedziała, kiwając głową. – Czy mogłabyś...

I właśnie wtedy z salonu wyszedł Jay. Gdy zobaczył nowo przybyłą, twarz pojaśniała mu z radości.

– Hej, jak dobrze cię widzieć! – zawołał, podchodząc do niej z szeroko otwartymi ramionami, po czym mocno ją przytulił.

Miło.

Poznałaś już Peyton? – zapytał Jay.

– Cześć, Peyton – powiedziała nowa dziewczyna.

– Peyton, to moja siostra, Jack.

– Masz siostrę? O imieniu Jack? – odpowiedziałam, na równi z ulgą i ze zdziwieniem.

– Tak naprawdę ma na imię Jacqueline – wyjaśniła pani Young, która pojawiła się w korytarzu, objęła córkę i zrobiła krok w tył, żeby przyjrzeć się jej twarzy. – No proszę, jaka opalona!

Jack zrobiła kwaśną minę.

– Maamo!

– Nigdy nie reagowała na imię Jacqueline – tłumaczył mi Jay.

– A ty byś reagował? – zapytała go zaczepnie siostra.

– Ja jestem chłopakiem – odparł.

– Tylko dlatego, że ktoś jest płci żeńskiej, nie znaczy, że musi dostać tak... dekoracyjne imię – odparowała Jack, ale mówiąc to, uśmiechnęła się szeroko, a ja odniosłam wrażenie, że to ich stały temat bratersko-siostrzanych przekomarzań.

– Próbowалам nazywać ją Jackie, a nawet Jaycee, ale i to nie pomogło – powiedziała pani Young.

– Jackie to imię dla psa, a co do Jaycee... to kim ja niby jestem, Jezusem Chrystusem? Mam na imię Jack i kropka.

– Miło mi cię poznać, Jack – odezwałam się. I naprawdę tak było; wydawała się niesamowita.

– Hej, Peyton, pomożesz mi wnieść torby?

Zobaczyłam, że tuż przed drzwiami rzuciła dwa duże worki marynarskie.

– Pewnie – powiedziałam. Chwyciłam jeden z nich i przewiesiłam go sobie przez ramię.

– Pomogę ci – zaoferował się Jay.

Z chęcią oddałabym mu ten worek, bo był naprawdę ciężki, ale Jack uderzyła go po wyciągniętej dłoni.

– Jest kobietą, nie kaleką. A poza tym wygląda na silną! – Mrugnęła do brata, chwyciła mnie za rękę i niemal zaciągnęła na górę.

Na schodach odwróciłam się przez ramię i spojrzałam na Jaya. Uśmiechając się, wzruszył ramionami i posłał mi spojrzenie, które ewidentnie mówiło: „Wiem. Wariatka, nie?”.

Jak się okazało, czarno-biały pokój należał do Jack.

– Nie ma jak w domu – powiedziała, rzucając się na łóżko i wzdychając z rozkoszy. – Wiem, że moja sypialnia wygląda trochę bezpłciowo, ale nie znoszę góry szpargałów. Lubię za to czystość i porządek.

– Ja też lubię czystość i porządek – przyznałam.

– Nie jesteś typem Barbie, co?

Pokręciłam głową.

– Nie zniosłabym, gdyby Jay chodził z jakąś Barbie – dodała.

– Och, nie chodzimy ze sobą. Należę tylko do obsady.

– Na pewno? – Rzuciła mi spojrzenie pełne powątpiewania.

– Tak, zauważyłabym, gdyby było inaczej.

Jack się roześmiała.

– Jaką sztukę wystawiacie?

– Współczesną wersję *Romea i Julii*.

– Niech zgadnę, Jay gra Romea?

– Oczywiście.

– A ty grasz...?

– Julię – powiedziałam. – Ale tylko dlatego, że jestem wysoka – dodałam szybko. – Zamienili drobną, ładną dziewczynę, która umie grać, na mnie, bo różnica wzrostu między nią a Jayem wszystkich

rozśmieszała. Twój brat jest naprawdę wysoki. – Z przerażeniem usłyszałam, jak wzdycham, wypowiadając dwa ostatnie słowa.

W jej oczach pojawił się znaczący błysk, ale tylko skinęła głową.

– Nie martwiłabym się tym. Po prostu mu zaufaj i rób swoje. Jay sprawi, że zagrasz oscarową rolę. Jeśli chodzi o aktorstwo, to nikt nie dorasta mu do pięt. Zrobiłby wszystko, żeby przedstawienie wyszło idealnie.

Usiadła na łóżku, zaczepiła stopą o pasek torby, która leżała najbliżej, i przyciągnęła ją do siebie.

– Lepiej zacznę sortować rzeczy do prania.

– Wracasz z wakacji?

– Chciałabym. Nie, byłam na miesięcznym stażu. Jestem wiertaczką praktykantką na platformie wiertniczej.

– Platforma wiertnicza? – Nie mogłam zdusić zdziwienia. – Ach, to dlatego miał tę książkę.

– Jaką książkę? Kto?

– Nieważne. – Machnęłam ręką, jakbym chciała zetrzeć z powietrza swoje słowa. – Świetna robota! – Byłam pod wielkim wrażeniem. Wolałabym pracować na platformie wiertniczej, niż zostać przedszkolanką, księgowym (wybacz, Mark) czy, nie przymierzając, proktologiem. Choć wciąż najbardziej chciałam być projektantką. Ale na pewno nie ubrań dla Barbie.

– Tak, robota świetna. To znaczy nie zrozum mnie źle, jest cholernie ciężka. Przerazająco ciężka. Ale też ekscytująca: głównie na powietrzu, płacą świetnie, a dookoła – mrugnęła do mnie znacząco – sami faceci. Mnóstwo przystojniaków. Tak seksownych, że aż boli! – wypowiadając ostatnie słowa, zrobiła bolesciwą minę.

Mimo własnych chichotów i rechotania Jack usłyszałam krzątanicę na dole – nasza obsada zbierała się do wyjścia.

– Przepraszam, muszę bieć. Chcę się zabrać z którymś z nich – powiedziałam. – Bardzo miło było cię poznać.

– Nawzajem. Ty – wycelowała we mnie palcem jak pistoletem – możesz wpadać. A nie mówię tego wszystkim dziewczynom Jaya.

Wszystkim? To ile ich było?

– Nie jestem jego dziewczyną – powtórzyłam, czując, że muszę to wyjaśnić ponad wszelką wątpliwość.

– Może jeszcze nie. Ale tak sobie myślę, że granie Julii u jego boku powinno dać ci wiele sposobności, żeby zmienić ten stan rzeczy, he? Mam rację? Mam rację, prawda?

– Eee... muszę iść – powiedziałam i pośpiesznie wyszłam.

Zbiegłam na dół, ale w hallu nie było już nikogo poza Jayem. Wszyscy zdążyli wyjść.

– Któreś z rodziców po ciebie przyjedzie?

– Tata mieszka w Blue Crab Bay. Rodzice są po rozwodzie.

– Och. Przepraszam.

– Nie przepraszaj, nic się nie stało.

– To przyjedzie po ciebie mama?

Główkowałam właśnie nad jakąś wymijającą odpowiedzią, gdy nagle Jack zawołała z góry:

– Miała zabrać się z którymś z tamtych dzieciaków, ale teraz została na lodzie, Jay. Ktoś koniecznie musi ją odwieźć.

Czy to moja wyobraźnia, czy w jej ostatnim zdaniu kryła się jakaś aluzja? Spojrzałam w górę i zobaczyłam, jak uśmiecha się do mnie szelmowsko z półpiętra.

– Nie ma sprawy – powiedział Jay, sięgając po kluczyki leżące w rzeźbionej drewnianej misie na stoliku przy drzwiach. – Gotowa do drogi?

Wzięłam kurtkę i plecak, poszłam podziękować pani

Young i pomachałam na do widzenia Jack, która przewiesiła się przez poręcz schodów, wołając teatralnym głosem: „Żegnaj, słodka Julio! Smutek rozstania tak bardzo jest miły”.

Na ciemnym niebie mrugały gwiazdy, wieczór był chłodny i rześki, ale w ogrzewanym

samochodzie szybko zrobiło się ciepło. Podałam Jayowi mój adres i ruszyliśmy, przez kilka minut jadąc w milczeniu.

– Masz świetną siostrę – odezwałam się w końcu.

Uśmiechnął się szeroko.

– Moja mama mówi, że ja jestem aktorem na scenie, lecz to Jack jest nie lada postacią poza nią.

– Ale dobrze się dogadujecie?

– O tak, jesteśmy sobie bardzo bliscy, chociaż ostatnio często wyjeżdża. Pracuje w systemie cztery tygodnie na morzu, dwa tygodnie wolnego.

– Tak, mówiła mi, że jest wiertaczką.

– A ty masz rodzeństwo?

– Ja... nie. Nie mam. – Nie wiedziałam, jak o tym mówić, od czego zacząć, jak odpowiadać na jego pytania bez wdawania się w całą resztę. – Mieszkamy z mamą same w starej rezydencji rodu Lane'ów. Na światłach w lewo, a potem w prawo.

Skręciliśmy za róg, mijając lodowisko Frozen Fun.

– Gdy byliśmy dziećmi, tata zabierał mnie i Jack na łyżwy – powiedział Jay. – Chyba miał nadzieję, że zostanę panczenistą, a Jack będzie łyżwiarką figurową.

– Jakoś nie wyobrażam jej sobie w spódniczce baletnicy.

Jay parsknął śmiechem.

– Prawda? Albo mnie w jednym z tych kombinezonów z lycry. A ty jeździsz na łyżwach?

– W dzieciństwie jeździłam. Właśnie na lodowisku Frozen Fun.

– Hej, a może byśmy się tam kiedyś razem wybrali? Byłoby fajnie.

Chciał spędzić ze mną czas? O tak, poproszę.

– Nie jeżdżę zbyt dobrze – ostrzegłam. – Nawet wtedy nie jeździłam, a to było bardzo, bardzo dawno temu.

– Mówisz, jakbyś miała jakieś sześćdziesiąt lat. Dasz sobie radę. To chyba jak z jazdą na rowerze, tego się nie zapomina.

– A ty co, ekspert?

Jeszcze tego brakowało, żeby okazał się wytrenowanym i pełnym gracji łyżwiarzem, przy którym będę wyglądać jak ogromna, niezdarna bryła.

– Ostatnim razem, gdy byłem na łyżwach, dałem radę pojechać do przodu i wyhamować. Jeśli oczekujesz czegoś więcej, będziesz bardzo rozczarowana.

– No dobrze, w takim razie zgoda – powiedziałam. – Z miłą chęcią. – Te ostatnie słowa same popłynęły mi z ust.

– Fajnie. W sobotę po próbie?

– Dobrze.

– No to jesteśmy umówieni.

Czy naprawdę byliśmy „umówieni”? Co miał na myśli: romantyczną randkę czy koleżeńskie wyjście?

Kwadrans po siódmej w sobotni wieczór wciąż nie znalazłam odpowiedzi na to pytanie. Ale o siódmej minut szesnaście już ją otrzymałam.

ostatni raz byłam na lodowisku Frozen Fun, gdy miałam jakieś siedem czy osiem lat, zanim mamie naprawdę się pogorszyło, ale to miejsce wciąż wyglądało mniej więcej tak, jak je zapamiętałam. Barrierki wokół taflí były tymi samymi poobijanymi niebieskimi ścianami z plastiku z okalającą je na dole wyszczerbioną blachą zabezpieczającą. Lodowisko otaczały rzędy starych, nachylonych plastikowych krzesełek w jasnopomarańczowym kolorze, choć teraz jeszcze więcej z nich miało na siedzeniach szczypiące w pupę pęknięcia i rysunki graffiti na oparciach. Chłodne powietrze wypełniała znajoma mieszanka potu, pleśni i nastoletniej desperacji – jeden wdech i w mgnieniu oka cofnęłam się w czasie o dziesięć lat.

Wypożyczalnia łyżew też w ogóle się nie zmieniła. Wciąż trzeba było oddawać buty, stojąc w skarpetkach na mokrej gumowej podłodze, podając swój rozmiar pracownikowi, który w zamian wręczał plastikowe łyżwy – eleganckie czarne dla chłopców i ohydne fioletowe dla dziewczyn. I mogłam się założyć – może nie o osiemset dolarów, ale o całe osiem na pewno – że w tym względzie wszystko wyglądało tak samo.

– Następny. – Facet za kontuarem miał cienki blond kucyk, rzadką bródkę poniżej dolnej wargi i znudzoną minę.

Jay uprzejmie wskazał mi miejsce w kolejce przed sobą.

– Panie mają pierwszeństwo – powiedział.

– Może najpierw ty? – zaproponowałam, nie chcąc, żeby przysłuchiwał się rozmowie, przed którą, jak wiedziałam, nie było ucieczki. – A potem mógłbyś się w międzyczasie przebrać. Z łyżwami dla dziewczyn czasami długo schodzi.

– Nie ma sprawy, poczekam.

– Następny! – powtórzył Bródką.

Nic się nie dało zrobić. Podeszłam do kontuaru i podałam pracownikowi swoje sneakersy. Jay stał tuż za mną.

– Rozmiar?

– Czterdzieści pięć i pół – szepnęłam, po czym coś sobie przypomniałam. Te łyżwy kłuły jak same diabelskie rogi. W przeszłości zawsze musiałam prosić o pół numeru większe. – Nie, czterdzieści sześć.

– Słucham? – Bródką nadstawił ucho.

Jeśli Jay miał mnie odrzucić ze względu na mój rozmiar stopy godny wybranki Yeti, lepiej dowiedzieć się o tym wcześniej niż później.

– Czterdzieści sześć – powtórzyłam, patrząc pracownikowi prosto w oczy. – Ale...

– Czterdzieści sześć?! – krzyknął tak głośno, że słyszało go chyba całe centralne Baltimore.

Nie myliłam się, było jak zwykle. Teraz powie, że...

– Takich dużych butów się chyba nawet nie produkuje.

– Produkuje się – odparowałam, czując, jak fala ciepła zalewa mi szyję. – Ale tylko męsk...

– Jethro! Jethro! – zawołał przez ramię w kierunku rzędów półek z łyżwami. – Jaki jest największy rozmiar damskich łyżew, które mamy?

– Czterdzieści dwa! – krzyknął ktoś w odpowiedzi.

– Może mi pan dać...

– Nie mamy tak dużych łyżew – powiedział Bródką, kręcąc głową i patrząc na mnie z mieszaniną niedowierzania i przestachu. Może bał się, że powalę go na ziemię. Albo kopnę swoją olbrzymią stopą. – A niech to – dodał, przypatrując mi się od stóp do głów i chyba wreszcie zauważając mój wzrost. – Jesteś naprawdę wysoka, wiesz?

„Boże, ześlij na mnie cnotę cierpliwości – pomyślałam. – Bo jeśli ześlesz mi siłę, to uderzę go pięścią w twarz”.

– Poproszę rozmiar czterdzieści pięć i pół. W czarnym kolorze.

– Ale to są męskie łyżwy.

– Z tego, co wiem, stopy nie mają płci.

Zaczął się na mnie gapić w osłupieniu.

– Trzymasz zioło w skarpetkach? – zapytałam gniewnie.

Bródka nagle zbladł.

– Skąd wiedziałas? Jesteś jakimś tajniakiem z brygady antynarkotykowej? Czy ty w ogóle jesteś kobietą?

– Słucham? – Teraz to ja byłam osłupiała.

Nagle Jay wyszedł z kolejki i stanął przy mnie.

– Proszę przynieść tej pani czarne łyżwy w rozmiarze czterdzieści pięć i pół – odezwał się cicho i groźnie, co było do niego zupełnie niepodobne, a na dokładkę powiedział to z idealnym akcentem rosyjskiego mafiosa.

Bródka miał teraz oczy jak spodki.

– Eee... Jethro! – zawołał teraz drżącym, piskliwym głosem. – Czy mogę wydać kobiecie czarne łyżwy?

Jay pochylił się, wykrzywiając usta w wąski paseczek, jakby chciał warknąć.

– Zrób to. I to teraz – powiedział głębokim, chrapliwym głosem, w którym pobrzmiwało echo śniegu, krwi i wódki.

– Tak jest, proszę pana, już się robi. – Bródka czmychnął z moimi sneakersami, a po niespełna minucie wrócił z lśniąca od nowości parą czarnych łyżew. – A dla pana...?

– Rozmiar czterdzieści siedem – warknął Jay.

Tak! Raport Tima nie kłamał – Jay rzeczywiście miał ode mnie większe stopy. Kolejna fantazja z mojej listy marzeń o wysokim chłopaku odhaczona.

– Dzięki – powiedziałam, gdy odchodziliśmy z łyżwami.

– O tak, jest za co dziękować.

Zaskoczona posłałam mu szybkie spojrzenie.

– Nie wszyscy dostają darmowy bilet na występ Władimira, rosyjskiego ochroniarza.

– Och, a więc to był ochroniarz? Myślałam, że gangster.

– Czuję się do głębi dotknięty. – Wrócił chrapliwy głos i silny akcent. To było nawet seksowne.

– Czyż nie wziąłem cylindrycznego zabezpieczenia dla ochrony twojego ciała? – Poklepał się po kieszeniach kurtki.

– Wziąłeś... zabezpieczenie?

Mimowolnie powędrowałam myślami tam, gdzie powędrowałam. Jay, który wziął ze sobą zabezpieczenie. Cylindryczne zabezpieczenie.

Włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej... parę czarnych skarpetek z motywem białych masek z *Upiora w operze*.

– Okej, nie tego się spodziewałam.

– A czego dokładnie się spodziewałaś, Peyton?

Momentalnie znowu zalała mnie fala czerwieni.

– To naprawdę dla mnie?

– Oczywiście. Te łyżwy potrafią być okrutne dla delikatnych stóp. Dzięki dwóm parom skarpetek unikniesz odcisków.

Nie wiedziałam, co bardziej mnie wzruszyło: to, jak ujął się za mną w wypożyczalni, nie przejął się rozmiarem moich stóp czy że przyniósł mi skarpetki do ich ochrony, zupełnie jakbym miała delikatne, wrażliwe nóżki. Ale całe to spiętrzenie życzliwości sprawiło, że zapragnęłam go pocałować. Gdybyśmy teraz ćwiczyli scenę pocałunku, bez problemu przelałabym w nią słodką, delikatną namiętność.

Usiadłam na ławeczce, założyłam na skarpetki drugą parę od Jaya i wcisnęłam stopy w łyżwy. Były brzydkie – jeszcze większe, cięższe i bardziej niezgrabne, niż pamiętałam – a ja będę jedyną dziewczyną w męskich łyżwach na lodowisku.

Jay usiadł obok mnie i ściągnął skarpetki. Mówił coś, że chce założyć suche, ale go nie słuchałam. Patrzyłam jak zaczarowana na jego gołe stopy, Były olbrzymie, ewidentnie dłuższe i szersze od moich, ale były także piękne, o długich palcach i wysokich łukach. A na ich grzbietach miał piegi, tak jak na dłoniach. Gapiłam się na te stopy dopóki nie zniknęły w skarpetkach, odhaczając w myślach kolejny punkt z mojej listy marzeń.

Wtedy coś mi się przypomniało.

– Czy jazda na łyżwach nie odbije się na twoim ścięgnię Achillesa?

– Na moim ścięgnię Achillesa?

– Tak, nie masz przypadkiem kontuzji?

– Skąd o tym wiesz?

Przekląłam się w duchu. Prawie nigdy nie mówiłam tego, co myślę, sztukę gryzienia się w język i udzielania przemyślanych odpowiedzi doprowadziłam do perfekcji, ale przy Jayu jakoś nie potrafiłam się powstrzymać przed mówieniem pierwszego, co mi przychodziło do głowy. Nie chciałam go okłamywać, więc wybrałam okrojoną wersję prawdy.

– Chyba słyszałam o tym od Tima Andersona. – To była prawda, choć niecała; może dlatego nie wyszło mi tak swobodnie, jak planowałam.

– Jasne – powiedział Jay.

– A więc nic się nie stanie? Mam na myśli twoją kostkę.

– Na pewno nie. Chodźmy!

Łód wydawał mi się dużo bardziej śliski, niż pamiętałam. Nie minęła chwila, a leżałam już na pupie w kałuży wody. Jay próbował mnie podnieść, ale sekundę później do mnie dołączył. Leżeliśmy razem na taflí, mokrzy i roześmiani. W końcu klęknął i kurczowo trzymając się barierki, zdołał wstać, po czym czystą siłą woli i mięśni pociągnął mnie za sobą.

Nie puszczał mojej ręki, nawet gdy stałam już na nogach i mniej więcej złapałam równowagę, a potem tak zostało. Nie wiedziałam, czy trzyma mnie, żebym się nie przewróciła, czy dlatego, że to była randka.

Z ulgą odkryłam, że Jay nie był dużo lepszym łyżwiarzem ode mnie, ale w jego ruchach dało się dostrzec elegancję i pewność siebie, których mnie brakowało. Ufał swojemu ciału, był pewien, że go posłucha.

Wróciłam myślami do tego cudownego wieczoru, gdy robiliśmy razem ćwiczenia na zaufanie, i przypomniało mi się, jak mówił o tym, że jestem skrępowana i nie jest mi dobrze we własnej skórze. W przeciwieństwie do mnie Jay czuł się komfortowo z samym sobą. Nie wojował z własnym ciałem. Nie próbował ciągle go pomniejszyć czy ukryć. Było mu w nim jak w domu.

Jakim cudem i ja miałam osiągnąć taki stan?

Pierwsze okrażenia zrobiliśmy bardzo powoli i ostrożnie, prześcigani przez trzy młodsze dzieciaki, które na swoich malutkich łyżwach potrafiły robić niesamowite rzeczy, i to przy zastraszającej prędkości. Gdy nieco wróciła nam pamięć ciała, było już lepiej, choć i tak nie brakowało całej masy zderzeń, potknięć, upadków i wieszania się na sobie. Śmiałam się tak bardzo, że szybko zapomniałam o nerwach – spowodowanych zarówno skrępowaniem własnym ciałem, jak i dotykiem jego ciała.

Ale gdy Jay ratował mnie po kolejnym upadku, do mojego umysłu wkradło się niepokojące pytanie. Czy zaprosił mnie na łyżwy, bo chciał spędzić ze mną trochę czasu, czy było to po prostu kolejne ćwiczenie na zaufanie, żebym lepiej zagrała Julię? W końcu jego własna siostra powiedziała, że zrobiłby wszystko, aby przedstawienie wyszło idealnie.

Wciąż się nad tym zastanawiałam, gdy ostatnia piosenka tej tury – wolny, romantyczny kawałek, który sprawił, że nagle zauważyłam, jak bardzo byłam zziajana, zgrzana (a przy tym pewnie czerwona) i mokra – skończyła się i wszyscy zjechaliśmy z lodu.

Kupiliśmy sobie z Jayem koktajle mleczne w kawiarence przy lodowisku i rzuciliśmy się na dwa pomarańczowe fotele, żeby chwilę odsapnąć, podczas gdy na pooranej taflí jeździła maszyna do odświeżania lodu, zostawiając za sobą gładkie smugi.

Zdmuchnęłam włosy z oczu i zerknęłam, która godzina. Była siódma trzynaście – zaraz będę musiała wracać do domu, bo inaczej mama zacznie się martwić i esemesować. Ale najpierw chciałam coś wyjaśnić.

– Jay?

– Tak?

Zdjął buty i rozcierał sobie palce stopy. Jak byłoby wspaniale, gdyby masował tak moje!

– Chciałam tylko zapytać... Wiesz, my dwoje dziś wieczór na łyżwach – zaczęłam niepewnie. – To kolejne ćwiczenie do naszej sztuki czy bardziej randka?

Jay przerwał masaż stóp i spojrzał mi prosto w oczy.

– A chciałybyś, żeby to była randka?

O-o. Chciałam, aby to on to określił, ale Jay sprytnie odbił piłeczkę na moją stronę. Podczas gdy mój mózg szukał gorączkowo sposobu, jak zmusić go do przerywania ciszy, moje usta poszły własną drogą.

– Tak – usłyszałam, jak mówią. – Chyba tak.

– Ja też. A zatem jesteśmy na randce – powiedział Jay, rozciągając usta w pięknym, długim uśmiechu, od którego zrobiło mi się ciepło i lekko na sercu. Być może właśnie wstąpiła w nie nadzieja.

Znowu rozległa się muzyka, maszyna do odświeżania lodu zjechała z taflí jednym wyjściem,

a drugim już wjeżdżali na nią kolejni łyżwiarze, podczas gdy Taylor Swift informowała swoją nową miłość, że wygląda jak jej kolejny błąd.

– Nie chciałbym tylko, żeby to – odezwał się Jay, machając palcem gdzieś między nami dwojgiem – odbiło się czkawką na przedstawieniu, jeśli... jeśli nam nie wyjdzie.

– Tak, rozumiem. To nie byłoby fair względem innych, względem Douga.

Nad naszymi głowami Taylor zastanawiała się śpiewając, czy jej nowy związek będzie trwał wiecznie, czy może jednak zakończy się spektakularną porażką.

– Umówmy się teraz, że cokolwiek byśmy nie zrobili, cokolwiek by się nie stało, na scenie zachowamy profesjonalizm, zgoda? – powiedział Jay. – Dla dobra przedstawienia.

Dla dobra przedstawienia.

– Okej, pewnie. Zgoda. – Skinęłam głową i wystawiłam zakrzywiony mały palec. – Obietnica?

Uśmiechnął się, ale splótł swój palec z moim. Rozciąłam ten węzełek drugą dłonią i z przyzwyczajenia powiedziałam „Bogart” – jak do Chloe, która wiedziała, co odpowiedzieć.

– Bacall – powiedział natychmiast Jay.

Niesamowite. Był ideałem.

– Chcesz się jeszcze poślizgać? – zapytał.

– Nie, mam dość. Chyba że ty chcesz?

Potrząsnął głową – może odezwała się jego kontuzja – i pomógł mi ściągnąć łyżwy. Odebraliśmy buty od teraz już bardzo usłużnego Bródki i ruszyliśmy do samochodu.

– A więc lubisz stare filmy? – odezwał się Jay. – Myślę, że to początek pięknej przyjaźni – dodał, idealnie naśladowując Bogarta.

Uśmiechnęłam się.

– Uwielbiam je. A ty?

– Ja lubię wszystkie filmy. Chcę zostać aktorem.

– Zawodowym? Po liceum?

– Tak. – Otworzył mi drzwi od strony pasażera. – Złożyłem podanie do Julliard School of Performing Arts w Nowym Jorku – ciągnął, gdy już wsiedliśmy.

Łał, nawet ja słyszałam o tej szkole.

– Na pewno się dostaniesz. Nigdy nie widziałam kogoś tak dobrego jak ty.

Czyżby teraz to jego policzki lekko się zarumieniły? Miła odmiana.

– Właśnie dlatego przenieśliem się do liceum Longforda – wyjaśnił, wyjeżdżając z parkingu. – Pani Gooding jest świetną nauczycielką, ona też wiele lat temu uczyła się w Julliard. Mam nadzieję, że pomoże mi się przygotować do przesłuchań.

– Egzamin wstępny to przesłuchania?

– Tak, i to bardzo wymagające. Trzeba przygotować piosenkę... Nie pytaj dlaczego, nie chcę zostać piosenkarzem. I cztery monologi, dwa klasyczne i dwa współczesne.

– Niech zgadnę, jeden z wybranych przez ciebie współczesnych dialogów jest z *Tramwaju zwanego pożądaniem*?

– Skąd wiedziałaś? – odpowiedział pytaniem, posyłając mi zaskoczone spojrzenie.

Ups, znowu to samo – mówię, zanim pomyślę. Wiedziałałam, bo ta sztuka była w raporcie Tima, na liście książek, które Jay wypożyczył ze szkolnej biblioteki, ale tego przecież mu nie powiem.

– Ja też chcę pójść do jednej z nowojorskich szkół – powiedziałam szybko.

– Tak? Na uniwersytet?

– Nie, do New York School of Fashion. Tam też mają podobny egzamin wstępny: trzeba zaprojektować i uszyć kolekcję ubrań i wysłać im ją razem z podaniem, a potem już tylko czekać na wyniki – wyjaśniłam. – Najlepszy projekt wygrywa pełne stypendium – dodałam niepewnie.

– Celujesz w nie?

– To jedyny sposób, żeby mogła tam studiować. Nie stać mnie na czesne, a żaden bank nie da nam pożyczki.

Jay skinął głową, ale nie zaczął karmić mnie głodnymi kawałkami w stylu „wszystko na pewno

się ułoży”, za co byłam mu wdzięczna. Bo nie wszystko zawsze się układało. Czasami kończyło się spektakularną porażką.

– To dlatego czasami przynosisz nitki. – Komentarz Jaya wyrwał mnie z zamyślenia.

– Hę?

– Czasami przychodzisz na próby z kawałkami nitek i kłaczków na ubraniu albo we włosach.

A te palce – pogłaskałam lekko opuszki dwóch pierwszych palców mojej prawej dłoni – są często poplamione na czarno. To od szkicowania?

Skinęłam głowę.

– Każdą wolną chwilę poświęcam projektowaniu i wprawkom krawieckim. A teraz, gdy zmieniłam motyw przewodni projektu, muszę zacząć wszystko od nowa.

– Co jest nowym motywem? – zapytał Jay, skręcając w moją ulicę.

– Wysokie dziewczęta. – To zabrzmiało jak pytanie, jakbym prosiła o pozwolenie.

– Wysokie dziewczęta?

– Chodzi o to, że mam problem, naprawdę duży problem, ze znalezieniem ładnych ubrań, które by na mnie pasowały. Widziałeś, jak było z łyżwami. Gdy jest się wysoką kobietą, znalezienie stylowych ubrań w odpowiednim rozmiarze graniczy z cudem. Inne wysokie dziewczyny mają pewnie ten sam problem. A ponieważ nigdzie nie możemy ich dostać, własnoręczne projektowanie i szycie wydaje się dobrym pomysłem.

Z tych koślawych wyjaśnień wyłaniał się dość nieciekawy obraz. Inni kandydaci mieli na pewno dużo fajniejsze motywy przewodnie: miejskie zepsucie, dystopijną diwę czy eklektyczną elegancję.

– Myślę, że to fantastyczny pomysł. Trzymam kciuki. Czyż nie byłoby świetnie, gdybyśmy oboje dostali się do szkół w Nowym Jorku?

Uśmiechnęłam się potakująco. Dotarliśmy do mojego domu – pora na zwyczajowe uniki. Gdy Jay odwoził mnie po sobotniej próbie, nalegałam, żeby został w samochodzie, na co przystał – poczekał w nim, aż nie wejść do środka, i dopiero wtedy odjechał. Ale ku mojemu przerażeniu teraz uparł się, żeby odprowadzić mnie pod same drzwi.

– Naprawdę nie musisz – próbowałam protestować.

– Naprawdę muszę.

– Ostatnim razem jakoś nie musiałeś – odparłam, idąc najwolniej, jak się dało.

– Bo to nie była randka. Po randce dżentelmen odprowadza damę do drzwi.

A Jay był dżentelmenem od stóp do głów. Trzymał mnie nawet za łokieć, co w innych okolicznościach bardzo by mi się podobało. Gdy dotarliśmy do schodków, spojrział na mnie wyczekująco. Czy teraz się pocałujemy? Czy czekał, aż zrobię pierwszy krok?

– No to... – Pyknęłam niepewnie ustami. – Dzięki, świetnie się bawiłam.

– Z chęcią napiłbym się kawy – powiedział Jay. – Zaprosisz mnie do środka?

– Nie! – palnęłam bez zastanowienia.

Jay wyglądał na zaskoczonego, może nawet na obrażonego. Pośpieszyłam ze zwyczajowymi wykrętami.

– To znaczy zaprosiłabym cię, ale nie mogę. Moja mama jest chora. – Nie skłamałam, była chora.

– Nie chcę jej przeszkadzać, jeśli teraz odpoczywa.

Łamałam sobie głowę, szukając jakiegoś fortelu, żeby przegonić go spod drzwi.

– Przykro mi. Co jej jest? – Wyglądał na szczerze przejętego.

Zacząłam swoje przedstawienie, obmacując kieszenie i sięgając do bocznej przegródki plecaka.

– Nie mogę znaleźć kluczy. Musiały mi wypaść w samochodzie – powiedziałam, przełączając się na tryb damy w opałach i posyłając mu swoje najlepsze spojrzenie bezradnej sarenki.

Jako dobry facet Jay zaproponował, że pójdzie sprawdzić. Poczekałam, aż dotrze do samochodu i włoży do środka głowę przed otwarte drzwi, po czym szybkim ruchem wyjęłam klucze z przegródki, w której je zawsze trzymałam.

– Znalazłam! – zawołałam radośnie, unosząc klucze. – Dobranoc, pa! – dodałam, po czym szybko otworzyłam sobie drzwi i wślizgnęłam się do środka.

Uchyliłam zasłonę na oknie przy drzwiach wejściowych i wyrzałam. Jay wciąż stał tam, gdzie go zostawiłam, spoglądając ze zmarszczonymi brwiami na miejsce, z którego zniknęłam.

– Idź sobie! – szepnęłam w ciemnym przedsionku. – Wracaj do swojego idealnego domu i swojej idealnej rodziny, no już!

Po kilku chwilach zrobił, co mu kazałam.

W sobotę siedziałam na podłodze w swoim pokoju z telefonem w dłoni i kciukiem wiszącym nad klawiaturą. Po chwili wahania przesunął się znad przycisku „wyślij” i wcisnął „usuń”.
To bez sensu, nie dam rady tego zrobić – napisałam do Chloe.

Zrobić czego?

Wysłać Tori szczegółów randki z Jayem do jej żalostnego małego rejestru.

Dlaczego?

Właśnie, dlaczego?

Skrupuły?

Skrupuły? LOL!

Jak jej to wyjaśnić, skoro sama do końca nie rozumiałam? Wysłanie Tori szczegółów naszej randki byłoby jak zdrada, jakbym umówiła się z Jayem tylko z powodu zakładu, a przecież i tak zgodziłabym się na tę randkę. I to w mgnieniu oka.

Przyszła następna wiadomość od Chloe.

Jeśli chcesz wygrać ten zakład i dostać pieniądze, będziesz się musiała pozbyć swoich „skrupułów”. Chyba że w tym samym czasie planujesz umawiać się z innym wysokim chłopakiem? Bez skrupułów? Te randki z Jayem też musisz sobie zapisać na rachunek.

Czulałabym się, jakbym go wykorzystywała.

Przykro mi, ale muszę cię poinformować, że wykorzystywałaś ich wszystkich.

Auć, to bolało. Ale Chloe miała rację.

A on był na twojej liście od samego początku.

Ale to było, zanim go poznałam. Teraz to wydaje mi się nie w porządku.

Twój wybór. Muszę lecieć, mama woła na obiad.

Burczenie w brzuchu podpowiadało mi, że pora i na mój obiad. Otworzyłam swoją lodóweczkę i wyjęłam gotowe danie – „francuski kurczak w winie z nowalijkami w maśle” – które włożyłam do mikrofalni. Na opakowaniu było piękne zdjęcie gulaszu z kurczaka ze świeżymi warzywami, na widok którego aż ciekła ślinka, ale na plastikowej tacy wyjętej trzy minuty później z mikrofalówki leżały żylaste kawałki beżowego mięsa w mdłym sosie i z gąbczastymi szarymi grudkami zamiast warzyw. Zjadłam niespełna połowę, a resztę wyrzuciłam do kosza. Po umyciu oraz odłożeniu na miejsce talerza i widelca zabrałam się za pracę nad kolekcją.

Zrobiłam już serię dużych szkiców ołówkiem – o długości czterdziestu pięciu i szerokości trzydziestu centymetrów – i chciałam zobaczyć, jak mniej więcej będą wyglądały w wersji finalnej, oraz ocenić, które kolory i wzory najlepiej pasują do poszczególnych projektów.

Gdzieś w tym zapomnianym przez Boga i ludzi domu na pewno jest jakiś materiał, z którym mogłabym poeksperymentować. Na strychu chyba widziałam kiedyś stary kosz z robótkami mamy, ale jego poszukiwania byłyby czarną robotą w obłokach kurzu, bez żadnej gwarancji, że znajdę jakkolwiek nadający się do użycia materiał. Łatwiej będzie znaleźć stare ubrania i je pociąć. Na pewno jest ich tu sporo, bo mama nigdy nie pozwala mi wyrzucać znoszonych rzeczy albo takich, z których już wyrosłam.

– Nie marnuj, a nie będziesz w potrzebie. Przejrzę je, a te, które już się nam nie przydadzą, oddam biednym – powtarzała.

Jęknęłam, wstając z podłogi. Po wczorajszych łyżwach bolały mnie mięśnie, o których istnieniu nawet nie miałam pojęcia, a wszystkie te upadki na twardy lód zaowocowały przepięknymi siniakami na kolanach i łokciach. Ale dzięki skarpetkom od Jaya, które zdążyłam już ręcznie uprać i rozwiesić na

oparciu krzesła, żeby wyschły, na moich stopach nie było ani jednego pęcherza. Uśmiechnęłam się, co było u mnie niecodzienną reakcją na myśl o własnych stopach.

Zajrzałam we wszystkie kąty, w których mogły zostać schowane stare ubrania, ale nigdzie nie znalazłam żadnego zwitka stylowych materiałów. Natknęłam się co prawda na stertę starych ściereczek do naczyń, ale ani frotté, ani superchłonny materiał o teksturze plastra miodu nie pokazałyby mi nawet w przybliżeniu, jak będą wyglądać moje gotowe dzieła. Jedyne stare ubrania, jakie znalazłam, należały do taty. Leżały upchnięte w ogromnym pojemniku Rubbermaid. Czemu mama nigdy mu ich nie oddała? Ostatecznie w garniturze z brązowego sztruksu, zjedzonych przez mole bokserkach i starych podkoszulkach też nie znalazłam inspiracji.

Po ponad godzinie poszukiwań byłam o krok od poddania się. Myślałam, czy nie poprosić o pomoc mamy – zawsze zarzekała się, że wie, gdzie co jest schowane – ale bałam się, że za bardzo się zapali do mojego projektu i do końca dnia się jej nie pozbędę. Poczułam wyrzuty sumienia. Wiedziałam, że jest samotna, i było mi jej żal. Ale ona sama przesadnie litowała się nad sobą, a jej nieumiejętność poprawy własnego losu tak bardzo mnie drażniła, że ciągle byłam dla niej okropna. Nie, lepiej, żebyśmy trzymały się od siebie z daleka.

Wracając korytarzem do pokoju, zauważyłam cztery ogromne katalogi z próbkami tapet wciśnięte za dużą biblioteczkę. Tapeta mogła mi posłużyć jako tymczasowy materiał zastępczy. Wyciągnęłam opasłe tomy zza regału i przytaszczyłam je do swojego pokoju, po drodze zdmuchując z nich kurz.

Katalogi wypełniały piękne kolory i desenie. Niektóre próbki były gładkie i matowe, inne połyskliwe, a jeszcze inne ozdobione metalicznymi paskami i wypukłymi, flokowanymi wzorami z aksamitu. Nie chciałabym widzieć żadnej z tych tapet na ścianach swojego pokoju, ale do próbnych szkiców nadawały się doskonale. Najlepsze było to, że pogrupowano je w osobne kategorie – każda składała się z czterech bądź pięciu deseni podobnego typu. Proste wzory mogłam wykorzystać do głównych części ubrań, a te pogrupowane do podkreślenia detali takich jak podszewki, szarfy, kołnierze w kontrastujących kolorach czy mankiety koszul i spodni. Były idealne. No, na tyle idealne, na ile można tak powiedzieć o materiale, który nie jest tkaniną.

Powycinałam koszule, spodnie i płaszcze, które następnie przykleiłam do swoich szkiców, dodając kontrastujące wykończenia. Tapeta zdała egzamin – była gruba i sztywna, więc nie darła się tak łatwo jak papierki po cukierkach i mogłam ją składać w fałdki i plisy dla uzyskania trójwymiarowego efektu. Przyklejałam właśnie kawałek kremowej próbki z czarną lilią do szkicu trapezowej spódnicy, gdy do drzwi zapukała mama.

„Idź sobie”.

– Tak?

Weszła z torebką żelków, które podjadała.

– Może się poczęstujesz?

– Nie, dzięki.

Czy tej spódnicy przydałby się jakiś kolorowy element – na przykład szkarłatna szarfa albo srebrne wykończenie brzegów – czy może ten surowy projekt był na tyle mocny, że sam się bronił?

– Co to? Co ty robisz?

Zaskoczona uniosłam wzrok i spojrzałam na mamę. Brzmiała, i wyglądała, na wyraźnie podenerwowaną.

– Używam tych próbek do swoich szkiców.

– Ale dlaczego?

– Bo w tym domu nie ma ani jednego skrawka materiału, a jeśli nawet jest, to nie mogę go znaleźć.

☺

Już mówiłam jej o swoich planach związanych ze szkołą projektowania. Wyglądała na tak samo zainteresowaną nimi jak wszystkim innym poza zakupami.

– Ale ty je tniesz na kawałki! Niszczysz je! – Mama chwyciła leżący najbliżej katalog i przycisnęła go sobie zazdrośnie do piersi, rozrzucając po podłodze żelki.

– Wyluzuj, okej? To dla mnie ważne. Chcę się dostać do tej szkoły i zdobyć stypendium. Nie mogę ćwiczyć na drogich tkaninach, więc używam tych próbek.

– Ale ja je schowałam specjalnie, żeby nic im się nie stało!

Czy moja mama miała łzy w oczach?

Sięgnęła po katalog, którego używałam. Złapałam za drugi koniec i szarpnęłam. Siłowałyśmy się z powodu makulatury. To był jakiś obłęd – jedna z najbardziej absurdalnych rzeczy, jakie kiedykolwiek miały miejsce w tym domu wariatów.

– Nie chcę, żebyś je pocięła na kawałeczki, Peyton. Przestań.

Tak, znowu płakała.

– Czemu, mamó? Planowałaś jakąś zmianę wystroju wnętrza? Będziesz teraz tapetowała ściany? – pytałam kipiącym ironią głosem.

– Tak, kiedyś.

Oczywiście, „kiedyś”. Dobrze znałam to „kiedyś”.

Mama wskazała palcem na katalogi.

– Po to właśnie je kupiłam.

Stuknęłam w naklejkę w prawym górnym rogu katalogu, który trzymałam.

– Kupiłaś je w dwa tysiące szóstym roku. Chyba można już powiedzieć, że „kiedyś” nigdy nie nadeszło.

Oderwałam kolejny kawałek tapety, a gdy zobaczyłam, że mama szykuje się do skoku po katalog, z hukiem go zamknęłam i położyłam na stercie pozostałych, po czym na niej usiadłam.

Mama pomacała się po kieszeniach, znalazła inhalator, który włożyła sobie do ust, i użyła go.

– Nie masz prawa! To moje katalogi! Powinnaś była poprosić mnie o pozwolenie, zanim zaczęłaś je niszczyć.

– Nie było sensu, odmówiłabyś.

– Dlatego że nie lubię, gdy grzebiez w moich rzeczach!

– No popatrz, nigdy bym nie zgadła. Trzeba było powiedzieć.

Nagle obie podskoczyłyśmy, słysząc głośne uderzenie kamienia w szybę.

– To Chloe – powiedziałam, wstając, by otworzyć okno i spuścić przyjaciółce drabinkę. Mama nie ruszyła się z miejsca, więc posłałam jej wyczekujące spojrzenie. – Zostajesz na herbatkę?

– Nie jestem tu mile widziana – odparowała mama.

Nie, to ja siebie tu nie widziałam. Widziałam się jak najdalej stąd – najlepiej w Nowym Jorku, z Jayem przy moim boku.

Wciąż przyciskając do piersi katalog, który zdołała uratować, mama odwróciła się i wyszła, podczas gdy Chloe przeciskała się przez okno, a ja zbierałam z podłogi żelki. To było jak idealna inscenizacja jakiejś farsy, w której aktorzy do perfekcji opanowali swoje wejścia i wyjścia.

– Masz, produkt eksperymentalny oraz dar pokoju – powiedziała Chloe, wręczając mi papierową torbę i pudełko pączków Krispy Kreme.

Jęknęłam z rozkoszy na ich widok (moich ulubionych, z polewą czekoladową), ale za to zawartość papierowej torby podejrzliwie powąchałam.

– Lippia trójlistna na bazie zielonej herbaty z lekką nutką imbiru. Moja własna mieszanka.

– Na co to: na pobudzenie kreatywności, zwiększenie seksapilu czy uspokojenie skołatanych nerwów?

– To w zamyśle łagodny środek uspokajający. W nagłych wypadkach pomoże też na wzdęcia. – Uśmiechnęła się szeroko w odpowiedzi na spojrzenie, które jej posłałam, wzięła ode mnie torebkę i zajęła się swoim zwyczajowym rytuałem parzenia herbaty w kącie pomieszczenia.

– A z jakiej okazji ten dar pokoju? – zapytałam, wgrzyzając się w polaną czekoladą pączkową pyszność.

– Mama mówi, że w tym roku urządzamy Święto Dziękczynienia u dziadków. Wspomniała coś

o „wykorzystaniu w pełni czasu, który nam z nimi został”. Chyba się boi, że niedługo odejdą na zawsze.

Święto Dziękczynienia przypadało w nadchodzący czwartek. Czasami spędzałam je razem z mamą w domu, ale najlepsze były te u Chloe – pyszne jedzenie, szczęśliwa rodzina zgromadzona przy jednym stole i mecz footballu z Benem za domem.

– Nie ma sprawy – powiedziałam. – Mama się ucieszy, że nigdzie nie wyjdę. Ale zrób coś dla mnie i wyczaruj mi specjalną dziękczynną herbatkę. Wrzuć do niej wszystko, co poprawi moją cierpliwość...

– Lawenda.

– I wdzięczność.

– Hmm... Czerwona koniczyna, która przy okazji wzmacnia płodność.

– Dobrze wiedzieć.

– Ale mam wyrzuty sumienia, że zostawiam cię tu na Święto Dziękczynienia. Na pewno dasz sobie radę? – zapytała, podając mi filiżankę swojej autorskiej mieszanki.

– Wiesz, naprawdę powinnaś stworzyć własny wachlarz herbat. Na rozbudzenie, na sen, na zwiększenie energii. W szkole biznesu na pewno będzie jakiś projekt, do którego to by ci się przydało.

– Zadzwoń do mnie, jeśli nie będzie dobrze? – zapytała, marszcząc brwi. – Każę rodzicom odwiedzić się do domu.

– Pewnie. A teraz chodź, zobacz moje nowe fantastyczne projekty.

Resztę popołudnia spędziłam z Chloe, pijąc herbatę, czytając jej esej do podania na studia, pracując nad projektami, słuchając o ostatnich psotach Bena (pomalował na pomarańczowo samochód rodziców) i oczywiście rozkładając na czynniki pierwsze randkę z Jayem oraz jego poranną wiadomość:

Dzień dobry, Tygrysie Oczy. Świetnie się z Tobą bawiłem na lodzie. Do jutra. J.

– Powiem tylko, że gdyby te słowa były ziołami, to byłyby to paczula z gałązką kopru – podsumowała Chloe.

W poniedziałek rano chowałam właśnie podręczniki do francuskiego w szafce, gdy poczułam nagle zakłócenie mocy, które zawsze zwiastowało pojawienie się Jaya na horyzoncie. I rzeczywiście, gdy podniosłam wzrok, szedł korytarzem w moją stronę, patrząc na mnie z uśmiechem na twarzy.

Trudno mi było w to wszystko uwierzyć, ale gdyby to okazało się zwykłą halucynacją, cieszyłabym się z tego, że dołączyłam do zdrowych psychicznie inaczej.

Jednak moja radość ustąpiła, a na jej miejscu pojawił się niepokój, gdy zobaczyłam przy nim Tima Andersona. Do jakiego stopnia mogłam ufać zawodowej dyskrecji Tima, skoro postanowił zostać najlepszym kumplem Jaya? Był szpiegiem – szpiegiem, który z łatwością stałby się podwójnym agentem.

– Hej, to chyba twoje – powiedziałam, oddając Jayowi skarpetki.

Gdy je ode mnie przejmował, jego palce otarły się lekko o moje. Chciałam wierzyć, że ten dotyk był zamierzony.

Tim przyglądał się naszej wymianie z wielkim zainteresowaniem.

– Jay zostawił u ciebie swoje skarpetki? Macie niezłe tempo. – Skinął głową i rzucił mi znaczące spojrzenie.

– To nie to, co myślisz – powiedziałam szybko. Nie chciałam, żeby zaczął rozsiewać o nas plotki.

– Dla twojej wiadomości – zwrócił się do niego Jay – nigdy nie przekroczyłem progu jej domu.

– Hej, stary. Dom, samochód, motel... Ja nikogo nie oceniam.

Rzuciłam Timowi zabójcze spojrzenie, natomiast Jay zignorował jego komentarz i przeniósł wzrok na mnie.

– Miałabyś ochotę przyjść do nas na kolację w Święto Dziękczynienia? – zapytał. – Jack wciąż ma urlop, więc rodzina będzie w komplecie, a mama mówi, że byłoby wspaniale, gdybyś przyjęła zaproszenie.

– Hm. Zapoznanie z rodziną... To brzmi poważnie. – Tim puścił do mnie oko i uśmiechnął się złośliwie, jakby mówił: „Wiedziałem, że potrzebowałaś tych informacji, aby się z nim spiknąć”.

– Byłoby wspaniale. Ale chyba powinnam spędzić ten dzień z mamą.

– Och, twoja mama też jest zaproszona.

– Nie będzie mogła przyjść. Jest chora.

– Ciągle? Co jej jest?

Czy to moja wyobraźnia, czy Tim nadstawił nagle uszu?

– To... – Co? Skomplikowane? Niewytłumaczalne? Niepojęte? – To chroniczna przypadłość.

– Przykro mi. Musi być ci ciężko – powiedział Jay. – A może przyjdiesz do nas na obiad z indyka, a potem odwiezie cię na kolację z mamą? Zawieziemy jej porcję, żeby nie musiała gotować.

– Dobrze. Przekaż mamie moje podziękowania.

Jay posłał mi szybki uśmiech i poszedł na lekcje. Ale nie mogłam się pozbyć Tima, który szedł obok mnie krok w krok do samej sali historycznej, gdzie mieliśmy razem zajęcia.

– A więc – zaczął – mamusia cierpi na jakąś chroniczną przypadłość, tak?

Na dźwięk dziwnego akcentu, który, jak mi się zdawało, wyczułam w jego tonie, aż ścisnęło mnie w żołądku. Zastanawiałam się, jak dużo wiedział o mnie samej. Tim Anderson byłby świetnym szantażystą, bo wyglądało, jakby miał, a przynajmniej zbierał, haki na wszystkich.

Poczułam teraz straszne wyrzuty sumienia, że zleciłam mu raport na temat Jaya. Nie powinnam była tego robić. Skoro chciałam dowiedzieć się o nim czegoś więcej – a bądźmy szczerzy, chciałam – należało zdobyć te informacje w uczciwy sposób, czyli po prostu poznając go bliżej. Nie powinnam była płacić komuś za grzebanie w jego życiu. Jak ja bym się czuła, gdyby ktoś zlecił napisanie raportu o mnie, a Tim dowiedziałby się wszystkiego o moim życiu osobistym?

Jeśli moja znajomość z Jayem się rozwinie, będę musiała przyznać mu się do wszystkiego.

Skrywałam przed nim zbyt wiele sekretów – o szpiegowaniu, o zakładzie, o tym, co działo się w moim domu – które teraz powoli mnie zżerały. Zaczynałam rozumieć, że zbliżenie się do kogoś oznaczało zaufanie mu na tyle, by się przed nim otworzyć. I to mnie przerażało.

~

W czwartek przybyłam do domu państwa Youngów punktualnie o jedenastej trzydzieści. Otworzyła mi pani domu, prosząc do środka, i zawołała Jaya. Gdy byłam tu na próbie, myślałam, że to dom idealny, ale teraz – przepełniony aromatem cynamonu, świeżego pieczywa i piekącego się indyka – był ideałem na sterydach.

Jay zbiegł po schodach w obcisłych czarnych dżinsach, białym podkoszulku, narzuconej nań koszuli w kratę i swoich skarpetkach z *Upiora w operze*.

– Cześć – przywitał się i mnie przytulił.

– Cześć.

Znajdowaliśmy się na niezręcznym etapie naszego związku – jeżeli w ogóle mogłam tak określić tę znajomość. W końcu byliśmy tylko na jednej randce. Setki razy „całowaliśmy się”, przytulaliśmy i przysięgaliśmy sobie dożgonną miłość na scenie, ale w prawdziwym życiu raptem trzymaliśmy się za ręce, nic więcej. Pragnęłam więcej dotyku. A w tamtej chwili chciałam pocałować go w policzek, musnąć jego pełne usta i poczuć zarost na podbródku – ale się powstrzymałam.

Dołączył do nas pan Young, który podał mi dłoń.

– Jestem Jeffrey, ojciec Jaya. A ty to pewnie Peyton?

– Miło mi pana poznać – odparłam.

Jack przywitała mnie krótkim „siema” i porządnym kuksańcem w ramię.

– Jacqueline, damy nie używają pięści – strofował ją pan Young.

– A więc całe szczęście, że nie jestem damą, Joffrey – odparowała Jack.

– Tak czy siak, mama potrzebuje pomocy w kuchni.

Oburzona Jack wzięła głęboki oddech.

– Dlaczego to zawsze ja... – zaczęła.

– Oboje możecie pomóc – przerwała jej pani Young, przenosząc spojrzenie z Jack na Jaya i z powrotem.

– Ja też chciałabym się przydać – wtrąciłam.

– Dziękuję, kochanie. Kuchnia jest tam. Wolisz robić ciasto czy nadzienie?

Ciasto? Nadzienie? Równie dobrze mogła mi kazać udowodnić, że $E=mc^2$.

– Eee... A może znalazłoby się dla mnie coś prostszego? W kuchni niezbyt dobrze sobie radzę.

– A niby z jakiej racji masz sobie w niej świetnie radzić? – broniła mnie Jack. – To, że jest się kobietą, nie znaczy zaraz, że trzeba umieć gotować.

– Jack, daj spokój – odezwał się Jay.

– W porządku. Zamawiam kartofelki. – Wyjęła z szuflady tłuczek do ziemniaków i zaczęła ubijać nim zawartość dużego garnka na kuchence.

– To może zajmiesz się obcinaniem końcówek? – zaproponowała pani Young, podając mi deskę do krojenia z pęczkiem fasolki szparagowej.

– Nie ma sprawy – odparłam i zaczęłam gapić się jak głupia na zielone warzywa.

– W ten sposób – powiedział miękko Jay. Wziął ostry nóż i odkroił nim obie końcówki jednej z fasolek.

Podczas gdy ja zajęłam się fasolką, próbując nie odciąć sobie koniuszków niezdatnych palców – nóż był ostry jak brzytwa – Jay umieszczał ciasto w formie do pieczenia, a pani Young układała złocistożółte i pomarańczowe kwiaty w płaski stroik z olbrzymim słonecznikiem w środku. Gdy tylko poszła położyć go na stół, Jack podeszła ukradkiem do Jaya i podała mu kartkę z wydrukowaną planszą.

– Igrzyska uważam za otwarte! – powiedziała.

– Chyba powinniśmy zaliczyć ostatnie dwadzieścia minut, bo mam już dwa – odparł Jay, stukając w dwa kwadraciki na planszy. Zajrzałam mu obok ramienia – co było dla mnie nowością, bo zazwyczaj

zaglądałam ludziom przez ramię – i zobaczyłam, że w kwadracikach planszy są napisane jakieś zdania. Jay pokazywał dwa o treści „Tata nazywa J Jacqueline” i „J mówi: »To, że jest się kobietą, nie znaczy zaraz...«”.

– Nie ma mowy, żadnego wstecznego zaliczania punktów – powiedziała twardo Jack. – Chcesz z nami zagrać? – zwróciła się do mnie. – Mogę w sekundę wydrukować nową planszę.

– Co to za gra?

– Rodzinne bingo – odpowiedzieli chórem Jack i Jay.

– Co to jest rodzinne bingo? – Zaczynałam podejrzewać, że nie rozumiałam niczego w tym domu.

– To takie zwykłe bingo – zaczął Jay – tyle że w polach zamiast liczb są rzeczy, które zawsze się zdarzają, i zdania, które się powtarza na rodzinnych uroczystościach. Gdy dana rzecz ma miejsce, zakreśla się odpowiednie pole, a pierwsza osoba, która ułoży linię pięciu skreśleń, musi zabrać drugą osobę na lunch.

– Nigdy w to nie grałaś? – zapytała zdziwiona Jack.

– My raczej nie urządzamy rodzinnych uroczystości – odpowiedziałam głupio.

W tej samej chwili do kuchni weszli rodzice Jaya i plansze bingo zniknęły szybciej niż brownies na próbie z całą obsadą. Pani Young sprawdziła, co u indyka („Jeszcze jakieś czterdzieści minut pieczenia”), a pan Young nalał sobie kieliszek wina („Gdzieś na świecie jest już pierwsza po południu!”), co słysząc, Jack i Jay sprawdzili ukradkiem swoje plansze.

– Planujesz przebrać się do obiadu, Jack? – zapytała pani Young, spoglądając z dezaprobatą na robocze dżinsy i starą bluzę, w które była ubrana jej córka. Sama pani Young miała na sobie ładną fioletoworóżową sukienkę i także buty na niewysokim obcasie w kształcie kieliszka.

– Nie – odpowiedziała Jack, energicznie mieszając ziemniaki z masłem.

Gdy jedzenie było już przygotowane, wyłożone na białoniebieskie półmiski i postawione na środku stołu, wszyscy zasiedliśmy do świątecznego obiadu – pan Young u szczytu stołu, pani Young po drugiej stronie, najbliżej kuchni, Jay i ja obok siebie, a Jack naprzeciwko nas, po prawicy ojca.

Pani Young zmówiła prostą modlitwę i życzyła nam *bon appetit*.

– Na dobre trawienie – powiedział pan Young i dolał sobie wina.

Przyglądałam się pięknie nakrytemu stołowi Youngów z zakłopotaniem, podziwiając oszałamiającą kolekcję sreber, porcelany i przypraw w eleganckich pojemniczkach. Którego spośród licznych sztuców leżących przy moim nakryciu miałam użyć do zjedzenia przystawki w postaci pikantnej sałatki krabowej? Zerknęłam kątem oka na Jaya i poszłam za jego przykładem, wybierając te same sztuce – i tak do końca posiłku.

Daniem głównym był soczysty kurczak w sosie z purée ziemniaczanym, ciasteczkami kukurydzianymi na ciepło (z ubitym masłem podanym w maleńkiej srebrnej maselniczce), zieloną fasolką i młodymi marchewkami. Jack nałożyła sobie podwójną porcję purée, tak jakby jadła za panią Young, która w ogóle go sobie nie nałożyła, wymawiając się dbaniem o linię. Wszyscy zgodziliśmy się, że to iście pałacowa uczta, i zasypaliśmy mamę Jaya tyloma komplementami, że aż zarumieniła się z zadowolenia.

Pan Young odprawił rytualne ostrzenie noża do krojenia indyka o stalowy pręt z grzbietami, a następnie podał nóż i podłużny widelec Jayowi.

– Pora przekazać synowi rytuał krojenia świętecznego indyka.

– Myślałam, że rodzinne tradycje są przekazywane pierworodnemu – skarżyła się Jack.

– Proszę bardzo – powiedział Jay, przekazując jej nóż i widelec. – Tylko pamiętaj, żeby mi nałożyć ciemnego mięsa.

Pan Young zmarszczył brwi i zajął się otwieraniem kolejnej butelki wina, tym razem czerwonego.

– Nie szlachtuj go tak, Jack – powiedziała pani Young, gdy jej córka upuściła niezgrabnie odkrojony kawałek indyka na talerz Jaya. – I powinnaś była najpierw nałożyć naszemu gościowi.

– Przepraszam, Peyton. Wolisz jasne czy ciemne mięso? – zapytała Jack z dłońmi nad ogromnym indykiem w chrupiącej skórce.

– Bez różnicy. – Nie byłam wybredna. Już sam pyszny domowy obiad stanowił dla mnie nie lada gratkę.

Jack uśmiechnęła się szatańsko i odkroiła nieprzyzwoicie duży kawałek zadu ptaka, który następnie położyła mi na talerzu.

W porządku. Modląc się, żeby nie okazać obrzydzenia, bąknęłam grzecznie „dzięki”.

Jack i Jay wybuchnęli śmiechem. Chwilę potem na moim talerzu leżało już kilka niezgrabnie pokrojonych plasterków piersi, a tamten obrzydliwy kawałek zadu znalazł się z powrotem na półmisku, przykryty kopcem pietruszki. Gdy Jack wszystkim już nałożyła, wróciła na swoje miejsce, ale zerknęła na coś pod stołem i znowu się uśmiechnęła. Jej dłonie zniknęły na kilka sekund, a ja zgadywałam, że kawał z zadem indyka był rodzinną tradycją.

Przy deserze, czyli ciężkim cieście dyniowym z chrupiącym lukrem, rozmowa zeszła na sport.

Pan Young klasnął w dłonie i oznajmił:

– Po południu Kruki grają z Bykami. Kto chce obejrzeć ze mną mecz? – Spojrzał wyczekująco na Jaya, ale to twarz Jack rozpromieniła się na wzmiankę o footballu.

– Ja. Musimy wygrać z Bykami, bo inaczej po powrocie na platformę będę miała cięższe życie niż rozbrykany kucyk pana młodego w noc poślubną.

Słyszac to, aż zakrzusila się wodą, skonsternowana pani Young przechyliła na bok głowę i zmarszczyła brwi, ale pan Young uderzył dłonią w stół, krzyząc: „Jacque-line Young!”.

Jay uśmiechnął się i odhaczył pole na planszy rodzinnego bingo. Jack klepała mnie po plecach, dopóki nie przestałam kasłać, wyjaśniając, że jej szef jest z St. Louis i ucieszyłby się, mogąc przytrzeć jej nosa.

– Dlaczego miałby chcieć przytrzeć ci nosa? – zapytała pani Young.

– Uważa, że na platformach wiertniczych nie ma miejsca dla kobiet.

– Zgadza się z nim – bąknął pan Young, czym ściągnął na siebie gniewne spojrzenie córki. –

Przyłączysz się do nas, Jay?

Jay odwrócił się do mnie.

– Masz ochotę obejrzeć ten mecz? – zapytał. – Na kanale ze starymi filmami będzie maraton filmów Felliniego, może wolisz to? Obejrzelibyśmy go w moim pokoju, mam tam telewizor.

– Jest Święto Dziękczynienia! – zaprotestował pan Young. – A tradycyjnym amerykańskim sposobem na spędzenie Święta Dziękczynienia jest zjedzenie indyka i oglądanie footballu, a nie jakiegoś francuskiego filmu.

– Włoskiego – poprawił Jay, sznurując usta pod wpływem uczucia, które trudno mi było odczytać. Gniewu? Zażenowania?

– Jeden pies, to wciąż film z napisami. I wciąż nie sport.

– Nie wszyscy lubią sport, tato. Po prostu przedstawiałem naszemu gościowi propozycje do wyboru.

– W takim razie niech zadecyduje. Peyton, wolisz oglądać mecz czy jakiś stary włoski film?

– Eee... – wydukałam, grając na czas, bo na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. Może i nie znałam się na robieniu ciasta czy rodzinnym bingo, ale na kłótniach już tak. I nie chciałam wdać się w sprzeczkę w domu Jaya.

– Niech robią, co chcą, tato. Ja obejrzę z tobą ten mecz – powiedziała skwapliwie Jack.

Ale pan Young zdawał się jej nie słuchać. Rzucił serwetkę na stół i zwrócił się bezpośrednio do mnie.

– Co o tym sądzisz, Peyton? Mam córkę, która tak bardzo uwielbia football, że w liceum chciała się dostać do chłopięcej drużyny, która rozkłada na rękę swojego brata – Jack powiedziała bezgłośnie „to prawda” – i która pracuje na platformie wiertniczej z najlepszymi, ale za nic w świecie nie założy sukienki i nie rozumie znaczenia słowa „dama”.

– I dobrze! – powiedziała z dumą Jack, a siedzący obok mnie Jay ukradkiem skreślił kolejne dwa pola na swojej planszy, którą trzymał pod stołem.

– I... – Pan Young podniósł kieliszek do ust, zorientował się, że jest pusty, i sięgnął po butelkę.

– Kochanie, może zamiast wina napijesz się soku jabłkowego? – podsunęła łagodnie pani Young.

– Iiiiiiiii... – Jej mąż nalał sobie kolejny pełny kieliszek wina. – Mam prawie dwumetrowego syna-mięśniaka, zbudowanego jak obrońca, z dłońmi stworzonymi do łapania piłki i ramionami tak szerokimi, że bez trudu przedarłby się przez każdą formację obronną. A kim on chce zostać? Aktorem!

Jack znowu schowała ręce pod stół.

– Chce podskakiwać na scenie, a sportu nawet nie spróbuje.

– Po pierwsze, nie podskakuję na scenie – odparował Jay gniewnym głosem. – A po drugie, to nieprawda, że nie próbowałem sportu. W gimnazjum sprawdziłem swoje umiejętności w footballu i baseballu i w obu tych dyscyplinach byłem do bani. A poza tym ćwiczę na siłowni i biegam.

– To ćwiczenia, nie sport – powiedział pan Young, machając lekceważąco ręką. – Sportem można nazwać jedynie dyscyplinę, w której są zawody, ze zwycięzcą i pokonanym.

Tak więc raport Tima mylił się przynajmniej co do jednej „potwierdzonej informacji”. Jay nie grał w football w swojej ostatniej szkole. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy na pewno ma tę kontuzję ścięgna Achillesa, czy może była to jedynie wymówka, jakiej używał, żeby wykręcić się od udziału w kwalifikacjach do którejś z drużyn.

Niemniej jednak zdawało się, że na jego ojca nie działały żadne wykręty. Obiad u Youngów był pyszny i świetnie się na nim bawiłam, ale też zmartwił mnie i trochę zasmucił. Rodzina, która wyglądała na tak szczęśliwą i zadowoloną, okazała się niepozbawiona problemów.

Zawsze myślałam, że moja żalсна rodzina była beznadziejnie zła, ale może każdej daleko do doskonałości. Mimo że rodzice Jaya nie byli rozwiedzeni i wszyscy mieszkali razem w tym pięknym domu, głęboko w ich relacjach buzowało napięcie, jak prąd morski biegnący pod pozornie spokojną powierzchnią wody. I Jay musiał się zmagać z naciskami.

Może wszyscy musieli.

Gdy sprzątnęliśmy ze stołu i pomogliśmy pani Young pozmywać naczynia, dochodziła już

trzecia, więc kiedy ojciec Jaya ponownie mnie zapytał, co wolę obejrzeć, mecz czy film, w obu przypadkach grzecznie odmówiłam.

– Robi się późno. Naprawdę powinnam już wracać do mamy.

– Podwiozę cię – zaproponował Jay.

– Koniecznie załóżcie kurtki i czapki. Na dworze jest przeraźliwie zimno i nie chcę, żeby ktoś z was złapało zapalenie płuc – wtrąciła pani Young.

Jack wymierzyła Jayowi kuksańca w ramię i uśmiechnęła się złośliwie.

– Bingo!

Pierwsza sobota grudnia była wyjątkowa z wielu powodów.

Po pierwsze, nasza próba odbyła się rano, bo po południu Liz miała być druhną na ślubie swojej siostry. Po drugie, była to nasza pierwsza próba techniczna (która zawsze jest wielkim chaosem). A w środku tego wszystkiego musieliśmy jeszcze znaleźć czas na przymiarki kostiumów. Pani Gooding wpadła na chwilę, żeby zobaczyć, jak nam idzie, ale jak zwykle nic nie powiedziała. Wyglądało na to, że naprawdę wierzy w metodę nauczania pod tytułem „uczniu, płyn albo idź na dno”.

Doug natomiast wyglądał, jakby zaraz miał dostać zawału – żadna nowość – i bez przerwy powtarzał: „Ludzie, do premiery zostało mniej niż dwa tygodnie!”.

Nasz kierownik techniczny, maturzysta o imieniu Sanjay, zaznaczył krzyżykami z różnokolorowej taśmy punkty na scenie, w których mieliśmy stawać, żeby kamery mogły nam zrobić zbliżenie, i przygotował dokładne zapiski, kiedy podkręcać i wyciszać muzykę, by nie zagłuszać naszych dialogów i monologów. Potem poszedł czynić cuda z udźwiękowieniem, światłami i przekazem na żywo z pulpitu operatora w kabinie oświetleniowej z tyłu audytorium.

Okropnie było widzieć własną twarz na dużych ekranach zawieszonych pod kątem po obu stronach sceny. Widziałam wszystkie swoje piegi i niedoskonałości cery, a pieprzyk na skroni jeszcze nigdy nie prezentował się tak absurdalnie. Z początku Jay też wyglądał na nieco zbitego z tropu, ale szybko zaczął eksperymentować z mimiką i ustawieniem ciała, sprawdzając efekt na ekranach – perfekcjonista w każdym calu.

Z uwagi na to, że akcja naszej sztuki działa się we współczesnym Baltimore, elementów kostiumów szukaliśmy po prostu we własnych szafach albo pożyczaliśmy coś od przyjaciół. Nawet Liz, nasz bezwyznaniowy przywódca duchowy o nieokreślonej płci, miała na sobie zwykle czarne spodnie, białą koszulę i ogromny krucyfiks.

Robiłam trzy przymiarki kostiumów, które nasza ko-stiumografka (mama Douga) kazała mi założyć i przejść się w nich po scenie, żeby oboje z Dougiem mogli je ocenić. Wszystkie przeszły test pozytywnie – z wyjątkiem stroju, który miałam założyć do ostatniej sceny, czyli dzinsowych szortów i topu, który robiłam, odcinając rękawy od starego różowego podkoszulka, i do którego miałam mieć uroczy kapelusz przeciwsłoneczny. Jedyńm, jaki udało mi się znaleźć, był stary kapelusz mamy i naturalnie okazał się na mnie za mały.

– Z kapeluszem nie będzie problemu. Rozetnę go przy podstawie, a szparę zasłonię szeroką wstążką – powiedziała mama Douga. – Gorzej z topem. Widzisz, jak odstaje jej pod pachami? Będzie widać stanik, chyba że przez całą scenę trzymałaby ręce przy bokach.

– Mam pomysł – rzuciłam i pobiegłam z powrotem do garderoby.

Tego wieczoru było zimno, więc założyłam pod bluzę dodatkowy podkoszulek bez rękawów na cieniutkich ramiączkach. Miał wbudowany stanik, co chroniło przed przypadkowym pokazaniem boku piersi. Dodatkowa warstwa ubrania również była plusem, bo w teatrze panował chłód.

Pięć minut później stałam już z powrotem na scenie, gdzie nasz reżyser i jego matka sprawdzali teraz strój Jaya – szorty w kolorze khaki, biały podkoszulek i narzuconą nań rozpiętą niebieską koszulę.

– To dobrze wszystko zasłania. – Mama Douga skinęła z aprobatą na widok mojego stroju.

– Mogę zobaczyć, jak wygląda bez tego różowego topu? – poprosił Doug.

No to żegnaj, ciepły kostiumie. Ściągnęłam różowy bezrękawnik i obróciłam się w miejscu, będąc tylko w czarnym topie i pocierając z zimna po ramionach.

– Z nutą różu wygląda ładnie – odezwał się Jay.

– Racja, załóż obie warstwy – przytaknął Doug. – Równie dobrze możesz się nie przebierać, bo zaraz powtarzamy ostatnią scenę.

Ostatnią scenę sztuki stanowił namiętny pocałunek, czyli nasze szczęśliwe zakończenie. Jego scenerią był zachód słońca na plaży, który mieliśmy wyświetlić na białym tle w głębi sceny. Złożyliśmy sobie żarliwe śluby wiecznej miłości, a potem Jay miał zdjąć mi kapelusz i rozłożyć ręcznik plażowy na

ogromnej „skale” na środku sceny. Sztuka kończyła się wraz ze mną siedzącą na jej szczycie i całującym mnie namiętnie Jayem, podczas gdy wokół powoli gasły światła, przechodząc od szkarlatu przez jakieś pięćdziesiąt odcieni koralu aż do różowawej poświaty fioletu na czarnym ekranie, a my stawaliśmy się tylko ciemnymi sylwetkami z przodu sceny.

Duża „skała” była drewnianą skrzynią owiniętą siatką ogrodzeniową i utwardzonym klejem, pomalowanym na brązowo płótnem imitującym wychodnię skalną, którą u podnóża oplatały nawet sztuczne wodorosty. Żyłam w ciągłym strachu, że ta konstrukcja zawali się pod moim ciężarem. Podczas drugiej powtórki tego wieczoru zaczęła skrzypieć i trochę się zapadła, ale gdy jęknęłam przerażona, Doug krzyknął: „Nie przerywaj! Gwarantuję, że wytrzyma!”.

Tym, co nie wytrzymało, był mój czarny top – cienkie ramiączka wciąż spadały mi z barków i bezwładnie zwisały. Zanotowałam sobie w myślach, żeby przyszyć je do ramiączek podkoszulka.

Gdy oderwałam się od Jaya, by podarować mu uśmiech przed naszym ostatnim pocałunkiem, oba ramiączka postanowiły spaść. Nie wychodząc z roli, Jay tylko się uśmiechnął i poprawił mi je, wodząc nieśpiesznie palcami po moich ramionach, co całkowicie mnie odurzyło, a następnie nachylił się i mnie pocałował.

Przez wszystkie próby przygotowywałam się mentalnie na ten dotyk warg, który blokowaliśmy i ćwiczyliśmy, ale za każdym razem, gdy Jay odchodził od scenariusza i serwował mi takie czułe, improwizowane pieszczoty, całkowicie wytrącało mnie to z równowagi, bo zdawało się wybijać nas z wyreżyserowanego, udawanego związku Romera i Julii i przenosić w kielkującą znajomość między Jayem a Peyton.

Od Święta Dziękczynienia codziennie wymienialiśmy się esemesami na dzień dobry i dobranoc, jedliśmy razem lunch w szkolnej stołówce i byliśmy jeszcze na dwóch randkach. Zaciągnęłam go do osobliwego i wspaniałego Muzeum Sztuki Wizjonerskiej, a on zabrał mnie do teatru na *Makbeta*. Siedząca w rzędzie za nami parka jęknęła, gdy zajmowaliśmy swoje miejsca, i nawet nie starała się ściszyć głosu, narzekając, że nic nie widzą, bo usiadło przed nimi dwoje olbrzymów.

– Może powinniśmy zaproponować im zamianę miejsc? – zapytałam cicho Jaya.

– Wtedy zasłaniałibyśmy parze siedzącej za nimi i ciągle musielibyśmy się przesiadać, aż nie wylądowalibyśmy na samym końcu, skąd my byśmy nic nie widzieli.

– Mam wyrzuty sumienia.

Próbowałam osunąć się na fotelu, ale moje kolana już wbijały się w siedzenie przede mną i nie miałam więcej miejsca.

– Życie daje w kość każdemu. Nie musisz udawać malutkiej, żeby innym było dobrze – powiedział.

Emocjonowałam się Jayem, który emocjonował się przedstawieniem. Nachylił się, jakby chciał słyszeć kwestie przed resztą widowni; w jego oczach pojawił się błysk podekscytowania, a usta poruszały się, wypowiadając bezgłośnie słowa sztuki. Od czasu do czasu, w pełnych napięcia chwilach, dłoń, którą trzymał moją, drgała nerwowo.

– Czyż to nie było genialne? – zapytał po przedstawieniu z twarzą rozjaśnioną płomiennym, megawatowym uśmiechem.

– Najgenialniejsze – przytaknęłam.

Tylko jedno z nas mówiło o sztuce.

Jay jak zawsze odwiózł mnie do domu. Tego wieczoru nie chciałam uciekać się do gierki, żeby zatrzymać go z dala od drzwi wejściowych, więc powiedziałam tylko:

– Proszę, zostań w samochodzie. Pójdę sama.

Przekrzywił lekko głowę, przyglądając mi się zagadkowo, i gdy już myślałam, że zażąda wyjaśnień, dlaczego nigdy nie zapraszam go do środka, pochylił się nad skrzynią biegów, pocałował mnie delikatnie w usta i powiedział: „Dobranoc, Tygrysie Oczy”.

To było zwykłe muśnięcie, ale prawdziwe, nie wyreżyserowane, a ja schowałam je głęboko w sercu.

Jednocześnie nie cierpiałam pocałunku w scenie kulminacyjnej i go uwielbiałam. Mimo że nie

był „prawdziwy”, to i tak intymny. Chciałam całować Jaya, ale nie w ten sztuczny sposób. Czułam się jak idiotka, przyciskając wargi do jego ust i przekręcając głowę, podczas gdy niewygodna skała pod moją pupą powoli się zapadała. Zack i Wren oglądający wszystko w bezlitosnym zbliżeniu na ekranach skręcali się ze śmiechu, ale Doug, jak można było wywnioskować z jego zmarszczonych brwi, znalazł tylko kolejne błędy w mojej technice.

O dwunastej trzydzieści, gdy próba dobiegła końca, odetchnęłam z ulgą. Zostawiając Douga, który dogrywał szczegóły z ekipą techniczną, założyłam codzienne ubranie i wyszłam z Jayem i resztą obsady.

– Głosuję za tym, żebyśmy wszyscy poszli na lunch – zaproponował Zack. – Co powiecie na Jumping Jima?

– Znowu? – jęknęła Wren.

– Peyton załatwi nam zniżkę.

– Jestem za – powiedziała Liz.

– Ja też – zawtórowała jej Angela.

– Idziemy? – zapytał mnie Jay.

– Hmm...

Nie chciałam iść do Jumping Jima, dziękuję bardzo. Tori pracowała w każdą sobotę, a ja miałam powyżej uszu jej wścibskiego nosa i sarkastycznych komentarzy. Jak dotąd nie wysłałam jej raportu z żadnej z moich trzech randek z Jayem. Czułam silną potrzebę chronienia tego, co się między nami rodziło, przed tym ohydny zakładem.

– Miałam nadzieję, że zjemy lunch tylko we dwoje i spędzimy razem popołudnie – odpowiedziałam cicho.

– My pasujemy – oznajmił Jay reszcie towarzystwa, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Jesteście teraz parą? – zapytała Wren, marszcząc nos.

Zerknęłam na Jaya.

– Jesteśmy? – zapytałam.

– Jesteśmy.

– O nie, myślałem, że mam u ciebie szansę – poskarżył się Zack.

– Możesz sobie pomarzyć – bąknął Jay. Wziął mnie za rękę i pociągnął do samochodu.

R esztę popołudnia i wieczór spędziliśmy razem, co było kolejnym wyjątkowym wydarzeniem tego dnia.

W drodze do dzielnicy Inner Harbour zaczęliśmy rozmawiać o filmach. Ja wiedziałam więcej o klasykach kina, a Jay okazał się ekspertem od gry aktorów. Gdy przemknął obok nas podrasowany czerwony camaro, przejeżdżając przez światła, które sekundę wcześniej zmieniły się na czerwone, Jay zarządził filmową batalię.

– Najlepsza scena pościgu samochodowego w historii kina? – rzucił.

– Ty pierwszy – powiedziałam, grając na czas i próbując przypomnieć sobie jakąkolwiek scenę pościgu.

– No dobrze, palmę pierwszeństwa muszę przyznać *Drive*.

– Czyli?

– Czyli filmowi, w którym Ryan Gosling gra uciekającego przed zbirami kierowcę. Pierwsza sekwencja jest genialna; zero kraks, żadnej szalonej muzyki, tylko zbliżenia zamyślnego, kalkulującego Goslinga. Twoja kolej.

Przyszedł mi do głowy jeden film.

– *Tożsamość Bourne'a*.

– Czerwony mini cooper pędzący ulicami Paryża? To też klasyk. Uznajmy, że mamy remis, po sto punktów.

– To jakieś zawody?

– Hej, chyba słyszałaś, co mój tata mówił o kluczowym znaczeniu zawodów – odparł z cierpkim uśmiechem.

– Suszy ci głowę, żebyś poważnie wziął się za sport?

– On mnie nie rozumie. Ani Jack. Chciał dziewczęcą córkę i chłopięcego syna, a zamiast nich ma... nas.

Zostawiliśmy samochód na parkingu wielopoziomym i ruszyliśmy w stronę nabrzeża, przedzierając się przez tłum turystów i zakupowiczów z prezentami na Gwiazdkę pod pachą.

– I nie jest zadowolony, że od nowego roku będziesz studiował aktorstwo? – zapytałam.

– Nie może tego znieść. Uważa, że mam zerowe szanse na odniesienie sukcesu i że powinienem pójść jeszcze na jakieś studia „awaryjne”. Według niego dobrze, żebym studiował informatykę albo rachunkowość.

– Nie! – krzyknęłam tak gwałtownie, że aż spojrzał na mnie, unosząc brew.

– Widzę, że masz na ten temat zdecydowaną opinię.

– Właśnie. – Myśl o tym, że ten niezwykle utalentowany chłopak miałby zagrzebać swój potencjał pod stertą arkuszy kalkulacyjnych, była zbyt przerażająca. (Przepraszam, Mark). – W każdym razie odniesiesz fenomenalny sukces, nie ma co do tego wątpliwości.

– Umiesz przepowiadać przyszłość? – zapytał z szerokim uśmiechem.

– Tak. Uwaga, spoiler: w 2021 dostaniesz Oscara dla najlepszego aktora pierwszoplanowego.

Podziwiając piękny płaszcz idącej przed nami kobiety w kolorze głębokiego spalonego pomarańcza, z miejsca postanowiłam włączyć do swojej kolekcji jakieś ubranie właśnie w tej barwie. Może koszulę z guzikami o długich mankietach i spiczastym kołnierzyku.

– A ty dogadujesz się ze swoim tatą? – zapytał Jay.

– Nie jesteśmy blisko, prawie go nie widuję. Rodzice rozwiedli się, gdy miałam sześć lat, i przez cały ten czas nasz kontakt powoli się osłabiał.

– Czemu oni się...

– Robi się zimno. Może tu zjemy? – wskazałam pobliską restaurację z owocami morza.

– Dobrze.

Kelnerka, która zaprowadziła nas do stolika z widokiem na port, spojrzała na mnie ze

zdumieniem.

– Ojej, aleś ty wysoka! Ile masz wzrostu? – zapytała. – Wiesz, złotko, powinnaś chodzić na płaskim obcasie, bo przez te botki wyglądasz na jeszcze wyższą – dodała, nie czekając na odpowiedź.

Stań na czymś i powiedz mi to w twarz, złotko.

Posłałam Jayowi spojrzenie w stylu „a nie mówiłam?” i usiadłam, układając sobie nogi między jego nogami. Chwilę później znowu rozmawialiśmy o filmach, zając się smakowitymi owocami morza.

Jay wyjął z wiaderka olbrzymie odnoże kraba i rozbił je młoteczkiem, który dostał razem ze sztućcami.

– Dobra, mam pytanie do naszego quizu – powiedziałam. – Najlepsze filmowe morderstwo?

Jay zwięził oczy w zamyśleniu, wysysając miękkie białe mięso i wyjmując sobie z zębów jego włókna. Wpatrywałam się w jego poplamione masłem usta, czując ścisk w żołądku.

– Założę się, że oboje myślimy o tej samej scenie – powiedział.

– Hę?

O czym to rozmawialiśmy?

– *Psychoza* – wyjaśnił.

A tak. O ekranowych morderstwach.

– Scena pod prysznicem? – upewniłam się.

– Bezapelacyjny zwycięzca.

– Ale z oryginalnego filmu Hitchcocka, nie z tej okropnej nowej wersji.

– Oczywiście!

Rozmawialiśmy luźno, rozprawiając się z pikantnymi krewetkami i gotowanymi na parze małżami. Jay powiedział, że pierwsza runda przesłuchań w Julliard została zaplanowana na koniec stycznia i jeśli ją przejdzie (a wiedziałam, że na pewno mu się uda), to odezwą się do niego w marcu. Dowiedziałam się również, że Jack jest zakochana w jednym z chłopaków na platformie i że matka Jaya była w młodości mistrzynią tańca towarzyskiego.

Z kolei Jay nie dowiedział się o mnie zbyt dużo, co było z mojej strony celowe. W końcu to, co przestaje być sekretem, nie może już budzić zainteresowania. Zapytał, jak mi idzie z moim portfolio, na co odpowiedziałam, że świetnie, uświadamiając sobie, że za ten lunch najpewniej zapłacę równowartość materiału na kilka strojów.

Nie żałowałam zjedzenia ani jednego małża.

Po długim posiłku z kilkoma dolewkami kawy poszliśmy na spacer po porcie. Dzień był chłodny. Słońce zakryty ciężkie szare chmury i już zaczynało się ściemniać. Cieszyłam się, że mam na sobie swoją kurtkę z kapturem (kupioną w dziale męskim Bargain Box Outlet Store) i botki, bez względu na to, co myślała o nich tamta kelnerka. Jay wydawał się rozgrzany, a w swoim czarnym golfie i skórzanej kurtce wyglądał cholernie seksownie, ale gdy zobaczył, że rozcieram sobie zmarznięte uszy, uparł się, żeby kupić nam parę ciepłych wełnianych czapek – czarną dla niego i rubinową dla mnie. „Ta pasuje do koloru twoich ust”, wyjaśnił.

Minęliśmy dwóch pijanych żebraków siłujących się o butelkę taniego wina. Przywarli do siebie, poruszając się niepewnie wokół własnej osi jak czworonożny krab, zbyt wstawieni, by zrobić sobie krzywdę.

– Najlepsza filmowa bójka? – rzucił Jay.

– Jeśli liczyć strzelaniny, to *Butch Cassidy i Sundance Kid*, bez dwóch zdań.

– Jaki Butch i jaki Kid?

– Jak możesz nie znać tego filmu?! – zawołałam oburzona. – Strzelanina na końcu to klasyk!

– Klasykiem to jest *Podziemny krąg* – odparował.

Zadrżałam.

– Dobrze, a więc wchodzę w twój *Podziemny krąg* i podbijam magiczną stawkę: Voldemort kontra Dumbledore w *Zakonie Feniksa*.

– Tak, fajne efekty specjalne – zgodził się Jay. – Ale sprawdzam. *Matrix*: Neo kontra agent Smith.

– Niech ci będzie – powiedziałam, czym zasłużyłam na jeden z jego promiennych uśmiechów. One coś ze mną robiły. Na ich widok topniało mi serce i wlewały się w nie słońce, kolory oraz ciepło.

– Hej, co powiesz na wycieczkę na drugą stronę zatoki? – zaproponował Jay.

Dziesięć minut później siedzieliśmy na ławeczce portowej taksówki wodnej razem z tłumkiem innych podróżujących – turystów i miejscowych wracających po pracy do domu. Sternik ominął cumy i wypłynął na zatokę. Na zmarszczonej wodzie tańczyły odbicia kolorowych światełek nadbrzeżnych barów, klubów i knajpek z krabami, rozświetlonych w ciemności zapadającego wieczoru.

Na wodzie było przeraźliwie zimno, więc gdy Jay przyciągnął mnie do siebie, wtuliłam się z wdzięcznością w jego ciepłe objęcia, kładąc mu głowę na ramieniu, a policzek w zgięciu jego szyi. Czułam tylko zapach jego ciała.

– To cudowna chwila – powiedziałam, zaskoczona własnymi słowami.

– Hmm?

– Nic, nic.

Ten piękny moment nie mógł trwać wiecznie. Zapamiętałam każdą sekundę szczęścia, żeby móc rozkoszować się nim po tym, jak czar pryśnie. A życie nauczyło mnie, że zawsze pryskał.

Łódź przybiła do Harbor Point, gdzie wysiadła większość turystów, kierujących się zapewne w stronę restauracji w Little Italy.

– O czym myślisz? – zapytałam, gdy znowu płynęliśmy, mijając molo i zbliżając się do ogromnego akwariarium z jego trójkątnym szklanym dachem i łodzią podwodną z czasów drugiej wojny światowej przywiązaną łańcuchami do pomostu na zewnątrz.

– O najpiękniejszych ekranowych parach.

Oooo, a więc myślał o ekranowych parach?

– Okej, co powiesz na Scarlett O’Harę i Rhettę Butlera z *Przeminęło z wiatrem* albo Heathcliffa i Cathy z *Wichrowych wzgórz*, którejkolwiek wersji? – odparłam.

– Hmm, a więc lubisz z deka straszne historie o szalonej namiętności?

– A są jakieś inne? Twoja kolej – powiedziałam. – Nie, czekaj, zmieniłam zdanie – dodałam szybko. – Najpiękniejsza ekranowa para wszech czasów to Humprey Bogart i Ingrid Bergman jako Rick i Ilsa z *Casablanki*.

– Ty naprawdę lubisz stare kino.

– Bo wcześniej umieli robić mądre, eleganckie filmy. I opowiadać historie miłosne – odpowiedziałam, a widząc jego sceptyczne spojrzenie, dodałam: – W porządku, to wymień jakąś współczesną parę ekranową, która dorówna Scarlett i Rhettowi albo Rickowi i Ilsie.

– Zdefiniuj słowo „współczesna”.

– Z tego stulecia.

– Bella i Edward – powiedział, zaśmiewając się. – Czy może kibicowałaś Jacobowi? – dodał, gdy odsunęłam się, żeby spiorunować go wzrokiem.

– Bądź poważny.

– Tak, masz rację, romanse to poważna sprawa.

– A więc? Czekam na twoje współczesne klasyki – rzuciłam zaczepnie.

– Katniss i Peeta? Tris i Cztery? Schmidt i jak mu tam, ta postać grana przez Channinga Tatum w *22 Jump Street*?

– Bromanse się nie liczą. Poddajesz się? Potwierdzasz, że stare filmy są najlepsze?

– Mam! – zawołał, pstrykając palcami.

– Czyżby?

Zaczął udawać, że bije w bęben.

– Nie śpiesz się – powiedziałam.

– Shrek i Fiona.

– Fakt, to całkiem fajna para – przyznałam niechętnie.

– Jak to, „całkiem fajna”? Są super i wygrywam. „Hallelujah, hallelujah” – zanucił motyw

muzyczny filmu.

– Ej, nie tak szybko. Jeśli dopuszczamy pary, które nie są prawdziwe...

– Peyton! – Przestał nagle śpiewać, spojrzał na mnie, jakbym go czymś strasznie zszokowała, i położył sobie rękę na sercu. – To, że są animowani, nie znaczy, że nie są prawdziwi – powiedział drżącym z emocji głosem.

– Mój błąd. Wybacz mi.

– To nie mnie powinnaś przeproszać – odparł, pociągając nosem, jak gdyby poczuł się zraniony.

Twarz mu posmutniała i wytarł coś, co – mogłabym przysiąc – było prawdziwą łzą. Czy ja rzeczywiście zraniłam jego uczucia?

– Jay?...

– Nabrałem cię! – Odrzucił do tyłu głowę, a potem zgiął się wpół i zaczął się serdecznie śmiać.

Kochałam ten jego śmiech.

Dałam mu niezbyt lekkiego kuksańca w ramię.

– Ale mnie wkręciłeś!

Wciąż się śmiał, gdy łódź przybiła do ostatniego przystanku. Dopiero gdy wyszliśmy spod baldachimu i stanęliśmy na nabrzeżu, zauważyliśmy, że mży. Ruszyliśmy szybkim krokiem w stronę parkingu.

– Którą animowaną parę miałaś na myśli? – zapytał Jay.

– Piękną i Bestię.

– Aby uniknąć kolejnego pobicia – zaczął Jay, rozcierając sobie ramię, jakby wciąż go bolało – ogłaszam remis.

W tej samej chwili lunął lodowaty deszcz. Spojrzeliśmy na siebie i rozumiejąc się bez słów, zaczęliśmy biec do najbliższej wiaty przystankowej, która była niespełna pięćdziesiąt metrów dalej.

I właśnie tam, pod jej sklepionym dachem, stała się najbardziej wyjątkowa rzecz tego dnia.

Krople deszczu dudniły o zadaszenie. Stojąc na naszej małej, suchej wysepce, otoczeni zalewem wody i hałasem, czuliśmy się, jakbyśmy byli sami na świecie – chłopak i dziewczyna w mokrych od deszczu ubraniach i z wilgotnymi włosami, między którymi nagle przepływa prąd.

Jay przyciągnął mnie do siebie i schował sobie pod kurtkę moje lodowate dłonie. Zajrzał mi głęboko w oczy tak intensywnym, złocisto-zielonym spojrzeniem, że poczułam, jak moje policzki zalewa fala ciepła.

W końcu się odezwał.

– Najpiękniejszy ekranowy pocałunek?

Żeby coś powiedzieć, musiałam odchrząknąć.

– Hmm... Może ta gorąca scena Deborah Kerr i Burta Lancastera w *Stąd do wieczności*?

– Czy to kolejny prehistoryczny film?

– Mądrała – prychnęłam. – A twój faworyt?

– Ja wybieram scenę pocałunku Tris i Cztery z *Niezdolnej*, gdy oboje są na siebie źli i totalnie napaleni. To niekwestionowany zwycięzca w tej kategorii. Chyba że masz jakiegoś innego kandydata do złota?

– A żebyś wiedział, że mam! – Właśnie przypominałam sobie swój ulubiony filmowy pocałunek. – *Spiderman*. Ten pierwszy, z Tobym Maguire’em, nie ta nowa chała.

– Przypomnisz mi?...

– Pada, a Pajaczek i Mary Jane są w jakimś ciemnym zaułku, gdzie właśnie on uratował ją przed bandą lubieżnych oprychów, co już jest superromantyczne. To znaczy ratowanie, nie oprychy.

Jay zaśmiał się lekko.

– A potem zwisa do góry nogami przy murze...

– Przypominam sobie! Miała taką jakby prześwitującą sukienkę. I była mokra. Sexy.

– A wtedy ona powolutku odsuwa mu maskę, odsłaniając usta, więc on zachowuje dla niej swoją tajemniczość: są tylko jego wargi. Ona pochyla się i delikatnie go całuje, trzymając w dłoniach jego twarz. Ach! – westchnęłam głośno. Na samo wspomnienie zmiękły mi kolana. – To bez dwóch zdań najpiękniejszy filmowy pocałunek wszech czasów.

Jay przekrzywił głowę, przez dłuższą chwilę przyglądając mi się zagadkowo. Nagle wyszedł spod wiaty, wszedł na kosz, a potem podciągnął się, by stanąć na dachu.

Śmiejąc się, wyszłam z przystanku i spojrzałam w górę na niego.

– Co ty wyprawiasz? – zapytałam, mrugając od kropel deszczu, które wpadały mi do oczu.

Jay podwinął golf i naciągnął czapkę na oczy, po czym położył się na plecach na dachu i zaczął zsuwać się z jego krawędzi, dopóki nie zrównał się ze mną twarzą.

Westchnęłam z rozkoszy.

Chwyliłam drżącymi palcami za krawędź jego golfa i zaczęłam go powolutku odsuwać, odsłaniając tylko usta mojego Pajaczka.

Nachyliłam się, chwyciłam ustami jego dolną wargę i delikatnie ją possałam, a potem zaczęłam skubać górną. Jay jęknął, a napięcie w moim żołądku przerodziło się w mocny ucisk. Przykryłam jego usta swoimi i wreszcie naprawdę się całowaliśmy.

To było cudowne. Najpierw delikatnie, a potem mocniej, bardziej szaleńczo. Gorączkowo. Powrócił wiatr, odbierając mi oddech, hucząc w głowie i napełniając moje ciało wirującymi, gwałtownymi prądami o nazwach „tu” i „teraz”. Serce zaś rozsadzało mi pierś – rozrastało się i stawało lżejsze, jednocześnie się unosząc, przez co poczułam się jak balon gotowy do startu i odpłynięcia wysoko w wieczorne niebo, a jedynym, co trzymało mnie przy ziemi, były usta Jaya.

Gdy oderwaliśmy się od siebie, żeby zaczerpnąć powietrza, ściągnął czapkę, zrobił salto do tyłu, zeskakując z dachu, i stanął przede mną z przymrużonymi oczami. Zaczęliśmy się całować na stojąco – głębiej, dłużej, gwałtowniej. Pozwoliłam dłoniom robić to, czego od tyłu miesiący pragnęły:

wędrowałam nimi po twardych zgrubieniach jego ramion, wplatałam mu palce we włosy, ocierałam przegubami wzdłuż jego szczęki i przyciskałam opuszki palców do zaokrąglonych fałdek w kącikach jego oczu.

Dłonie Jaya znalazły się tymczasem na moim ciele – tą, którą trzymał mi na plecach, przyciągnął mnie do siebie i powędrował niżej, przyciskając moją pupę do swoich bioder, tak że poczułam, jak twardnieje. Na mojej szyi wyznaczył ustami linię lekkich pocałunków, a drugą dłonią powędrował wzdłuż mojego kręgosłupa i wplótł mi ją we włosy, by potem ją opuścić i zamknąć w niej moją pierś. Nie mogłam oddychać, nie mogłam myśleć, nie mogłam zdusić jęku rozkoszy. I...

Nagle usłyszałam za plecami głośny i ostry dźwięk klaksonu. Jęknęłam i odskoczyłam od Jaya. Na przystanku zatrzymał się właśnie jakiś autobus i czekał teraz z otwartymi drzwiami.

Stał tam już chyba dobrą chwilę, bo w jego mokrych szybach zobaczyliśmy kilka przyklejonych twarzy z wyszczerzonymi zębami, których właściciele ewidentnie nam się przyglądali. Niektórzy nawet klaskali i wiwatowali, ale kierowca nie wyglądał na rozbawionego.

– Zamierzacie wsiąść, zanim jedno z was zaliczy wpadkę, czy nie? – zawołał i przeklął, gdy Jay dał mu znak, żeby ruszał.

Znowu byliśmy sami, ale szalona magia chwili zniknęła. Nie mogliśmy całować się dalej na ulicy i pewnie była już pora wracać do domu. Plus deszcz, który odciął nas od reszty świata, przestał padać.

Ale jednocześnie nastrój się nie ulotnił, bo mimo że pełne napięcia wyczekiwanie na pierwszy pocałunek było już za nami, w jego miejsce pojawiła się jeszcze większa fala łączącego nas uczucia. To właśnie ono kierowało naszymi dłońmi, które z taką łatwością się odnalazły, gdy biegliśmy mokrymi ulicami, rozbryzgując wodę z kałuż. Było we wspólnym śmiechu, którym wybuchnęliśmy w samochodzie Jaya, i w spojrzeniu, którym się wymieniliśmy, kiedy zajechaliśmy pod mój dom, i które było wstępem do kolejnego pocałunku.

Nawet gdy już leżałam w łóżku i zasypiałam, wciąż czułam się połączona z nim tym nieokreślonym uczuciem. I wiedziałam, po prostu wiedziałam, że gdziekolwiek jest – szukając przekąski w pięknej kuchni albo zasypiając pod plakatami *Nędzników* i *Otella* – mój chłopak też o mnie myśli.

O rany.

Gapiałam się w ekran komputera, nie wierząc własnym oczom.

Było późne środowe popołudnie, dwa dni przed premierą *Romera i Julii*, a ja właśnie kończyłam część teoretyczną mojego podania na studia, licząc, że uda mi się wprowadzić sugestie Chloe i skończyć przed wyjściem na próbę kostiumową, gdy nagle rozproszył mnie dźwięk powiadomienia o nowej wiadomości w skrzynce mailowej.

Jej autorem był mój tata, a gdy tylko zaczęłam czytać, szczeka mi opadła.

Kochana Peyton,

mam cudowne wieści! Lucy i ja będziemy mieli dziecko! Dowiedzieliśmy się o tym już jakiś czas temu, ale nie chcieliśmy dzielić się tą radosną nowiną przed końcem pierwszego trymestru, bo mamy za sobą kilka rozczarowań.

Rozczarowań? Pierwsze słyszę. Zaczęłam się zastanawiać, co poszło nie tak.

Kijaneczka (jak go nazywamy)...

„Jak go nazywamy?”. O Jezu, a więc to chłopiec. To dobije mamę. Sprawdziłam pole adresowe – pisał tylko do mnie. Czy wysłał do niej oddzielną wiadomość, czy podzielenie się z nią tą radosną nowiną zostawił mnie?

... przyjdzie na świat w połowie czerwca.

Obawiam się, że nowe dziecko będzie oznaczało mnóstwo dodatkowych wydatków, więc nie zdołam dalej dorzucać wam dodatkowego grosza. Od teraz będziemy musieli trzymać się naszych ustaleń finansowych. Przykro mi, Peyton, wiem, jak musi być Ci ciężko, ale nie mogę dłużej wyciągać Twojej mamy z tarapatów.

Super. Kolejna radosna nowina.

Tak czy siak, jesteśmy bardzo szczęśliwi i mamy nadzieję, że i Ty cieszysz się naszym szczęściem.

Chcielibyśmy, żebyś nas częściej odwiedzała, aby Twój braciszek mógł Cię poznać i pokochać.

A więc będę miała rodzeństwo. Braciszka. Zalała mnie fala obrazów i doznań – paluszki u stóp jak maleńkie różowe kamyki, miniaturowe paznokietki, niemowlęcy śmiech i gaworzenie, złocisto-brązowe oczy podobne do moich – wywołując lawinę emocji. Radość, tęsknota, melancholia. Strach.

A co, jeśli to znowu się stanie?

Zaczęłam pisać odpowiedź:

Cholera, tato, czy na pewno powinieneś znowu ryzykować? Czy Lucy wie, co się może stać? Czy nie przyszło Ci do głowy, jak bardzo zranisz tym mamę? I czy w tym wieku w ogóle powinieneś mieć dziecko? Nie masz dwudziestu dziewięciu lat, tylko czterdzieści dziewięć. Gdy ono będzie szło na studia, Tobie stuknie siedemdziesiątka – jesteś na to gotowy? Może powinieneś trzymać się klasycznych objawów kryzysu wieku średniego i sprawić sobie porsche, zamiast brać na siebie takie wieloletnie zobowiązanie. Ale teraz to i tak chyba za późno.

Nie, nie, nie. Tego nie mogłam napisać. Wcisnęłam klawisz „backspace” i trzymałam na nim palec, dopóki wszystkie wątpliwe, niemiłe słowa nie zostały usunięte, i zaczęłam od nowa:

Drogi Tato, Droga Lucy,

moje gratulacje!!! To cudowna wiadomość! Mam nadzieję, że...

Nagle ekran się wyłączył. Tak samo lampka na biurku. Wstałam i próbowałam włączyć i wyłączyć górne światło. Nic. Czyżby mama znowu używała swojego tostera – prehistorycznej maszyny, od której wysiadały korki – a może w całej okolicy wyłączyli prąd? Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam światła w oknach sąsiadów, jarzące się we wczesnym zmroku zimowego wieczoru. A więc to tylko u nas.

Westchnęłam. Ruszyłam do skrzynki elektrycznej i nagle mnie oświeciło. Chwyciłam telefon i zadzwoniłam do dostawcy prądu. Telefonistka o znudzonym głosie sprawdziła nasze konto klienta i poinformowała mnie, że z powodu zaległości w opłatach odcięto nam elektryczność.

– Wysyłaliśmy państwu wezwania do zapłaty. Przykro mi. Będziecie państwo musieli uiścić wszystkie należności i opłatę za ponowne podłączenie. Wesółych świąt!

Tak, teraz na pewno święta będą cudowne. Był środek zimy, do Bożego Narodzenia został tydzień, a my nie miałyśmy prądu. Tak się wściekłam, że chciałam coś kopnąć. Chciałam kopnąć mamę. Tysiąc razy jej mówiłam, żeby zapłaciła ten rachunek, a ona za każdym razem obiecywała, że zaraz to zrobi. Oczywiście wydała pieniądze na coś innego. Jakiś niepotrzebny nikomu towar ze sklepu internetowego, który był w tak okazyjnej cenie, że przecież nie można się było oprzeć.

Wpadłam do jej sypialni, potykając się w korytarzu i uderzając mocno łokciem o półkę z książkami, gdy ratowałam się przed upadkiem. Ze łzami bólu i rosnącej wściekłości pchnęłam drzwi bez pukania. Odbiły się od czegoś po drugiej stronie i grzmotnęły mnie w palce prawej stopy. Au! Nie wiedziałam, za co się złapać: za łokieć czy za stopę.

– Mamo! – wrzasnęłam, wtykając głowę do środka.

Siedziała na łóżku w niewielkiej poświacie, której źródłem była świeczka stojąca na piramidzie książek na stoliku nocnym. Bardzo odpowiedzialnie, mamusiu. Jej twarz lśniła od łez. Najwidoczniej ona też dostała maila od taty.

– Nie zapłaciłaś rachunku za elektryczność.

– Dostałaś wiadomość od taty? – zapytała z wykrzywioną bólem twarzą.

– Odcięli nam prąd, bo nie zapłaciłaś rachunku. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Będą mieli synka. Nie zniosę tego, Peyton. Będą mieli synka. Dlaczego mnie to spotyka?

– Nic cię nie spotyka.

– Nikogo nie obchodzi, jak bardzo mnie to rani! Jak ja sobie z tym poradzę? – Ukryła twarz w dłoniach i cicho zaszlochała.

Szalejąca we mnie wściekłość zaczęła walczyć ze współczuciem. I wygrała.

– Nie wiem, mamo. Jestem zbyt zajęta myśleniem o tym, jak poradzimy sobie bez światła i ogrzewania.

– Życie jest dla mnie takie niesprawiedliwe, takie okrutne.

– Mamo, halo! Mamo! – Pstryknęłam palcami przed jej twarzą, próbując wyrwać ją z transu uzalania się nad sobą. – Teraz jest bardziej naglący problem: Nie. Mamy. Prądu! Musisz uregulować cały rachunek i opłatę za ponowne podłączenie. Spójrz, ile to razem!

Podstawiłam jej pod nos kartkę z niemożliwie wysoką sumą.

Pokręciła słabo głową.

– Nie mogę.

W innych domach, w innych rodzinach to dzieci płakały „nie mogę”, a matki odpowiadały, że „nie ma czegoś takiego jak »nie mogę«”. Ale w tym domu ciągle mówiła to mama. Powinna mieć podkoszulek z napisem „Nie mogę, więc nawet nie proś” albo „Jest coś takiego jak »nie mogę« – zaufaj mi, jestem ekspertem”.

– Czemu?

Nie wiem, po co w ogóle siliłam się na takie pytania – przecież dobrze znałam odpowiedź. Ale może obie byłyśmy tak wprawione w naszemu tańcu matki z córką, że kolejne kroki tej samej kłótni stawiałyśmy już automatycznie.

– Nie mam pieniędzy.

– Chcesz powiedzieć, że je wydałaś.

– Może tata...

– Tata nie może dawać nam więcej pieniędzy. Napisał mi to w mailu, więc jestem pewna, że ty też już o tym wiesz. Zero pieniędzy to zero zakupów, mamo. Zero!

Wpatrywałam się w nią gniewnie, czekając na jakąś odpowiedź, ale ona tylko podciągnęła kolana do brody i je objęła.

– Będą mieli synka.

Przeklełam soczyście i uciekłam z płaczem do pokoju. Zawsze tak było, gdy wpadałam w gniew. Zobaczyłam, która jest godzina, i ponownie przeklełam – już byłam spóźniona na próbę kostiumową.

Modląc się, żeby wystarczyło mi transferu danych i baterii w telefonie, zalogowałam się na swoim rachunku bankowym i przelałam większość swoich oszczędności na studia na tłuste konto dostawcy, po czym jeszcze raz zadzwoniłam na infolinię, żeby poprosić o pilne podłączenie prądu. Kolejka była dłuższa niż za pierwszym razem.

Gdy czekałam na zgłoszenie się operatora, mój telefon zabrzączał trzy razy – Doug i Jay napisali esemesy z pytaniem, gdzie, do licha, jestem.

Kiedy wreszcie chwyciłam plecak ze swoimi kostiumami i rekwizytami, rzuciłam go przez okno, zbiegłam z drabinki i popędziłam na próbę, miałam już pół godziny spóźnienia. Tuż przed próbą Jay był na korepetycjach u pani Gooding, więc powiedziałam mu, że przyjadę autobusem, ale ostatni mi uciekł.

Musiałam przebiec całą drogę do szkoły, przedzierając się przez lodowatą ciemność z obolałymi palcami, które co dwa susy dawały o sobie znać.

S późniłaś się o godzinę! Gdzie, do cholery, byłaś?! – brzmiały słowa powitania Douga.

– Martwiłem się. Wszystko w porządku? – brzmiały słowa powitania Jaya.

– Stara, masz czerwoną twarz jak w *Angry Birds* i pocisz się jak ćpun w aptece – dołożył swoje Zack. – Plus dyszysz i sapiesz jak jaszczurka na rozgrzanym kamieniu. Robiłaś coś niegrzecznego?

– Biedactwo, wyglądasz na kompletnie rozstrojoną – odezwała się Wren. – Czyżby przygniatał cię ciężar głównej roli? Chcesz, żebym cię zastąpiła? Znam wszystkie kwestie i kroki Julii. Byłoby okropnie, gdyby to cię wykończyło.

– Mówcie mojej dziewczynie Zaćmienie, bo wszystkich przyćmiewa – wtrącił Zack, mrugając do Wren.

– Przepraszam, wybaczcie! Awaria w domu.

– Z twoją mamą wszystko w porządku? – zapytał Jay.

Zdefiniuj „w porządku”.

– Muszę się przebrać – odparłam i pokuśtykałam do garderoby za kulisami.

Nie minęło dziesięć minut, a już byłam z powrotem, gotowa na pierwszą scenę.

– No nareszcie – rzuciła Wren.

Zajęłam miejsce i wzięłam kilka głębokich wdechów, starając się wejść w rolę, ale wciąż byłam zdenerwowana i rozstrojona. Miałam wyrzuty sumienia, że cała obsada musiała na mnie czekać, i ciągle byłam wściekła na mamę. W piersiach mnie piekło, palce bolały, a oczy szczypały od łez. I kto tu się teraz nad sobą uzala, Peyton?

Twarz, jaka odwróciła się do Jaya w scenie pierwszego spotkania Romera i Julii, nie była pogodną twarzą szczęśliwej, pełnej nadziei dziewczyny, która właśnie zobaczyła chłopaka mającego okazać się miłością jej życia. Moja twarz była napięta od emocji, czułam to. Wypowiadałam swoje kwestie głosem ściśniętym gniewem i frustracją i wydawało mi się, że moje ruchy są nerwowe i sztywne, a nie płynne i naturalne.

Jay starał się, jak mógł, ale nie był w stanie sam pociągnąć sceny. Teraz zaczęłam być zła na siebie samą. Czemu nie umiałam jak wszyscy po prostu odłożyć na bok problemów osobistych i zagłębić się w rolę? Byłam beznadziejna. Nie musiałam słyszeć szeptanych przekleństw i pogardliwych parsknięć innych, aby wiedzieć, że psułam przedstawienie.

Gdy po pierwszym akcie zeszliśmy z Jayem na bok sceny, gdzie walczyłam ze łzami wstydu, a on cicho mnie pocieszał, podszedł do nas wściekły Doug.

– Co się z tobą dzisiaj dzieje, do cholery?! – wrzasnął na mnie.

– Przepraszam. Zdaję sobie sprawę, że moja gra trochę kuleje.

– Trochę kuleje?! Jest do bani!

– Wiem, przepraszam. Miałam po prostu bardzo zły dzień i nie mogę... – Znowu to „nie mogę”.

– To się nazywa „gra”, Peyton. A nazywa się tak, bo przestajesz być sobą i udajesz kogoś innego.

Po prostu graj! – warknął. – Weź się wreszcie w garść.

Usłyszałam stłumiony śmiech dobiegający zza kulis obok nas. Czyżby napawająca się moim nieszczęściem Wren?

Przeczesując wściekle już i tak nastroszone włosy, Doug zszedł ze sceny i się odwrócił.

– A tak na marginesie, na ekranach wasze pocałunki wyglądają absurdalnie, gołym okiem widać, że są sztuczne. Od teraz macie się naprawdę całować – zarządził i odmaszerował.

Chciałam wypełznąć w jakiś kąt i wypłakać oczy. Chciałam, żeby ktoś za mną poszedł, przytulił mnie, powiedział, że wszystko będzie dobrze, i się mną zaopiekował. Nie chciałam natomiast wymieniać z Jayem prawdziwych pocałunków przed widownią podczas spektaklu wyświetlanego z każdym najmniejszym szczegółem na ogromnych ekranach.

Zanim doszliśmy do najważniejszej sceny pocałunku, zdążyłam dwa razy zapomnieć tekst i ominąć dużą część dialogu w scenie z Angelą, pozbawiając ją pięciu cennych linii, za co łypnęła na

mnie podejrzliwie. Na dodatek ramiączka topu (których nie zdążyłam jeszcze przyszyć) ciągle mi spadały.

Ale jeszcze gorsze było to, że na jakieś dwadzieścia sekund przed namiętym, „prawdziwym” pocałunkiem z Romerem zdałam sobie sprawę, iż byłam tak zdenerwowana i rozkojarzona, że nie umyłam zębów przed tą sceną, co do tej pory zawsze, ale to zawsze robiłam. A na kolację zjadłam włoskie spaghetti z mikrofali, które na pewno było naszpikowane czosnkiem. Kiedy ten dzień się wreszcie skończy?

O, nie tak szybko.

Starając się oddychać przez nos i do ostatniej chwili mieć zamknięte usta, pokryłam dłonią rękę Jaya i wyrecytowałam swoją kwestię.

Miałam powiedzieć: „Niech nasze usta podążą za dłońmi”, ale zamiast tego z moich przymkniętych ust wyszło: „Niech nasze usta pograżą dłonie”.

Jay na sekundę zmarszczył brwi. Był poirytowany? Bał się, że zepsuję całe przedstawienie? Zaczął się zastanawiać, co w ogóle we mnie widział, i szukał delikatnego sposobu na pozbycie się mnie?

Tak jakby chcąc wymieść ostatnią namiastkę romantyzmu i chemii, mój kark postanowił głośno strzyknąć, kiedy przechyliłam głowę do pocałunku. Jay na pewno zacząłby się zwijać ze śmiechu, gdyby nie bał się, że to będzie kropla przepelniająca czarę goryczy Douga. Nie, wróć. Może Jaya nie bawił żaden z moich dzisiejszych wyczynów. W ogóle. Może zastanawiał się, czy nie poprosić Douga o powrót Wren.

Pocałunek był Okropny. Okropny przez duże „O”.

Poczułam, jak się spinam, a „odpręż się” rzucone cicho przez Jaya niewiele pomogło.

Usłyszałam szepty i chichoty za kulisami oraz głośny jęk frustracji dobiegający spod sceny. Łzy, na które zbierało mi się przez całe popołudnie, wreszcie przerwały tamę i trysnęły, a do tego kapąło mi z nosa. Tym razem nie zakręciło mi się w głowie od podekscytowania, nie poczułam wiatru we włosach. Mimowolnie zaczęłam się odsuwać. Jay wzmocnił uścisk i tylko to powstrzymało mnie przed wyrwaniem mu się z ramion i ucieczką do domu.

Gdy padły ostatnie słowa sztuki, a ten ciągnący się w nieskończoność zachód słońca wreszcie zniknął, i tak nie mogłam uciec. Doug zebrał całą obsadę i ekipę i zaserwował nam porządny ochran. Dziękował Bogu, że pani Gooding nie widziała tej katastrofy, bo pewnie wstrzymałaby przedstawienie. Światła wciąż nie miały odpowiednio ustawionej ostrości, muzyka była za głośna, Angela za wolno mówiła swoje kwestie, a Liz tupiała jak nosorożec. Wren nie było słyhać w ostatnich rzędach – na litość boską, czy nikt z tej obsady nie słyszał o emisji głosu? Nawet Jay padł ofiarą gniewu Douga. Gdzie podziła się jego wściekłość w scenie walki z Tyronem? I, do jasnej anielki, jak to możliwe, że Zack jeszcze nie nauczył się tekstu?

Ale największy wybuch gniewu i krytyki Doug zachował sobie na deser. Jego adresatem byłam ja.

– A co do ciebie, Peyton, to było żalosne! Żalosne do entej potęgi! Zero energii, zero emocji, zero chemii z Jayem, zero pasji!

Każde okrutne słowo wbijało mnie coraz głębiej w moją dziurę wstydu i hańby.

– Deska! Byłaś drewniana jak deska!

Z triumfalnym uśmieszkiem na swojej głupiej twarzy chochlika Wren kiwnęła głową, jakby słowa Douga udowadniały jej rację.

– Sztywna i beznamiętna jak kij od szczotki! – ciągnął Doug.

– Hola, hola – przerwał mu Jay ostrzegawczym tonem. Wystawił dłoń, jakby chciał powstrzymać tę falę obelg, ale teraz to ja go powstrzymałam.

– W porządku, Doug ma rację.

– Pewnie, że mam cholerną rację. Nie pracowaliśmy tak ciężko i nie doszliśmy aż tutaj, żebyś ty w ostatniej chwili położyła rolę. Zbierzesz się do kupy do premiery czy od razu mam cię zastąpić Wren?

Wren natychmiast się ożywiła, a w jej oczach rozblęsnęło podekscytowanie.

To wystarczyło, żebym trochę zebrała się w sobie.

– Tak, dam radę, okej? Będzie idealnie, obiecuję.

– Ja myślę. A co do ciebie – Doug zwrócił ostrze swojego spojrzenia na Jaya – to nie wiem, co tu nie gra, co jest z nią nie tak, ale na miłość boską, macie to naprawić.

Po tych słowach pomaszzerował za kulisy i chwilę później usłyszeliśmy głośny huk, który wskazywał na to, że znalazł coś, co mógł rozwalić kopniakiem, wyładowując wściekłość.

Zack cicho gwizdnął.

– Cholera, Doug nie powinien tak tłumić w sobie emocji. Powinien zacząć mówić, co naprawdę myśli.

Jego komentarz rozładował nieco napięcie i wszyscy cicho się zaśmiali. Wszyscy oprócz mnie.

– Przepraszam was – powiedziałam ze wzrokiem wbitym w stopy. – Ogarnę się, obiecuję.

– No pewnie – odparł Jay. – A poza tym beznadziejna próba kostiumowa zwiastuje wspaniałą premierę. Wszystko pójdzie dobrze.

Uciekłam do łazienki dziewczyn i schowałam się w kabinie, z której wyszłam dopiero, gdy byłam pewna, że wszyscy już sobie poszli, ale kiedy wynurzyłam się z opuchniętymi od płaczu oczami, Jay wciąż na mnie czekał.

– Słuchaj – zaczął, przyciągając mnie do siebie i mocno przytulając. – Wszyscy miewamy gorsze dni. To nie koniec świata. – Pocałował mnie w czubek głowy i w czoło. – Chodź, odwiozę cię do domu. Chcę cię o coś spytać.

Zaczęłam mu się podejrzliwie przyglądać, zastanawiając się, o co może chodzić.

Jay odezwał się dopiero w samochodzie, który zaparkował pod lampą na szkolnym parkingu. Włączył silnik, rozkręcił ogrzewanie i siedzieliśmy tak, a wokół nas zapadała mroźna noc. Wciąż nie ruszał, tylko przetarł dłonią twarz, wziął głęboki oddech i odwrócił się do mnie. Jeszcze nigdy nie miał tak poważnego wyrazu twarzy.

O rany. Przygotowałam się na najgorsze, ale i tak oniemiałam, słysząc jego pytanie.

– Peyton, jaką tajemnicę ukrywasz?

Przelknęłam z trudem ślinę.

– Jaką tajemnicę ukrywam? – powtórzyłam.

– Tak, jaki jest twój najgorszy sekret? Taki, który ukrywasz w najgłębszym zakamarku serca?

Gapiałam się na niego z zaciśniętymi ustami.

– Daj spokój, Peyton, wszyscy mamy jakieś mroczne sekrety. A ja po prostu wiem, że ukrywasz przede mną coś ważnego.

– Skąd... Skąd ta myśl?

– To widać jak na dłoni. Prawie nic o sobie nie mówisz, nigdy mnie do siebie nie zaprosiłaś...

Cholera, nawet nie pozwalasz odprowadzić się do drzwi. Zamknęłaś się w sobie i wyrzuciłaś klucz, żeby przypadkiem coś ci się nie wyrwało. O co chodzi?

Nie nabrałam go. Ani odrobinę. Byłam głupia, myśląc, że mi się to uda. To ktoś, kto studiuje język ciała i mimikę, kto czyta między niewypowiedzianymi wersami. Oczywiście, że zauważył moją rezerwę i moje uniki.

~

– Jaki jest twój największy sekret, taki, którego nie chcesz wyjawić i zrobisz wszystko, żeby nikt go nie poznał? Jakiego trupa trzymasz w szafie, który sprawia, że krzywisz się ze wstydu? – Jego głos był miękki i pełen dobroci, ale słowa napawały mnie lękiem. Patrzył przeszywającym wzrokiem, jakby szukał tego sekretu w moich oczach. – Powiedz mi to teraz.

– Dlaczego? – zapytałam ochryplym głosem. Miałam ściśnięte gardło, jak gdyby zamykało ono drogę tajemnicom, które chciały ze mnie wypłynąć, korzystając z okazji, by wreszcie komuś zaufać i ujrzeć światło dzienne. – Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Chcę wiedzieć o tobie wszystko – powiedział po prostu.

– Ale dlaczego teraz? Dlaczego dzisiejszego wieczoru?

– Myślę, że jeśli podzielisz się ze mną najgorszym ze złych sekretów, to nie będziesz miała się czego bać. Gdy przekonasz się, że się nie przestraszę i nie ucieknę od ciebie...

– Uciekniesz. – W ciemności samochodu mój głos zabrzmiał jak chrapliwy szept.

– Gdy przekonasz się, że nie ucieknę – powtórzył, ujmując moje dłonie – wtedy wreszcie będziesz w stanie w pełni mi zaufać i całkiem się przede mną otworzyć. Połączy nas głęboka więź, widoczna w naszych wspólnych scenach. Publiczność to dostrzeże.

– A więc chcesz, żebym ci o tym powiedziała dla dobra przedstawienia.

– Nie powiedziałem tego. Chcę, żebyśmy się do siebie zbliżyli, a to nam się nie uda, jeśli będziemy mieli przed sobą jakieś tajemnice. Chcę cię poznać i chcę, abyś wiedziała, że możesz mi zaufać. Nie pragniesz tego dla nas?

Wbiłam wzrok w przestrzeń za przednią szybą. Zaczął padać śnieg. Lekkie płatki, kruche niczym wiara, spadały w ciemności na maskę samochodu i topniały.

Mój opór też topniał. Od początku wiedziałam, że kiedyś będę musiała wyjawić Jayowi moją tajemnicę, jeśli chciałam, abyśmy mieli szansę na prawdziwy związek. Po prostu do tej pory nie byłam jeszcze na to gotowa.

– Ale jeśli podzielenie się czymś ważnym o sobie pomoże też twojej grze, to chyba dodatkowy plus, prawda? Nie chciałabyś jej poprawić? – dodał.

Chciałam. Chciałam zagrać wspaniale, dla Douga i całej obsady, którzy włożyli tyle pracy w przygotowanie sztuki. Dla Jaya, z którym grałam w tylu scenach. I dla samej siebie. Chciałam wypaść świetnie dla samej siebie.

Istniały też inne powody, przez które kusilo mnie, żeby się otworzyć. Byłam tak bardzo zmęczona skrywaniem sekretów i prawdy, trzymaniem przyjaciół, wrogów, a nawet rodziny na dystans, zmęczona robieniem uników, wymyślaniem przykrywek i wymówek. Zmęczona oszukiwaniem.

To było wyczerpujące i mimo że panicznie bałam się jego reakcji, marzyłam o zrzuceniu z serca tego ciężaru.

- Chrzanić – odezwałam się. – Zrobię to.
- Powiesz mi? – zapytał na wpół zdziwiony.
- Nie. – Pokręciłam głową. – Pokażę.

Usłyszałam, jak przeciągle wypuszcza z płuc powietrze.

– Jutro po szkole ty, Jay Young, dostąpisz wielkiego zaszczytu odwiezienia mnie do domu i odprowadzenia aż do mojego pokoju. A tam – stuknęłam się w krawędź nosa jak gangsterzy w starych filmach – puszczę farbę. Wszystko zostanie wyjaśnione.

Celowалам w lekki, dowcipny ton, ale przy ostatnim zdaniu w moim głosie słychać było przerażenie.



W grudniu światło dnia szybko gaśnie, ustępując miejsca mrokowi. O czwartej trzydzieści po południu słońce chowało się już za horyzontem, a mnie zrobiło się zimno – również w środku.

Następnego dnia o tej porze będę za kulisami, nakładając makijaż, przebierając się w kostium i powoli wchodząc w rolę, gotowa – jeśli eksperyment Jaya zadziała – dać z siebie wszystko. Ale teraz, gdy podjeżdżał pod mój dom, siedziałam na schodkach, obejmując kolana i zastanawiając się, czy zaraz nie popełnię największego w życiu błędu.

Patrzyłam, jak idzie ścieżką przecinającą zarosnięty ogródek. Chloe się nie myliła – miał lekko pałakowate nogi. Kowboj bez konia przybywający w samo południe do zagrody Lane’ów.

Jay uśmiechnął się, podchodząc do mnie, i podał mi rękę. Gdyby tylko mógł wyrwać mnie z tego życia z taką samą łatwością, z jaką pomagał mi wstać!

- Gotowa? – zapytał.
- Nie.
- Zmieniłaś zdanie?

– Nie. – W mroźnym powietrzu nasze oddechy zamieniały się w parę. – Zróbmy to. Chodźmy tędy.

Zaprowadziłam go pod boczną ścianę domu.

- Myślałem, że wchodzimy do środka.
- Wchodzimy. To – powiedziałam, gdy dotarliśmy do zwisającej drabinki – jest moje wejście. Przekrzywił głowę, wyraźnie zdziwiony.

– Czemu do twojego pokoju prowadzi drabinka? I co to, do diabła, jest?

Podniosłam oczy, biegnąc wzrokiem za jego spojrzeniem. Patrzył na ciemną ludzką sylwetkę w oknie mojej sypialni. Parsknęłam śmiechem. Rzeczywiście, ten manekin trochę straszyl.

– Boisz się? – zapytałam zaczepnie.

– Zależy. Czy jesteśmy w serialu *Bates Motel*, a to coś w oknie to wypchane zwłoki twojej matki?

– Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. – Postawiłam stopę na pierwszym szczeblu kołyszącej się drabinki i zaczęłam się wspinać. – Za mną. Jeśli masz odwagę.

Poczekał, aż dotrę na górę, otworzę okno i wejdę do środka, po czym poszedł w moje ślady, co było dość mądre – nie wiedziałam, czy drabinka wytrzyma ciężar dwóch olbrzymów jednocześnie.

– Ta-da! – zawołałam, gdy zeskoczył z parapetu i znalazł się w moim pokoju.

Uśmiechnął się na widok stojącego przy oknie manekina, poklepał go po ramieniu i zaczął się rozglądać. Zauważył starannie posłane łóżko, mały telewizor w rogu, biurko z maszyną do szycia i szkicownikiem, rządkiem zgrabnie ustawionych na półce książek, puste ściany i brak jakichkolwiek szpargałów czy bałaganu.

- I jak? – zapytałam.
- Bardzo tu... czysto i schludnie.
- Mama mówi, że sterylne, ale dla mnie tak jest kojąco.

Wziął do ręki mój szkicownik i zaczął przerzucać strony.

- To do twojego projektu?
- Tak. Muszę je jeszcze uszyć w pełnych wymiarach.
- Są naprawdę dobre. Jestem pod wrażeniem.

Wetknął głowę do mojej łazieneczki, ale i tam nie było za bardzo co oglądać – żadnych zapachowych buteleczek czy płynu do kąpieli, żadnego gąszczy kosmetyków na blacie, żadnych mokrych ręczników albo bielizny na podłodze. Wszystko było powieszzone albo schowane.

Podszedł do kąta, który służył mi za aneks kuchenny, przesunął dłonią po mikrofalówce i tosterze, po czym otworzył lodóweczkę i zajrzał do środka.

– Widzę, że jesteś fanką szybkiego gotowania. – Zaczął się przyglądać równym rzędkom pudełek na mojej półce z jedzeniem. Były ustawione etykietami do przodu; nie miałam więcej niż po dwie sztuki z każdego rodzaju. – I zupek błyskawicznych, gorących kubków oraz cheeriosów.

- Nie lubię się chwalić, ale robię fenomenalne płatki z mlekiem.
- Czy mogę zapytać, dlaczego masz w pokoju małą kuchnię?
- Muszę coś jeść.
- A nie możesz jeść w domowej kuchni, bo...

A więc nadeszła chwila prawdy, która aż się prosiła o dramatyczną muzykę w tle, ale słyszałam tylko nieprzyjemne bicie swojego serca i głos z tyłu głowy błagający mnie, żebym uciekała, natychmiast przerwała ten pokaz tajemnic.

Zamiast tego wzięłam głęboki oddech.

– Chodź i sam zobacz – powiedziałam.

Przekręciłam klucz i otworzyłam drzwi, wyszłam ze swojej strefy spokoju i włączyłam światło w korytarzu. Jay ruszył za mną, ale stanął w pół kroku, jakby dostał obuchem w głowę.

Na zajęciach z psychologii nauczyliśmy się o zjawisku zwanym „habituacją”, które wyjaśnia mechanizm przyzwyczajania się do czegoś: po pewnym czasie przestajesz to coś widzieć i prawie nie zauważasz stopniowych zmian. Jeśli żyjesz w czymś wystarczająco długo, nawet coś absurdalnie nienormalnego całkowicie powszednieje w twoich oczach. A ja żyłam w tym już bardzo długo.

Teraz podążyłam za zszokowanym spojrzeniem Jaya i zobaczyłam wszystko świeżym okiem, zupełnie jakbym widziała to po raz pierwszy. I ten widok był straszny.

Dzika dżungla na wpół otwartych kartonów. Góry sięgających sufitu pudeł przy jednej ze ścian, a przy innych nieuporządkowane sterty gazet i czasopism, które gdzieśgdzie zdążyły już pożółknąć.

Oszklona biblioteczka pękała w szwach od starych albumów ze zdjęciami, zestawów linijek i ekierek, wszelkiego rodzaju nierozpakowanych kuchennych gadżetów i zbioru terminarzy z kilkunastu lat. Całości dopełniały staromodny syfon i wyszczerbiony zielony wazon. Górę zdobiły fioletowa świnka-skarbonka, stopy papierowych talerzy i wybrzuszonych żółtych teczek oraz gitara z zerwanymi strunami.

– Nie ma jak w domu – odezwałam się.

Zerknęłam ukradkiem na twarz Jaya. Malował się na niej tylko szok, stał z otwartymi ustami. W przyćmionym świetle nie mogłam nic wyczytać z jego oczu.

– Tędy. Uważaj, żeby na nic nie nadepnąć. – Wskazałam wąziutką ścieżkę, jedyne przejście przez chaos tej domowej rupieciarni.

– C-co? – Jay otrząsnął się z szoku, skupiając na mnie wzrok. Zmarszczył brwi, jakby starał się pogodzić swój obraz mnie z tym, co tu zobaczył.

Westchnęłam.

– Napatrzyłeś się już? Chcesz wracać? Chcesz iść do domu?

– Nie. Pokaż mi wszystko – odparł. – Prowadź, Makdufie – dodał pewniejszym głosem.

– Tak jest – powiedziałam. – Za mną, Makbecie.

Przerażony Jay wciągnął powietrze z dużym dodatkiem kurzu i zaczął kasłać.

– Nigdy nie wypowiadaj na głos tytułu tej sztuki! – zawołał, gdy już odzyskał oddech. – Nie wiesz, że to przynosi pecha?

Posłałam mu kwaśny uśmiech.

– Nie sądzę, by mogło być coś gorszego niż to. – Wskazałam na otoczenie.

– Nie kuś losu, Peyton. Nie żartuję!

– Jesteś przesądny? – zapytałam, zerkając na niego przez ramię, gdy pokonywałam powoli zagracony korytarz, kopiąc na bok poskręcany zwój bambusowych rurek, które były kiedyś częścią dzwonek wietrznych.

Jay szedł za mną, ostrożnie stawiając kroki.

– Jestem aktorem, oczywiście, że jestem przesądny.

Dobrze to wszystko znosił. Nie zemdlał, nie przeklinał, nie osądzał i nie uciekł. Chłopak idealny. Ale może za wcześnie się cieszyłam. Nie widział jeszcze najgorszego.

Na naszej drodze stanął stary telewizor z zaokrąglonym ekranem i grubym tyłkiem, z którego zwisały poskręcane kable komputerowe i stare ładowarki do telefonów jak oplatające głaz pnącza.

– Daj rękę – powiedział Jay, wyciągając do mnie silną dłoń, gdy przechodziłam przez tę przeszkodę.

Kiedy szukałam stopą skrawka wolnej podłogi, przewróciłam ogromny kosz na bieliznę z moimi starymi butami. Na dywan wypadła lawina kapci, tenisówek i kozaczków. Podniosłam mały sandał, aby odrzucić go na bok, i zauważyłam, że jest w rozmiarze trzydzieści osiem. Naprawdę miałam kiedyś takie małe stopy?

– Okej. – Stałam przed następnymi drzwiami. – Dotarliśmy do strefy zero. Jesteś gotowy?

Pchnęłam drzwi, włączyłam światło i weszłam do środka. Jay stanął obok mnie na małym skrawku wolnej podłogi tuż przy drzwiach i rozejrzył się po pokoju.

Ledwo widoczne zza góry rupieci ściany pokrywała warstwa wyblakłej błękitnej farby. Nad dziecięcym łóżeczkiem wisiała karuzela z Kubusiem Puchatkiem, Kłapouchym, Maleństwem i Tygrysiem w siatce z pajęczyny. Samo łóżeczko wypchane było pluszakami z Potworem Sollym na czele.

Półki pękały w szwach od przedmiotów będących hołdem dla dzieciństwa; stały na nich porcelanowe figurki pyzaty cherybinków, dziecięcy bucik z brązu, małe książeczki z deseczek i tkanin, kalendarz ścienny z blaknącymi zdjęciami niemowląt zwiniętych w perłowych muszlach, strąkach grochu i słonecznikach, miniaturowe kryształowe ozdoby – konie na biegunach, misie i lokomotywy – nadgryzione zębem czasu i zmatowiałe od kurzu, ręcznie dziergane buciki, płatanina śliniaczków i odcisk niemożliwie małych stópek pomalowany zieloną farbą na białym kartonie.

„Spójrz, Peyton, jakie Ethan ma maciupkie stóпки!”

Na bujanym fotelu siedział ogromny pluszowy miś, na ramiona miał narzucone staroświeckie ubranko do chrztu z poźółkłym koronkowym kołnierzykiem i mankietami. Właśnie w tym fotelu mama siadała, żeby nakarmić Ethana. Tak bardzo chciałam wtedy wspiąć się na jej kolana i zostać ukołysaną do snu, ale byłam starszą siostrą, którą posyłało się po butelki mleka dla niemowląt i lekarstwa.

„Nie, Peyton, już nie jesteś maluchem, lecz dużą dziewczynką. Małą pomocnicą mamusi”.

Obok fotela stała komoda z przewijakiem, na której mama przebierała Ethana. Za każdym razem, gdy zmienialiśmy mu pieluszkę, robił nóżkami w powietrzu małe kółka.

„Patrz, jak pedałuje! Kiedyś zostanie mistrzem świata w kolarstwie”.

Teraz komoda zamieniła się w ołtarzyk. Stał na niej biały znicz i otaczał go wianuszek oprawionych w ramki zdjęć Ethana jako niemowlaka. Na jednym leży w szpitalnym inkubatorze na kocyku z owczej wełny, podłączony rurkami do różnych maszyn, na innym mama trzyma go w ramionach po wyjściu ze szpitala. Kilka zdjęć było zrobionych w domu: Ethan na wysokim krzeselku, karmiony przez tatę przecierem jabłkowym, Ethan w akcji, przewracający kopniakiem wieżę z klocków na niebieskiej wykładzinie tego właśnie pokoju, Ethan i ja na sofie w salonie.

„Delikatnie, księżniczko... Nie jest tak silny jak ty”.

Staliśmy w otoczeniu rzeczy, których mój braciszek nigdy nie dotknął – czerwonego rowerka na trzech kołach, tablicy z kolorową kredą, tubek plasteliny, kredek świecowych, klocków Lego, tuzinów książeczek – rzeczy, które były kiedyś moje i które powinny zostać mu przekazane, ale zamiast tego wylądowały w tym dziecięcym mauzoleum.

Zerknęłam za siebie, aby sprawdzić reakcję Jaya, i spieszyłam się, bo zobaczyłam, że wpatruje się we mnie, a nie w ten pokaz melancholijnej nostalgii i zastygniętej żałoby. W jego oczach widziałam pytania.

– To był pokój mojego braciszka. Miał na imię Ethan.

Przeszłam nad stertą czasopism dla matek, wzięłam do ręki fotografię z inkubatorem, z której zdmuchnęłam kurz, i podałam ją Jayowi.

– Miał wrodzoną wadę serca, zarośnięcie zastawki trójdzielnej z jednoczesnym ubytkiem przegrody międzykomorowej. Innymi słowy, urodził się z dziurą w sercu.

Jay spojrzał smutno na fotografię.

– Był już po jednej operacji i miał mieć następną, gdy złapał zapalenie płuc, z którym jego organizm sobie nie poradził.

– W jakim był wieku?

– Gdy umarł? Miał dziewięć miesięcy.

– A ty ile miałaś wtedy lat?

– Cztery.

– Och, Peyton... Tak mi przykro.

Jay przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił. Chciałam, żeby tulił mnie tak długo, aż wszystkie kawałeczki mojej duszy na powrót się posklejają.

– To było dawno temu – powiedziałam z ustami przy jego ramieniu.

Tak dawno, że każde z tych niewielu wspomnień o Ethanie, jakie mi zostały, traktowałam jak skarb. Obraz jego małego paluszka u lewej stópki, który zachodził na sąsiedni. Słodki zapach spotniałej główki, kiedy mama karmiła go brzoskwinowym purée. Nawet jego sinawe usteczka.

– Nie wiem, czy w ogóle można kiedyś dojść do siebie po czymś takim – powiedział Jay.

Westchnęłam i oderwałam się od niego.

– No cóż, mojej mamie się to nie udało. Zatrzymała rzeczy Ethana. Wszystkie, nawet jednorazowe pieluszki i buteleczki odżywek dla niemowląt. Tak się to zaczęło.

Ostatnich ubranek, jakie miał na sobie, nigdy nie uprała i zamknęła je w woreczku strunowym.

„Wciąż czuję na nich jego zapach”.

– Pogrzyżała się w żalobie i depresji – powiedziałam. – Nie mogąc go uratować, postanowiła ocalić to, co nosiło ślad Ethana. Czyli jego rzeczy.

„Straciłam syna. Z niczym więcej się nie pożegnaj”.

– Potem zaczęła kupować. Najpierw rzeczy dla niemowląt, ale stopniowo przechodziła na to, co po prostu wpadło jej w oko. Rozwinęła w sobie obsesję na punkcie własnych rzeczy i zakupów. Wtedy nie rozumiałam, co się dzieje. Byłam tylko małą dziewczynką podekscytowaną wszystkimi tymi nowymi skarbami. Teraz myślę, że próbowała zapełnić czymś pustkę w sercu.

– Ciągłe tyle kupuje?

– O, tak. Robi zakupy internetowe z taką pasją, jakby od tego zależało jej życie, chociaż naprawdę nas na to nie stać, chociaż sama nie używa, nie może używać, tego, co kupuje. To uzależnienie, które pozwala jej zapomnieć i odpłynąć. Kiedy wpatruje się w ekran, ma klapki na oczach, świat przestaje dla niej istnieć i nie musi stawiać czoła temu, co stało się z jej życiem.

– I twoim – powiedział Jay, odstawiając na miejsce fotografię Ethana.

– Potem przestała cokolwiek wyrzucać i powoli cały dom zalała rzeka śmieci. Teraz po prostu na niczym jej już nie zależy.

– A twój tata? – zapytał Jay.

Zgniotłam stopą leżącą na podłodze sflaczałą piłkę.

– Przez kilka lat próbowali ratować swoje małżeństwo, ale zwyczajnie było w nim za dużo żalu i goryczy.

„Gdybym tylko...”

„Nie powinnaś była...”

„Ale nie wiedziałam, że on...”

„Gdybyś tylko...”

– Tata spędzał w domu coraz mniej czasu, początkowo pewnie dlatego, żeby unikać mamy, unikać konfrontacji ze śmiercią Ethana. Ale podejrzewam, że wtedy też zaczął się jego romans. Pewnego dnia spakował się i wyprowadził. Powiedział tylko: „Muszę odejść” i wyszedł.

– A więc jego też straciłaś – powiedział Jay, patrząc mi głęboko w oczy. – Straciłaś braciszka, matkę, która pogrzyżała się w depresji i zakupach, a potem odszedł twój tata.

Uniosłam ramiona. Nigdy tak o tym nie myślałam – jako o potrójnej stracie.

– Gdy tylko dostał rozwód, ożenił się z Lucy. A wczoraj – kopnęłam na bok piłkę – napisał, że spodziewają się dziecka. Synka.

– O Boże, Peyton.

– Tak. – Odchrząknęłam. – Po odejściu taty mama przestała wychodzić z domu. Nie od razu, ale stopniowo. Nie była na zewnątrz już chyba od pięciu lat.

– Jezu!

– Tak, wiem, jest zbieraczem i odludkiem – powiedziałam, jakbym miała obowiązek się bronić.

– Jak ty się musiałaś czuć?...

„Musisz być dzielną córeczką mamusi, księżniczko. Uśmiechnij się – grzeczna dziewczyna!”

– Och, wiesz – powiedziałam lekko, starając się wydobyć słowa ze ściśniętego gardła.

– Nie, nie wiem. Powiedz mi.

Poczułam piasek w oczach. Uciekłam wzrokiem spod przenikliwego spojrzenia Jaya i wyszłam z pokoju. Na zaśmieconym korytarzu dotarła do mnie świadomość całego mojego wstydu. Pokój Ethana, mimo że był straszny, dało się jeszcze zrozumieć. Ale stan reszty domu przynosił po prostu upokorzenie i wstyd.

Jay parę razy kichnął.

– Nie straciłeś jeszcze ochoty na dalsze zwiedzanie rezydencji?

– Nie. Ale wciąż nie odpowiedziałas mi na pytanie o twoje odczucia.

Był naprawdę wytrwały. Tylko czy właśnie to nie było celem tej wycieczki? Żebym się przed nim otworzyła i mu zaufała?

– To było trudne – powiedziałam, gdy ruszyliśmy w kierunku schodów, lawirując między chyboczącymi wieżami z wielkich paczek papieru toaletowego. – A w miarę upływu czasu robiło się tylko gorzej. I nie mówię wyłącznie o całym tym śmietniku, chociaż on oczywiście też rósł. Mam na myśli to, jak się w nim czułam. Wiesz, dorastałam pośród tego wszystkiego, więc dla mnie to było normalne. A mama namieszała mi w głowie, bagatelizując to. Mówiła, że mamy tylko mały bałagan, i zachowywała się, jakby wszystko było w porządku.

„Zobacz, kochanie, kupiłam ci kilka nowych sukienek – czyż nie są śliczne?”

„Zanim posprzątam wszystkie moje cudne rzeczy, może pobawimy się w chowanego?”

– Bawiliśmy się między górami śmieci, na przykład w szukanie skarbów. Było fajnie. Więc długo nie docierało do mnie, jak bardzo ten dom jest zapchany, aż po sam sufit. – Zaśmiałam się lekko.

– Dosłownie.

Zatrzymaliśmy się przed schodami i jak para osadników patrzących na roztaczającą się przed nimi dzicz przyglądaliśmy się lawinie przypadkowych śmieci blokujących drogę w dół.

Z poręczy zwisały ubrania, postrzępione koce i stare ręczniki, które przypominały pnącza wijące się na treliazu. Akcentem końcowym były tandetne plastikowe transparenty imprezowe – jeden z zakupów internetowych, któremu mama „po prostu nie mogła się oprzeć”. Pewnie wydrukowano je gdzieś, gdzie mówi się słabo po angielsku – „Wszystkiego najlepszego! Mazel tow z okazji bar micwy!” – ale mama uparła się, że je zatrzyma, bo właśnie planowała przyjęcie.

Przyjęcie. Na tym śmietniku.

– Mogłoby się wydawać, że wyrzuci chociaż te dwa – powiedziałam ponuro, wskazując na brudne transparenty z napisami „To chłopiec!” i „Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu!”. – Ale ten dom to jedna wielka czarna dziura. Nic się z niej nie wydostanie.

– Kiedy zdałaś sobie sprawę, że to nie jest normalne? – zapytał Jay.

Przez chwilę zastanawiałam się nad odpowiedzią, kopiąc w zwinięty dywan leżący u szczytu schodów.

– Chyba w czwartej albo piątej klasie, gdy poszłam na urodziny do Bree Rogerson. To było moje pierwsze pidżama party u kogoś innego niż Chloe.

– Chloe wie?

– O tym? Tak. Ale nie wie nikt poza nią. Poza nią i tobą. – Wydęłam policzki i wypuściłam powietrze. – Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie trudne... wyjawić komuś tę tajemnicę.

Skinął powoli głową, a ja zdałam sobie nagle sprawę, że od początku bardzo pilnuje swoich reakcji. Zachowywał kamienną twarz i mówił obojętnym tonem. Wyglądał na rozluźnionego, ale był przecież dobrym aktorem. Czułam, że tylko udaje. Gdyby uległ instynktowi, pewnie uciekłby jak najdalej od tego domu wariatów, a resztę dnia spędził, szorując się w wannie.

Za późno, Jay. Dla nas obojga.

– Chloe jest moją najlepszą przyjaciółką od przedszkola – wyjaśniałam, gdy schodziliśmy na dół, trzymając się siebie, żeby nie stracić równowagi podczas omijania śmieci. – Dorastałyśmy w obu naszych domach, więc od początku o wszystkim wiedziała. Ale jakoś nigdy nie porównywałam warunków, w których mieszkała, do własnych. W moim mniemaniu miała po prostu inny dom. Chyba myślałam, że każdy jest inny i na swój sposób wyjątkowy. Ostrożnie, są ostre i zardzewiałe.

Z uwagą ominęłam zwój prętów zbrojeniowych. Chyba nigdy się nie dowiem, czemu takie coś trafiło do naszego domu, na nasze schody.

– Ale oświeciło mnie właśnie u Bree, bo jej dom był taki, jak dom Chloe: czysty i posprzątany. A jej matka była – szukałam odpowiedniego słowa – taka zorganizowana i zadbana. Trochę jak twoja. Ułożone włosy, makijaż, pogodne uśmiechy, gdy rozdawała nam hot dogi i popcorn z masłem, przypominając, żebyśmy umyły zęby przed snem. I właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że mój dom nie różnił się tylko od domu Chloe, ale i od wszystkich innych. A my byliśmy odmieńcami, dziwadłami.

– Dziwadłami?

Odsunęłam zepsuty faks z zaciętym papierem i zrobiłam kolejny krok.

– Już i tak wyglądałam trochę jak dziwadło – byłam przynajmniej o trzydzieści centymetrów wyższa od dziewczynek z mojej klasy – a do tego wyszło, że moja mama zachowywała się jak odmieniec. Poza tym nie mogłam mówić i robić niektórych rzeczy.

– Na przykład?

– Nie mogłam zapraszać do domu nikogo poza Chloe, nawet na wspólną zabawę, o pidżama party nie wspominając.

„Nie, Peyton, przykro mi, ale nie. One by nie rozumiały”.

– Co oznaczało, że musiałam odrzucać zaproszenia innych dzieci, bo nie mogłam się im zrewanżować. A trudno jest zachować przyjaciół, z którymi nie spędzasz czasu, więc po prostu

przystałam zawierać przyjaźnie. Nigdy nie zorganizowałam u siebie przyjęcia ani wieczorku filmowego, a gdy w szkole pracowaliśmy w grupkach nad jakimś projektem, nigdy nie proponowałam spotkań u siebie. W końcu zyskałam reputację nadętej i niesympatycznej dziewczyny. Najpierw przezywali mnie „przemądrzałą krową”, a potem „nadętą żyrafą”.

– Nadętą żyrafą?

– Tak, bo byłam wysoka jak żyrafa.

– Boki zrywać. – Jay wcale nie wyglądał na rozbawionego.

– Zaczęłam wymyślać różne kłamstwa, żeby dzieciaki się do nas nie wpraszały: zły pies, remont w domu, mama jest bardzo chora.

– To ostatnie chyba słyszałem.

– Właśnie po nie sięgałam najczęściej. Wciąż po nie sięgam. Bo jest w tym trochę prawdy, wiesz? Nienawidziłam tych kłamstw, czułam, że muszę trzymać wszystko w tajemnicy. Bałam się, że jeśli ktokolwiek ją odkryje, stracimy dom, a ja umrę ze wstydu i upokorzenia. Szczerze mówiąc, ciągle się tego boję.

Schyliliśmy się, żeby przejść pod wciśniętymi w poręcz kulami ortopedycznymi.

– Gdyby ktoś na nas doniósł, opieka społeczna zaczęłaby węszyć. Mamę zamknięto by w wariatkowie, a mnie w jakimś strasznym sierocińcu.

– Serce mi się kraje, gdy słucham tego wszystkiego – powiedział Jay. Zdawał się mówić szczerze.

– No cóż, ta wycieczka po moim domu odbije się raczej na twoich płucach – odparłam. Zostało nam do pokonania jeszcze kilka schodków, a Jay znowu zaczął kichać. – Masz, załóż.

Podaliśmy mu jedną z dwóch masek na nos, które schowałam wcześniej do kieszeni.

– Żartujesz, prawda?

Pokręciłam głową.

– Na dole jest naprawdę źle. Gorzej niż na górze.

– Gorzej?

– Gorzej – potwierdziłam. – Z każdym krokiem będzie coraz gorzej.

– Opowiadaj dalej – poprosił.

– Ale to takie nudne.

– Chcę usłyszeć wszystko, od początku do końca – nalegał.

– W porządku. Tylko nie mów później, że cię nie ostrzegałam.

Gdy byliśmy na ostatnim schodku, wytarłam dłonie o dzinsy i sprawdziłam, czy działa któryś z kinkietów. Ku mojemu zaskoczeniu zapaliły się aż dwa.

– Skończyłaś na kłamstwach – przypomniał Jay, pozornie bardziej zainteresowany mną niż zagraconym korytarzem.

– No więc kiedy moja mama przestała wychodzić z domu, musiałam wymyślać różne usprawiedliwienia dla jej nieobecności na wywiadówkach, spotkaniach klasowych mam czy śniadaniach matek z córkami. Pisałam fałszywe notki o przyjęciu zaproszenia, a w dzień spotkania wysyłałam w jej imieniu esemesa albo maila z przeprosinami, tłumacząc, że zachorowała, wyjechała w pilnej sprawie służbowej, musiała zająć się niespodziewanymi problemami rodzinnymi w Nowym Jorku albo że spadła ze schodów i złamała nogę w kostce. O Boże, cała masa kłamstw!

Kolekcjonowałam wymówki i oszustwa jak mama rupiecie.

– Nic dziwnego, że jesteś taka dobra w dochowywaniu tajemnic i ukrywaniu prawdziwej siebie.

– Człowieku, ja jestem dobra we wszystkim! – Pora na odrobinę humoru, to zaczynało się robić dla mnie trudne.

Jay odwdzieczył się smutnym uśmiechem i odgarnął mi za ucho niesforny kosmyk.

– Szczególnie w sztuce robienia uników.

– Uników?

– Tak. W unikaniu pytań i bliskości. W strachu przed zażyłością. Zupełnie jakbyś... – Przeczesał palcami włosy, szukając właściwych słów. – Jakbyś zasłaniała się tak twardą tarczą, że ludzie się od niej odbijają.

– Głupoty gadasz. – Chwyciłam zepsuty parasol z wypłowiałego czerwonego materiału, którego skrawki zwisały smętnie ze sterczących drutów, i odgarnęłam nim na bok torującą nam drogę pajęczynę.

– Patrz, jesteśmy jak Tarzan i Jane przedzierający się przez gąszcz pnączy. To prawdziwa dżungla.

– Kolejny unik.

Przyznaję się do winy.

Poczułam, jak mój sztuczny uśmiech wykrzywia się w ponurą linię, a barki garbią się niczym u pokonanego.

– Pokój rodzinny – oznajmiłam. Westchnęłam i odrzuciłam parasol na bok.

Pomieszczenie było po sufit wypełnione rzeczami, które stanowiły niespełnioną obietnicę szczęśliwego życia rodzinnego. Były tu wiekowa choinka z wciąż wiszącymi na niej bombkami i łańcuchami, regały kaset wideo w kruszących się tekturowych okładkach, ogródek zmumifikowanych roślin w doniczkach na kominku, brudne i wypłowiałe zasłony zwisające z karniszy, koło rowerowe zaklinowane między stojakami przewróconych lamp. A także rzeczy nigdy nieużywane: przechylona sterta starych gier planszowych, w które chyba ani razu nie zagraliśmy, wciąż zafoliowany zestaw do sprzątanía – szczotka, mop i miotelka do kurzu – oraz nieotwarte pudełka ze składanymi meblami z sieci IKEA.

Nasz dom był jednym wielkim zbiorem niespełnionych obietnic i możliwości.

Jay odwrócił się od chaosu rupieci w salonie i skupił na mnie.

– Myślę, że pod wieloma względami ty i twoja mama jesteście do siebie podobne – powiedział.

– Słucham?!

Ani trochę nie chciałam być jak moja mama. Pod żadnym względem. To dlatego zachowywałam w pokoju taką nieskazitelną czystość. W koszmarze, który mnie ciągle nawiedzał, pozwalałam sobie na zakup jednego niepotrzebnego przedmiotu, zawieszałam na ścianie obraz albo zatrzymywałam przeczytaną książkę i lawina rupieci ruszała, zalewając całą sypialnię i zamykając mnie w potrzasku.

– Jestem podobna do mamy? – dopytywałam. – I to nie tylko dlatego, że obie jesteśmy dziwadłami?

– Nie jesteś dziwadłem, tylko boginią – odparł Jay, dając mi prztyczka w brodę.

Uważał mnie za boginię. Schowałam to słowo na samym dnie serca, gdzie pozostanie piękne i lśniące.

– A twoja mama jest... chora.

– No cóż, wiesz, co mówią o zbieraczach czasopism: lubią dobre numery.

Przewrócił oczami.

– Nie jestem psychiatrą, ale wydaje mi się, że obie trzymacie ludzi na dystans. Twoja mama zasłania się rupieciami. Przecież nikt nie wpadnie z wizytą do takiego domu, tak? A ona sama nie wychodzi do ludzi, bo boi się opuszczać dom. Jak ta przypadłość się nazywa?

– Agorafobia.

– Właśnie. Ty natomiast trzymasz świat na dystans za pomocą tajemnic i uników. Widziałem, jak chowasz się za maską humoru. Myślę, że chowasz się nawet za swoim wzrostem.

– Co? – Czy to w ogóle możliwe? – A ja myślę, że przez swój wzrost bardziej rzucam się w oczy.

– No cóż, może w głębi ducha cieszysz się, że wzrost to jedyne, co widzą inni, patrząc na ciebie.

Może wolisz, aby skupiali się na nim i nie patrzyli w głąb ciebie.

Bystrzacha.

– Chodzi mi o to – ciągnął – że według mnie ty i twoja mama bronicie się przed tym samym.

– Przed ekipą sprzątającą? Panami w białych fartuchach?

Nie uśmiechnął się. Zmarszczył brwi i wypuścił powietrze przez usta.

– Przed odrzuceniem, jak sądzę. I opuszczeniem.

Łał. To było jak cios w brzuch.

– Hej, mogę się mylić, psychologiem nie jestem, ale myślę, że panicznie boisz się kogoś pokochać i znowu go stracić. A skoro nigdy nie pozwalasz nikomu się do siebie zbliżyć, nikt nie może cię zranić i odejść jak Ethan i twój tata.

Teraz po moich policzkach płynęły łzy. Chciałam je obetrzeć, ale miałam brudne dłonie i zakurzoną, pokrytą skrawkami pajęczyn koszulę. Jay podszedł do mnie, uniósł bluzę i otarł mi twarz jej podszewką.

– Dziękuję, doktorze Freudzie – powiedziałam, wykrzywiając usta w coś na kształt uśmiechu. Tym razem pozwolił mi zasłonić się humorem.

– Obiecałaś mi zwiedzanie całej rezydencji, więc jeśli nie zobaczę i kuchni, to odejdę z poczuciem niedosytu – odparł.

– Niech będzie. Ale mam nadzieję, że masz mocny żołądek.

Stawiając ostrożnie kroki w przyćmionym świetle, przedzieraliśmy się z Jayem przez labirynt starych mebli i stert gazet. Ominęliśmy połamaną deskę do prasowania oraz góry ubrań i torebek wyrastających z walizek o zepsutych zamkach i poszliśmy w kierunku tego, co kiedyś było kuchnią.

Przy łazience dla gości uderzył nas zapach wilgoci i pleśni. Z umywalki wysypywały się stare puszki po dezodorantach, puste butelki po szamponie, zardzewiałe jednorazowe żyłki i na wpół zużyte kostki mydła, a podłoga i wanna ginęły pod stosem starych książek, w których zamieszkała kolonia rybików.

– Biblioteka – oznajmiłam.

Jay gwizdnął cicho.

– Ale bez obaw, mama mówi, że książki zaraz stąd znikną.

„To tylko tymczasowy magazyn. Wiesz, niektóre z nich to pierwsze wydania. A to znaczy, że są cenne”.

Jay przyglądał się górom kruszącego się papieru, oderwanym okładkom i zapleśniałym grzbietom.

– Jak długo już tu leżą?

– Och, tylko sześć czy siedem lat.

Ślizgaliśmy się po wyściełającym korytarz kompoście czasopism, a ostatnie metry dzielące nas od kuchni pokonaliśmy, przeciskając się przez wąskie przejście w miejscu, gdzie drogę tarasował oparty o ścianę materac z położoną na jego szczycie starą pościelą. Trąciłam go, sprowadzając nam na głowy lawinę zakurzonych poduszek, przez które dostaliśmy ataku kaszlu.

– Czas założyć maski – powiedziałam.

W ciemności rozciągającej się za kuchennymi drzwiami niewiele widzieliśmy, ale za to dużo czuliśmy.

Już w progu spowił nas gryzący odór zgnilizny, pleśni i rozkładu niczym chmura trującego gazu. Powietrze było tak ciężkie od smrodu, że można by siekierę zawiesić. Ścisnęło mnie od tego w gardle, przewracało w żołądku i zaczęły mi łzawić oczy. Stojący obok mnie Jay przyciskał dłoń do zasłoniętych maską ust, próbując powstrzymać odruch wymiotny.

Mówiłam, że będzie jeszcze gorzej.

– Gdzieś tu jest włącznik – powiedziałam, sięgając za futrynę drzwi.

Gdy tylko światło się zapaliło, Jay przeklął. „Nareszcie – pomyślałam. – Teraz zobaczę całą głębię jego obrzydzenia”. A potem zauważyłam, że to wcale nie reakcja na widok kuchni. Jego zaniepokojony wzrok utkwiony był w odsłoniętych drucikach za zwisającą ze ściany metalową blaszką kontaktu.

– Do cholery, Peyton, te przewody są pod napięciem. Mogło cię porazić!

– Wszystko w porządku.

Nic nie było w porządku. Znaleźliśmy się w otoczeniu lasu worków na śmieci – czarne były wypchane odpadkami, a przezroczyście pustymi butelkami po wodzie i puszkami po napojach.

„Zanim zaniosę je do punktu recyklingu, muszę wszystkie umyć i posortować. Przestań mnie zamęczać, Peyton, niedługo się za to zabiorę”.

Jay spojrzał na uginający się sufit z plamą wody z cieknącej rury w kształcie olbrzymiej brązowej ćmy, a potem na podłogę przykrytą metrową warstwą gnijących odpadków – resztek i kawałków śmieci, które nie zdołały trafić do kosza: starych pudełek po pizzy, tacek sera i krakersów ze spleśniałymi skorupami, otwartego i niedojedzonego słoika masła orzechowego, pustych opakowań po ciastkach, pojemników na jajka, na wpół skamieniałych jabłek o zapadniętych bokach i zwiotczalej skórcie, pozostałości po torcie urodzinowym z odrażającym, niebiesko-zielonym meszkiem zamiast lukru. W całym tym szlamie wił się rdzawy wąż ogrodowy, a wszystkie powierzchnie zroszone były maleńkimi czarnymi kroplami.

– Cały dom jest wielką śmiertelną pułapką. Wystarczy jedna iskra i pójdzie z dymem – powiedział Jay.

– Ale czy pożar byłby taki znowu zły?

– Nie żartuj – odparł, chociaż mówiłam najzupełniej poważnie. – Mieszkanie tu nie jest bezpieczne. Możesz spłonąć albo zostać pogrzebana żywcem.

Pogrzebana żywcem? Już to przerabiałam; na dowód są tu gdzieś moje wszystkie zjedzone przez mole podkoszulki.

Ale miał rację co do zagrożenia pożarem. Wszędzie wałał się papier – pudełka po butach wypchane rachunkami, listami, fakturami, dokumentami podatkowymi i gwarancjami pomieszane z katalogami sklepowymi, ulotkami, reklamami pocztowymi oraz paragonami.

Jay nachylił się nad rdzewiejącą suszarką na pranie i sięgnął po obrazek leżący na stercie moich prac ze szkoły podstawowej, które wałały się na pobliskim blacie. Uśmiechnął się szeroko, patrząc na rysunek, po czym mi go podał.

Był to obklejony makaronem obrazek pod tytułem „Moja rodzina” autorstwa „Peyton Lane, klasa druga”. Obok domku z czerwonym dachem i obowiązkowymi rabatkami kwiatów, nad którym świeciło żółte słońce, stała patyczkowa rodzina – wszyscy z szerokimi uśmiechami i rozcapierzonymi palcami – oraz wąsaty kot. Mama i tata trzymali się za ręce, a ja tuliłam w ramionach uśmiechnięte niebieskie zawiniątko, choć w chwili, gdy to rysowałam, tata już odszedł, a Ethan nie żył od kilku lat. I nigdy nie mieliśmy kota – dzięki Bogu, bo jego wysuszone szczątki spoczywałyby pewnie głęboko pod tą śmieciową ściółką.

Rzuciłam rysunek na stół, gdzie spoczywały wysokie sterty brudnych naczyń i pustych buteleczek po przyprawach, dwie klawiatury komputerowe, kłębowisko drucianych wieszaków zaplątanych w sokowirówkę i ozdobna klatka na ptaki. Żadnego ptaszka też nigdy nie mieliśmy.

Nagle zobaczyłam, że Jay przygląda się lodówce.

– Słuchaj, nie wiem jak ty, ale ja muszę wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza – powiedziałam szybko. – Rozejrzyj się jeszcze chwilę, żebyś mógł z ręką na sercu powiedzieć, że zasłużyłeś na Medal Honoru za wyjątkowe akty odwagi i męstwa z narażeniem życia, i zmywajmy się stąd.

Byłam przerażona myślą o tym, jakie rozkładające się zwłoki siedzą w lodówce, która nie działała już od wielu lat.

Ale Jay nie zrobił kroku – kręcił się tylko w miejscu, jakby był w jakimś transie. Wpatrywał się w szafkę z urwanymi drzwiczkami, z której wystawały wydęte puszki z dawno przeterminowanym jedzeniem, w poczwórną wiszącą półkę z odklejającym się laminatem, która pijacko odstawała od ściany, w poobtłukiwane kafelki, odklejającą się tapetę, gnijące linoleum, przewrócone krzesło biurowe z brakującym kółkiem. Gdzie nie spojrzeć, poniewierały się zepsute, zniszczone, nieużywane stare rzeczy.

Jednym słowem ruina.

– To przypomina epicentrum wybuchu wulkanu – powiedział Jay.

Miał sporo racji. Owoce zbieractwa mojej mamy były jak pozostałości po trwającej dekadę klęsce żywiolowej – jak powódź w zwolnionym tempie, bez szans na ratunek.

Kuchenka i zlewy były przykryte furą brudnych talerzy, pokrytych skorupami garnków, szklanek, zużytych styropianowych kubków i papierowych talerzy, po których chodziły mrówki. Pod sufitem latały senne muchy, a ja nie musiałam się przyglądać, aby wiedzieć, że na zgniłych kawałkach jedzenia ucztowały larwy i robaki. Nagle usłyszałam nieopodal jakiś szelest, uniosłam głowę i zobaczyłam, jak za poplamionym dzbankiem do kawy znika coś czarnego. To był albo mały szczur, albo bardzo duży karaluch.

Przeszły mnie ciarki.

– Przepraszam. Nie wiem, co powiedzieć.

To miejsce wymykało się wszelkim opisom, wszelkiemu zrozumieniu.

– Mogę zrozumieć, dlaczego nie chce się rozstać z rzeczami po twoim bracie, ale czemu nie wyrzuca śmieci? – zapytał Jay.

– Nie potrafi tego zrobić. W swoim mniemaniu musi podjąć idealną decyzję, co wyrzucić, a co zostawić. A ponieważ nie ma czegoś takiego jak idealna decyzja, denerwuje się i dla bezpieczeństwa nie wyrzuca niczego.

– Skoro ona nie potrafi podjąć decyzji i zacząć działać, dlaczego ty tego nie zrobisz?

– Myślisz, że nie próbowałam? Że nie robiłam wszystkiego? Prosiłam, zachęcałam, proponowałam pomoc, negocjowałam, błagałam, krzyczałam, zawstydziałam, strzelałam focha, błagałam, żeby poszła do psychiatry, groziłam, że na nią doniosę. Nic nie skutkuje. Ignoruje albo bagatelizuje moje słowa.

– Nie możesz po prostu sama wszystkiego wyrzucić?

– Gdy się czegoś pozbywam albo nawet coś przesunę, wpada w histerię, a potem całymi dniami rozpacza i zamyka się w sobie, winiąc mnie za to, że czuje, jakby straciła kontrolę nad własnym życiem. Tak jakby to można było nazwać kontrolowaniem swojego życia! – Zamaszyście omiotłam ręką blat, strącając stertę nieużywanych naczyń Tupperware.

– A więc nic nie działa? – zapytał łagodnie Jay.

Pokręciłam głową.

– Zajęło mi to wiele lat, ale wreszcie zrozumiałam, że ona nie może nic zrobić. To znaczy: też nie chce, ale oprócz tego zwyczajnie nie umie. Nie umie podejmować decyzji, nie umie ustalać priorytetów. Ma astmę, ale nie potrafi wyrzucić spleśniałych książek ani żadnej rzeczy, na której łatwo zbiera się kurz. Nie umie dostrzec różnicy między przydatnością działającego a zepsutego komputera, między parą kolczyków z perłami a parą zniszczonych butów, obrazem a pękniętą doniczką. Każdy przedmiot jest cenny. Kiedyś mi powiedziała, że wszystkie te kłopoty, te rupiecie, to jej „przyjaciele”. Co w ogóle można odpowiedzieć na takie wyznanie?

– A ty co odpowiedziałaś?

– Powiedziałam jej, że bardziej kocha swoje rzeczy niż mnie.

Wzdrygnął się.

„Jesteś zwyczajnym samolubem, Peyton. Przedkładasz pustą przestrzeń nad moje szczęście i spokój ducha. Nie rozumiesz, co to znaczy być mną”.

Miała rację przynajmniej co do tego ostatniego.

Wycofaliśmy się z Jayem na korytarz, a gdy mijaliśmy materac, kopnęłam przed siebie poduszki, które widzieliśmy wcześniej.

– Kiedyś miałam wyrzuty sumienia, że nie potrafię jej z tego wyciągnąć, że nie potrafię jej pomóc wyzdrowieć. Ale poddałam się i zaczęłam po prostu żyć w jak największym oddaleniu od tego wszystkiego. Skończyły mi się pomysły i nie mam dokąd pójść.

Słyszałam rozpacz w swoim głosie. Peyton, jesteś niebezpiecznie blisko granicy użalania się nad sobą.

– Kiedyś chciałam się wybrać na spotkanie Anonimowych Zbieraczy, ale sala była przeładowana i nawet nie udało mi się wejść do środka.

Jay zignorował mój słaby żart.

– Czy twój ojciec wie, jak bardzo jest źle?

– Nie sądzę. Od lat nas nie odwiedza. A ja go raczej nie informuję o sytuacji.

– Czemu?

– On tego nie chce. Bo gdyby o wszystkim wiedział, musiałby stawić czoło prawdzie, wziąć na siebie część odpowiedzialności i coś zrobić. A mój tata też ma talent do robienia uników. „Wyparcie ponad działanie”, to powinno być nasze rodzinne motto.

Gdy mijaliśmy łazienkę dla gości, wstrzymałam oddech.

– Ale mieszkanie z nim na pewno byłoby lepsze od tego życia?

– Może. Tylko że musiałabym zmienić szkołę i przenieść się do Blue Crab Bay. Tęskniłabym za Chloe. – A teraz i za tobą. – A gdybym odeszła, mama by sobie nie poradziła. Nie umie o siebie zadbać.

– Ale składasz podanie do nowojorskiej szkoły. Wtedy przecież zostanie sama.

Westchnęłam.

– To duży problem. To znaczy marzę o wyjeździe. Marzę o wyrwaniu się z tego ohydneho śmietnika. I zasługuję na to, wiesz?

– Cholera, Peyton, mnie nie musisz co do tego przekonywać.

– Jeśli chcę mieć własne życie, powinnam się stąd wyrwać. Ale to oznacza, że ona zostanie tu sama. Tak więc się martwię...

Wyszliśmy z powrotem na korytarz i nagle zobaczyłam mamę stojącą na najniższym stopniu schodów. Czy usłyszała naszą rozmowę, czy usłyszała, jak mówię, że chcę ją zostawić?

– Och, cześć – powiedziała, nerwowo się śmiejąc. – Widzę, że masz towarzystwo.

– To Jay, chodzę z nim do szkoły. Jay, to moja mama.

– Miło mi panią poznać, pani Lane.

Mama uśmiechnęła się sztywno i drżącą ręką poprawiła włosy. Była wyraźnie zdenerwowana obecnością Jaya.

– Mam nadzieję, że wybaczysz mi ten mały bałagan. Nie miałam ostatnio czasu posprzątać, więc zrobił się drobny rozgardiasz.

Rzuciłam Jayowi spojrzenie pod tytułem „a nie mówiłam – wyparcie”. Mama rozejrzała się wokół lekko rozproszonym wzrokiem – lepiej nie widzieć prawdy.

– Jednym z moich postanowień noworocznych na pewno będzie uporządkowanie tych cennych zbiorów. – Z kieszeni dresu wyjęła plastikową zabawkę, którą dołączyła do sterty innych zabawek z zestawów Happy Meal leżących na półokrągłym stolczku pod zamglonym lustrem. – Ale nie mam pojęcia, gdzie znajdę kawałek miejsca na wystawę. Dom jest nieco przepełniony. Myślę o wynajęciu małego magazynu, bo naprawdę potrzebuję więcej miejsca. Ale w styczniu z pewnością uda mi się wszystko posprzątać i dom zacznie lśnić czystością. – Znowu zaśmiała się sztywno. – „Gdyby tylko udało mi się zacząć, byłabym nie do zatrzymania”; mam kubek z takim napisem.

– Patrz teraz – szepnęłam do Jaya.

Podniosłam połamany parasol i zamachałam nim mamie przed oczami.

– Może zacznijmy od tego – zaproponowałam.

– Co zacznijmy?

– Porządki i doprowadzanie domu do lśniącej czystości. Zacznijmy od wyrzucenia tego.

Zdezorientowanie malujące się na jej twarzy natychmiast zniknęło, a w jego miejsce pojawił się niepokój.

– Nie mogę ot tak sobie wyrzucać rzeczy! – zawołała takim tonem, jakby mówiła: „Nie mogę ot tak sobie utopić tych szczeniąt!”.

– Ten parasol jest zepsuty – zauważyłam.

– Jeszcze się przyda. Kilka kropel super glue i będzie jak nowy. Mam tu gdzieś schowanych parę tubek... – Rozejrzała się wokoło, jakby istniał jakiś cień szansy na znalezienie czegośkolwiek w tym piekielnym chaosie. – Później go naprawię. – Wyrwała mi parasol z dłoni i powiesiła go ostrożnie na kawałku owiniętej ręcznikiem poręczy. – To nie jest śmieć, Peyton. Ciągle ma swoją wartość. Nie można wyrzucać rzeczy tylko dlatego, że są trochę zepsute albo stare.

Czy ciągle mówiła o parasolu?

– W porządku, rozumiem. A to można wyrzucić? – zapytałam, schylając się po gazetę z chybotliwego stosu.

– Nie, nie można – odparła mama.

– Czemu nie? – Sprawdziłam datę wydrukowaną przy nadgryzionym przez szczury rogu. – Jest sprzed czterech lat. Nieaktualne wiadomości.

– Ale tam może być coś ważnego. – Sięgnęła po gazetę, ale zabrałam ją z zasięgu jej ręki.

– Na przykład? – dopytywałam.

– Nie wiem, przecież nie miałam jeszcze czasu do niej zajrzeć. Ale mogą w niej być opinie o różnych restauracjach albo przepisy na jakieś pyszne dania. Albo nawet kupony.

– Nie chodzimy do restauracji. Nie gotujemy. A kupony byłyby już nieważne.

– Mogą tam być istotne wiadomości albo dodatki informacyjne, które przydadzą ci się do szkolnych projektów.

– Wszystkie wiadomości i informacje, których będę potrzebowała, znajdę w sekundę w internecie. Nie musimy tego zbierać i trzymać w domu.

Spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

– To może okazać się bardzo krótkowzroczne, kochanie. Czytałam gdzieś, że ludzie, którzy nie wyrzucili gazet z jedenastego września 2001, zarobili krocie, sprzedając je na eBayu.

– W porządku – powiedział miękko Jay. – Niech ją zatrzyma.

Ale ja nie przestawałam naciskać i przeczytałam na głos nagłówek z pierwszej strony.

– „Gubernator planuje cięcia budżetowe”. Musiał być wtedy jakiś wyjątkowo nudny dzień. To mi nie wygląda na cenny egzemplarz.

– Kiedyś może się przydać.

Ach, witaj, „Kiedyś”, mój stary druhu. Zastanawiałam się, w którym momencie znów o tobie usłyszę.

– Peyton, wiesz dobrze, że moje rzeczy są dla mnie ważne. – W jej głosie pojawiła się panika. – A poza tym w niczym ci nie wadzą.

Posłałam Jayowi kolejne znaczące spojrzenie.

– Chyba jednak wyrzucę ją za ciebie – powiedziałam, zwijając gazetę i chowając sobie pod pachę, jakbym chciała ją ze sobą zabrać.

– Peyton, chyba cię o coś prosiłam! Nie dotykaj moich rzeczy! Uporządkuj je, okej? Daj mi tylko trochę czasu – powiedziała drżącym z emocji głosem. Do oczu napłynęły jej łzy i zaczęła macać kieszenie w poszukiwaniu inhalatora. Była na granicy hysterii. – Po prostu przestań! Podoba mi się tak, jak jest!

– Wystarczy – szepnął Jay. – Rozumiem.

Podaliśmy mamie gazetę. Wyrwała mi ją szybko z ręki, jakby bała się, że zmienię zdanie, i odłożyła z powrotem na stertę.

– Muszę już wracać do domu, pani Lane. Dziękuję za gościnę. Bardzo miło było panią poznać – powiedział Jay łagodnym głosem, jakby był zaklinaczem koni uspokajającym płochliwą klacz.

Rozkojarzona mama pożegnała się, a zanim zdążyliśmy odwrócić się i wyjść, przykucnęła i zaczęła sprawdzać oraz przekładać gazety, zamknięta w przeszłości i martwym życiu.

Byłam zmartwiona – bałam się, że po zwiedzaniu mojego domu straciłam w oczach Jaya pomimo zapewnień, jakie składał poprzedniego wieczoru. Gdy wyszliśmy z tej zakurzonej pieczary na rześkie zimowe powietrze, powiedział mi, że nie, wcale nie uważa mnie za brudną czy obrzydliwą, i tak, dalej chciał się ze mną umawiać, i nie, nikomu nie wyjawia mojego sekretu. Potem długo mnie do siebie przytulał i pocałował na dobranoc.

Poszłam spać skołowana i zdezorientowana, jakby twarda ziemia rozstąpiła mi się pod nogami, wciągając mnie do zupełnie innego świata. Zrobiłam rzecz nie do pomyślenia: podzieliłam się z kimś moją tajemnicą, pokazałam mu, jak bardzo dotyka mnie horror warunków, w których mieszkam, i szaleństwo rządzące życiem mojej mamy, szaleństwo, jakie być może miałam nawet we krwi.

Na pozór nic takiego się nie stało. Moje życie toczyło się dokładnie tak jak dotychczas, a ten piątek nie różnił się niczym od wszystkich innych piątków. Nic się nie zmieniło, a jednocześnie zmieniło się wszystko.

Poczułam się lekka, wolna i pełna nadziei. Do tej pory myślałam, że trzymam w szachu swój sekret, a teraz okazało się, że to on panował nade mną. Ograniczał mnie, zamykał w pułapce nieufności i wyalienowania.

Wczorajszy dzień jeszcze bardziej pogłębił moje uczucia do Jaya. Musiał być zszokowany i przerażony tym, co zobaczył i czego się dowiedział, ale podszedł do wszystkiego z ogromnym taktem, spokojem i współczuciem. Co więcej, nie polecał rozgłaszać moich brudów w szkole czy mediach społecznościowych. I miał rację – teraz, gdy nie pozostało mi nic do ukrycia, ufałam mu bardziej. Musiałam jeszcze powiedzieć mu o zakładzie, ale w porównaniu z wczorajszą bombą to było małe miki, zwykły głupi kawał.

Mimo to skradzione w przerwach między lekcjami krótkie chwile z Jayem były trochę niezręczne i to wystarczyło, żeby na powrót obudzić moje obawy. Gdy tego wieczoru dotarłam do audytorium na dwie godziny przed premierą naszej sztuki, byłam jednym wielkim kłębkim nerwów. Potrzebowałam zapewnienia, że między nami dalej wszystko gra, ale oparłam się chęci wywołania go z garderoby chłopców. I nie przestawałam się jej opierać, nakładając makijaż, przyszywając ramiączka topu do ramiączek koszulki oraz ćwicząc dykcję w ramach rozgrzewki przed występem.

Gdy jednak nie uspokoili mnie nawet głębokie wdechy i wydechy, zaciągnęłam go w cichy kąt za kulisami.

– Co teraz? Chcesz wejść w rolę, ćwicząc nasze sceny pocałunków? – zapytał, gdy chwyciłam go za ramię i odwróciłam twarzą do światła, żebym mogła przyjrzeć się jego oczom.

– Nie.

– Nie? – Jego rozczarowana mina była urocza, ale nie dałam się odciągnąć od mojej misji. Chciałam, cytując Szekspira, „teraz wiedzieć, choć przez najgorsze środki, co najgorsze”.

To słowa Makbeta, więc nie wypowiedziałam ich na głos, na wypadek gdyby to rzeczywiście miało przynieść pecha, który tego wieczoru musiał trzymać się jak najdalej ode mnie.

– Po wczorajszym muszę wiedzieć, co myślisz. – „I co czujesz”, dodałam w myślach – Proszę, bądź ze mną szczerzy, Jay.

– Chcesz znać prawdę?

O Boże, teraz to już chyba nie. Miał tak poważny wyraz twarzy, to, co zaraz usłyszę, na pewno nie miało mi się spodobać... Przełknęłam z trudem ślinę i zmusiłam się do odpowiedzi.

– Tak.

– W porządku. Prawda jest taka, że wczorajszy wieczór zmienił moje uczucia do ciebie.

Wiedziałam. Wiedziałam. Ale dlaczego, skoro właśnie udowodniłam samej sobie, że miałam rację, czułam się tak okropnie? Ścisnęło mnie w sercu. Spuściłam wzrok i utkwiłam go w bezpiecznym guziku leżącym na deskach sceny, starając się powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Okej – szepnęłam chrapliwie. – Rozumiem.

– Chyba jednak nie – odparł Jay. Ujął w dłonie moją twarz, którą delikatnie odchylił, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Mam do ciebie jeszcze większy szacunek – powiedział, a ja w tej samej chwili rzuciłam: „Zrozumiem, jeśli...”.

Zamrugalam.

– Ale jak to?

– Wiedziałem już, że jesteś piękna, seksowna, zabawna i utalentowana.

Naprawdę?

– Ale teraz wiem, że oprócz tego jesteś silna, odważna i twarda. I niesamowicie pomysłowa. Umiałaś znaleźć sposób, żeby w takich warunkach żyć własnym życiem! A przy tym jesteś też wsparciem dla swojej mamy...

– Nie jestem. – Zaprzeczyłam ruchem głowy. – Jestem podła i rozżalona. I wiecznie dla niej niemiła. Jestem pierwszoligową żoną.

– Choroba twojej mamy odebrała ci dzieciństwo, a mimo to robiłaś wszystko, żeby nikt się o niej nie dowiedział. Zajmowałaś się mamą i chroniłaś tatę przed prawdą, aby był wolny. Źródłem tego rodzaju poświęceń jest miłość, Peyton. I dobre serce.

Ziemia znowu zaczęła rozstępować mi się pod nogami. Zupełnie jakby ktoś odkrył przede mną części mojej duszy, o których istnieniu nie miałam pojęcia. W tamtej chwili poczułam się prawdziwa i cała – nie jak zbiór fragmentów, ale jednolita osoba. Ciepły płomień uczucia, którym obdarzyłam Jaya, rozpalił się we mnie białym żarem, pulsował mi w żyłach i bił z moich oczu, gdy wpatrywałam się w głęboką, złocistą zieleń jego oczu.

Chciałam, żebyśmy trwali tak tylko we dwoje, ale na scenie zaczęli się pojawiać inni członkowie obsady i gdzieś w pobliżu usłyszałam Douga udzielającego ostatnich instrukcji.

Stałam na palcach, przytuliłam się policzkiem do jego policzka i szepnęłam mu na ucho „kocham cię”.

Poczułam, jak jego policzki zaokrąglają się w uśmiechu, a potem oderwał się ode mnie, żeby przyłożyć usta do moich.

– Ja też cię kocham – powiedział bezgłośnie.

– Wszyscy na miejsca! – wrzasnęła stojąca tuż obok kierowniczką sceny. Wzdrygnęliśmy się, roześmialiśmy i oderwaliśmy od siebie, rozchodząc się na przeciwległe boki.

Czekałam, aż moje dawne obawy zagłuszą jego słowa, a znajome podszepty wątpliwości zmacą moją wiarę w niego, ale zamiast nich poczułam głęboki spokój, zalewający moje wnętrze radością i pewnością siebie. I nadzieją. Nawet kąśliwości Wren („Na pewno dasz dziś radę, Wielka P.?”) nie były w stanie ich nadszarpnąć.

– Peyton – Doug zwrócił się do mnie błagalnie tuż przed podniesieniem kurtyny – daj z siebie wszystko, okej? Błagam, daj z siebie wszystko.

A ja zrobiłam, o co prosił.

Stałam się Julią. Byłam odurzona podekscytowaniem i szczęściem. Czułam się jak wesola, beztraska młoda dziewczyna na balu, która rzuciła się w wir tańca i flirtu. Po raz pierwszy w życiu byłam dokładnie taka jak Julia.

Wciąż tliły się we mnie dawna ostrożność i powściągliwość, które jednak objawiały się tylko w scenach z matką i ojcem, czyli tam, gdzie powinny. Ale w scenach z Jayem, gdy Julia była ze swoim Romerem, całkowita otwartość, pasja, okazywanie prawdziwych uczuć i bezgraniczne zaufanie przychodziły mi bez trudu.

Byłam zakochana. Twarz mi promieniała, a głos drżał z emocji. W ramionach Jaya rozluźniałam się, moje dłonie same szukały jego ciała. Chemia między nami była widoczna gołym okiem. Myślałam, że już widziałam pełnię jego scenicznego talentu, ale tego wieczoru, gdy dawałam mu z siebie więcej, gdy oddałam mu wszystko, Jay wzbił się na jeszcze większe wyżyny. I po raz pierwszy nie koncentrował swojej magicznej gry na mnie, uszlachetniając mój występ. Teraz szliśmy ramię w ramię, czerpiąc energię od siebie nawzajem i razem szybując.

Naprawdę byliśmy parą młodych kochanków przez gwiazdy przeklętych, żyjących w błogiej nieświadomości wiszącej nad nimi groźby.

Byłam tak zanurzona w swojej postaci, że gdy doszliśmy do namiętnego pocałunku w ostatniej scenie sztuki, całkowicie się w nim zatraciłam. Zapomniałam, że stoję na deskach teatru, że na ogromnych ekranach wyświetlana jest moja postać, zapomniałam o widowni. Tak bardzo dałam się porwać chwili, że nie widziałam niczego poza tym wspaniałym, niesamowicie seksownym chłopakiem, który najwidoczniej też za mną szalał.

Nasze ubrania, te ostatnie bariery między nami, okropnie mnie frustrowały. Moje dłonie szukały jego skóry i nieświadomie rozpięły mu koszulę, po czym ściągnęły ją z niego gwałtownym ruchem i odrzuciły na bok – Jay został teraz w samym podkoszulku. Przez jego twarz przemknął wyraz zaskoczenia, ale gdy przebiegłam dłońmi wzdłuż jego muskularnych ramion, zadrżał z rozkoszy. Przymknął oczy, a na jego ustach pojawił się seksowny uśmiech.

„Dobrze – zdawał się mówić. – Chcesz mnie? To bierz. Zróbmy to!”

Powoli osunął się z powrotem na płaski wierzchołek naszej udawanej skały, pociągając mnie za sobą. Gdy już prawie na nim leżałam, przechylił głowę i zaczął skubać płatki moich uszu, a widoczną dla publiczności ręką, którą obejmował mnie z tyłu, przycisnął jeszcze mocniej do siebie. Ręka, której publiczność nie widziała, przesuwiała się powoli wzdłuż mojego boku i wylądowała na pupie. Na całym ciele poczułam gęsią skórę, a sutki opartych o jego klatę piersi stwardniały.

Pulsowało we mnie pragnienie, kręciło mi się w głowie, a serce chciało się wyrwać z piersi. Odzyskałam mgliste poczucie rzeczywistości dopiero, gdy opadła kurtyna, a przez ścianę mojego pożądania przedarły się dzikie brawa rozentuzjasmowanej publiki.

Wciąż nieco odurzona, kiedy kurtyna znowu poszła w górę, posłałam Jayowi zawstydzony uśmiech podczas wychodzenia, aby się uklonić. Aplauz jeszcze bardziej się wzmógł, słychać było gwizdy i wiwaty i wkrótce cała widownia wstała z miejsc. Gdy kurtyna wreszcie opadła, cała obsada wskoczyła na scenę i wśród okrzyków dzikiej radości wszyscy zaczęli przybijać sobie piątki, klepać się po plecach, obejmować i komplementować.

Pani Gooding wyglądała na naprawdę zadowoloną i dało się zauważyć, że zwyczajnie jej ulżyło.

– Udowodniście, że się nie myliłam, wierząc w was! Moje gratulacje! Jay, Peyton, byliście wspaniali!

Wren wydawała się nieco powściągliwa w swoich pochwałach mojego występu, ale za to widać było, że reszta jest pod dużym wrażeniem.

– To było fantastyczne! – powiedziała Liz, dając mi mocnego kuksańca w ramię. – Brzmiało szczerze.

– Wszyscy byliście fantastyczni! – Doug był w euforii. – Rewelacyjni! Jay, byłeś niesamowity, a to wycucie czasu w scenie pojedynku. Genialne! Zack, rozbawiłeś publikę do łez. Peyton, wzruszyłaś publikę do łez. Wiedziałem, że potrafisz, nawet na chwilę w ciebie nie zwątpiłem. A ta chemia! Aż kipiała! A ta improwizacja z koszulą Jaya – natchniona! Powtórz to jutro wieczorem.

Zack posłał mi szeroki uśmiech.

– Właśnie, Wielka P. Ty i Jay nagrzeni, dyszący i półnagzi; rozgrzałem się do czerwoności od samego patrzenia. Gdybyś jeszcze pokazała trochę ciała, to by było ucieleśnienie moich najsłynniejszych snów.

– Chyba mokrych snów – powiedziała Angela i wszyscy z wyjątkiem Douga, który nagle się zamyślił, wybuchnęli śmiechem.

– Chodźmy na burgera do Jumping Jima – zaproponował niewzruszony Zack. – Jestem za bardzo nakręcony, żeby iść spać. Chyba że któraś z uroczych dam chciałaby pomóc mi się zrelaksować?

Gdy wszyscy zeszliśmy wreszcie ze sceny, by się przebrać, Doug zatrzymał Jaya.

– Pozwól na chwilę, mam kilka pomysłów na jutrzejszy spektakl.

Kiedy piętnaście minut później wciąż podekscytowani wybiegliśmy wszyscy razem przez wejście dla aktorów, na zewnątrz czekał tłum fanów, żeby pogratulować nam występu. Chloe podskakiwała i wiwatowała, obejmując mnie mocno i zapewniając, że to był mój najlepszy występ. Jej

mama zasypała mnie pochwałami, a Ben uparł się, żeby wspiąć mi się na ramiona, informując wszystkich zainteresowanych, że jestem jego osobistą olbrzymką.

Zamachałam nieśmiało do państwa Young, żałując, że Jack nie widziała, jak spełniają się jej proroctwa. Jaya otoczył tłum zauroczonych nim wielbicielek, a Greg Baker klepnął go po plecach, oświadczył, że jego występ był „kurde genialny” i chwalił się głośno, że Jay jest jego kuzynem.

Zachwycony rozmiarami tłumku, który wkroczył do jego baru, Jim ustawił w szafie grającej playlistę z przebojami Elvisa i postawił nam kolejkę. Stukaliśmy się szklankami, wznosząc toasty za obsadę, ekipę techniczną i Douga.

– Kochamy cię, stary! – zawołał Zack, wylewając swój koktajl truskawkowy, gdy stuknął się szklankami z naszym reżyserem.

– Właśnie, byłeś rewelacyjny! Wiedzieliśmy, że ci się uda. Nawet na chwilę w ciebie nie zwątpiliśmy – dodałam z szerokim uśmiechem.

– Kpisz ze mnie? – zapytał Doug.

Odpowiedziałam mu mrugnięciem, ale uśmiech zszedł mi z ust, gdy przy naszym stoliku zatrzymał się Tim Anderson.

– Cześć, jak poszło dzisiejsze przedstawienie? – zagadnął Jaya.

– Wspaniale!

– To fajnie, ja mam bilet na jutrzejsze. Muszę zobaczyć, jak to – wskazał na Jaya i na mnie – się rozwija.

– To na razie – rzuciłam, opierając się pokusie własnoręcznego wyprowadzenia go za drzwi.

Następne dwie godziny spędziliśmy, śmiejąc się, drocząc ze sobą i omawiając przedstawienie. To było cudowne zakończenie wieczoru.

Tori miała zmianę i choć nie obsługiwała naszych stolików, na pewno zauważyła, że byliśmy teraz z Jayem parą – nie spuszczałyśmy z siebie oczu i nie potrafiliśmy utrzymać przy sobie rąk. Za każdym razem, gdy przechodziła obok nas, posyłałam jej promienny uśmiech, a w odpowiedzi ona spoglądała na mnie wilkiem.

Kiedy nasz tłumek zaczął się przersedzać, zobaczyłam ją przy drzwiach, rozmawiającą z Timem. Czy upewniała się, że jesteśmy z Jayem parą? Próbowała dociec, dlaczego nie wysyłam jej esemesów ze szczegółami naszych randek? Stała do nas plecami, ale musiała powiedzieć coś, co zaskoczyło albo rozbawiło Tima, bo ten nagle uniósł brwi i zerknął w moją stronę. Potem i Tori obejrzała się przez ramię, a mnie w ogóle nie spodobał się cwany uśmieszek na jej ustach. Usiadłam prosto, nie wiedząc, jak zareagować, ale w tej samej chwili Jay wciągnął mnie sobie na kolana, zupełnie jakbym ważyła tyle samo, co przeciętna dziewczyna, i przycisnął usta do moich. Nagle wszystko inne przestało się liczyć.

Sobotnie przedstawienie miało być naszym drugim i ostatnim występem. Po sukcesie premiery czułam się tak pewna siebie, że nawet Faye nie była w stanie przygasić mojego entuzjazmu.

Tuż przed spektaklem zajrzała za kulisy, niby po to, żeby życzyć nam powodzenia. Widziałam, jak długo przytula Jaya – czyżby ta przestępczyni wciąż miała nadzieję na jego odzyskanie? – po czym zwróciła się do mnie.

– Słyszałam, że byłaś wczoraj kompletnie do bani, Peyton – powiedziała lodowatym tonem.

– Ee... Dzięki.

– I że nie mogłaś się odkleić od Jaya.

Tego już nie skomentowałam. Zaczynało się robić do bólu niezręcznie.

– A więc powodzenia dzisiaj!

– Mówi się „połamania nóg” – poprawiłam ją. – Życzenie aktorowi powodzenia przynosi pecha.

– Wiem – odparła, uśmiechając się słodko. – Na razie.

Doug zebrał wszystkich na ostatnią mowę motywacyjną.

– Mamy dziś komplet na widowni. Wszyscy nasłuchali się pochwał na nasz temat i wałą tu drzwiami i oknami. Dostawiliśmy nawet dodatkowy rząd krzeseł. Dajcie z siebie wszystko, ludziska! Jay, pamiętasz moje wczorajsze wskazówki? Wren, przyspiesz trochę swoje kwestie i pododawaj parę humorystycznych akcentów. Peyton, nic nie zmieniaj.

Ha! Rzadko się zdarzało, żeby zamiast mnie wskazówki dostawała Wren.

– Do dzieła, ludziska!

Pierwsza połowa sztuki poszło świetnie – a przynajmniej tak dobrze jak poprzedniego wieczoru. Publikę wzdychała i śmiała się w odpowiednich momentach, nikt nie zapomniał tekstu, a dźwięk i obraz były idealnie zsynchronizowane z naszymi scenami. Jedyne zgrzyt pojawił się kwadrans po rozpoczęciu przedstawienia, gdy do audytorium wparował Tim Anderson i klapnął na fotel w samym środku pierwszego rzędu. Klaskał entuzjastycznie między scenami, wrzasnął do Jaya dopingujące „zarznij świnię!” w trakcie sceny pojedynku i zaskowyczał jak wilk podczas sceny balkonowej. Od razu było widać, że jest pijany albo naćpany. A najpewniej jedno i drugie.

Podczas przerwy do garderoby, w której się przebierałam, zajrzała kierowniczka sceny, mówiąc, że Tim czeka przy drzwiach za kulisy i chce rozmawiać ze mną i z Jayem.

– Macie tylko dziesięć minut, więc załatwcie to szybko – rzuciła. – I powiedz Timowi, żeby się zamknął. Albo lepiej niech idzie do domu i się prześpi.

Szybko wskoczyłam w szorty i zszyty z koszulką top, sprawdziłam makijaż w jasno oświetlonym lustrze i wybiegłam z garderoby, doganiając Jaya tuż przed drzwiami za kulisy, w których stał Tim, chwiejąc się lekko na nogach z szerokim uśmiechem na twarzy.

– O stary! O stara! – zawołał i zamrugał parę razy przekrwionymi oczami (żeby pozbyć się podwójnego widzenia?), po czym oparł się ręką o ścianę.

– Chciałem pogratulować zakochanym. Jesteście oboje rewelacyjni. Rewelacyjni! Tak się cieszę, że się spiknęliście. Chciałem wam życzyć... życzyć... – przerwał, najwidoczniej próbując przypomnieć sobie, czego też chciał nam życzyć, ale szybko się poddał. – Jestem z was taki dumny, stary. Stara.

– Dumny? – zapytał Jay.

– Przecież byłem waszą swatką? Amorkiem z łukiem!

O, nie. Przeszedł mnie dreszcz i zrobiło mi się zimno. Musiałam to przerwać.

– Powinniśmy już iść, Jay. Zaraz podnoszą kurtynę.

– Dzięki za gratulacje, Tim. Ale z tego, co pamiętam, to Greg nas sobie przedstawił. A pamiętam tamten wieczór bardzo dobrze. – Uśmiechnął się do mnie ciepło.

– Tylko że to ja podsunąłem jej twoje nazwisko do listy. – Tim osunął się na ścianę i zaczął głośno czkać.

– Do jakiej listy? – dopytywał Jay.

– Żadnej. Głupoty gada – powiedziałam, ciągnąc Jaya za ramię. – Chodźmy już, drugi dzwonek.
– Listy wysokich chłopaków, stary.

Cholera.

– Że co? – zapytał Jay.

– Pięć minut! – krzyknęła kierowniczka sceny.

– Chciała mieć nazwiska wszystkich chłopaków ze szkoły o wzroście metr dziewięćdziesiąt dwa.

Albo wyższych. Było tylko pięciu. Czy tam sześciu. – Tim potarł skroń, jakby ze wszystkich sił chciał sobie to przypomnieć. – Nie, jednak pięciu. Na pewno! I ty jesteś na tej liście. – Uśmiechnął się szeroko do Jaya.

Jay natomiast w ogóle się nie uśmiechał.

– Co to za lista? – zapytał mnie.

– Mo-mogę to wyjaśnić – powiedziałam.

Chyba. Ale od czego zacząć? Jak mu to wytłumaczyć, żeby nie zabrzmiało okropnie?

– Ja też mogę jaśnić – wtrącił bełkotliwie Tim. – Wielka P. poprosiła mnie o listę wszystkich wysokich chłopaków ze szkoły, więc ją jej dałem. Gratis.

– Po co? – zapytał mnie Jay.

– Po nic. To był tylko taki głupi żart – odpowiedziałam, próbując odciągnąć go od Tima, gdy kierowniczka zawołała, że zostały cztery minuty. – Jay, naprawdę musimy już iść.

– To nie był żart! – powiedział oburzony Tum. – Tylko zakład!

Cholera. Serce zaczęło walić mi jak młotem, a w ustach zrobiło się sucho. To było jak przyglądanie się wypadkowi samochodowemu w zwolnionym tempie.

Jay odwrócił się i zrobił krok w stronę Tima.

– Zakład? – powtórzył.

– Kelnerka z baru, ta lesba, o wszystkim mi powiedziała, stary. Założyła się z Wielką P. o osiemset dolców, że jej się nie uda.

– Ale co?

W tym momencie Tim osunął się na podłogę, macając się po kieszeniach i bełkocząc niezrozumiale.

– Że co się nie uda? – Teraz Jay zwracał się do mnie niskim głosem, w którym czaiło się coś na kształt groźby. – Czy on mówi o tym zakładzie, że mnie pocałujesz, kiedy się poznaliśmy?

– Jay, proszę, później wszystko wyjaśnię.

– Nieee! – Tim machnął lekceważąco ręką. – To był zakład o bal maturalny.

– Trzy minuty! Wszyscy na miejsca! – zawołała kierowniczka sceny.

– Co to za zakład, Peyton?

O Boże. Ja naprawdę zamierzałam Jayowi o wszystkim powiedzieć. Chciałam, żeby nie było między nami żadnych tajemnic. Ale planowałam oświecić go w odpowiednim momencie, aby każdy szczególnie mógł mu na spokojnie wytłumaczyć i wyjaśnić, że to była tylko zwykła głupotka.

Wypuściłam powietrze i zmusiłam się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Tori założyła się ze mną, że nie zdołam namówić żadnego wysokiego chłopaka na trzy randki plus zaproszenie na bal maturalny.

Jay cofnął się, a na jego twarzy pojawiła się cała seria emocji: szok, ból, gniew.

– To dlatego zaprosiłaś mnie na randkę?

– To nie ja ciebie zaprosiłam, tylko ty mnie!

– Ale czy zgodziłabyś się ze mną umówić, gdyby w grę nie wchodziły pieniądze? Wykorzystywałam mnie, żeby wygrać gotówkę. A raczej większą gotówkę? Bo dzięki pocałunkowi ze mną już wygrałaś czterysta dolców – powiedział zimnym i beznamiętnym głosem.

– Jay, błagam, to nie było tak! – wydusiłam rozpaczliwie, żeby mnie wysłuchał. – To nie miało z tobą nic wspólnego. Kiedy przyjełam zakład i zrobiłam listę, chodziłeś jeszcze z Faye.

– Dwie minuty!

– Ale gdy się rozstaliśmy, od razu wkroczyłaś do akcji – powiedział oskarżycielskim tonem.

– To nieprawda! – „Czy aby na pewno?”, pomyślałam. – To nie fair! Ty...
– Zapolowała na ciebie, stary – zarechotał Tim, podnosząc się i ściskając triumfalnie ćwiartkę wódki.

– Zamkniesz się wreszcie?! – wrzasnęłam na niego.
– Nie chciałaś, żebym się zamykał, kiedy zamawiałaś raport. Wtedy chciałaś, żebym napisał o wszystkim – odparł obrażony Tim, pociągając z butelki.
– Do diabła, Peyton! Jaki znowu raport?!
– Wszystko ci potem wyjaśnię. Proszę, chodźmy już.
– Ja też mogę jaśnić – powtórzył Tim, uderzając się kciukiem w pierś. – Nie miała kasy, więc wymieniliśmy się towarem, ale o tym cicho sza! To tajemnica. Niegrzeczna, niegrzeczna! – Tim zaczął chichotać.

Jay posłał mi zszokowane spojrzenie.
– Wcale nie! To nie było tak!
– Czas! – wrzasnęła do nas kierowniczką. – Natychmiast na scenę!
– Zdobyłem dla niej wszystkie informacje o tobie, stary – ciągnął Tim. – Na jakie lekcje chodzisz, czym jeździsz, jakie książki wypożyczasz, jakie masz kontuzje.

– Udawałaś od początku do końca, Peyton? – zapytał Jay, patrząc na mnie z góry jak na obcą osobę. – Czy ty w ogóle lubisz grać, czy może teatr był tylko sposobem na zbliżenie się do jednego z wysokich chłopaków z twojej listy?

– Nie, oczywiście, że nie. Jay, błagam, to nie tak. Nie z tobą. Poprosiłam o raport, bo chciałam wiedzieć, gdzie będziesz, żeby cię unikać! To wszystko. Wydawało mi się, że myślałeś, że cię śledzę.

– A śledziłaś? To ciągle wpadanie na siebie?

– Nie! Przysięgam!

Na dźwięk tego słowa Jay wykrzywił usta w gorzkim, nieszczerym uśmiechu.

– Próbowалаm cię unikać, Jay.

– Właśnie tak mówiła: „unikać”. Ale chodziło o zakład. Bo ze mną też się umówiła dla tego zakładu. Ta laska z czarnymi ustami z baru wszystko mi wczoraj powiedziała. – Tim posłał w moim kierunku oskarżycielskie spojrzenie. – To nie było w porządku. Myślałem, że naprawdę na mnie lecisz.

– Chodziłaś z Timem? – zapytał Jay. – Kiedy?

– Umówiłam się z nim jeden jedyny raz! Ty ciągle umawiałeś się z Faye. Poszłam z Timem na jedną randkę, zanim ty i ja...

– Czy z nim umówiłaś się tylko dla zakładu?

– Tak... W porządku? Tak. Wiesz, dlaczego potrzebowałam tych pieniędzy. – W oczach stanęły mi łzy.

Jay przetarł usta grzbietem dłoni, jakby chciał się pozbyć jakiegoś gorzkiego posmaku.

Podeszła do nas zdenerwowana kierowniczką sceny.

– Jesteście spóźnieni! Ruchy! – syknęła przez zęby.

– Ale przez cały ten czas to na ciebie miała chrapkę. – Tim poklepał Jaya po ramieniu ręką, w której trzymał butelkę, oblewając go wódką. – Na ciebie! Na wysokiego i przystojnego Jaya Younga. Dwie pieczenie na jednym ogniu. – Znowu zachichotał.

Wtedy kierowniczką straciła cierpliwość. Chwyciła mnie i Jaya za ręce, odciągnęła od Tima i puściła nas dopiero w ciemności za kurtyną, zza której dobiegały szelesty na widowni. Zza kulis natomiast słyszałam, jak kierowniczką szepcze coś do siedzącego w reżyserce Sanjaya.

Stojący obok mnie Jay zrobił głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze wolno i spokojnie.

– Musisz skreślić moje nazwisko z tej listy. Zajmij się kolejnym wysokim chłopakiem.

Jedynym dźwiękiem, jaki usłyszałam przy unoszącej się kurtynie, był huk naszego związku roztrzaskującego się o deski sceny.

Po przerwie moja gra stała się absolutnie do kitu. Wieczór był mroźny i pewnie dlatego – albo z powodu lodowatego ostrza strachu, które poczułam w środku – zrobiło mi się zimno i zaczęłam się trząść. I byłam kompletnie rozkojarzona. Miałam wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiłam, byłam zła, że nie miałam szansy niczego wyjaśnić, i bałam się, że już jej nie dostanę. Mogłam tylko żywić nadzieję, że publiczność weźmie moje cierpienie za nastoletnie bolączki.

Jay nie pozwolił, żeby emocje przeszkodziły mu w grze – jakżeby inaczej – ale w naszych wspólnych scenach byłam wystarczająco blisko niego, by dostrzec, co naprawdę czuje. W jego głębokim głosie jak zawsze rozbrzmiewała miłość, jednak gdy brał mnie za rękę, ścisnął ją mocno. Przytulaliśmy się krótko i bez czułości, nie stykając się biodrami. Nasze pocałunki były przelotne i pozbawione uczucia. Brakowało improwizowanych, dłuższych dotyków. Mięśnie jego szczęki pulsowały i chociaż nikt inny raczej tego nie zauważył, ja widziałam, że w środku Jay gotuje się ze złości. W scenie pojedynku chwycił broń, ścisnął ją tak mocno, aż pobiegały mu kłykcie, i wyglądał przy tym, jakby chciał przeszyć Tyrone'a na wylot. Poprzedniego wieczoru publika zauważyła napięcie seksualne między nami i reagowała na nie, ale teraz była w szponach dzikiego szaleństwa Jaya. Częściej wstrzymywano oddech, niż się śmiało.

Przy najazdach kamery Jay odwracał się od niej, żeby nie uchwyciła chłodnej pogardy obecnej w jego oczach. Tak więc obiektyw kamery skupiał się na mnie, a szybki rzut oka na ekran powiedział mi, że wyglądałam jak durny, oniemiały z przerażenia królik. Może publiczność pomyśli, że jestem naiwną dzielątką, która boi się następnego kroku swojego ukochanego. No cóż, rzeczywiście się bałam. Ale tego, co Jay mógłby zrobić w gniewie, nie z miłości.

Odgrywaliśmy nasze sceny w tempie karabinu maszynowego. Jay wypowiadał swoje kwestie szybko, prawie zahaczając o moje, jakby nie mógł się już doczekać końca tej maskarady. Nie było czasu na krótką rozmowę za kulisami, nie było nawet chwili, żeby poprosić go o spotkanie po przedstawieniu i obgadanie wszystkiego. Zanim się obejrzałam, nadeszła ostatnia wspólna scena – pocałunek o zachodzie słońca.

Z początku po prostu powtarzaliśmy mechanicznie ruchy dłoni i ust, które były jednak szybsze i bardziej szorstkie niż poprzedniego wieczoru. I bardziej niepokojące, zwłaszcza gdy zaczęły zmieniać się w coś innego. Coś dzikiego i brutalnego. Coś niebezpiecznego.

Było tak, jakbyśmy zaczęli się nawzajem uderzać naszymi pieścizotami oraz atakować pocałunkami. Chwycił ustami moją dolną wargę i zaczął mocno ssać, niemalże ją wciągając. W mojej głowie znowu rozszalał się huragan, huczący akompaniament gwałtownej burzy między nami. To było elektryzujące. I przerażające.

Oderwałam się od niego, żeby złapać oddech i spróbować odczytać wyraz jego oczu, ale moją uwagę zwrócił jakiś ruch za kulisami. To był Doug. Stał topless i machał rozpaczliwie koszulą nad głową.

Cholera. Zapomniałam zerwać z Jaya koszulę. Teraz, patrząc mu w oczy, prawie się bałam to zrobić. A to dlatego, że żar, który w nich zobaczyłam, nie był żarem uczucia czy namiętności, ale wściekłości. No dobra.

Nachyliłam się, ściągnęłam z niego koszulę, odrzuciłam ją na bok i zgodnie ze scenariuszem trzy razy przycisnęłam usta do jego szyi. Gdy się odsunęłam, znowu napotkałam jego wzrok – ciągle był wściekły. Po kilku sekundach wahania wróciłam do wyćwiczonych ruchów. Zmuszając się do uśmiechu, wystawiłam do Jaya rękę. To był umówiony znak, żeby mnie na sobie położył, a potem mieliśmy wić się w namiętnych uściskach na skale, dopóki nie zgasną światła i nie opadnie kurtyna.

Zamiast tego Jay rzucił szybkie spojrzenie przez moje ramię i ze ściągniętą twarzą i lodowatym wzrokiem chwycił brzeg mojej różowej koszulki, zerwał ją ze mnie i rzucił za kulisy.

Teraz to ja byłam topless.

Cała widownia wstrzymała oddech. Przez krótką piekielną chwilę, która wydawała mi się

wiecznością, siedziałam z obnażonymi piersiami i otwartymi ustami, sparaliżowana szokiem, a na ekranach pojawiły się olbrzymie zbliżenia moich wydatnych piersi i sterczących sutków.

Z tego transu wyrwał mnie przesywający gwizd na widowni. Gdy zakrywałam się rękami, uderzyła mnie fala wrzasków, tupania, śmiechu, wiwatów i okrzyków wściekłości oburzonych rodziców. Scena pograżyła się w ciemności, kurtyna opadła, a mnie otaczał chaos.

Sukinsyn! Nie mogłam uwierzyć, że zrobił coś takiego. Wiedziałam, że jest wściekły, ale żeby zdzierać ze mnie ubranie przed publicznością? To było chore. I cholernie podłe.

Spanikowana zaczęłam macać deski zaciemnionej sceny w poszukiwaniu ręcznika albo koszulki Jaya. Gdzie ona, do diabła, wylądowała? Ktoś nadepnął mi na palec i przekląłam.

– Czy ktoś może włączyć te cholerne światła?! – wrzasnęła kierowniczką.

Sekundę później cała scena tonęła w świetle, a ja znowu znalazłam się na widoku – topless i na czworakach – choć tym razem widziała mnie tylko obsada. Skrzyżowałam sobie ręce na piersi.

– Umarłem i poszedłem do nieba – usłyszałam głos Zacka.

Spojrawszy w górę, zobaczyłam go; patrzył na mnie, przyciskając do klatki piersiowej koszulkę Jaya. Stał poza zasięgiem moich pięści, ale to można było szybko naprawić.

Skoczyłam na równe nogi. Zaczę od Zacka, zrobię z niego miazgę, a potem wezmę się za Jaya.

Nagle między nami stanęła Wren.

– Proszę – powiedziała, podając mi jeden z ręczników plażowych.

Na ten niespodziewany akt dobroci do oczu napłynęły mi łzy. Owinęłam się szybko ręcznikiem, posłałam Jayowi najohydniejsze spojrzenie, na jakie było mnie stać, i już zaczynałam mówić: „Jak mogłeś?”, gdy kurtyna raz jeszcze poszła w górę.

Młodszy widzowie powstawali z miejsc i zaczęli dziko bić brawo, ale śmiechy, gwizdy i okrzyki jasno mówiły, że oklaskiwano braki w moim kostiumie, a nie występ. Widziałam też kipiące wściekłością twarze rozszłoszczonych rodziców i wiedziałam, że drogo za to zapłacimy.

Wczoraj, gdy opadała kurtyna, trzymaliśmy się z Jayem za ręce. Wczoraj kilka razy wychodziliśmy razem, żeby się uklonić. Ale dziś przyciskałam do ciała ręcznik i robiłam tylko jeden sztywny ukłon. Jay też uklonił się tylko raz, po czym zbiegł ze sceny. Albo nie mógł się doczekać, żeby ode mnie uciec, albo wolał uniknąć konfrontacji. I dobrze, bo nie chciałam go więcej widzieć.

Nie chciałam nikogo więcej widzieć.

Twarcz mnie piekła, oczy miałam zamglone od łez i poczułam, że zaczynam się cała trząść. Liz i Wren podtrzymały mnie mocno przy kolejnym uklonieniu.

– Błagam, zajmijcie ich czymś przez chwilę – szepnęłam z naciskiem i uciekłam za kulisy. W garderobie założyłam bluzę, kurtkę i swoją czerwoną czapkę, chowając pod nią włosy i naciągając na oczy. Chwyciłam plecak i wybiegłam. Uciekając tylnym wyjściem, wciąż słyszałam rozwrzeszczoną widownię – Liz i Wren pewnie podtrzymują aplauz, żeby kupić mi trochę czasu i umożliwić nieprzewidzianą ucieczkę. Poczułam głęboką wdzięczność za ich siostrzaną solidarność.

Kiedy zbiegałam ze schodów, potknęłam się i wylądowałam twarzą na twardym cemencie. Wycierając obtarte dłonie o dzinsy, dźwignęłam się i zarzuciłam plecak na ramię. W półmroku dostrzegłam nierówny zarys sylwetki leżącego na ziemi Tima. Spał i chrapał. Miałam tylko chwilę – już słyszałam skrzywienie krzesel i szelest wychodzących z audytorium widzów – ale tyle mi wystarczyło. Poczęstowałam go dwoma mocnymi kopniakami w oba piszczele, a gdy zaczął jęczeć i mrugać zamglonymi oczami, ryknęłam: „Dzięki za nic, dupku!”.

A potem odwróciłam się i uciekłam. Uciekłam od Tima, od reszty obsady, od złośliwie uśmiechających się ludzi, którzy zaczęli wychodzić z budynku. Od Jaya i tego, co nas łączyło. Od okrutnej zdrady i upokorzenia.

Wypadłam ze szkolnej bramy i pobiegłam ciemną drogą, płacząc.

Kiedy leżałam w łóżku ponad godzinę później, wciąż płakałam, odgrywając w myślach wydarzenia tego wieczoru. Od czasu do czasu moje szlochanie przerywała na chwilę fala uderzeniowa niedowierzania – jak on mógł mi coś takiego zrobić? Jak mogłam się tak pomylić, biorąc go za porządnego chłopaka? Czy wieczorne wydarzenia naprawdę miały miejsce, czy to tylko jakiś straszny koszmar? Błagam, niech to wszystko okaże się tylko zwykłym koszmarem. Ale potem wracały gniew i upokorzenie, a wraz z nimi gorzkie łzy. Czułam się głupia i zraniona. A nawet bardziej niż zraniona: poczułam się zgwałcona.

Potok moich obsesyjnych myśli przerwało stuknięcie w szybę. Chloe? Może stwierdziła, że nasza nieprzerwana wymiana esemesów nie wystarczy i przyszła, żeby mnie przytulić. Potrzebowałam przytulenia. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się taka samotna.

Otworzyłam okno i wystawiłam głowę, mrużąc oczy, żeby dojrzeć stojącą w ciemności sylwetkę.

– Ty!

Gdzie były płonące strzały, kotły z wrzątkiem i ze smołą, gdy ich potrzebowałam? Chwyliłam pierwszą rzecz w zasięgu ręki – czyli krawieckiego manekina – i wyrzuciłam go przez okno, celując w Jaya.

Ten uskoczył, a manekin uderzył głową o ziemię.

– Cholera, Peyton! – wrzasnął. – Chcesz mnie zabić?!

– Tak! – syknęłam z wściekłością. – I zamknij się, bo obudzisz moją mamę!

– Musimy porozmawiać o tym, co się stało. Mogę wejść? – Jego sceniczny, donośny szept bez trudu docierał do moich uszu.

– Nie.

– Pozwól mi wyjaśnić!

Rozejrzałam się za kolejnym przedmiotem, którym mogłabym w niego rzucić.

– A jakie słowa mogą wyjaśnić twoje zachowanie, że o usprawiedliwieniu nawet nie wspomnę? – szepnęłam z wściekłością.

– To było niechcący!

– Niechcący?! – zawołałam, zapominając o ściszeniu głosu. – Niechcący to można stłuc wazon albo wpaść na drzewo. Ale pokazywanie całej szkole nagich piersi swojej dziewczyny to celowa podłość!

– Peyton. Tak bardzo cię przeproszam. Nie chciałem tego.

– Nie chciałeś? Byłeś na mnie niezłe wkurzony, więc pod wpływem chwili postanowiłeś się zemścić.

– Nie! To Doug kazał mi to zrobić.

To mnie na chwilę uciszyło.

– Doug?

– Po wczorajszym przedstawieniu dał mi parę wskazówek. Ściągnęłaś mi wtedy koszulę, co bardzo mu się spodobało. Powiedział, że powinienem zrobić dziś to samo.

Czy to mogła być prawda? Pamiętam, że Doug prosił wczoraj Jaya, aby został z nim na chwilę.

– Ale przysięgam, że nie chciałem cię zawstydzić. Wiedziałem, że masz pod koszulką ten czarny top – widziałem go na przymiarkach kostiumów, pamiętasz? Te ramiączka, które ciągle ci spadały? Klnę się na Boga, że nie chciałem go z ciebie zedrzeć, ale musiałem chwycić razem z koszulką.

Opadłam na parapet, uświadamiając sobie prawdę.

– Nie, nie chwyciłeś go razem z koszulką – powiedziałam zdławionym głosem. – Przyszyłam te ramiączka do koszulki, żeby nie spadały, więc kiedy ją chwyciłeś, poleciało wszystko. Nie mogłeś o tym wiedzieć.

– No to chyba mamy wyjaśnienie.

To było nieszczęśliwe zrzędzenie losu, nieporozumienie i błąd w przepływie informacji godny Romea i cholery Julii.

– Czy mogłabyś to wyjaśnić dyrektorowi?

– Słucham? – zapytałam wyrwana z rozmyślań o drugiej parze nieszczęśliwych kochanków. –

Czemu?

– Czemu? Bo zrobił się z tego skandal, Peyton. Rodzice się skarżą, w internecie rozpętała się burza. Boże, powinnaś przeczytać, co o mnie wypisują na Facebooku! Zaraz po przedstawieniu dyrektor zgarnął mnie i Douga do gabinetu. Ciebie też szukał, więc spodziewaj się telefonu. Maglował nas przez bite pół godziny i ustawił na jutro spotkanie z panią Gooding i naszymi rodzicami. Do tego chce zgłosić sprawę na policję. Mówi, że może zechcą sprawdzić, czy nie doszło do napaści na tle seksualnym!

Jezu.

– Wyjaśnię mu, powiem, że to był wypadek, wszystko wytłumaczę. Nie martw się, powiem mu, że to nie była twoja wina.

– Naprawdę mi przykro, że tak się stało, Peyton.

Poczułam, że znowu zaczyna ze mnie uchodzić gniew, jak powietrze z dziurawej opony, i nie czułam się jeszcze gotowa, by odpuścić – to było jedyne, co trzymało mnie w pionie.

– A nie przyszło ci do głowy, aby mnie przynajmniej ostrzec, że zamierzasz zerwać ze mnie ubranie? – zapytałam.

– A tobie?

– Nie, masz rację. – Westchnęłam ciężko. – Ja też powinnam była cię ostrzec. Nie planowałam tego. Po prostu... po prostu dałam się porwać chwili.

– No właśnie... A w ogóle to miałem ci o tym powiedzieć, ale wtedy przyszedł Tim.

– Tak, Tim...

Jay skrzyżował ręce na piersi, wbił wzrok w buty i zamilkł. Zapadła długa, lodowata cisza, która zdawała się coraz bardziej nas od siebie oddalać.

Musiałam mu powiedzieć, że naprawdę mi przykro z powodu zakładu i listy, przeprosić, że mu o nich nie powiedziałam i że został wciągnięty w to dzisiejsze bagno. Otworzyłam usta, ale okazało się, że zbyt długo się wahałam.

– Dobra, to na razie – powiedział chłodno. Odwrócił się na pięcie i odszedł. Siedziałam na parapecie, patrząc, jak znika w ciemności.

Gdzie jesteś, mój Romeo?

Och, cześć, Chloe. Nie wiedziałam, że przysłaś – powiedziała mama, gdy otworzyłam jej drzwi swojego pokoju.

– Dzień dobry, pani Lane. Tak, przynoszę Peyton herbatę i otuchę, bo nie czuje się dziś zbyt dobrze.

Rzuciłam Chloe ostrzegawcze spojrzenie. Nie miałam ochoty dzielić się z mamą opowieścią o wczorajszej katastrofie.

– Co się stało, skarbie? – zapytała mama zmartwionym głosem, patrząc na moje napuchnięte oczy i czerwony nos.

– Chyba rozkłada mnie grypa – skłamałam i od razu zdałam sobie sprawę, że muszę się bardziej postarać, jeśli chcę opuścić te trzy ostatnie dni semestru. – W zasadzie to jestem pewna, że mnie rozkłada. Okropnie się czuję.

I tak naprawdę było.

W pracy też powiedziałam, że jestem chora. Jumping Jim był ulubionym miejscem spotkań dzieciaków z mojej szkoły, więc gdy tylko Tori i Steve usłyszą o tym, co się stało, do końca świata nie dadzą mi spokoju. Jimowi będzie brakować rąk do pracy, ale na szczęście nie na długo – bar był zawsze zamknięty między Wigilią a piątym stycznia.

– Na pewno mam gdzieś schowane jakieś leki przeciwgrypowe – powiedziała mama.

– Nie szukaj. – Każde lekarstwo na grypę, które wpadłoby jej w ręce, na pewno byłoby już dawno przeterminowane. A poza tym na to, co mnie naprawdę męczyło, nikt nie wynalazł lekarstwa.

– Chciałaś coś? – zapytałam.

– Przysłałam się tylko dowiedzieć, jak poszło wczorajsze przedstawienie.

– Dobrze.

– Było boskie! – zawołała entuzjastycznie Chloe, szeroko się uśmiechając. – Wszyscy są pod wrażeniem Peyton. Naprawdę obnażyła się przed publicznością i pokazała całą siebie. To był niesamowity pokaz... – tu zauważyła moje groźne spojrzenie – talentu.

– Ojej! Szkoda, że tego nie widziałam.

– Mogłaś przyjść – powiedziałam, choć cieszyłam się, że jej tam nie było. – Nic cię nie powstrzymywało.

Mama posłała mi spojrzenie zranionej sarenki i wyszła bez słowa.

Przekręciłam klucz w zamku i upiłam kolejny łyk herbaty Chloe. To była specjalna mieszanka ziół i kwiatów, która miała mnie uleczyć ze złamanego serca, ciężkiego żalu, uporczywego gniewu, strasznego upokorzenia i silnego postanowienia, że nigdy już nie wyjdę ze swojego pokoju. Przenigdy.

– To wpadniesz do nas w przyszłym tygodniu na Boże Narodzenie? – zapytała Chloe.

Od momentu przyjścia próbowała oderwać mnie od ponurych myśli o wczorajszym horrorze i pomogła mi wciągnąć manekina z powrotem do pokoju. Stał teraz w kącie, a jego wgnieciona, ubłocona głowa przypominała milcząco o wszystkim, co mi się w życiu nie ułożyło.

– Co ty na to? Będzie indyk i cała reszta.

Bardzo mnie kusilo, żeby spędzić święta z nią i jej rodziną, ale myśl o zamkniętej w swoim pokoju mamie oglądającej w samotności powtórki *Tego wspaniałego życia* przy jakimś daniu z mikrofalówki wlała łyżkę wyrzutów sumienia w moją jątrzącą się w sercu ranę. Dopiłam herbatę – może napar Chloe łagodzi też poczucie winy.

– Dzięki, ale wolałabym spędzić święta z mamą.

W ten sposób przynajmniej będziemy we dwie oglądać te powtórki i jeść odgrzewane posiłki, najpewniej pod plastikowym transparentem z napisem „Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku!”.

– Hej, przez te dramaty zapomniałam podzielić się z tobą dobrą nowiną! – Twarz Chloe rozjaśniła się z podekscytowania. – Zgadnij co!

– Co?

– Przyjęli mnie do Johnsa Hopkinsa!

Zapisałam z radości i ją przytuliłam.

– To wspaniale! Moje gratulacje! Tak się cieszę, taka jestem z ciebie dumna!

– No, ja też skaczę z radości. Ale i tak będę za tobą tęsknić, jeśli pójdziesz do tej nowojorskiej szkoły projektowania. Jak ci z tym idzie?

– Nieźle. Do trzeciego stycznia muszę złożyć podanie o przyjęcie, a dwa tygodnie później portfolio i podanie o stypendium. Projekty już skończyłam. – Wskazałam na plik szkiców z przyklejonymi tapetowymi strojami. – Odkładałam na materiały dobrej jakości, nie mogę przecież ryzykować pokazania komisji jakiejś nędzy, a ferie spędzę na szyciu pełnowymiarowych egzemplarzy.

– Brzmi dobrze. Oderwie cię to od myślenia o Wielkim Pokazie.

Jęknęłam.

– Nie przypominaj mi!

– Ups! – Uśmiechnęła się do mnie przepraszająco. – Ale skoro już przypomniałam, to musimy o czymś porozmawiać. – Nalała mi kolejną filiżankę herbaty. – A więc co do wczorajszego wieczoru, to... wszyscy o tym gadają, piszą i publikują na Facebooku.

– O „tym”, czyli?...

– O Aferze Cyckowej.

Rzuciłam się na łóżko.

– A mówiąc „wszyscy” – ciągnęła – mam na myśli całe nasze kochane liceum. Oprócz Jaya. Od publikacji posta na swoim Facebooku z wyjaśnieniami, że to był wypadek, milczy jak zakłęty.

Ja też nie dostałam od niego żadnej wiadomości od czasu naszej wczorajszej rozmowy, ale nie liczyłam, że się odezwie. Mieliśmy sobie albo zbyt dużo do powiedzenia, albo w ogóle nic. Najwyraźniej stwierdził, że to, co zrobiłam, jest powodem do zerwania, a ja wciąż cierpiałam po porzuceniu. Tak więc ferie spędzę nie tylko na szyciu, ale i na sklejananiu złamanego serca.

– Twoje posty oczywiście widziałam. – Chloe spojrzała na mnie z aprobatą i poklepała po plecach. – Postąpiłaś słusznie.

Po komentarzu Jaya na temat Facebooka zalogowałam się, żeby sprawdzić rozmiary zniszczeń. To było straszne. Ludzie nazywali go seksualnym drapieżnikiem, którego powinno się wyrzucić ze szkoły albo gorzej, a mnie zdziwiła, która pokazała wszystkim cycki. Lada chwila spodziewałam się pod domem tłumu wieśniaków z widłami i pochodniami.

Napisałam post z wyjaśnieniami, że to był wypadek, opisując wszystkie szczegóły techniczne, które mu towarzyszyły, i prosząc wszystkich, żeby przestali pastwić się nad Jayem, bo to w żadnym wypadku nie była jego wina. Opublikowałam ten tekst na naszych profilach na Facebooku, Twitterze, Instagramie, Snapchacie, Tumblr i wszystkich grupach na WhatsAppie, do których należałam, po czym odcięłam się zupełnie od mediów społecznościowych, wyłączyłam komputer, a z telefonu skasowałam wszystkie aplikacje.

– Czy widziałaś albo słyszałaś coś o mojej... sytuacji w domu? – zapytałam, umierając ze strachu.

– Nic a nic.

Odetchnęłam z ulgą.

– Ale Brooke wrzuciła na Instagramie twoją rysunkową karykaturę.

– Gdy już zostanę królową świata, wyjmę spod prawa wszystkie media społecznościowe – powiedziałam, uderzając pięścią w poduszkę.

– I ma pod nią prawie siedemset lajków – dodała Chloe, wyraźnie pod wrażeniem.

– Mogę już umrzeć?

– Jesteś teraz memem.

– Już zrozumiałam, nie musisz się zagłębiać w szczegóły! – wrzasnęłam, rzucając w nią poduszkę. – Wiesz, co jeszcze zrobię w ferie? Uszyję laleczkę voodoo z czarnymi ustami i włosami Tori i powbijam w nią szpilki! Tim też podzieli jej los.

– No, nieźle cię załatwiła.
– I to z powodu jakiegoś zakładu! Żeby tak mnie upokorzyć dla paru dolarów...
– Słuchaj, masz teraz swoje pięć minut sławy. Za jakiś dzień albo dwa goryl wygra *Mam talent!* albo którejś Kardashiance eksploduje tyłek i wszyscy zapomną o twoim biuście.

Gdybym tylko mogła w to uwierzyć!

– A teraz coś na poprawę humoru...

– Tak? A co?

– To naprawdę niewiarygodne, ale cały poranek przeglądałam internetowe grupy i nie natknęłam się na ani jedno zdjęcie twojego biustu. Nigdzie.

– Serio? – To naprawdę były dobre wieści.

– Serio. Pewnie któryś z nauczycieli skonfiskował nagranie, zanim Sanjay zdążył je skopiować i rozesłać. Tak więc może i każdy o tym gada, ale nikt niczego nie ogląda. I żaden zboczeniec nie będzie się ślinił ani... wiesz co... przy fotkach twoich piersi.

Znowu jęknęłam.

– Nie mam pojęcia, jak ja wszystkim spojrzę w oczy. – Gdy tylko pomyślałam o szkole, o komentarzach i docinkach, które będę musiała znosić, zebrało mi się na wymioty. – Umrę ze wstydu.

– Od tego się chyba nie umiera – powiedziała Chloe.

Nagle zadzwonił jej telefon. Odebrała, zrobiła zdziwioną minę i oddała mi aparat.

– To twój tata. Chce z tobą rozmawiać.

– Tata?

– Czemu nie odbierasz swojego telefonu? – zapytał głos w słuchawce. – Od rana próbuję się do ciebie dodzwonić.

Wyłączyłam go wczoraj w nocy razem z pocztą głosową, pragnąc tylko zaszyć się w swojej czarnej dziurze.

– Telefon stacjonarny jest głuchy, a kiedy dzwonię na komórkę matki, słyszę, że abonent jest czasowo niedostępny.

Pewnie nie zapłaciła rachunku. A co do telefonu stacjonarnego, to został odłączony całe wieki temu.

– Przepraszam, tato, miałam wyłączoną komórkę.

– O co chodzi z tą sprawą, że jakiś chłopak rozebrał cię do naga na oczach całej szkoły?

Matko święta. Złe wieści szybko się rozchodzą. I daleko.

– Nie byłam naga, tylko zostałam bez bluzki. Przez przypadek.

Opowiedziałam mu całą historię, ale gdy znowu się odezwał, nie brzmiał na uspokojonego.

– No cóż, cała szkoła aż huczy. Rano dzwonił do mnie dyrektor. Powiedział, że nie mógł się dobić do twojej matki.

– Wszystko mu wyjaśnię. Pójdę do niego jutro po południu. – Późnym popołudniem, gdy większość dzieciaków zdąży opuścić szkołę.

– Już się z nim umówiłem na dzisiaj, na trzecią trzydzieści. Podjadę po ciebie i razem do niego pójdziemy.

– Przyjeżdżasz? Dzisiaj? Spotkać się z dyrektorem mojej szkoły? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Peyton, jesteś moją córką. Oczywiście, że przyjeżdżam. To poważna sprawa. Chcę ci pomóc, jak tylko mogę.

Łał.

– Wszystko w porządku? – zapytał łagodnie.

Nie.

– Tak, tylko trochę najadłam się wstydu, to wszystko.

– Jeśli chcesz, to możemy załatwić ci psychologa.

– Nie, wszystko gra, naprawdę.

– W każdym razie pomyśl o tym. A jeśli będziesz się chciała wyrwać na trochę z miasta, to

możesz do nas przyjechać, wystarczy słowo. Nasze drzwi stoją przed tobą otworem.

– Okeeej.

– A my widzimy się dziś po południu. Może po spotkaniu z dyrektorem pójdziemy coś zjeść, porozmawiamy o sprawie i nadrobimy trochę zaległości?

– Jasne, to by było... – niecodzienne? bezprecedensowe? – miłe.

Mój tata nigdy się tak nie zachowywał, ale może kolejne dziecko obudziło w nim od lat uspiomy instynkt ojcowski. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, choć to było dość miłe.

– To do zobaczenia kwadrans po trzeciej.

– Będę czekać. I... tato? Dzięki.

– Nie ma sprawy, księżniczko.

– Co mówił? – zapytała Chloe, gdy oddałam jej telefon. – Wyglądasz, jakbyś była w szoku.

– Mój tata zrobił się... opiekuńczy. – Inaczej nie dało się tego określić.

– To super. Najwyższa pora – odparła Chloe.

Gdy umyłyśmy i schowałyśmy filizanki, wróciła do tematu szkoły.

– To kiedy wracasz?

– Nie w tym semestrze. Może nigdy.

– Musisz wrócić. Nie masz wyboru. Ale możesz zadecydować, jak wrócić.

Zaczęłam obgryzać paznokcie, ale się nie odezwałam, ciekawa, co powie dalej.

– Jeśli chcesz, możesz wrócić jako ofiara, ze spuszczoną głową i ogonem podkulonym między swoimi długimi nogami, zachowując się, jakbyś miała się czego wstydić.

– Bo tak jest! – przerwałam jej.

– Wcale nie. Nie zrobiłaś nic złego. A w każdym razie – przerwała, jakby zastanowiła się nad tym, co właśnie powiedziała – nie zrobiłaś nic złego w kwestii awarii kostiumu. Ale jeśli będziesz się zachowywała, jakby to była twoja wina, zołzy i łobuzy rozszarpną cię na strzępy.

– Racja. – Mogłam to sobie wyobrazić aż za dobrze.

– Albo – ciągnęła Chloe – możesz wrócić jako królowa.

– Słucham?

– Z podniesioną głową, wyprostowana i dumna. Jasne, że znajdą się palanty, które będą się nabijać. Żartownisie będą żartować, a hejterzy hejtować.

– Próbujesz mnie nakłonić, żebym się z tego otrząsnęła?

– Hej, Taylor Swift miała rację w jednej piosence. Nikt nie jest w stanie cię zawstydić, jeśli mu w tym nie pomożesz, więc musisz podejść do tego z poczuciem humoru albo przynajmniej udawać. Śmieję się razem z nimi, a zazdrość przyjmuję z uśmiechem.

Zaskoczona, uniosłam brwi.

– Zazdrość?

– Droga koleżanko, masz piękny biust. I teraz wszyscy o tym wiedzą.

Uśmiechnęłam się.

– Ja to widzę tak, że teraz może być tylko lepiej. Większego wstydu już się nie najesz, no nie? – powiedziała.

Pociągnęłam nosem i skinęłam ponuro głową, wciąż się nad sobą litując.

– Przestań się chować w skorupie! – Chloe zaczynała tracić cierpliwość. – Nigdy nie byłaś niewidzialna i żadne garbienie się nic tu nie pomoże. Dla twojej informacji: masz ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. A teraz gdy wszyscy zobaczyli cię topless, równie dobrze możesz im się pokazać cała – taka, jaka naprawdę jesteś. I zrób im piekło! Przestań przejmować się drwinami z Afery Cyckowej czy z twojego wzrostu. Zaczynaj im oddawać. Pora się wyprostować, Peyton. Pora zacząć ćwiczyć do roli królowej świata.

Chloe miała rację. Przetrawienie tego zajęło mi większość ferii, ale pierwszego dnia nowego semestru byłam już gotowa stawić czoło wrogowi i się śmiać. Nie, wróć. Nie byłam gotowa. W ogóle. Ale byłam zdeterminowana.

Nie chcąc ryzykować, że nagle dostanę cykora i ucieknę, Chloe przyszła po mnie tego mroźnego poniedziałkowego poranka i siłą zaprowadziła na przystanek autobusowy, przez całą drogę serwując mi mowę motywacyjną.

– Powtarzaj za mną: dam radę! – nakazała.

– Dam radę – powiedziałam, choć płatanina rozedrganych nerwów w okolicy żołądka miała na ten temat odmienne zdanie.

– Głowa do góry, łopatki do tyłu, wypnij pierś. – Szturchnęła mnie w wyżej wymienione części ciała. – I dobra mina do złej gry!

Próbowałam jej posłuchać, ale gdy zobaczyłam zbliżający się żółty autobus wulgarnych obelg i prymitywnych podśmiejek, prawie rzuciłam się do ucieczki.

– Chyba nie dam rady, Chloe – jęknęłam płaczliwie, zaciskając palce na swoim podróżnym kubku.

– Nie bądź śmieszna, Lane! Jesteś aktorką, tak czy nie? To tylko kolejna rola. Udawaj, aż nie wejdzie ci w krew.

– Ale nie znam żadnych kwestii. Nie wiem, co mówić – marudziłam.

– No to pomyśl sobie, że to ta, no... Jak to się nazywa... Kiedy się wymyśla tekst na bieżąco...

Impertynencja?

– Improwizacja?

– Właśnie. Nie musisz znać tekstu, wystarczy, że wejdiesz w rolę, a postać sama będzie ci podsuwać kwestie – powiedziała Chloe, kiedy podjechał autobus.

Gdybym nie musiała być sobą, może dałabym radę to zrobić.

– Po prostu bądź kimś wyluzowanym i wyszczekanym, jak Rebel Wilson albo Ellen DeGeneres.

– Jesteś genialna! – powiedziałam do jej pleców, gdy wsiadałyśmy.

Rzuciła mi szybki uśmiech.

– Na miejsca, kamera, akcja!

Wyprostowałam się, wzięłam głęboki oddech i weszłam za nią.

Jakąs sekundę później się zaczęło – wiwaty, gwizdy i pokrzykiwania ze strony chłopców; chichoty, złośliwe komentarze i krytyczne spojrzenia ze strony dziewczyn. Nie wiedziałam, jak się zachować.

Ale Ellen wiedziała.

Uśmiechnęłam się szeroko, mrugnęłam ostentacyjnie i zrobiłam głęboki, teatralny ukłon, kręcąc zamasyście ręką. Potem się wyprostowałam, przycisnęłam kubek do piersi jak laureatka Oscara i powiedziałam:

– Chciałabym szczególnie podziękować reżyserowi i garderobianej, bez których to by się nigdy nie udało. Dziękuję wszystkim!

Kierowca powiedział, żebym przestała się wygłupiać i usiadła, ale większość dzieciaków roześmiała się i zaczęła bić brawo.

Chloe posłała mi pełen aprobaty uśmiech i powiedziała bezgłośnie: „Bomba!”

Gdy szłyśmy do naszych standardowych miejsc, przyszczaty maturzysta o imieniu Dave pogładził się po wymagowanych piersiach i zawołał:

– Bardzo mi się podobał pokaz twoich melonów, Wielka P.

– Miło mi to słyszeć, Mały D. – odparła moja wewnętrzna Ellen. – Bo możesz się tylko oblizać i obejść smakiem.

– Trafiony, zatopiony! – zachichotała siedząca obok niego dziewczyna.

Usiadłyśmy – Chloe przy oknie, a ja jak zwykle obok przejściu – i z zaskoczeniem zauważyłam, że większość dzieciaków już wraca do swoich telefonów i rozmów z przyjaciółmi.

Ale nie Brooke.

– Hej, Peyton, tylko nie zdejmuj bluzki. Nie musisz znowu nam wszystkiego pokazywać! – zawołała do mnie z tyłu, dwa rzędy dalej.

Przekręciłam się na siedzeniu i spojrzałam jej w oczy.

– Czemu nie?

– Właśnie, czemu nie? – zapytał siedzący tuż za mną Will, świeżak, którego poznałyśmy pierwszego dnia szkoły. – Ja tam bym z chęcią zobaczył powtórkę.

Brooke odebrało na chwilę mowę.

– Czemu? Bo to obrzydliwe.

– Heeej – wtrącił chłopak siedzący po drugiej stronie. – Tych dwóch piękności nie można nazwać obrzydliwymi, Brooke. Osobiście uważam, że są genialne.

Brooke puściła tę uwagę mimo uszu.

– I kto by je chciał oglądać?

Will, wszyscy siedzący obok panowie i jedna przysłuchująca się rozmowie dziewczyna podnieśli ręce. Zajmujący miejsce obok Brooke chłopak, z którym chyba chodziła, też próbował unieść rękę, ale chwyciła go za nią i przytrzymała.

– Och, zamknijcie się wszyscy – warknęła.

– Wygląda na to, że boisz się konkurencji – odparowałam, kiwając głową w stronę jej wydekoltowanego biustu. – Ktoś tu chyba komuś pozazdrościł.

– Ciekawe czego! – odgryzła się, ale z zadowoleniem zobaczyłam, jak czerwienieje.

Odwróciłam się i posłałam Chloe spojrzenie pod tytułem „i jak mi idzie?”.

– Rządzisz! – powiedziała z szerokim uśmiechem.

Temat biustu został wyczerpany, przynajmniej do końca drogi, ale gdy tylko stanęliśmy przed szkołą i wyszliśmy z autobusu, dogonił mnie chłopak Brooke, którego najwyraźniej na mnie napuściła.

– Jaka dziś pogoda w chmurach, Wielki Ptaku? Gdy ostatni raz widziałem cię w całej okazałości, musiało być ci trochę chłodno – powiedział, gapiąc się znacząco na moje piersi.

– Cudowna. A jaka pogoda w Shire, Bilbo? – zapytałam słodko, patrząc na niego z góry.

Słyszając to, Chloe głośno zachichotała.

– Dziewczyno, ale ogień!

Parę osób zasadziło się na mnie w szkole, ale moja wewnętrzna Ellen rozkręciła się już na dobre.

Gdy jakiś drugoklasista, z którym nigdy nawet nie rozmawiałam, krzyknął za mną prymitywnie: „Julia, pokaż cycki!”, w odpowiedzi zawołałam głośno: „Ale ty pierwszy!”.

Wyszło trochę bardziej złośliwie niż zamierzałam; ten chłopak był naprawdę otyły i miał piersi dwa razy większe od moich.

– Stworzyłam potwora – orzekła Chloe, posyłając mi zszokowane spojrzenie.

– Hej, jeśli nie umie wziąć na klatę riposty, to nie powinien się odzywać – odparłam prowokacyjnie, choć poczułam się podle.

– Oho. – Chloe wskazała głową w kierunku małego tłumu, który zgromadził się wokół mojej szafki. Sądząc po przepychankach i chichotach, czekało na mnie coś paskudnego.

I rzeczywiście; gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że ktoś przypiął do jej drzwiczek moją karykaturę z ogromnymi nagimi piersiami i sterczącymi sutkami. Rysunek był zatytułowany: „Niegrzeczna Peyton i jej jędrne melony”.

Rozchichotany tłumek czekał na moją reakcję. Część mnie – ta zgnębiona – chciała po prostu zerwać rysunek, zmiąć go w kulę i wetknąć komuś do gardła, najlepiej Zackowi, który stał tuż przed nim i dawał głupie przedstawienie, udając, że umiera z pożądania na widok piersi rysunkowej Peyton. Ale byłam na to przygotowana.

Rozmawiałyśmy z Chloe o różnego rodzaju szyderstwach, jakie mogą mnie spotkać, i obie stwierdziłyśmy, że ktoś na pewno zawiesi gdzieś w szkole rysunek mnie z nagimi piersiami, chociaż

obstawialiśmy tablicę ogłoszeń albo klatkę schodową. Zrobiliśmy burzę mózgów, próbując wymyślić, jak powinnam na to zareagować, więc teraz uśmiechnęłam się przebiegle, wyjęłam z plecaka czerwonego markera i naniosłam na szkic kilka poprawek. Gdy skończyłam, sutki rysunkowej Peyton zakryte były gwizdkami, z których zwisały pomponiki, a nad jej głową widniał dymek z napisem: „Jak masz, to pokaż!”.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, ale bardziej pogodnym niż złośliwym.

Zack spojrzał na mnie z podziwem i skinął głową.

– Zaimponowałaś mi, dziewczyno. Zero wstydu, zero strachu! Szacun.

„Zero wstydu, zero strachu” to lekka przesada, ale rzeczywiście byłam z siebie dumna. Przed tym publicznym upokorzeniem denerwowałam się i czerwieniłam, słysząc jakikolwiek komentarz na temat mojego wyglądu, a zwłaszcza wzrostu, lecz teraz śmiałam się z nich, puszczałam mimo uszu albo rzucałam cięte riposty. Szczerze mówiąc, sama się dziwiłam, że ta strategia tak dobrze się sprawdzała. A co jeszcze bardziej zdumiewające, naprawdę dobrze się przy tym bawiłam. Miło było – nie, inaczej: wspaniale było – odpowiadać ciosem na cios.

Czemu nigdy wcześniej tego nie próbowałam?

W miarę upływu dnia pojawiało się coraz mniej komentarzy i żarcików. Nie uszło jednak mojej uwadze, że dwóch osobników w ogóle nie zauważało ani mojego biustu, ani całej reszty mnie.

Tim widział wściekłe spojrzenie, jakie posłałam mu na historii, i do końca dnia omijał mnie szerokim łukiem, a nawet uciekł w popłochu, gdy zobaczył, jak idę korytarzem w jego stronę. Z rozczarowaniem dostrzegłam, że nie ma na nogach gipsu ani nawet nie kuleje.

– Najwidoczniej nie skopałam go wystarczająco mocno – powiedziałam Chloe.

Jay też mnie unikał. Mieliśmy tylko jedno strasznie niezręczne spotkanie, gdy oboje w tym samym czasie podeszliśmy do naszych szafek. Moje głupie serce zapomniało, że zostało połamane na drobne kawałeczki, których nie dało się posklejać, i odżyło, zaczynając bić szaleńczo, jak zawsze w jego obecności.

– Peyton – powiedział grzecznym tonem, ale jego wzrok był pusty i ostry.

– Jay.

– Dzięki za wyprostowanie sprawy u dyrektora i pani Gooding – rzucił.

– Nie ma za co.

Tupet Ellen wyparował, a na wierzch wypłynęły wyrzuty sumienia oraz cały mój ból, gniew i gorycz. Wbiłam wzrok w jeden z jego piegów, dopóki nie przelknęłam napływających do oczu łez. Miałam swoją dumę. Nie usłyszy w moim głosie smutku i samotności, a ja nie będę błagała. Nie pierwszy raz ktoś mnie rzuca albo zostawia – do diabła, całe życie sobie z tym radziłam. Najdziwniejsze i najbardziej niewiarygodne nie było to, że Jay mnie porzucił, ale że w ogóle chciał ze mną być.

Gdy zauważył rysunek na drzwiczkach mojej szafki, na sekundę na jego twarzy pojawiło się zmieszanie. Rzucił mi jednak tylko szybkie spojrzenie, odwrócił się i odszedł. Potem tak rzadko go widziałam, że zaczęłam się zastanawiać, czy tym razem to on nie zamówił u Tima raportu na mój temat – wyłącznie żeby mnie unikać.

Na angielskim i psychologii nawet na siebie nie patrzyliśmy, ale byłoby nieprawdą, gdybym powiedziała, że się ignorowaliśmy. Trzeba być naprawdę świadomym czyjeś obecności, żeby nawet nie zerknąć w kierunku tej osoby, postarać się nie być uczniem rozdającym zadania w jej części sali, pilnować, żeby nie pobiec wzrokiem w jej stronę czy nie rozpromienić się, gdy przez przypadek wasze spojrzenia się spotkają, a także uważać, aby nie wejść i nie wyjść razem z klasy.

Oboje z Jayem odegraliśmy swoje role perfekcyjnie, z pełną opanowania obojętnością.

Pomagało mi to, że przynajmniej część mojego umysłu martwiła się sprawą zakładu. Chociaż był dopiero pierwszy dzień po feriach, nagle perspektywa balu maturalnego przestała wydawać się taka odległa. Na Liście Wysokich Chłopców zostało już tylko jedno nazwisko i jeśli chciałam wygrać ten cholerny zakład, musiałam natychmiast zakasać rękawy. A bardzo chciałam wygrać.

Po pierwsze, jeszcze bardziej niż poprzednio pragnęłam udowodnić coś Tori, a po drugie, nie mogłam stracić ani centa. No i potrzebowałam tych ośmiuset dolarów, żeby podreperować fundusz na studia, który został poważnie nadszarpnięty koniecznością zapłacenia rachunków za prąd, a będzie nadszarpnięty jeszcze bardziej przez zakupy, jakie zaplanowałam na następne popołudnie. Zrobiłam długą listę rzeczy, których będę potrzebować: piętnaście różnych rodzajów tkanin z niemi w tym samym kolorze, gumki do kapeluszy, szelki, taśmę lamówkową oraz całą masę różnych zapięć i ozdobnych detali. To będzie kosztowało małą fortunę.

Gdy tylko rozległ się ostatni dzwonek, wybiegłam z matmy i ruszyłam w stronę schodów. Chloe dołączyła do mnie kilka minut później i razem przeczesywałyśmy tłum wychodzących uczniów w poszukiwaniu Roberta Scotta.

– To on! – Wiedziałam, jak wygląda, bo grał w szkolnej drużynie footballowej. Na pewno okaże się kolejnym nudnym mięśniakiem, ale z braku laku dobry kit.

– Hej, Robert? Robert, tutaj! – Przywołałam go gestem w bardziej ustronne miejsce.

– Jest całkiem przystojny – stwierdziła Chloe.

Nie dorastał Jayowi do pięt, ale tak, był przystojny. I młodszy – chodził do trzeciej klasy, a wyglądał na drugą. Poczułam się przy nim trochę staro.

– Sama bym się za niego wzięła, gdyby nie to, że chodząc z nim, miałabym ciągle skurcze w karku – powiedziała Chloe, zadzierając coraz bardziej głowę, w miarę jak Robert się do nas zbliżał. Zmarszczył brwi, a w jego jasnoniebieskich oczach pojawiła się konsternacja.

– Eee... Cześć. – Nagle go olśniło. – Hej, ja cię znam. To ty jesteś tą dziewczyną, która...

– Tak, to ja. Słuchaj, chciałam cię zapytać, czy nie miałbyś ochoty gdzieś razem wyskoczyć?

– Z tobą? – Wyglądał na zaskoczonego, ale oni wszyscy tak reagowali. Zupełnie jakby nigdy nie widzieli we mnie dziewczyny. – Jakby na randkę?

– Dokładnie na randkę.

– Eee... Okeeej. Kiedy?

– A co robisz dziś wieczorem?

– Dziś wieczorem? – zapiszczał. O rany, nie przeszedł jeszcze do końca mutacji. Znowu poczułam się bardzo staro.

– Tak, masz już jakieś plany?

– Praca domowa z chemii?

– Okej – powiedziałam. – Znasz bar Jumping Jim's Diner? Spotkajmy się tam o szóstej.

– Dobra, w porządku.

– Czy to twoje nowe podejście do chłopców? Odciągnąć od stada i przegryźć gardło? – zapytała Chloe, gdy zostawiłyśmy Roberta i poszłyśmy do autobusu.

– Jest moją ostatnią szansą na wygranie tych ośmiuset dolców – powiedziałam stanowczo. – Nie mogę pozwolić mu uciec.

Tego wieczoru zjawiłam się w barze dziesięć minut przed czasem i natychmiast pożałowałam. Steve i Tori, którzy akurat mieli zmianę, podbiegli do mnie, gdy wieszałam kurtkę, i od razu zaczęli mi dogryzać.

– Jesteś podłą oszustką – przerwałam Tori – ale nie wygrasz tego zakładu.

– Zobaczmy – odparła z zadowolonym uśmiechem. – To co, rzucasz tę robotę i zatrudniasz się w barze ze striptizem?

Steve zachichotał.

– Nieee, nie przyjęliby jej. Podobno mają ograniczenia co do wzrostu kandydatek, bo nie chcą olbrzymek.

Stałam tuż przed Steve'em, żeby spojrzeć na niego z góry, i posłałam mu chłodny uśmiech.

– Przepraszam, nie mówię po karzełkowemu – odparowałam. – Co tam mruczysz, knypku?

Słyszając to, nawet Tori się zaśmiała.

– Chcę stół w cichym miejscu – powiedziałam, ruszając do jednego z boksów.

– A co? Kolejna randka? – zapytała Tori.

– Tak. Robert Scott, metr dziewięćdziesiąt dwa. Randka numer jeden.

– Wpiszę na listę. A tak przy okazji: co się stało z Jayem Youngiem?

– Nigdy nie był na twojej liście – przypomniałam jej i pomachałam Robertowi, który właśnie wszedł.

– Fajna koszulka – powiedział, gdy siadaliśmy w jednym z boksów.

Miałam na sobie podkoszulek, który dostałam od Chloe na Gwiazdkę. Był jasnoczerwony z dużym czarnym napisem z przodu:

Tak, jestem wysoka.

Dwa metry pięć centymetrów. Serio.

Nie, nie gram w kosza.

Nie, nie jestem modelką.

Tu na górze pogoda jest cudowna.

Cieszę się, że sobie porozmawialiśmy.

– Dzięki. To może zamówimy coś do picia?

Miałam małe *déjà vu* z powodu randek z innymi wysokimi chłopakami, których tu przyprowadzałam, ale dostałam już nauczkę i byłam zdecydowana, że tym razem będzie inaczej.

Gdy tylko Robert dostał swoją colę, a ja koktajl czekoladowy, powiedziałam:

– Słuchaj, chcę od razu postawić sprawę jasno. To randka. To znaczy bez dwóch zdań jesteśmy na randce, ale...

– Tak? – zapytał nieufnie.

– Oto cała prawda: robię to tylko dla zakładu, a nie dlatego, że się w tobie podkochuję czy coś.

Co dziwne, wyglądał, jakby mu ulżyło. Czyżbym aż tak go wcześniej przestraszyła swoją stanowczością?

– Dla zakładu?

Wskazałam brodą w stronę Tori i Steve'a, którzy stali i się nam przyglądali, i wyjaśniłam mu warunki zakładu.

– Po prostu nie chcę między nami nieporozumień ani zranionych uczuć – zakończyłam. – To znaczy nie obraż się czy coś, ale nie zamierzam się w tobie zakochać.

Nie chciałam się już nigdy w nikim zakochać.

Robert odetchnął głęboko i się uśmiechnął.

– Nawet nie wiesz, jak mnie to cieszy.

– Dzięki – powiedziałam sarkastycznie.

– Nie, nie, nie to miałem na myśli. Na pewno jesteś wspaniałą osobą i w ogóle. Jesteś ładna, a twoje – zamachnął sobie ręką wokół klatki piersiowej – są naprawdę bombowe. Ale też mi się nie podobasz.

– To nam chyba ułatwi sprawę. Tylko czemu zgodziłeś się na randkę z kimś, kto ci się nie podoba?

– Myślę, że uda nam się zawrzeć umowę korzystną dla obu stron. – Na jego twarzy pojawił się przebiegły wyraz.

– Nie stać mnie, żeby ci zapłacić – powiedziałam od razu.

– Nie mówię o pieniądzach. – Wyglądał na obrażonego. – Pójdę z tobą na trzy randki i bal maturalny, a ty będziesz moją przykrywką. Każde z nas wyjdziemy na swoje.

– Zaraz, czekaj... Mam być twoim czym?

Robert pochylił się nad stolikiem i szepnął:

– Umiesz dochować tajemnicy?

Rob, jestem mistrzynią świata w dochowywaniu tajemnic.

– Pytam, bo nikt nie może się dowiedzieć, Peyton. Nikt!

– Przysięgam, że nikomu nie powiem. – Położyłam rękę na sercu.

Wciąż był nieufny.

– Udowodnij.

– Jak?

– Wyjaw mi jakiś swój sekret. Coś dużego.

– Nie ma mowy! – powiedziałam z marszu.

– Tak będzie fair. W ten sposób oboje będziemy mieli haka na drugie. Dwie bomby atomowe.

Czy przejdzie mi to przez gardło?

– Ty pierwszy – powiedziałam.

– Nie, ty pierwsza.

Co było trudniejsze – zaufanie komuś czy ukrywanie tajemnic przez całe życie i pozwalanie, by izolowały mnie od innych?

– Razem – powiedziałam, zanim miałam szansę zmienić zdanie. – Na trzy. Raz, dwa...

– Jestem gejem!

– Moja mama jest zbieraczką!

– Twoja mama jest praczką? – zapytał zdumiony.

– Zbieraczką – powtórzyłam wyraźniej. – Zbiera śmieci.

– Och. Widziałem to w telewizji. Rany...

– To jesteś gejem, tak?

– Jestem czarną, a właściwie tęczową owcą w rodzinie. Moi rodzice nie są zbyt tolerancyjni.

Gdyby ojciec się dowiedział, to by się mnie wyrzekł. O chłopakach z drużyny nawet nie wspomnę. Już i tak mam wystarczająco ciężkie życie, Peyton. Potrafisz to zrozumieć?

– O tak, nie masz pojęcia, jak dobrze.

– Na razie się nie ujawniam.

Zaśmiałam się i potrząsnęłam głową. Rob też nie pasował do swojej rodziny. Też ukrywał duży sekret. I jak ja nie czuł się dobrze we własnej skórze. Czyżbyśmy wszyscy tak mieli? Czy wszyscy czuliśmy się jak odmieńcy?

– I naprawdę nikt nie wie? – dopytywałam. – Oprócz mnie?

– Jest ktoś jeszcze, taki jeden chłopak.

– Dla twojego dobra mam nadzieję, że to nie Tim.

– Czemu? – zapytał, nagle zdenerwowany.

– Nic mu nigdy nie mów, chyba że chcesz, aby to wyszło na jaw. Wierz mi – powiedziałam. –

Wypaplałby nawet tajemnice podziemnego kręgu – dodałam z goryczą.

Rob skinął głową.

– To co, umowa stoi? Pójdziemy na trzy randki i bal maturalny: starzy będą zadowoleni, podejrzenia pójdą w kąt, a ty wygrasz swój zakład.

– Stoi! – Uścisnęliśmy sobie ręce. Poszło lepiej, niż się spodziewałam. Miałam załatwione wszystkie randki i nie musiałam kłamać ani udawać. Nagle w mojej głowie pojawiła się niepokojąca myśl.

– I na pewno zostajesz tu do balu? Nie wyjeżdżasz do żadnej Szwajcarii ani nic?

– Czemu miałbym wyjeżdżać do Szwajcarii?

– Boska częśćka – powiedziałam ponuro.

– Jesteś trochę stuknięta, wiesz? Ale to mi się podoba. Przynajmniej randki nie będą nudne.

Nie słuchałam go. Miałam już te pieniądze w kieszeni – prawie – i teraz pogrążyłam się w marzeniach o szkole projektowania.

Z tej euforii całą drogę powrotną do domu przebiegłam. Nowy Jorku, nadchodzę!

Opróżniłam skrzynkę na listy i wdrapałam się do pokoju po drabince w tak dobrym nastroju, w jakim nie byłam już od bardzo dawna. Zaczęłam planować jutrzejsze zakupy: najpierw Debois Textiles, gdzie wpadł mi w oko piękny czarny aksamit, a potem Buttons & Bling, gdzie zaopatrzę się w większość dodatków, w tym kilka pagonów z mosiężnymi cekinami.

Przejrzałam pocztę, ulotki od razu wyrzuciłam do kosza i odłożyłam list do taty – po dziesięciu latach od jego odejścia wciąż przychodziło tu czasami coś do niego. Kartka pocztowa z banku krwi przypomniła mi, że najwyższa pora złożyć tam wizytę. Wpisałam termin do kalendarza na telefonie i wyrzuciłam kartkę, myśląc o krwistoczerwonej satynie, z której chciałam uszyć podszewkę do żakietu na oficjalne okazje.

Ostatni list, w płożożółtej kopercie, w górnym rogu był opatrzony stemplem stanu Maryland. Gdy tylko to zobaczyłam, zanim jeszcze dostrzegłam różową pieczętkę z napisem „Wezwanie” w przeciwnym rogu, ścisnęło mnie w żołądku i załała mnie fala przerażenia. To nie mogło być nic dobrego.

Drżącymi rękami rozerwałam kopertę i przebiegłam spanikowanym wzrokiem po drukowanym tekście. „Wywóz śmieci”, „podatek od nieruchomości”, „ochrona jakości wody” – większości nie rozumiałam, ale trzy zwroty tłustym drukiem były jasne nawet dla mnie: „całkowita kwota należności”, „kara za zwłokę” i „płatne do”.

Z głębi trzewi wyrwał mi się niepohamowany ryk wściekłości i udręki. A potem kolejny.

Minutę później do moich drzwi zaczęła walić mama.

– Peyton! Peyton, nic ci nie jest?!

Przekręciłam klucz i szarpnęłam klamką, otwierając drzwi na oścież.

Z przerażenia była biała jak ściana.

– O co chodzi?

– O ciebie! – warknęłam. – O ciebie chodzi!

Rzuciłam w nią wezwaniem skarbowym i odsunęłam się z obawy, że jeśli będę stała zbyt blisko, to ją uderzę.

Wbiła wzrok w wezwanie.

– O Boże – szepnęła.

– Kolejna opłata, której nie zrobiłaś. I kolejna kara za zwłokę.

Zacisnęła usta.

– Do tego założę się, że nie zapłaciłaś, bo wyczyściłaś wszystkie karty kredytowe podczas wyprzedaży po Święcie Dziękczynienia, mam rację? – zapytałam oskarżycielskim tonem. – Teraz będę musiała przelać im wszystkie swoje oszczędności na studia, oszczędności, na które pracowałam latami, bo jeśli tego nie zrobię, to stracimy dom. I co wtedy? Co wtedy?

– Peyton, na pewno wymyślimy coś innego – powiedziała. Złożyła wezwanie w maleńki kwadracik, tak jakby fizycznie je zmniejszając, łatwiej jej było to zlekceważyć. – Robisz z igły widły.

Przeklęłam jak szewc.

– To są widły! Całe widły długów!

Chwyliłam ją za ramiona i mocno potrząsnęłam, jakbym chciała wyrzucić z niej całą tę głupotę. Wezwanie upadło na podłogę – miniaturowy kwadracik, który był jednak wystarczająco duży, żeby zniszczyć moje marzenia.

– Zostaw mnie – zaszlochała mama, wyszarpując się z mojego uścisku.

– Gdybym tylko mogła! Ale jestem na ciebie skazana, jak więzień. Nowy Jork! Kogo ja chciałam oszukać?

Teraz obie płakałyśmy. Przeszłam przez pokój i rzuciłam się na łóżko.

– Jesteśmy uwięzione na tym wysypisku śmieci, a ja nigdy się stąd nie wyrwę, nigdy nie ucieknę, nigdy nie zacznę żyć swoim życiem. Obie jesteśmy tu pogrzebane. To miejsce jest grobowcem, a ja jestem strażnikiem umarłych.

– Ja nie umarłam.

– Ale nie żyjesz!

– To nie ty jesteś moim strażnikiem, tylko ja jestem twoim opiekunem. – Wyglądała na rozgniewaną, co rzadko jej się zdarzało. – Gdybyś nie zauważyła, to ja jestem tu matką.

– Nie rozśmieszaj mnie. Chciałam mieć matkę. Potrzebowałam matki. A zamiast tego dostałam dom pełen śmieci.

– Peyton, kocham cię. Musisz to wiedzieć. Kocham cię najbardziej na świecie.

– Bardziej niż swoje rzeczy? Bardziej niż swoją żalobę? – zapytałam wyzywająco, ale moja rozgrzana do czerwoności wściekłość zaczynała stygnąć, zalana przez rosnącą falę rozpacz. Westchnęłam ciężko. Jaki sens miało ranienie jej? To i tak nic nie zmieni. – Może i tak. Może po prostu przez tę ścianę śmieci, która nas rozdziela, nie potrafię tego dostrzec – powiedziałam zrezygnowanym głosem.

– Tak strasznie mi przykro, naprawdę.

Czyżby moja mama brała właśnie na siebie część winy?

Podeszła do leżącego na biurku stosu projektów z ubraniami z tapety.

– Tak bardzo chciałam, żebyś realizowała swoje pasje.

– No cóż, teraz to już przeszłość. Po opłaceniu tego podatku na moim koncie zostanie jakieś pięćdziesiąt siedem centów. A bez pieniędzy na materiały nie uszyję projektów do portfolio. A bez niego mogę pożegnać się z marzeniami o stypendium. I nie pójdę na studia, nie w tym roku. Ale hej, zawsze zostaje nam „kiedyś”, co nie?

Mama wyjęła z rękawa chusteczkę i wytarła oczy. Moja irytacja znowu zaczęła rosnąć. Nie miałam już siły jej współczuć. Za bardzo współczułam sobie.

– Proszę, idź już stąd – powiedziałam.

Podeszła do drzwi, rzucając ostatnie spojrzenie na moje projekty.

– Zaczekaj! – zawołałam.

Błysk nadziei w jej oczach, gdy gwałtownie się odwróciła, prawie mnie dobił. Nie ma żadnej nadziei, mamo, nie rozumiesz?

– Weź je – wcisnęłam jej w ręce stertę ogromnych projektów – i rzuć gdzieś na kupę. Chyba widziałam trochę wolnego miejsca w piwnicy.

Po rozstaniu z Jayem nie zamknęłam się w pokoju i nie wyplakałam sobie oczu – nie byłam dziewczyną, która przez chłopaka zwija się w kłębek i chce umrzeć – ale wciąż czułam się przygnębiona i smutna. I zła, chociaż nie do końca wiedziałam, na kogo bardziej się wściekam – na Jaya za mój publiczny (choć przypadkowy) striptiz i zerwanie ze mną czy na siebie za to, że nie wyjawiałam mu prawdy, jak powinnam była. Mieliśmy coś tak dobrego i razem to zepsuliśmy.

Tęskniłam za nim. Brakowało mi jego zabawnych parodii, naszych rozmów o kinie i aktorstwie, esemesów na dzień dobry i dobranoc oraz dzielenia się po szkole radościami i smutkami dnia. A najbardziej tęskniłam za tym, jak się przy nim czułam: piękna, wyjątkowa i nieprzerośnięta.

Żeby nie wpaść w spiralę uzalania się nad sobą, rzuciłam się w wir nauki. Szkoła jak to szkoła – była taka sama jak zawsze. A raczej taka sama jak przed naszym związkiem.

Tim przeprosił mnie za to, że się wygadał.

– Przepraszam, byłem wtedy niezłe wstawiony – powiedział, kiedy wychodziliśmy z sali historycznej. Był drugi poniedziałek stycznia.

– Bardziej niż wstawiony.

– Okej, okej, byłem kompletnie schlany.

– To żadne wytłumaczenie. Wszystko mi schrzaniłeś. Wciąż jestem na ciebie wściekła.

– Powiedziałem, że przepraszam, co jeszcze mam zrobić?

– Wiesz, Tim, gdybyś częściej korzystał z mózgu, a rzadziej z substancji wyskokowych, po maturze mógłbyś otworzyć bardzo dochodowe biuro detektywistyczne.

Przez chwilę wyglądał na zainteresowanego tym pomysłem, po czym posłał mi spojrzenie smutnego szczeniaczka.

– To wybaczasz mi?

– Niech ci będzie.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Kiedy dostanę drugą pracę z historii?

– Eee... Nigdy?

– Co? Wisisz mi ją, P.

Przeklęłam pod nosem. Ale dziad.

– Co tam mówisz? – zapytał.

– Dwa słowa. Jeden palec – odpowiedziałam, pokazując mu rzeczony gest.



Afera Cyckowa wreszcie ucichła, kiedy dyrektor szkoły nie pojawił się w pracy po feriach pierwszego lutego. Po szkole zaczęły krążyć dzikie plotki – zdefraudował pieniądze z funduszu szkoły, uciekł z kochanką do Las Vegas, zginął podczas wojny gangów – a oficjalne oświadczenie, jakoby przeszedł na emeryturę z powodów zdrowotnych, zostało uznane za historyjkę dla zatuszowania prawdy.

– Ludzi nie interesuje prawda, jeśli jest nudna albo niewygodna. Chcą sensacji – powiedziała Chloe z mądrą miną.

Żał mi było dyrektora, ale samolubnie cieszyłam się, że przestałam być w centrum zainteresowania liceum Longforda.

Walentynki były okropne. Wszechobecne przejawy szczęśliwej miłości innych tylko spotęgowały moją tęsknotę za Jayem. Zack spędził połowę matematyki na chwaleniu mi się, ile dostał walentynek, i podrywaniu wszystkich dziewczyn w klasie, w tym mnie. Chłopak Brooke postawił w korytarzu przy mojej szafce jakiś miliard czerwonych balonów z helem, które za nic nie chciały się ruszyć.

– Przestań być takim walentynkowym Grinchem – powiedziała Chloe, spoglądając w górę na podskakujący czerwony chaos. – Moim zdaniem to romantyczne.

Łatwo jej było mówić – nie cierpiała na atak cynizmu spowodowany zdruzgotanymi marzeniami o miłości. A poza tym była za niska, żeby zwisające balonowe wstążki łaskotały ją po twarzy. Wyjęłam z piórnika cyrkiel i zaczęłam przebijać balony, torując sobie drogę do szafki. Huk przestraszył parę osób, a Brooke nawet na mnie nawrzeszczała, jednak zdawało mi się też, że dostrzegłam lekki uśmiech na ustach Jaya, gdy z przebitych balonów sypało się różowe konfetti.

Wciąż strzepywałam jego resztki z kurtki, gdy po południu szłam w stronę domu. Nagle zobaczyłam coś przy drzwiach wejściowych – pewnie paczka z najnowszym zakupem mamy.

Co dziwne, nasze relacje trochę się poprawiły po tej wielkiej kłótni miesiąc wcześniej. Chloe powiedziała, że to dzięki temu, że wszystko z siebie wyrzuciłam, ale według mnie było tak, ponieważ przestałam mieć jakąkolwiek nadzieję na poprawę stanu rzeczy. Pogodziłam się z niezaprzeczalną prawdą, że nie mogłam zmienić mamy. Bez nadziei nie ma rozczarowania, a bez rozczarowania było we mnie mniej wrogości i rozżalenia.

Być może to tylko moja wyobraźnia, ale wydawało mi się, że i ona się zmieniła. Przestała wymuszać współczucie, zaczęła regularnie myć i czesać włosy, a ja już od dobrych paru tygodni po powrocie ze szkoły nie znajdowałam na schodach zamówionej przez internet paczki.

I właśnie dlatego to, co czekało tego dnia przed drzwiami, było dla mnie totalnym zaskoczeniem. Bo to nie były zakupy mamy. To była wielka czarna torba na śmieci – do tego wypełniona po brzegi. Pozwalając sobie na iskierkę nadziei, rozwiązałam ją i zajrzałam do środka. Była wypchana gazetami i zgnilizną z kuchni, a wisienką na torcie okazał się połamany czerwony parasol. Łał.

Przytaszczyłam torbę na chodnik, żeby nazajutrz zabrała ją śmieciarka, i już ruszałam pod swoje okno, gdy ciekawość wzięła górę. Przekręciłam klucz w zamku, otworzyłam drzwi i zajrzałam do środka. Między progiem a schodami ciągnęła się uprzątnięta ze śmieci ścieżka.

O rany. Mama naprawdę oczyściła kawałek korytarza. Oniemiałam, ale nie dałam się porwać rosnącej fali entuzjazmu. Już to kiedyś przerabialiśmy. Co parę lat mama postanawiała „zacząć porządkę” i nieco uszczuplała swoją kolekcję rupieci. Zawsze jednak kończyło się tylko na zaczynaniu. Nigdy nie udało jej się pójść za ciosem i dokończyć.

„Brak nadziei oznacza brak rozczarowania”, powtarzałam sobie, okrążając dom i wchodząc po drabince do pokoju.

Straciłam nadzieję na dostanie się do szkoły projektowania od nowego semestru, ale byłam zdeterminowana, żeby spróbować za rok. Jim kręcił nosem, gdy poprosiłam go, żeby latem zatrudnił mnie na pełny etat – „Musisz iść na studia, Peyton” – ale w końcu się zgodził. Byłam dobrą pracowniczką i lubił mnie bardziej od Tori i Steve’a.

Pod koniec lutego te dwie mały sięgnęły już szczytów chamstwa. Uznałam to za przejaw ich rosnących obaw co do zakładu, bo moje trzy randki z Robem zostały już odhaczone. Ustaliliśmy, że do balu maturalnego nie będziemy sobie zawracać głowy kolejnymi spotkaniami. Rob był miłym chłopakiem, ale niewiele nas łączyło.

Gdy na naszej ostatniej randce próbowałam opowiedzieć mu o swoich planach dostania się do szkoły projektowania, powiedział: „Wiesz, to, że jestem gejem, nie znaczy zaraz, że interesuję się modą”.

A kiedy on chciał mi opowiedzieć o najnowszej taktyce i ostatnich zwycięstwach drużyny footballowej, odgryzłam się: „Wiesz, to, że jestem wysoka, nie znaczy zaraz, że interesuję się sportem”.

Ale paru rzeczy się o nim dowiedziałam. Był uzależniony od krążków cebulowych, zamierzał studiować informatykę i stworzyć „aplikację dekady”, żeby zarobić fortunę i w wieku dwudziestu pięciu lat przejść na emeryturę, i był szaleńczo zakochany w chłopaku, którego nazwiska nie chciał wyjawiać. Właśnie na naszej ostatniej randce próbowałam to z niego wyciągnąć.

– Chodzi do naszego liceum?

– Tak.

– Znam go?

– Tak.

– To maturzysta?

– Nie powiem.

– Zrobił coming out?

Rob wybuchnął histerycznym śmiechem.

– Coś ty! Jest tak głęboko w szafie, że to już prawie Narnia. I dlatego nie mogę ci powiedzieć, jak się nazywa. To nie mój sekret.

Słusznie.

– Jest wysoki czy niski?

– Jest przystojny! Więcej ci nie powiem. Dla dobra niewinnych rysopis nie może zostać ujawniony.

– Czy Ten, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać wie, że ci się podoba?

– Tak. Ja też mu się podobam, ale boi się to okazywać.

– No cóż, to okropne, że ludzie, którzy naprawdę mają się ku sobie, nie mogą być razem – powiedziałam, wzdychając ciężko.

– Nie rozumiesz. Jak mogłabyś to rozumieć? Nie masz pojęcia o uprzedzeniach, o tym, jak ludzie potrafią osądzać, nic nie rozumiejąc, jak bardzo są w stanie uprzykrzyć komuś życie tylko dlatego, że jest inny.

Jak na coś takiego odpowiedzieć? Jak w ogóle zacząć?

Zmieniłam temat.

– To bal maturalny wciąż aktualny? Muszę zacząć szyć sukienkę.

– Aktualny – odparł. – Jeszcze nigdy nie widziałem taty takiego zadowolonego. A mama zamówiła dla mnie smoking i – zrobił okrężny ruch palcami wokół nadgarstka – to coś z kwiatkami.

– Przypinany bukiet?

– Właśnie. Naprawdę będziemy wyglądać jak para.

Przerwę wiosenną spędziłam na szyciu sobie sukienki na bal. Chloe uwielbiała projekt sukni wieczorowej z mojego portfolio i na urodziny podarowała mi kilka metrów najpiękniejszego czarnego aksamitu.

– Ta sukienka musi zostać uszyta i noszona. Zrób ją dla siebie na bal – powiedziała.

– Myślisz? – Zamierzałam przygotować coś mniej odkrytego, trochę bardziej tradycyjnego.

– Absolutnie. Nowa Peyton skończyła z ukrywaniem się pod nudnymi ciuchami. A poza tym zaprojektowałaś tę sukienkę dla wysokiej dziewczyny, więc będziesz w niej wyglądać zjawiskowo!

~

Chciałam wyglądać elegancko od stóp do głów, więc przeczesywałam internet w poszukiwaniu butów na obcasie w moim rozmiarze. W końcu natrafiłam na sklep Trading Places, który wydawał się mieć sporą kolekcję damskich butów w dużych rozmiarach.

Sklep mieścił się w szemranej okolicy, ale idealna para warta była dwóch przesiadek autobusowych i krótkiego spaceru. Dopiero gdy weszłam do środka i spojrzałam na stojącą za ladą kierowniczkę – piękną kobietę w nienagannym makijażu, ze sztucznymi rzęsami i z jabłkiem Adama – zdałam sobie sprawę, co to za sklep.

Jakiś czas mi się przyglądała, patrząc na moje długie, nieulożone włosy, nieumalowaną twarz i duże dłonie, unosząc wyskubaną, pomalowaną kredką brew na widok moich za krótkich dzinsów, a na koniec marszcząc brwi, gdy zobaczyła brzydkie buty do biegania, jakie miałam na sobie.

– Jestem Loretta – przedstawiła się.

– Peyton.

– Peyton, skarbie, może i masz na sobie męską koszulę i buty, ale transwestytką nie jesteś.

– Nie z wyboru.

– Jesteś jedną z nich – zacmokała współczująco.

– Jedną z nich?...

– Jedną z dziewcząt o dużych stopach, mam rację?

Skinęłam głowę. Między jaskrawymi boa z piór i wyszywanyymi cekinami sukniami wieczorowymi czułam się jak najbrzydsze z brzydkich kaczątek.

– Czasami do nas zaglądną w poszukiwaniu ładnych butów. Chodź, znajdziemy ci coś szalowego.

Poszłam za nią do półek z butami w głębi sklepu. W oko od razu wpadły mi czarne zamszowe szpilki z subtelnym łańcuszkiem kryształków wzdłuż obcasów.

– Te. Są przepiękne – szepnęłam zachwycona.

– Rozmiar?

Oto pytanie, którego zawsze się bałam.

– Macie czterdzieści pięć i pół?

– Kochaniutka, mamy nawet czterdzieści osiem.

Buty były idealne, minimalnie szersze od innych, więc ani trochę mnie nie cisnęły. Stałam prosto, podziwiając się w lustrze – czułam się jak milion dolarów. W tych butach mogłam brać jeńców, łamać męskie serca i wyruszyć na podbój świata.

– Historia Kopciuszka jest dowodem na to, że odpowiednia para butów potrafi zmienić życie dziewczyny – powiedziała z zaśpiewem Loretta, uśmiechając się na widok mojego nieskrywanego zachwyty.

– Gdy zostanę królową świata, wprowadzę prawo nakazujące wszystkim sklepom obuwniczym sprzedawać buty do rozmiaru czterdzieści osiem.

– Tylko nie doprowadź mnie do bankructwa, wasza wysokość.

Gdy Loretta nabijała na kasę moje szpilki, ja zwiedzałam sklep jak zachwycone dziecko cukiernię, przymierzając kapelusze, które pasowały, i rękawiczki, które z łatwością wsuwałam na dłonie i które zakrywały mi nadgarstki.

– Na pewno ich nie weźmiesz?

– Na razie mnie nie stać, ale wrócę – obiecałam.

Byłam już w drzwiach, gdy przystanąłam i się odwróciłam.

– Hej, Loretto? Wszystkie wasze ubrania są – zaczęłam szukać odpowiedniego słowa, żebym nie zabrzmiała niegrzecznie – dość błyszczące.

– Moje klientki lubią błyskotki.

– Myślałaś kiedyś o poszerzeniu oferty o mniej szalowe ciuchy? Mam na myśli zwyczajne, ładne i stylowe ubrania; wiesz, takie, jakie wysokie kobiety mogłyby założyć do pracy albo na co dzień?

– Kochaniutka, nikt nie szyje takich ubrań, nie w rozmiarach dla mojej klienteli. Tak wysoka dziewczyna jak ty na pewno dobrze o tym wie.

– Loretto – powiedziałam, wchodząc z powrotem do środka i pozwalając, by drzwi same się za mną zamknęły. – Mam dla ciebie propozycję biznesową.

Na trzy tygodnie przed bale maturalnym Chloe i Greg zaczęli ze sobą chodzić.

– Nie! Żadnego piszczenia – zapowiedziała Chloe. – To nie żadna wielka myyyyłość ani nic. Greg jest miłym chłopakiem i go lubię. Po prostu dobrze się z nim bawię. I przynajmniej teraz obie mamy z kim iść na bal.

Dwa tygodnie przed bale Chloe oznajmiła:

– Greg jest naprawdę miłym chłopakiem i naprawdę go lubię. Bardzo dobrze się z nim bawię.

– Można piszczeć? – zapytałam.

– Można.

– Tak się cieszę! – zapiszczałam i mocno ją do siebie przytuliłam.

Półtora tygodnia przed bale Chloe zadzwoniła i poprosiła, żebym do niej przysłała.

– Mam wieści, to poważna sprawa.

Gdy otworzyła, na jej twarzy malował się niepokój.

– Kuchnia. Już wstawiłam czajnik i zrobiłam specjalną mieszankę: rumianek, lawenda i melisa, bo łagodzą szok.

O nie.

Podczas gdy Chloe nalewała wrzątek do dużego szklanego imbryka i parzyła swoją mieszankę suchych liści i kwiatów, ja siedziałam na stołku przy głównym blacie. Kuchnia państwa DiCaprio była ciepła i jasna. I nieskazitelnie czysta.

– Co się stało? – zapytałam. – Chodzi o Grega?

Skinęła głową.

– Och, Chloe, tak mi przykro!

– Nie, to nie to. – Machnęła ręką. – Chodzi o coś, co mi dziś powiedział.

– Jest gejem? – zgadywałam.

To w Gregu kochał się Rob, byłam tego pewna. Zaplanowali naszą podwójną randkę, żeby pójść razem w krzaki na balu.

– Nie, nie jest gejem! – Spojrzała na mnie jak na wariatkę. – Czemu tak pomyślałaś?

– Cóż... – Do tej pory nie złamałam przysięgi danej Robowi i nie zamierzałam zrobić tego teraz.

– Nie wiem.

– Nie jest gejem – powtórzyła stanowczo. – Wierz mi, wiedziałabym – dodała z szelmowskim uśmiechem.

– Mów! – zażądałam. – Jajniki przed jajami, piersi przed klatami, pamiętasz?

– Później. Teraz chcę ci powiedzieć, co mówił o swoim kuzynie.

– O Jayu? – Nagle zrobiło mi się sucho w ustach. – Mów.

– Chyba potrzebujemy jeszcze kwiatów ogórecznika. – Chloe dosypała do herbaty garstkę suszonych niebieskich płatków i znowu zamieszała.

– Na co jest ogórecznik? – zapytałam.

– Na odwagę. – Nalała mi filiżankę swojego naparu.

– To co takiego chcesz mi powiedzieć?

– No więc zaczęliśmy dzisiaj rozmawiać z Gregiem o Jayu...

– I?...

– I Greg powiedział, że Jay bardzo przeżywał wasze rozstanie. Podobno miał niezłego doła i był rozgoryczony. „Nie w nastroju do zabawy”, jak to ujął Greg.

Interesujące.

– I?...

– I powiedziałam, że z tobą działo się mniej więcej to samo.

– I?... – Wszystko, co mówiła Chloe, było fascynujące i ucieszyłam się, że Jay też cierpiał, ale

to nie były raczej wieści, które by mnie zszokowały czy wymagały ogórecznika na odwagę.

– I potem powiedziałam mu, jak bardzo przeżywałam Aferę Cyckową. Przedstawiłam wszystko w najczarniejszych barwach, żeby na pewno dotarło do Jaya i żeby poczuł się podle.

– Bardzo dobrze.

– A Greg na to, że miałaś szczęście.

– Szczęście?

– Powiedział, że mogło być dużo gorzej, że twoje zdjęcia i nagrania mogły się roznieść po szkole i po internecie, gdyby nie... – Jak na złość Chloe przerwała i upiła duży łyk herbaty.

– Gdyby nie co?

– Gdyby Jay nie wparował do reżyserki tuż po opuszczeniu kurtyny. Skasował nagranie Sanjaya, sprawdził jego telefon, skonfiskował wszystkie nośniki pamięci i zagroził mu powolną i bolesną śmiercią, gdyby wyciekło choć jedno twoje zdjęcie.

Gapiałam się na Chloe w stanie szoku.

– To Jay cię uratował, Peyton. Jay, a nie któryś z nauczycieli.

Czyli to tam pobiegł zaraz po opadnięciu kurtyny. Nie próbował przede mną uciec, tylko pognął jak szalony, żeby mnie ochronić.

Mimo że był na mnie tak bardzo zły z powodu zakładu i raportu, próbował oszczędzić mi jak najwięcej bólu i upokorzenia. Prawie jakby wciąż mu na mnie zależało.

Cała ta gonitwa myśli musiała być widoczna na mojej twarzy, bo Chloe skinęła głową.

– Tak jest, pomyślałam dokładnie to samo.

– Będę potrzebowała więcej kwiatów ogórecznika.



Gdy następnego ranka Jay przyszedł do szkoły, zdziwił się, widząc mnie czekającą przy jego szafce.

– Cześć – powiedziałam. – Masz chwilę? Chciałam pogadać.

– Teraz? – zapytał, spoglądając na zegarek. Do pierwszego dzwonka na lekcje zostało dziesięć minut.

– Tak. – Chciałam mieć to z głowy. – Nie zajmę ci dużo czasu.

– Okej.

– Przed laboratorium Grundy’ego jest względnie cicho, może tam pójdziemy?

Ruszyliśmy do wnęki, w której wisiał zwinięty wąż pożarniczy.

– Chciałam ci podziękować – powiedziałam. Wyraz jego twarzy mówił: „Czyżby?”, a może: „Jaja sobie robisz?”.

– Wczoraj Chloe powiedziała, że Greg jej powiedział, że to ty zapobiegłaś wyciekowi zdjęć moich... Moich zdjęć – zaczęłam szybko. – Nie wiedziałam o tym. Po prostu założyłam, że to był któryś z nauczycieli, inaczej już wcześniej bym coś powiedziała. Ale teraz wiem, więc dziękuję. Jestem ci bardzo wdzięczna.

Jay nic nie powiedział, tylko bacznie mi się przyglądał. Zapomniałam już, jak intensywnie zielone ma oczy.

– I przepraszam też za całą resztę – dodałam szybko. – Powinnam była powiedzieć ci o zakładzie i o tym cholernym raporcie. Chciałam, zamierzałam to zrobić, ale czułam wstyd i się bałam, więc zwlekałam. A potem było już za późno.

Skinął tylko głową. Co to znaczyło? Wybaczył mi?

– I chciałam jeszcze wyjaśnić sprawę z Timem. Dałam mu tylko pracę z historii, nic więcej. – Czułam, jak płoną mi policzki i ściska mnie w gardle. – To chyba tyle. Na razie.

Odeszłam już na kilka kroków, gdy nagle mnie zawołał.

– Ja też przepraszam. Wiem, że z tą całą falą hejtu musiało ci być ciężko.

Zdobyłam się na odwagę i uniosłam na niego wzrok, uśmiechając się lekko.

– Zabawne, ale to było na swój sposób wyzwalające. Ostatnio mało co mnie zawstydzą.

– To umawiasz się teraz z Robertem Scottem? – zapytał, bawiąc się dyszą węża.
Mój uśmiech zniknął. Zrobiłam lekki ruch – ni to skiniecie, ni to wzruszenie ramionami.

– Dobrze. Jest wystarczająco wysoki, żebyś mogła wygrać ten zakład, co nie?

– Jay, to nie dlatego się z tobą umawiałam. Musisz mi uwierzyć.

– Znajdowałam się na twojej liście wysokich chłopaków.

– Tak, ale to było, zanim cię lepiej poznałam. A potem zaprosiłeś mnie na randkę i coś między nami kliknęło, i w ogóle nie chodziło o zakład. Nawet nie relacjonowałam naszych randek Tori, jak się umawialiśmy. Możesz ją zapytać.

– Kiedy się o wszystkim dowiedziałem, pomyślałem, że to zwykły układ. – Owinął dyszę węzem i zawiązał go w ciasny węzeł. – Pomyślałem, że chciałaś to, nas, tylko dociągnąć do balu, aby dostać tę kasę. Że zbierałaś o mnie informacje, żeby wiedzieć, na co mnie złapać.

– Nie. Jay. Nie.

– Pomyślałem... – zaczął zdławionym głosem. Przerwał i wziął głęboki oddech. – Pomyślałem, że to, co mi mówiłaś i co ze mną robiłaś, że to, co nas łączyło, było zwykłym kłamstwem.

„Jedyna rzecz, która nie była kłamstwem, to moje uczucia do ciebie”. Czy mogłam to powiedzieć? Nie. Nie bez rozplakania się.

– Nic nie było kłamstwem – zdołałam wyksztusić.

– Oboje jesteśmy głupi – powiedział, przesywając mnie tajemniczym spojrzeniem.

– Tak.

Zadzwoił dzwonek.

– Powinniśmy już iść – powiedziałam.

Przez chwilę szedł obok mnie w milczeniu.

– To idziesz z nim na bal? – zapytał w końcu.

– Słucham? – rzuciłam, wyrwana ze swoich gdybań.

– Z Robertem Scottem. Idziesz z nim na bal?

– Tak. – Mój głos zdradzał brak entuzjazmu.

– Szkoda – powiedział, zerkając na mnie z ukosa. – Ja wciąż nie mam z kim iść.

Przystanąłam, gapiąc się na niego. Jak to się mogło stać? Jakiego można mieć pecha? Chciałam powiedzieć Jayowi, że nie chodzę z Robertem, że to było tylko udawanie, że mieliśmy układ i żadnego z nas nie pociągało drugie. Że wciąż czułam coś do niego, do Jaya. Ale nie mogłam mu tego w pełni wytłumaczyć, nie zdradzając zaufania Roba. A on odpowiedział wszystkim w domu i w szkole, że idzie ze mną na ten bal – jaką byłabym żoną, gdybym wystawiła go teraz do wiatru?

– Przykro mi. Obiecałam Robowi, że z nim pójdę, nie mogę...

– Hej, nie ma sprawy, naprawdę. – Jay wydawał się zupełnie tym nie przejmować.

Ja natomiast byłam całkowicie zdruzgotana i na pewno dało się to zauważyć. To był pech nad pechami, najgorszy moment z możliwych. Oto ja, znowu ukrywająca czyjś sekret kosztem własnego szczęścia. Czy za dobre uczynki już zawsze będzie mnie czekać kara? Czy nigdy nie będę mogła zrobić tego, co chcę?

– Wszystko w porządku? – zapytał Jay, gdy znowu ruszyliśmy.

– Słuchaj, wiem, że bez problemu załatwisz sobie kogoś na bal, ale zrób coś dla mnie, dobrze?

Nie łam Prawa Wysokich Dziewczyn. Znowu.

– Jakiego prawa?

– Nie zapraszaj na bal niskiej dziewczyny, okej? Po prostu tego nie rób – powiedziałam i skrzyłam w boczny korytarz prowadzący do sali pani Dumas, zastanawiając się, jak brzmi po francusku „moje życie jest do chrzanu”.

Trzy dni przed balem skończyłam ostatni szew sukienki i od razu ją przymierzyłam.

Była niesamowita – bez dwóch zdań najlepsza rzecz, jaką do tej pory zaprojektowałam i uszyłam. Sięgała do podłogi, była w całości uszyta z dopasowanego czarnego aksamitu i rozszerzała się mniej więcej od kolan, co nadawało jej wygląd syreniego ogona. Z przodu miała skromny, okrągły dekolt, ale z tyłu było głębokie wcięcie odsłaniające prawie całe plecy. W miejsce rękawów dałam trzy błyszczące sznureczki czarnych i przezroczystych kryształków ułożonych wokół ramion, których łuki przypominały mi uśmiechnięte zmarszczki w kącikach oczu Jaya.

Pasowała na mnie idealnie, lepiej niż cokolwiek innego do tej pory. Gdy założyłam szpilki, brzeg sukienki lekko zahaczał o podłogę. Nawet bez zrobionego makijażu i ułożonych włosów wyglądałam zjawiskowo. A nawet pięknie.

Do drzwi mojego pokoju zapukała mama.

– Peyton, przyszedł do ciebie jakiś list!

Hę?

Otworzyłam jej, chcąc się dowiedzieć, jakim cudem miała jakąś zaadresowaną do mnie korespondencję. Weszła, trzymając w ręku cienką kopertę.

– Och, Peyton, czy to sukienka na bal maturalny? Wyglądasz pięknie. Jesteś piękna! – Uśmiechnęła się promiennie i kazała mi się obrócić, żeby obejrzeć mnie z każdej strony. – Wyglądasz jak księżniczka!

– Nie jak księżniczka – powiedziałam. – Tylko królowa.

Wyglądałam – i czułam się – jak królowa świata.

– Rzeczywiście, bardzo po królewsku. Ale każda królowa potrzebuje klejnotów koronnych. Musisz mieć jakąś elegancką błyskotkę. Zaczekaj, zaraz wracam.

Wybiegła z pokoju, wciskając kopertę do kieszeni. Koperta! Byłam tak zajęta pławieniem się w jej komplementach, że na chwilę zapomniałam o liście.

– Poczekaj, mamo, skąd masz ten list? – Jakim cudem trafił w jej ręce? Chyba nie wyszła z domu do skrzynki?

Już miałam za nią pobiec, gdy zadzwonił mój telefon. Chwyciłam go i zobaczyłam na wyświetlaczu numer Roba.

– Cześć! – powiedziałam. – Właśnie przymierzam swoją sukienkę na bal i czuję się w obowiązku ostrzec cię, że w sobotę będziesz musiał założyć okulary przeciwsłoneczne, jeśli nie chcesz oślepnąć od mojego blasku.

Cisza. Nawet się nie zaśmiał. Co było dziwne, bo w trakcie naszych trzech randek odkryłam, że w przeciwieństwie do Marka miał poczucie humoru.

– Rob?

– Słuchaj, Peyton... Nie wiem, jak ci to delikatnie powiedzieć, więc powiem prosto z mostu. Przepraszam, ale nie mogę iść z tobą na bal.

– Co? Przesłyszałam się czy właśnie powiedziałeś, że nie możesz iść ze mną na bal?

– Jest mi naprawdę bardzo, bardzo przykro.

– To dlaczego mi to robisz? – zapytałam piskliwym, drżącym głosem.

– Bo postanowiłem zrobić coming out. Właśnie na balu.

– No i? Nie możemy i tak pójść razem?

– Chłopak, o którym ci opowiadałem, ten, który tak mi się podoba, też robi coming out. Postanowiliśmy odkryć się razem, idąc na bal jako para.

– Och.

– I wiem, że ten bal jest dla ciebie ważny z powodu zakładu i w ogóle, ale w twoim wypadku to tylko potańcówka, tylko pieniądze. A u mnie chodzi o moje życie, wiesz?

– Rozumiem.

– Obiecuję, że zwrócę ci pieniądze z przegranego zakładu. Tylko może mi to zabrać trochę czasu, bo nawet jeśli tata nie poderżnie mi gardła, to na bank obetnie kieszonkowe.

– Jasne.

Chciałam już skończyć tę rozmowę. Chciałam ściągnąć z siebie tę sukienkę, rzucić ją w kąt, zwinąć się w kłębek w drugim, ciemnym kącie z wiadrem jedynej prawdziwej miłości mojego życia – czekolady.

– Jestem taki podekscytowany. Żyłem w kłamstwie i mam już tego dość. Wreszcie jestem gotów być sobą!

– Cieszę się. Okej, to na razie.

– Hej, Peyton? Wszystko gra? Nie zamienisz się w żadną Carrie, prawda?

– Że co?

– Nie wylejesz na mnie wiadra świńskiej krwi i nie podpalisz sali?

Kuszące, bardzo kuszące.

– Wszystko gra, naprawdę. Do zobaczenia.

Rozłączyłam się i wybuchnęłam płaczem. Nie założę tej sukienki w sobotę. Nie pójdę na bal i nie wygram masy pieniędzy. Będę pracowała na dwie zmiany, dopóki nie splączę triumfujących Tori i Steve'a. Na myśl o ich reakcji zaczęłam jeszcze bardziej płakać. Już sobie wyobrażałam, co powie Steve, kiedy przyznam się do porażki: „Zaraz, czy na pewno dobrze zrozumiałem? Facet, z którym się umawiasz, wolał już pójść na bal z innym facetem niż z tobą? Brawo, Wielka P.!”.

Wyrwałam z pudełka przy łóżku chusteczkę i wytarłam wściekle oczy.

Chrzanić Tori i Steve'a. Chrzanić Roba i miłość jego życia. Chrzanić Tima – szczególnie jego – i Marka, i jego ojca, i boską część w zapyziałej Szwajcarii. Chrzanić ich wszystkich! Nie byli warci moich łez. Nie spędzę wieczoru, rycząc z powodu wszystkich moich rozczarowań. Będę opychać się czekoladą i obejrzę cały ostatni sezon *The Great British Sewing Bee*.

– Znalazłam! – zakomunikowała mama po powrocie. – Należały do twojej babci. Zrobiono je z markasytu i są naprawdę stare. – Wpięła mi w uszy wiszące kolczyki, na mały palec włożyła duży pierścionek i cofnęła się, by podziwiać efekt końcowy. – Idealnie! Przejrzyj się.

Przyglądałam się sobie w lusterku, ruszając na boki głową, a kolczyki kołysały się i pobłyskiwały w świetle.

– Masz rację, mamo. – Czy kiedykolwiek usłyszała ode mnie te słowa? – Byłyby idealne, gdyby nie jeden mały problem. Nie idę na bal. – Zdjęłam kolczyki i pierścionek i je jej oddałam. – Chłopak właśnie mnie wystawił.

– Niemożliwe!

– Możliwe.

Opowiedziałam jej o decyzji Roba.

– Wiesz, kochanie, myślę, że i tak możesz zabrać na bal najbardziej olśniewającą i najcudowniejszą osobę.

– Nie, nie mogę, on już ma parę.

Wren i Faye nie omieszkały poinformować mnie, że Jay idzie na bal z Jessiką Summers. Oceniałam jej wzrost na jakiś metr siedemdziesiąt pięć, więc przynajmniej nie łamali Prawa.

– Nie mówiłam o chłopcu, Peyton – powiedziała wyjątkowo łagodnym głosem mama.

– A o kim? O dziewczynie?

– Chodziło mi o ciebie. O ciebie, Peyton. Miałby cię ominąć bal maturalny tylko dlatego, że nie masz z kim pójść? Nie potrzebujesz jakiegoś chłopca, żeby cię uzupełniał. Zabierz na bal samą siebie, a będziesz się bawić w towarzystwie najcudowniejszej osoby na sali.

– Mam iść sama? Nigdy w życiu. – To by dopiero była żenada. Równie dobrze mogłam wyryć sobie na czole napis „Frajerka”.

– A właśnie że tak. Nie potrzebujesz niczyjego blasku, sama masz go wystarczająco dużo.

Niesamowite – mama naprawdę udzielała mi matczynych rad.

Zaczęłam się jej przypatrywać i zauważyłam, że wygląda inaczej. Lepiej. Założyła dzinsy

i czysty sweter w miejsce zwyczajowego poplamionego dresu. Miała czyste, uczesane i związane w kucyk włosy, a jej twarz wydawała się mniej wychudzona i żywsza.

– Mamo, dobrze się czujesz?

– Wiesz, chyba już od bardzo dawna tak dobrze się nie czułam.

– I wyjęłaś pocztę ze skrzynki? Wysłałaś z domu?

– Już od tygodnia codziennie ją sprawdzam – odparła, wyraźnie dumna ze swojego osiągnięcia.

– Czemu?

– Czekałam na ważny list, który dziś wreszcie przyszedł. – Wyjęła z kieszeni kopertę i mi ją podała.

Zignorowałam list.

– Mamo, to fantastycznie, brawo! Wiem, że to musiało być dla ciebie trudne.

– Nie było tak źle jak ze styczniową wizytą na pocście. Tamto dopiero było trudne.

– Poszłaś na pocztę?! Naprawdę? Po co?

– Musiałam nadać ważną paczkę. A teraz otwórz, to obie się dowiemy, co i jak.

Jeszcze raz podała mi list i tym razem go od niej wzięłam. Przez okropny ułamek sekundy myślałam, że logo z przodu koperty jest pieczęcią stanu Maryland, ale się pomyliłam. To było logo New York School of Fashion.

– Mamo?

– Otwórz! Nie wytrzymam tego napięcia ani minuty dłużej!

Rozerwałam kopertę i wyjęłam list. Przebiegłam wzrokiem po tekście, nie wierząc własnym oczom.

„Z przyjemnością zawiadamiamy, że została Pani przyjęta na pierwszy rok studiów na kierunku projektowanie mody... niestandardowa i odbiegająca od wytycznych praca, ale jesteśmy pod wielkim wrażeniem pomysłu, projektów i potencjału rynkowego Pani kolekcji... wykazuje wyjątkowe zdolności... z przyjemnością informujemy, że jako jedna z dwóch osób została Pani wybrana do naszego programu stypendialnego pokrywającego koszty czesnego i zakwaterowania... kontynuacja zależy od zadowolających wyników w nauce i osiągnięć... czekamy na Panią i możliwość prowadzenia Pani na drodze odkrywania i rozwijania Pani niezwykłego talentu...”

Zapisałam z radości.

– Co? Co napisali?

Zapisałam znowu i oddałam mamie list, a potem pisałyśmy i płakałyśmy już obie, padając sobie w ramiona i skacząc po pokoju z radości.

– Jak to się stało? – zapytałam mamę, gdy już się uspokoiłyśmy.

– Wypełniłam formularz zgłoszeniowy w twoim imieniu i wysłałam go razem z twoimi szkicami, tamtymi projektami z tapety i listem motywacyjnym wyjaśniającym naszą tragiczną sytuację finansową i mój stan psychiczny. Błagałam, żeby rozpatrzyli twoje podanie, mimo że projekty nie zostały uszyte. I udało się!

– Zrobiłaś to dla mnie? – Gdy pomyślałam sobie o wszystkich tych okropnych rzeczach, jakie jej powiedziałam podczas naszej kłótni, gdy przypomniałam sobie, z jaką złością rzuciłam w nią projektami, poczułam okropny wstyd.

– Oczywiście. Jesteś moją córką, zrobiłabym dla ciebie wszystko. Nie wiesz tego?

Słyszając jej słowa, nagle wszystko zrozumiałam.

– To cudowne i jestem ci za wszystko taka wdzięczna, mamo – powiedziałam, osuwając się na łóżko. – I taka dumna z ciebie! Naprawdę, nie wiem, co mnie bardziej uszczęśliwia: ten list czy to, że wysłałaś z domu. – I że nareszcie przyznałaś, że masz problemy psychiczne.

– Już słyszę to nadciągające „ale”... – odparła, siadając na brzegu łóżka.

– Ale jak mogę wyjechać do Nowego Jorku i zostawić cię tu samą?

– Peyton, ta nasza wielka kłótnia, to, co wtedy powiedziałaś...

– Przepraszam, to było okropne.

– Było szczere. Brutalne, ale może tego właśnie potrzebowałam, żeby dotarła do mnie prawda. –

Bawiła się kolczykami, spinając je ze sobą i rozpinając. – To upokarzające, że nie sprostalam jedynej rzeczy, jaka kiedykolwiek tak naprawdę się dla mnie liczyła.

Patrzyłam na nią zdezorientowana.

– Byciu matką – powiedziała po prostu. – Myślałam, że bycie dobrą matką polega na kurczowym trzymaniu przy sobie dzieci. Ale jest zupełnie odwrotnie, prawda? Chodzi o taką miłość, która pozwoli im wyfrunąć z gniazda i być tam, gdzie pragną być. Przysięgam, od teraz będę dobrą matką, nawet jeśli to miałyby mnie zabić! – Uśmiechnęła się na swoje ostatnie słowa. – A tak się na pewno nie stanie, raczej mnie to uratuje.

– Ale jak dasz sobie radę?

– Umówiłam się na wizytę u pani psycholog, która jest specjalistką od terapii zaburzeń lękowych i zespołu zbieractwa. Ona pomoże mi z tego wyjść. Prowadzi sesje nawet w domach pacjentów. A jeśli uzna, że potrzebuję leków, to zacznę je brać. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś nie musiała porzucać własnych marzeń. Nie pozwolę, abyś tkwiła w tym więzieniu, jak ja przez te lata. A kiedy będziesz odbierała dyplom, pojedę do Nowego Jorku na rozdanie świadectw.

Znowu zaczęłyśmy się ścisnąć i płakać. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów ja miałam matkę, a moja mama miała córkę. Czułam, że coś się kończy – może żałoba po Ethanie i lęk przed porzuceniem oraz byciem niekochaną – i zaczyna coś innego, coś silniejszego i bardziej ożywczego. Dlaczego miałyśmy z mamą bać się straty i samotności? Los tyle nam ich zaserwował, że gdyby miały nas złamać, już dawno by to zrobiły. Ale my wciąż tu byłyśmy, nie upadłyśmy, nie przestałyśmy walczyć. Może nawet zrodziła się w nas iskierka nadziei.

Zapewne właśnie tak wyglądało żegnanie się z żałobą. Nie w tym rzecz, że pewnego dnia po prostu wstajesz z łóżka i zaczynasz czuć się lepiej, tak jak poprzednio. Człowiek uczy się żyć z żałobą, próbuje sobie z nią radzić, wznosić się ponad nią, aż pewnego dnia nowe życie i miłość, jakie zbudował, stają się większe od bólu i pustki. Nie można wrócić do poprzedniego życia, ale jeśli znajdzie się wewnątrz siebie odwagę, istnieje szansa na stworzenie sobie czegoś dobrego.

Nadeszła pora, żebyśmy obie porzuciły strach, który nas ograniczał. Nadeszła pora, by zacząć żyć.

Przez chwilę obejmowałyśmy się w milczeniu. Gdy mama w końcu wstała do wyjścia, zostawiła mi na nocnym stoliku biżuterię babci.

– Na wypadek gdybyś jednak zmieniła zdanie co do balu – powiedziała i zamknęła za sobą drzwi. I tym razem nie przekręciłam klucza w zamku.

*N*a bal podwieźli mnie Chloe i Greg.

Chloe wyglądała słodko i seksownie w swojej obcisłej rubinowej sukience, która podkreślała jej mleczną cerę i krągłości. Wieść o tym, że idę na bal, bardzo ją uszczęśliwiła i w drodze zasypywałyśmy się komplementami na temat swoich strojów i fryzur, ale zauważyłam, że Greg niezbyt się cieszył z mojej obecności.

– Nie martw się, nie uwieszę się na was na cały wieczór – uspokoiłam go. – Dam wam spokój, gdy tylko dojedziemy.

Potem Greg rozplęwał się w uśmiechach i nawet otworzył mi drzwi z drugiej strony, gdy zatrzymaliśmy się przed hotelem, w którym zorganizowano nasz bal. W drodze z parkingu do wejścia przydałoby mi się jakieś silne ramię, bo wciąż niezbyt pewnie czułam się w szpilkach, zwłaszcza na nierównym podłożu.

Z otwartych drzwi płynęła głośna basowa muzyka, a przy wejściu kłębiły się pary. Na ustawionych wzdłuż ścieżki podestach stali artyści w kolorowych strojach – połykacze ognia, zonglerzy, klauni i akrobaci.

– Motywem przewodnim jest cyrk! – powiedziała Chloe.

– Idźcie przodem. Znajdziemy się potem – odparłam.

– Nie mów głupot. Wejdz z nami. On może i jest przystojniakiem – szepnęła i przechyliła lekko głowę, wskazując Grega – a lato zapowiada się cudownie, ale ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Na zawsze.

Nie wiem, czym sobie zasłużyłam na moją Chloe, ale nikomu jej nie oddam.

– Jest taki dumny, że prowadzi cię na bal; niech ma swoją chwilę szczęścia. Znajdę was później, obiecuję. A poza tym jestem zdecydowana wkroczyć na salę sama. Muszę to zrobić, dla siebie.

– A ja jestem bardzo dumna z ciebie – powiedziała i zniknęli z Gregiem w środku.

Postałam kilka minut na rześkim, wieczornym powietrzu, patrząc, jak wysuszony mężczyzna z wydatnym jabłkiem Adama połyka miecz. Między parami tańczyła kobieta w przebraniu błazna, zabawiając zgromadzonych magicznymi sztuczkami.

– Wybierz jedną – poprosiła, rozkładając przede mną wachlarz zakrytych kart.

Krążyłam palcami między dwiema, które lekko wystawały, i w końcu zdecydowałam się na jedną z nich, odwracając ją.

Dama karo. Uśmiechnęłam się – to chyba był dobry znak.

– Świetna sztuczka! – powiedziałam.

– Jeszcze jej nie pokazałam.

– Ma pani w sobie więcej magicznych zdolności, niż pani myśli. Mogę ją zatrzymać?

– Śmiało.

Dosłownie zgięła się w pół, chwyciła za kostki i jako ludzki precel przeokoziółkowała do pary, która właśnie wysiadała z długiej limuzyny. A byli to Tim i Wren, którzy bezczelnie łamali Prawo Wysokich Dziewczyn.

Westchnęłam. Królowa czy nie, chyba musiałam porzucić marzenia, że kiedykolwiek uda mi się wprowadzić tę zasadę w życie. Może to i dobrze, bo inaczej mielibyśmy tylko dwie rasy: olbrzymów i liliputów.

Uśmiechnęłam się do nich szeroko, ale może Tim pomyślał, że obnażam kły, bo gdy tylko mnie zobaczył, odskoczył, wpadając na zonglującego płonącymi pałkami klauna. Odeszli – Wren gasząc iskierki, które wylądowały mu na klapie, a Tim macając się po kieszeniach, pewnie w poszukiwaniu piersiówki z jakąś kojącą skołatane nerwy substancją.

– Bawcie się dobrze! – zawołałam za nimi.

Przyszedł czas i na mnie. Wzięłam głęboki oddech, weszłam po schodkach w kierunku drzwi – które były udrapowane pasiastym płótnem przypominającym namiot cyrkowy z dawnych lat – i podałam

swój bilet mężczyźnie w czarnym podkoszulku z napisem „Robię za mięśniaka”. Miał szeroki kark i mięśnie jak po sterydach, ale był niski, więc dosłownie nad nim górowałam.

– Jesteś naprawdę wysoka jak na dziewczynę – powiedział.

– Nie wiedziałam. Dziękuję, że zwrócił mi pan na to uwagę – odparłam słodkim jak strychnina głosem.

– Grasz w kosza?

– Nie. A pan gra w minigolfa?

– Po co ci szpilki, skoro jesteś taka wysoka?

– Po to, żeby ludzie tacy jak pan czuli się przy mnie nieswojo – warknęłam, wyrrywając mu z ręki swój bilet. – A teraz myślę, że powinien mi pan spojrzeć prosto w pępek i przeprosić.

– Złapany, przytrzymany i zaorany! – usłyszałam z tyłu znajomy głos.

Śmiejąc się, okręciłam się w miejscu i przybiłam żółwika z Zackiem. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak eleganckiego – był gładko ogolony, miał zaczesaną do tyłu fryzurkę, jaskrawożółtą muszkę, szeroki pas przy smokingu, w uchu kolczyk, a na jego ramieniu wisiał ubrany w identyczny strój...

– Rob! – Poczulałam, jak opada mi szczęka, gdy zaczęłam przesuwając wzrokiem od jednego do drugiego.

– To byłeś ty! – zawołałam oskarżycielsko do Zacka. – Od samego początku... Ty i on! – Wskazałam na Roba. Obaj roześmiali się z mojej reakcji. – Na litość boską, skoro jesteś gejem, to dlaczego bez przerwy mnie napastowałeś? Czemu przy wszystkich dziewczynach zachowywałeś się jak wyposzczony zboczeniec?

– Nie chciałem, żeby ktokolwiek się dowiedział, zanim sam nie będę gotów – odparł Zack. Miał jednak na tyle wstydu, żeby zrobić lekko skruszoną minę.

– W psychologii to się chyba nazywa nadmierną kompensacją – wtrącił Rob.

– Ale, ale... – Mój umysł wciąż nie był w stanie tego ogarnąć. – Mówiłeś, że jarasz się za każdym razem, gdy oglądasz moją scenę migdalenię się z Jayem!

– Bo tak było, tyle że nie jarałem się tobą. Bez obrazy, ale Jay...

– Tak, Jay...

Oboje z Zackiem westchnęliśmy.

– Halo, ja tu jestem i wszystko słyszę! Czy możecie z łaski swojej przestać się ślinić? – prosił Rob.

– Przesuńcie się, ludzie – powiedział Mięśniak. – Blokujecie wejście.

Gdy odchodziliśmy na bok, podbiegła do mnie okrągłutka piłeczka różowych falbanek.

– Cześć, Peyton. Cześć, Zack.

Dopiero po chwili zobaczyłam, że to Liz. Miała na sobie najszerszą suknię z warstwowanej satyny i koronek od czasów *Przeminęło z wiatrem*, a w swoje krótkie rude włosy wpięła zawadiacko diadem. Była bezczelnie olśniewająca i dało się zauważyć, że już bawi się jak nigdy w życiu.

– Wyglądasz fenomenalnie! – powiedziałam.

– Ty też wyglądasz całkiem szalowo, Tyczko. To co, Zack, jesteś gejem? Muszę przyznać, że dałam się nabrać. Rob, mam nadzieję, że wiesz, na co się piszesz. O, idzie Jay, to zaraz zaczniesz przypominać spotkanie obsady po latach. Hej, Romero, niezły elegancik z ciebie!

Rzeczywiście. Byłam tak przyzwyczajona do jego niezmiernego wyglądu w starych dzinsach, podkoszulku i skórzanej kurtce, że z miejsca założyłabym się o niezłą kasę, że lepiej wyglądać już nie może, nawet w oficjalnym stroju. I to byłby mój kolejny przegrany zakład.

Miał na sobie prosty czarny smoking z czarną muszką. Żadnych kolczyków, kwiatów w butonierce, żadnego koloru poza głęboką zielenią oczu. Niewykluczone, że olśniona blaskiem jego urody mogłam się lekko zachwiać.

– Cześć, Liz. Cześć, Zack. Ach, więc to tak? – Skinął na Zacka. – Mogłem się tego domyślić. „Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka za wiele” i tak dalej. Cześć, Peyton.

– Cześć – odpowiedziałam piskliwym głosem.

- Jeśli Rob przyszedł z Zackiem, to z kim ty przyszłaś?
- Ze sobą. Przyszłam sama.
- Łał.

Jay posłał mi promienne spojrzenie pełne... podziwu, czyżby? A na dokładkę uśmiechnął się do mnie powoli i seksownie.

W odpowiedzi szczerzyłam się do niego przez dłuższą chwilę, zanim się zorientowałam, że jego towarzyszka coś mówi. Wydawało mi się, że usłyszałam: „A więc to tak”.

Zmusiłam się do oderwania wzroku od jego zielonego spojrzenia.

- Cześć, Jessica.
- Cześć.

Jessica zrobiła się na fankę gotyckiego rocka – czarne, postawione na żel włosy, mocny makijaż oczu i bordowe usta. Przyszła w pięknie skrojonych spodniach z błyszczącej satyny, do których założyła prawie przezroczystą koronkową koszulę z równie koronkowym morzem falbanek przy kołnierzyku i mankietach. Wciąż jednak nie można tego było nazwać sukienką. Przyciągała wzrok i wyróżniała się z tłumu, a jej płaskie, dwukolorowe brog-sy wyglądały na o niebo wygodniejsze od moich szpilek.

- Fantastyczny strój! – powiedziałam szczerze.
- Podoba ci się? – zapytała, robiąc piruet.
- Pewnie.

Popatrzyłam na naszą grupkę – każde z nas założyło to, na co miało ochotę, każde prezentowało się inaczej. I wszyscy wyglądaliśmy niesamowicie.

- Pora wejść, co? – powiedział Jay.

Przeszliśmy razem przez drzwi, nad którymi zawieszony był łukowaty neon z powykęcanych liter układających się w napis „Circ du Longford” – wyglądało na to, że jednak zostanę cyrkową kobietą-olbrzymem. A może zawsze nią byłam. Zdawało mi się, że wszyscy byliśmy odmieńcami i dziwadłami. Może liceum to tak naprawdę cyrk, a uczniowie są po prostu artystami na scenie.

W hallu swój sprzęt rozstawił fotograf ubrany w pasiaste spodnie i cylinder aranzera. Gdy wchodziliśmy, robił właśnie zdjęcie Wren i Timowi.

– Albo ty usiądziesz – zwrócił się do Tima, wskazując mu stojące obok krzesło – albo ona stanie na jakimś pudle, bo inaczej się zmieścicie się oboje w kadrze.

Kiedy skończył robić im zdjęcia (Tim siedział na krześle z Wren na kolanach), zawołał kolejną parę.

– Wren, zostań jeszcze. Właśnie przyjechali Angela i Doug, zróbmy sobie grupową fotkę obsady – zaproponowała Liz.

Stanęliśmy w ciasnym kółeczku. Zack wlaź między srebrną sukienkę z lamy Wren a morze różowych, koronkowych falbanek Liz, wyglądając jak złośliwy chochlik, który przyczepił się do elfa i wróżki chrzestnej. Po drugiej stronie Wren stanął Doug, a przy nim Angela. Ja i Jay znaleźliśmy miejsce z tyłu.

Gdy fotograf zaczął kręcić nosem na nasz wzrost, Jay ugiął lekko kolana, a ja zdjęłam szpilki, ale Angela warknęła, żeby uchwycił tylko nasze głowy i ramiona.

Dokładnie w chwili, kiedy kazał nam się uśmiechnąć, do środka weszła Brooke, która wyglądała jak blond ideał.

– O, patrzcie, zdjęcie grupowe dziwadeł – rzuciła złośliwie.

Jak na zawołanie z głośników w sali tanecznej zaczęły dudnić dźwięki *Born This Way* Lady Gagi.

– Mała, tacy się urodziliśmy! – krzyknął w odpowiedzi Zack.

– Nie wszyscy się uśmiechali – narzekał fotograf.

– Czas wciągnąć na maszt flagę dziwadeł – zakomenderował Doug. – Na mój znak... Gotowi?

Akcja!

Jak jeden mąż wrzasnęliśmy i unieśliśmy pięści. Liz trzymała diadem, Zack bukiet, a ja wymachiwałam butami dla transwestytów. Wszyscy śpiewaliśmy z Lady Gagą, śmialiśmy się, robiliśmy głupie miny i stawaliśmy w najdziwniejszych pozach, jakie tylko przyszły nam do głowy, podczas gdy zniecierpliwiona Brooke zmarszczyła brwi i zaczęła tupać nogą, czekając na swoją kolej przed obiektywem.

Podczas tych kilku chwil szaleństwa w blasku fleszy nagle mnie oświeciło. To my, dziwadła, rządziłyśmy światem. Nie tacy jak Brooke, z ich przeciętnym wzrostem i rozmiarami, czystą cerą, prostymi włosami i pięknymi, nijakimi twarzami. Oni stanowili mniejszość.

Cała reszta, większość z nas, czuła się pod jakimś względem odmieńcami. Każdy był wyjątkowy, z jakiegoś powodu inny, przez co ci, którzy chcieli, żebyśmy dopasowali się do ich definicji normalności, nie akceptowali nas albo uważali za dziwadła.

Jay i jego siostra rozczarowywali swojego ojca, który ich nie rozumiał i uważał, że synowie powinni uprawiać sport, a córki nosić sukienki. Zack był czarną owcą w rodzinie, dla której istniał tylko heteroseksualizm. Moja mama była inna, a ja dziwna dla tych, którzy uważali, że „kobiecość” powinna być kompaktowa. Wren była za niska, Liz za pulchna, Mark był zbyt poważny, a Tim zbyt niepoważny. Doug miał nazbyt artystyczną duszę jak na chłopaka, Chloe niewystarczająco interesowała się modą jak na dziewczynę, a Loretta wymykała się wszelkim standardom męskości i kobiecości. Mój tata był pięćdziesięcioparolatkiem oczekującym dziecka, a Jim – no cóż, Jim kochał Elvisa, co mówi samo za siebie.

Żadne z nas nie było normalne. Ale „normalność”, jak nauczyłam się na matmie, była tylko

pojęciem statystycznym, wygładzeniem wszelkich różnorodnych i interesujących permutacji aż do wypośrodkowania tak uogólnionego, żeby nie dziwił ani nie szokował. I nie zachwycał.

Normalność była miła. Normalność była nijaka. Normalność była cholernie nudna. To nasze różnice, nasze odcienie szaleństwa sprawiały, że każde z nas było wyjątkowe, niepowtarzalne i fascynujące.

Po raz pierwszy w życiu czułam, że gdzieś pasuję. Właśnie w tamtym miejscu, w tamtej chwili poczułam, że pasuję do tej zgrai szalonych dzieciaków.

Moje objawienie zostało nagle przerwane przez fotografa.

– Nie robię więcej zdjęć grupowych – powiedział twardo. – Ustawić się w parach. Za takie zdjęcia zapłacili wasi rodzice, dzieciaki.

Odeszłam na bok, uśmiechając się z radości, która płynęła z przekonania, jakie czułam w głębi serca. Ponieważ wreszcie coś zrozumiałam. Nie chciałam być metrem sześćdziesiąt pięć normalności. Nie chciałam przeciętnego rozmiaru stóp. Nie chciałam być przewidywalna, typowa ani przeciętna. Chciałam być wyjątkowa. Cholera, ja już byłam wyjątkowa. Nadszedł czas, by poczuć z tego dumę.

Gdy przyszła moja kolej, wyprostowałam się przed obiektywem, uniosłam brodę i powiedziałam: „Nie mam osoby towarzyszącej”, zanim fotograf zdążył otworzyć usta.

– Możesz usiąść albo zdjąć szpilki? – poprosił.

– Nie. Chcę pełnowymiarowe zdjęcie w tej sukience, tak jak reszta.

– Nie jesteś jak reszta.

– Nikt nie jest.

Wyraźnie poirytowany, przesunął statyw i pokręcił obiektywem.

– Robisz problemy, Królowo Śnieżko – burknął.

– Naprawdę? A jak pan ma na imię: Mędek, Gburek, Apsik, Wesolek, Śpieszek, Gapcio czy Nieśmiałek? – zapytałam, na co stojący za mną w kolejce Jay i Jessica parsknęli śmiechem.

Gdy już miałam zrobione zdjęcie, pofrunęłam do sali balowej i zaczęłam tańczyć. Nie odpuściłam przez całą noc. Zatańczyłam z Zackiem i Robem. Zatańczyłam z Liz. Zatańczyłam z blaznami i arlekinami, a nawet chwilę z Timem, który ruszał stopami tak szybko, że nie dałam rady nadepnąć mu szpilką na palce. Zatańczyłam z Chloe, potem z Chloe i Robem, a później wszyscy razem skakaliśmy w wielkim kółku, aż podłoga dudniła, a ja byłam pewna, że zaraz się pod nami zarwie i wpadniemy do innego świata.

Odurzona, zdyszana i zgrzana wyślizgnęłam się na chwilę na zewnątrz, zrobiłam sobie selfie i napisałam esemesa.

„Hej, mam, bawię się świetnie! Bardzo się cieszę, że poszłam. Szkoda, że nie widziałaś naszego fantastycznego zbiorowego szaleństwa! Kocham”.

Odpowiedź przyszła natychmiast.

„Ja też cię kocham. Jestem taka dumna – z nas obu!”

Kiedy wróciłam, puszczała właśnie jakąś wolną piosenkę.

– Mogę panią prosić do tańca? – usłyszałam głos Jaya, który stał oparty o framugę drzwi. Czekał na mnie?

– Jessica nie będzie miała nic przeciwko?

– Chyba planuje uciec z didżejem.

Zerknęłam w kierunku konsoli i rzeczywiście – już się obściskiwali.

– Przez wzgląd na dawne czasy? – Jay wyciągnął zachęcająco ręce, a ja wpadłam mu w ramiona.

Przyciągnął mnie do siebie, przesunął ciepłymi dłońmi po mojej talii i zatrzymał je na moich nagich plecach. Objęłam go za szyję, położyłam mu głowę na ramieniu, wtuliłam się w niego i zaczęliśmy kołysać się w takt muzyki – z głośników płynęła nowa wersja starej piosenki o szybkich samochodach, poczuciu przynależności i wiary, że można stać się kimś. Ty i ja, moja pani. Należałam do siebie, ale moje miejsce było w ramionach Jaya.

Zastanawiałam się, czy jest jeszcze szansa, żebyśmy się zeszli, skoro nie dzielą nas już żadne sekrety. Przez wzgląd na nowe czasy. Przez wzgląd na nową mnie, która wreszcie czuła się wystarczająco

pewnie, żeby całkowicie sobie zaufać i stworzyć prawdziwy związek z tym cudownym facetem.

Obok nas przemknęli Chloe i Greg. On miał błogo przymknięte oczy, ale ona zdążyła nas zauważyć i pokazała mi uniesionego kciuka.

Gdy Jay nieznacznie się ode mnie oderwał, żeby spojrzeć mi w oczy, prawie jęknęłam z rozczarowania, że przestaje mnie dotykać.

– Zgadnij co? – odezwał się.

Wciąż ci się podobam? Odgadłeś, że ty mi się ciągle podobasz, a cała reszta nie ma znaczenia?

– Poddaję się – powiedziałam.

– Dostałem się do Julliarda. – Powiedział to miękko, ale z dumą, a w półmroku sali balowej złoto w jego oczach błyszczało bardziej od zieleni.

– Nie miałam co do tego wątpliwości – dodałam, korzystając z okazji, że mogę go objąć i pocałować w policzek, gratulując sukcesu mojemu złotemu chłopcu. – Powinnam chyba poprosić cię o autograf, zanim staniesz się sławny i o mnie zapomnisz. Choć wielce prawdopodobne, że odbiorę swojego pierwszego Oscara przed tobą.

Rozbawiony spojrzął na mnie, marszcząc brwi.

– Za najlepsze kostiumy.

– Przyjęli cię? Do tej nowojorskiej szkoły projektowania? – Uśmiechnął się szeroko, a ja ledwo oparłam się pokusie, by dotknąć moich ulubionych zmarszczek w kącikach jego oczu.

– I dostałam pełne stypendium – powiedziałam.

– Czyli oboje będziemy w tym samym czasie mieszkać w Nowym Jorku?

– Tak, ale to duże miasto – zauważyłam.

– Prawda. Ale ja jestem dużym chłopcem, a ty wysoką dziewczynką – będziemy widoczni w tłumie. Odnajdę cię. I jeśli znowu tego nie schrzaniemy, to może razem będziemy duzi i wysocy.

– Mogę przeszkodzić? – powiedziała Jessica. Odsunęłam się zawstydzona, ale Jay nie puścił mojej ręki.

– Słuchaj, będziesz się gniewał, jeśli zostawię cię samego? – zapytała go. – Mój eks chce do mnie wrócić. – Skinęła do tyłu głową w stronę didżeja.

– Mogę to zrozumieć – odparł Jay, patrząc na mnie.

– Tak myślałam, że nie będziecie z tego powodu płakać – dodała ze znaczącym spojrzeniem.

Pomachała nam palcami i poszła.

– Zostałem porzucony na balu maturalnym – powiedział Jay z udawaną rozpaczą.

– Trzeba było przyjść samemu – dokuczałam mu. – Sam siebie raczej nie porzucisz.

– Powinienem być przyjść z tobą. – Teraz zrobił się poważny.

Przełknęłam ślinę, odwzajemniając jego spojrzenie. Piękna piosenka dobiegła końca i znowu zaczęło dudnić jakieś techno. Staliśmy z Jayem nieruchomo jak posągi pośród tego hałasu i rozedrganego tłumy. Na co czekaliśmy? Czy nie zmarnowaliśmy już wystarczająco dużo czasu?

– Myślisz... Czy musimy czekać na Nowy Jork? – zapytałam go, przekrzykując muzykę. – Czy nie możemy zacząć już teraz?

Stałam bez tchu, zszokowana tym, co przed chwilą powiedziałam, wpatrując się w jego usta. Powoli ułożyły się w jedno bezgłośnie, wyraźne słowo:

– Teraz.

Przyciągnął mnie mocno do siebie i pocałowaliśmy się – przy wszystkich, bez żadnych zakładów, tajemnic, rezerwy; byliśmy tylko my.

Nagle znów poczułam wiatr. I było tak samo, ale równocześnie inaczej. Tym razem przyszedł nie tylko od Jaya, ale również ode mnie. To był huragan energii, który huczał w moim sercu i w mojej głowie, wywiewając pajęczyny dawnych kompleksów, dziecinnych lęków i ograniczeń, które sama sobie narzuciłam.

Ten nowy wiatr szalał w moim wnętrzu, wdmuchując we mnie nowe życie. Wdmuchując mnie w nowe życie. Wiedziałam, że zanieś mnie do Nowego Jorku i jeszcze dalej, że wbije mnie w ramiona Jaya i z nim połączy, że będzie nas napędzał na naszej ścieżce miłości, w podróży przez krainę teatru

i mody.

I wiedziałam, że zaprowadzi mnie jeszcze dalej – do miejsca wolnego od złamanych serc i samotności, wolnego od porażki i sukcesu. Wiedziałam, że wchłonie mnie w swój wir i zanieśie w głąb siebie, dopóki nie poczuję się wspaniale we własnej skórze. Nareszcie w domu.

Cudowną godzinę później zauważyliśmy, że nasi przyjaciele zaczęli się rozchodzić.

– After party u Jima? – zapytałam Jaya.

– Hej, bez Elvisa to żaden bal maturalny – odparł.

Odnalazłam Chloe, wzięłyśmy torebki z samochodu Grega i stanęłyśmy w kolejce do damskiej toalety, żeby się przebrać w ciuszki na dalszą część imprezy. Założyłam rozszerzaną sukienkę w stylu lat pięćdziesiątych – kolejne dzieło moich rąk, które idealnie na mnie pasowało – i z głęboką ulgą zrzuciłam szpilki. Nigdy jeszcze tak się nie cieszyłam, że mogę włożyć swoje luźne, wysokie męskie sneakersy. Wspaniale było mieć na sobie szatawne ciuchy, ale jeśli chodzi o buty, to stwierdziłam, że nic nie może przebić wygodę.

W drodze do baru Jay wciąż na mnie zerkał i się uśmiechał. Non stop rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło od czasu świąt. I o paru wcześniejszych rzeczach.

– Zanim ruszymy dalej, obiecajmy sobie, że tym razem będzie inaczej – powiedziałam, gdy zatrzymaliśmy się na parkingu przed barem. – Więcej rozmów, szczerości i zrozumienia?

– Dobrze. – Przypieczętowaliśmy umowę uściskiem dłoni. – I żadnego Tima, Marka czy innych? Skinęłam głową.

– I żadnej Faye czy innych. – Znowu uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Więcej filmów, z tego stulecia też, i mniej jazdy na łyżwach.

– Okej. Mniej dramatów rodzinnych, więcej całowania. – Zarumieniłam się podczas mówienia, ale i tak to powiedziałam. Nowa, pewna siebie ja.

– Tak jest. I w ogóle więcej dotyku. – Tym razem po uścisku nie puścił mojej dłoni. Zaczął bawić się moimi palcami, aż poczułam mrowienie na całej skórze ramion, a w środku zrobiło mi się ciepło.

– I żadnych sekretów, nigdy więcej! – powiedziałam twardo chrapliwym głosem.

– Ojej – westchnął Jay.

Serce mi stanęło. Co znowu?

– Masz jakiś sekret, którego mi nie wyznałeś?

– Straszny, dzielę go z mamą.

Na jego twarzy malowała się stuprocentowa powaga. Ale to nic nie znaczyło, przecież mógł mnie robić w konia, prawda? Błagam, niech to nie będzie nic okropnego, niech nie zepsuje tej pięknej chwili, naszego nowego początku.

– Macie oboje trzeci sutek albo pletwowate palce?

– Według mojego taty coś gorszego. On tego nie znosi.

– Mów natychmiast! – zażądałam.

– Chodź – powiedział, otwierając drzwi. – Pokażę ci.

Gdy weszliśmy do baru, Jay ruszył prosto do Jima. Zamienili ze sobą kilka słów, po czym rozpromieniony Jim podszedł dumnie do szafy grającej, a Jay chwycił mnie w tali, pocałował w zmarszczone brwi i pociągnął na mały parkiet, który stworzono, odsuwając stoliki i krzesła.

Usłyszałam charakterystyczne dźwięki gitary. Jay przyciągnął mnie do siebie i zaczęliśmy tańczyć. Kiedy Elvis zachęcał wszystkich, żeby zatańczyli więziennego rocka, Jay kręcił mną jak lekką szmacianą lalką, a wraz ze mną wirowała moja sukienka. Przerzucił mnie sobie przez plecy i między nogami, okręcił wokół własnego torsu, podniósł, wysoko podrzucił i złapał nisko, podczas gdy ja, bez tchu, ale za to z szeroko otwartymi oczami, starałam się nie upaść i nie zaplątać w jego nogi.

– Znasz taniec towarzyski! – rzuciłam oskarżycielsko, gdy wybrzmiały ostatnie takty piosenki, a wszyscy w barze podnieśli się z miejsc i zaczęli nam klaskać.

Tori, która stała przy półce z sosami, ściskając poplamioną ketchupem ściereczkę, przyglądała się temu ze skwaszoną miną. Ona nie klaskała. Miała swoją chwilę triumfu, gdy dowiedziała się, że nie poszłam na bal z Robem, ale chociaż przegrałam te osiemset dolarów, czułam, jakbym wygrała coś ważniejszego od zakładu. Coś bezcennego. Żałowałam, że nie ma też Steve'a i nas nie widzi, ale nie

można mieć wszystkiego – nawet gdy jest się królową świata.

A poza tym Jay był wszystkim, czego potrzebowałam. Pomógł mi odhaczyć każdy punkt na liście przeżyć, żebym poczuła się cudnie urocza. Każdy poza jednym.

– Jay, chcę cię o coś prosić.

– O co?

– Podnieś mnie.

– Podnieść cię? – Udał, że zgarnia coś z podłogi.

– Chcę zostać podniesiona! – Uniosłam ręce i tym razem to ja udałam, że kogoś podnoszę.

– Królowo, twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Dźwignął mnie i trzymał w ramionach, jakbym ważyła nie więcej od przeciętnej dziewczyny, zaniósł do stolika, przy którym siedzieli wiwatujący Chloe i Greg, po czym usiadł, sadzając mnie sobie na kolanach.

– Podobało się? – zapytał ze śmiechem.

Pocałowałam uśmiechnięte zmarszczki w kącikach jego oczu.

– Bardzo!

Wszystkie punkty na liście życzeń zostały zaliczone, a ja nie czułam już potrzeby bycia kimś innym niż tym, kim naprawdę byłam. A byłam kimś cudownie wysokim. Koniec tematu.

Rozkoszowałam się miłością i śmiechem, czując się jak wspaniałomyślna władczyni. Postanowiłam, że po koronacji machnę ręką na Prawo Wysokich Dziewczyn. Każdy będzie mógł się umawiać, z kim tylko chce – świat stanie się lepszy, gdy zagości w nim więcej miłości i zróżnicowania.

Nieważne, z kim chodzisz i jak wyglądasz. Ważne, jak się czujesz. A ja czułam się jak królowa świata i siebie, Jej Wysokość P.

Koniec

Droga Czytelniczko,

mam nadzieję, że podobała Ci się historia Peyton i Jaya!

Jeśli tak, byłabym Ci bardzo wdzięczna za napisanie choćby króciutkiej opinii na Twojej ulubionej stronie internetowej. Każda recenzja jest cenna i pomoże innym czytelnikom odkryć tę książkę.

Chciałabys dostawać ode mnie powiadomienia o nowych publikacjach i promocjach? Mój newsletter jest wysyłany raz lub dwa razy w miesiącu i stanowi świetne źródło rekomendacji książkowych, a ponadto odśłania nieco kulisy mojej pracy twórczej i procesu publikacji; znajdziesz w nim także informacje o upominkach i darmowych egzemplarzach recenzenckich. Nie zapcham Ci skrzynki ani jej nie zaspamuję i nikomu nie przekażę Twojego adresu e-mail. Przysięgam! Możesz dołączyć do grupy VIP moich czytelników na stronie www.joannemacgregor.com.

Będzie mi bardzo miło, jeśli do mnie napiszesz! Odezwij się na Facebooku, Twitterze albo na mojej stronie. Postaram się odpowiedzieć.

Joanne Macgregor

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję swojemu redaktorowi, Chase'owi Night-owi, i moim wspaniałym betaczytelniczkom, Edyth Bulbring, Nicoli Long i Emily Macgregor, za ich bezcenne wskazówki. Jestem Wam wszystkim niezmiernie wdzięczna!